

NAŁĘCZOWSKIE TOMIKI LITERACKIE

NAŁĘCZÓW. WIECZNA HISTORIA

Prace nagrodzone
w VIII, IX i X Ogólnopolskim Konkursie Małych Form Literackich
im. Stefana Żeromskiego



Lublin 2020

REDAKCJA
Monika Gabryś-Sławińska, Magdalena Janik,
Marta Kempisty, Ewa Kuszyk-Peciak

PROJEKT OKŁADKI
Elżbieta Jachacz

SERIA
NAŁĘCZOWSKIE TOMIKI LITERACKIE

TOMIK NR 8
NAŁĘCZÓW. WIECZNA HISTORIA

ISBN 978-83-61073-47-5

© Muzeum Narodowe w Lublinie, 2020

Muzeum Narodowe w Lublinie
ul. Zamkowa 9
20-117 Lublin
www.mnwl.pl

LAUREACI
VIII OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU
MAŁYCH FORM LITERACKICH
IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO – 2012

Komisja w składzie:

- ♦ Waldemar Michalski (literat) – członek
- ♦ Bernard Nowak (literat) – członek
- ♦ Maria Mironowicz-Panek (MSŻ) – sekretarz

Na posiedzeniu w dniu 28 września 2012 roku jury postanowiło:

Przyznać dwie równorzędne **drugie nagrody**, które otrzymali:

Janusz Mielczarek z Częstochowy za pracę *Organki „Piccolo”*

Małgorzata Grajewska z Bydgoszczy za pracę *Pokonać odległość*

i trzy równorzędne **trzecie nagrody**, które otrzymali:

Anna Czujkowska-Włodarska z Lublina za pracę *Skrzypek pod parasolem*

Jerzy Kędzierski z Poznania za pracę *Nareszcie wyglądam jak człowiek*

Anna Piliszewska z Wieliczki za pracę *Nałęczowska psalmodia*

JANUSZ MIELCZAREK

ORGANKI „PICCOLO”

Do końca przejazdu przez las zostało kilkaset metrów. Ludzie w ciężarówce milczeli, zaciskając ręce na niewielkich bagażach. Kobieta w chustce odmarwiata różaniec. Kurz z wapiennej drogi zasłaniał wszystko, co zostawało za powiewającą plandeką, i osiadał na ubraniach. Auto zaczęło zwalniać. Staęło. Do siedzących na skrzyni zajrzał chudzielec w granatowej kurtce i wehrmachtowskiej czapce z polskim orzelkiem, spod której wymykały się czarne kędziory. Po chwili podeszło jeszcze dwóch z automatami gotowymi do strzału i rozkazali szefowi otworzyć klapę. Najniższy wzrostem, z dystynkcjami majora na furażerze, krzyknął:

– Wszyscy wychodzą! Oddać pieniądze, złoto, zegarki! – Zdjął szoferowi z głowy kapelusz i podał go jednemu ze swoich, żeby miał do czego zbierać. Wystraszeni pasażerowie opuszczali auto i stali zbici w gromadę. – Ustawić się w szeregi na kraju drogi!

Ludzie, przepychając się, spełniali rozkaz, a dwaj z automatami پوستurczywali lufami tych, którzy byli najbliżej. Inni, po przeciwnej stronie drogi, czuwali z bronią gotową do strzału. Wystraszony trzymałem się mamy, która, drepcąc, przesuwawała się na wskazane miejsce. Nagle, niespodziewanie, zostawiła mnie ojcu i wyszła przed szereg.

– Stój! – krzyknął któryś, celując ku niej.

– Dobrze, dobrze – powiedziała, zatrzymując się na moment – do niego idę, nie do ciebie. – I skierowała się do majora. Powitalnie rozłożyła ręce i zawołała: – Stasiu!

Wywołany po imieniu najpierw cofnął się, ale za chwilę odpowiedział: – Janka!

Przywitali się. Mama była drobną trzydziestolatką, a mężczyzna w mundurze ledwie przewyższał ją wzrostem. Mógł mierzyć trochę ponad metr sześćdziesiąt.

– Dlaczego nas zatrzymaliście? – zapytała.

– Bo jest wojna – odpowiedział.

– Podobno się skończyła.

– Kochasz Moskali?

– Nie.

– To wiesz, dlaczego wciąż jeszcze wojuję. – Zdjął furazerkę, przetrzepał ją o kolano i poprawił jasne włosy. – Ruskie za nami gonią razem z ubecją. Na samych grzybach nie wyżyjesz. Anglicy ruszą za trzy miesiące.

– Oni już raz ruszali, ale tak ślimato, że Ruskie przyszły wcześniej.

– Teraz nie mają wyjścia, bo inaczej to Sowiety też ich zaleją.

Przez chwilę patrzyli na siebie jak mający sobie coś do powiedzenia kobieta i mężczyzna.

– Pamiętasz, jak chodziliśmy do szkoły na drugi koniec wsi? – zapytała mama.

– Tutaj wojna, karabiny i śmierć, a ty, jakbyś spadła z Biernackiego stodoły – powiedział major z ironią.

– Bo fajnie chodziło nam się razem do szkoły. Czekaleś na mnie przy furtce. Kiedyś nawet niosłeś mi torbę z zeszytami, a śnieg był wtedy do pasa. – Stali przez chwilę w milczeniu.

– Nauczyciel sadzał cię blisko siebie, bo zawsze coś psociłeś. Czasem pomagałam ci w polskim.

– Ja tobie w rachunkach.

– Pamiętasz wypracowanie z Sienkiewicza?

– Piątkę dostałem. Jedyną z polskiego, dlatego pamiętam. Korzeń się nie połapał, że to twoje pisanie.

– O czym to było?

– O jakimś rycerzu... takie coś tam...

– Stasiu, wiem, przypomniałam sobie – powiedziała zadowolona i dotknęła jego munduru. – „Mały Rycerz... o wielkim sercu”.

– Lat tyle minęło, a tynosisz to jeszcze w głowie?

– Podobalesz mi się. Nie było we wsi lepszego chłopaka w bieganii i żaden nie potrafił skakać z jednego drzewa na drugie. – Spojrzała mu w oczy. – Jak jakiś jaguar albo inny lampart.

– Dalej tak skaczę – powiedział poważnie. – Wtedy to były popisy, a teraz zrobiłem skok z jednej wojny na drugą. – Poprawił pas, obciągnął kurtkę. – Został mi jeszcze ostatni, do piekła, w sam ogień.

Mama odwróciła się w stronę pasażerów ciężarówki.

– Trzeba im pomóc – powiedziała zdecydowanym głosem. – Ile kto może, co kto ma.

Po chwili do wojaka trzymającego kapelusz pierwsza podeszła kobieta z różańcem, włożyła tam jakiś datek, a z lnianej torby wyciągnęła podłużną bułkę. Złapał ją łakomie jeden z uzbrojonych, spojrzał na dowódcę, ale ośmielił się tylko zaciągnąć zapachem, a potem trzymał nieruchomo przed sobą.

Ludzie majora szykowali się do odejścia, gdy jeden z nich wypatrzył na skrzyni auta, pod ławkami z surowych desek, ukrytego tam chłopaka. Zarzwołali go. Wyczolgiwał się pod lufami karabinów.

– Ty jesteś Zarzekowy – powiedział major, gdy wiązali mu ręce.

– Stach – jako i mnie – dał ci Wawrzek na imię. Tako samo, tako samo – powtórzył. Chodził wokół tamtego mocnym krokiem, z pięty, wzburzając wapienny kurz podkutym obcasem. – Pójdziesz w ubectwo jak Ignac?

Chłopak przecząco potrząsnął głową.

– To teraz najlepsza robota dla zdrajców – ciągnął major. – Twój braciszek ledwie po trzech miesiącach służby dostał dwie gwiazdki. Mówią, że jak katuje naszych, to nawet Moskale z enkarwude nie bardzo mogą na to patrzeć. – Wcisnął palce za pas. – Nie ma teraz lepszej roboty dla zdrajców – powtórzył. – Zamiast łapami gnój z chlewa wywalać, łatwiej

robić go z ludzi, ze swoich. – Podeszedł do chudzielca w wehrmachtowskiej czapce trzymającego darowizny od pasażerów ciężarówki, była tam też butelka wódki. Sięgnął po nią, odbił pięścią korek i wypił kilka łyków. Otart rękawem usta i rozkazał:

– Idziemy! Ty – pokazał na chłopaka – z nami.

Znikali w zaroślach. Ludzie patrzyli za nimi, nie ruszając się z miejsca.

– Jedźmy już – powiedział szofer, zastaniając sobie ręką głowę po stracie kapelusza.

Na opuszczonej kłapie skrzyni zawiesił drewniany podnózek. W tej samej chwili spośród sosen doszedł nas grzechot automatu.

– Matko Boska! – Przeżegnała się kobieta w chustce, a moja mama przytuliła mnie mocniej i dopiero wtedy poczułem, że w ten upalny czerwcowy dzień wstrząsają nią dreszcze.

Gdy odwiedzałem groby dziadków w czasie Święta Zmarłych, wracałem do domu okrężną drogą. Chciałem się zatrzymać przy niewielkiej płycie upamiętniającej śmierć ludzi, której świadkiem byłem wiele lat temu. Ułożono ją wkrótce po roku 1990 i od początku podzieliła okolicznych mieszkańców. Jedni uważali, że Ryś – którego walkę z Niemcami i komuną upamiętnił monument – był bohaterem, inni, że tylko rabusiem i zabijaką. Którejś nocy wyrwano płytę, a w jeden z zaduszkowych poranków uszkodził ją ładunek wybuchowy własnej roboty.

Pochylała się nad nią kobieta wsparta na kuli. Stałem z tyłu i zmówiłem modlitwę.

– Czy to Janusz? – Doszedł do mnie cichy, niepewny głos.

– Halinka!? – zawołałem, z nadzieją, że się nie mylę, choć nie rozpoznawałem w starej kobiecie rysów tamtej dziewczyny.

Rozmawialiśmy chaotycznie, jak dzieci chcące za szybko dogrzebać się zagubionych w piasku zabawek.

– Przejdźmy się kawałek – zaproponowała. – Porozmawiajmy.

– Boże – westchnęła – po stu latach.

Syn czekał na nią w samochodzie.

Zza płotu, po drugiej stronie drogi, przyglądał nam się stary człowiek w skórzanej czapce. Obok niego kręcił się duży, poszczekujący ku nam pies. Gdy ruszyliśmy, ten za płotem zrobił to samo. Szedł równolegle, obserwując nas. Miał zgięte ischiasem plecy i co chwilę smarkał, zatykając kciukiem dziurkę od nosa.

– To jeden z tych, co nie przebaczą do ostatniego tchnienia – powiedziała kobieta, oddychając ciężko. – Jego syn był z moim ojcem. Razem zginęli. Nazwisko jest na płycie. – Nabrała powietrza. – Od dawna usiłuję zrozumieć tych ludzi, ale ten, spełniony, spokojnie odszedłby z tego świata dopiero wtedy, gdyby mnie zgładził. – Zatrzymała się. – Zabierz mnie w tamto miejsce, gdzie byliśmy na zabawie w dzieciństwie – powiedziała, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Pojechaliśmy, choć jej syn nie chciał zaakceptować tego pomysłu.

Po dawnym młynie nie było śladu, rozlewisko zarastało, a w miejscu, gdzie kiedyś ludzie bawili się na strażackiej zabawie, straszły zarzewiałymi drutami spękane betonowe płyty.

– Popatrz – powiedziała – wszystko się tu zmieniło, tylko piasek na leśnej ścieżce jest taki sam. Brodzi po nim dwoje starych ludzi, jakby nie wierzyli, że on jest dla nich teraz miejscem przeznaczenia i wkrótce ich pochłonie.

– Niech poczeka.

– Tak wiele ludzi i rzeczy nas opuszcza, bo wszyscy nienawidzą starości. – Przerwała i dokończyła po kilku chwilach: – Z dawnych piękności honorują nas tylko wspomnienia.

Spojrzała ku mnie i zamknęła oczy, jakby nie dowierzała, że jestem obok niej; dzisiaj posiwały ten chłopak sprzed lat.

– W młodości uwielbiałam czytać Żeromskiego – mówiła, zapartazona w gęstą szarość krajobrazu niechętnie sposobiącego się do zimy. – Był ukojeniem dla moich ran serca. Piotr Rozłucki w *Urodzie życia* poszukiwał grobu ojca i znalazł go. – Przetarła twarz. – Ja na to nie zasługiwałam. Wróg, który przybył z tamtej strony, był teraz produktem po wielokroć okrutniejszego czasu i takiej szansy nie dawał. – Sięgnęła do torby i wydobyła z niej płócienny woreczek. Były w nim małe organki z zanikającym na zaśniedziałych blaszkach napisem „Piccolo”. Trzymała je chwilę na otwartej dłoni jak martwą rybkę.

– To moja najważniejsza pamiątka po ojcu – powiedziała i zacisnęła rękę. – Nie mogę sobie tylko przypomnieć, kiedy je od niego dostałam. – Wpatrywała się w lekko drżącą pięść. – Zupełnie uleciało mi z pamięci.

– Tamtej nocy nad rzeką, gdy wracaliśmy z wiejskiej zabawy, mówiłaś... – zawiesił głos, bo speszyło mnie jej przenikliwe spojrzenie.

– Co mówiłam?

– Że ojciec... – plątałem się. – No... twój... wiesz... wtedy... ojciec dał ci je w czasie waszego ostatniego spotkania. – Odwróciłem się, że niby jeszcze raz sprawdzam, czy wodnego młyna naprawdę nie ma w miejscu, gdzie stał ponad sześćdziesiąt lat temu. – Odjeżdżali już – mówiłem, teraz już płynniej, nadal unikając jej wzroku – on zawrócił, wziął cię jeszcze raz na konia, uściskał i dał organki.

Uśmiechnęła się.

– Podobno ludzie piszący, w ogóle artyści, mają nadzwyczajną pamięć do szczegółów, które innym wydają się bez znaczenia. Może u ciebie jest podobnie.

– Jedni na stare lata potrzebują spokoju, inni leków i opieki, ja na moim strychu pamięci odnajduję szczegóły bez znaczenia, które zachęcają mnie do pisania. – Spojrzałem w wilgotną szarość nad naszymi głowami; nigdy jednak nie zapominam, że nad nią, wyżej, jest błękit. Zagrzebuję się w moim piasku i przenoszę w pracowitą i piękną sa-

motność. A kiedy coś mi się uda, to potem żyję nadzieją, że ktoś może zajrzy do książki, która powstanie, i nie będzie mu ona tylko śmieciem. Może czasem pomyśli – jak o kimś bliskim – o tym gościu, któremu chciało się majstrować przy różnych historyjkach i składać je w zdania.

– To tylko słowa, mój drogi, bo przecież cierpisz, że nie masz tysięcy czytelników, wielkich nakładów, góry pieniędzy i uwielbienia. Wiem coś o tym. Pracowałam naukowo, ale chciałam więcej i poszłam w politykę, międzynarodowe instytucje i inne przekręty odbywające się pod piękną banderą.

– Znaczy – oboje jesteśmy po przejściach. Odczuliśmy te uderzenia w brzuch, jak bokser, którego pchają na skraj ringu, pod liny. Gdy skatowany może się jeszcze zdobyć na najmniejszy ruch do przodu, to wie, że nie do końca jest out, że gdzieś mrugnęło światełko, może tylko ledwie, ledwie, ale jednak. Kiedyś bałem się odrzucenia, zapomnienia. Wiadomo, że przed tym chroni majątek, sława, czasem autorytet. Tych nie doświadczyłem, dlatego spróbowałem inaczej, wróciłem do pisania. Robiłem to już kiedyś.

– Dlaczego wtedy przerwałeś? Na swoją pozycję pracuje się, będąc w pełni sił.

– Zbyt wiele rzeczy mnie interesowało, może byłem za leniwy, może się rozminiałem na drobne albo dopiero teraz do tego dojrzałem?

– Ilu ludzi obchodzi dzisiaj twoje pisanie? Kilku, kilkudziesięciu?

– Trzech – zaśmiałem się. – Ale gdyby ich nie było, też bym to robił. Czasem pytają mnie: Chce ci się jeszcze, w tym wieku? Gdyby tak nie było, to znaczyłoby, że mnie nie ma. Rozumiesz to? Nie ma! Ktoś chodzi, porusza się, nawet rozmawia, ale go nie ma. Ja chcę być! – Zatrzymałem się przed nią i gestykulując, jakby ruchy rąk przekonywały bardziej niż słowa, mówiłem. – Dużo pracuję, bo to jest moja codzienność odnawiana przepustką do spojrzenia w lustro, prawo do śniadania, kolacji i snu, przed którym rozmawiam z moim małym i wielkim szczęściem. Tym dla siebie, a więc najważniejszym dla człowieka.

Halinka, podpierając się kulą, ciężko stawiała kroki, wpatrując się w ziemię. Niespodziewanie złapała mnie za rękaw.

– Daruj, chciałam ci wyszarpać garść dobrego samopoczucia, ale to mi się nie udaje. – Przygryzła wargi. – Przypomnij zdanie o słowie-ptaku, które mówiłeś wcześniej.

Ująłem jej rękę i nakryłem drugą dłonią, spojrzałem ku wierchołkom sosen i kierując tam głos, powiedziałem:

– Słowo to ptak, którego tropisz w samotności.

– Nie tylko słowo – powiedziała cicho – życie też tropi się w samotności. – Podniosła wzrok ku ciężkiemu niebu. – Wyczyniamy cuda, stajemy na głowie, żeby dać komuś to, co najlepsze, a potem okazuje się, że nasze wypruwanie sobie flaków przyjmowane było z łaski albo z politowaniem.

– Mając tyle co nic, nie czuję za plecami oddechu zniecierpliwionych spadkobierców. Moja pamięć wciąż przechowuje szczegóły i podpowiada wyobraźni, co powinna czynić ze słowem. Dużo pracując, popędzam, nie dlatego że uciekam starości, choć cieszę się, że – jak na razie – ona człapie odrobinę wolniej. Nie obrażam się na mijający czas i przeznaczenie. Idę z nimi i wierzę, że jest nam razem dobrze i że mnie wspierają.

– Próbuję cię zrozumieć, ale ty się okłamujesz. Być ponad to przecież naturalne dążenie każdego homo. Mieć jak najwięcej, zbierać hołdy...

– Nie są mi obce podobne pragnienia, ale wiem, że muszę je filtrować przez zaliczone wcześniej lekcje pokory, moje myślenie.

– Popraw mi szalik – poprosiła – i postaw kołnierz. Powiało chłodem. Tobie nie zimno? – zapytała i, nie czekając na odpowiedź, dokończyła: – Może to tylko ziąb zrodzony z upiornych myśli starego człowieka?

– Takie są w ludziach, którzy swój czas przeszły naznaczyli klęską albo robią z niego karykaturę.

– Do perfekcji opanowałaś sztukę ślizgania się po cieniutkim lodzie – mówiła, ciężko oddychając. – Ty, starzejący się pięknie elegancik, wyprostowany, niepodpierający się aluminiowo-plastikowym kikutem, ledwie tylko z koszykiem zmarszczek, do którego na wystawach lub wieczorach autorskich starsze panie szczerzą się dobrze przyklejonymi protezami – patrzyła przed siebie – idziesz pół kroku przede mną i zastanawiasz się, po co przywozisz do miejsca wspomnień tę starą i złą, utykającą babę.

– Przed laty, gdy było ono jeszcze za górami i lasami, przyszedłem z nią na wiejską zabawę. Pierwszą w moim życiu zabawę z tańcami i loterią fantową.

* * *

Wtedy, w pięćdziesiątym roku, Halinka i ja byliśmy jedynymi dziećmi z miasta spędzającymi wakacje u swoich dziadków. Mieszkaliśmy kilka chałup od siebie i z rówieśnikami z sąsiedztwa siadaliśmy obok przydrożnych wierzb w przedwieczory pachnące świeżo dojonym mlekiem. Ci z głębi wsi traktowali nas jak dziwolągi. Gdy szedłem do jedyne go we wsi sklepu, w którym handlowano tylko naftą do lamp, łańcuchami dla krów, powozami, kilkoma rodzajami gwoździ i tanimi cukierkami, albo wracalem z zakupami, umorusane twarze z za płotów wołały za mną: „Pan z miasta, co ma dupę z ciasta!”. I bardzo je to cieszyło.

W którąś sierpniową niedzielę w sąsiednim Pilarzowie, nad stawem przy młynie, organizowano zabawę taneczną z loterią fantową. Do tańca miał przygrywać zespół muzyczny mojego Dziadka. On właśnie zaproponował, żebym poszedł tam z Halinką, i obiecał się nami zaopiekować.

Miałem czternaście lat i byłem jego najstarszym wnukiem; Halinka była o rok ode mnie młodszą, ujmująco grzeczna i spokojna. Oglądała świat bładoniebieskimi oczyma w oprawie jasnych rzęs. Rzadko się odzywała.

W czterdziestym piątym roku, ale już „za Polski”, zabili jej ojca. Odznaczony w czasie wojny przez Polskę Podziemną za waleczność po odejściu Niemców nie złożył broni i z grupą swoich ludzi walczył nadal.

Wyjście na zabawę bardzo ją ucieszyło. Bałem się, że na tej zabawie będę musiał tańczyć, co psuło wakacje, ale widziałem wcześniej na wiejskich potańcówkach, że dziewczyny same ze sobą kręciły się przy muzyce i chłopaki wcale nie byli im do tego potrzebni.

*Atrakcją wiejskich zabaw były wtedy loterie fantowe. Fanty zbierano wcześniej po domach. Na takich loteriach można było wygrać: żywy drób, używaną oponę od roweru, gołębie, jakieś obtłuczone figurki, wojskową menażkę, prosiaka, a nawet worek kartofli. Gdy ogłoszono loteryjne emocje, dostałem od Dziadka dziesiątaka na dwa losy. Wyciągnięty przez Halinkę był pusty, mój wygrał. W zamian za pomietą karteczkę z numerem 26 wręczono mi małe organki ze śladami zużycia i wytłoczonym na niklowanych blaszkach napisem: *Piccolo*. Dmuchałem w nie kilka razy, dla fasonu, a Halinka powiedziała, że jej tato grywał na podobnych. Było fajnie, bo mogliśmy siedzieć przy stole dla orkiestry i jeść to, co na nim było. Choć zapadła już ciemność, ludzie barwili się nadal przy świetle rozwieszonych na sznurkach naftowych latarek, z jakimi wtedy chodziło się do obory albo przywieszano do jadących nocą wozów konnych. Minęła północ, Dziadek przewidywał, że o tej porze zabawa się skończy i wspólnie wrócimy do domów, ale ludzie chcieli się barwić dalej, orkiestra musiała grać. Postanowiliśmy wracać sami.*

Najpierw szło się ścieżką na skraju lasu, nad brzegiem niewielkiej rzeczki, a potem polami. Las się skończył, ale wciąż słychać było jeszcze muzykę z zabawy. Weszliśmy na trawę i wysypali piasek z wyjściowych tenisówek. Ale nocne łazegowanie podszyte strachem miało trwać. Halinka nalegała, abyśmy poszli na Lisowy Bród. Nie było daleko, ale gdy tam doszliśmy, zaraz weszła do wody. W jasnej sukience i z blond włosami, przy słabym świetle księżycy wyglądała jak figura z pełnych dziwów opowieści mojej Babci.

Zawołała mnie, a gdy wszedłem do wody, pokazała ręką pod prąd rzeki i zapytała:

– Widzisz coś tam?

Nie widziałem, a cienie olch pochylone ku wodzie jeszcze bardziej porażały strachem.

– Ja tu jestem – mówiła cicho, ale mnie się wydawało, że robi to bardzo głośno i może obudzić jakies nocne stwory – zawsze z tamtej strony jedzie ku mnie jeździec na koniu. – Położyła mi rękę na ramieniu, a ja poczułem się, jakbym wpadł w sam środek, którejs pełnej niesamowitości babcinej opowieści. – Niby jedzie – mówiła – ale po drodze coś go wstrzymuje i nie może się do mnie zbliżyć.

– Wracajmy – powiedziałem, gdy wyszliśmy na brzeg – na pewno nas szukają.

– Nic złego się nie dzieje. Teraz, tej nocy, chciałabym dużo mówić. Wiesz, że na co dzień jest inaczej. – Zakręciła się kilka razy wokół, jakby zapomniała, że nie jesteśmy już na zabawie. – Taka mam być – mówiła, śmiejąc się – przestraszona i małomówna. Nie powinnam się śmiać ani bawić jak inne dzieci, bo jestem córką Rysia, który był bandytą. Muszę o tym pamiętać w domu, w szkole i na ulicy; na jawie i we śnie. – Wzięła mnie nieśmiało za rękę. – Ta noc dodała mi odwagi i dlatego opowiem ci o czymś, czego nikt jeszcze nie słyszał i słyszeć nie powinien.

Pięć lat temu, latem, mama obudziła mnie w środku nocy i powiedziała, że pójdziemy się umyć do rzeki. Miałam zapytać, dlaczego nie poszłyśmy za dnia, ale przypominałam sobie, że wcześniej podpatrzyłam, jak wuj Jan w ukryciu szykował pistolet. Niosłam mydło i ręcznik, a ona miała na ramionach wyladowany plecak. Szłyśmy nie drogą, tylko bruzdą przy miedzy. Nad rzeką ukryła plecak i zamiast się myć, przykucnęłyśmy w krzakach. Przytuliliśmy się do niej zaspana, ale czułam, że jest zdenerwowana. Uspokoila się dopiero, gdy z lewa i prawa odezwały się gwizdy naśladujące głosy ptaków. Za jakiś czas doszły nas pluski rozbryzgiwanej wody. – Boże, to oni – westchnęła mama.

Halinka puściła moją rękę, znowu weszła do wody i pobiegła w stronę, w której miała widzenie konia z jeźdźcem. Wołałem na nią, nie odpowiedziała, ale po chwili przybiegła i podeszła do mnie.

– Oni przyjechali z tamtej strony – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Tato miał czarnego konia od Krauzów, wszyscy we wsi wiedzieli, że u nich zawsze była para karych koni. – Zamysliła się. – Ojciec i tych dwóch, co z nim byli – wróciła do początku opowieści – rzucili się łakomie na jedzenie, które mama przyniosła w plecaku. Gdy się najedli, ci dwojaj zasnęli, a mama z tatą, prawie nadzy, weszli do rzeki i ona go myła. W ciemności widziałam, jak podchodzili do siebie, obejmowali się i bawili, pryskając wodą. Znowu się obejmowali, aż wreszcie sami, beze mnie, przeszli łąką i schowali się w dojrzejącym zbożu, jakby musieli tam sprawdzić w sobie coś, co znaleźli, obmywając się w rzece. Długo nie wracali, a ja płakałam w – bliskiej obok nich – samotności.

Wkrótce jeźdźcy musieli wracać, bo za godzinę miało świtać. Rozpędzone konie wbiegły do rzeki, pryskając fontannami wody, i razem z ludźmi zagarnęła je ciemność.

Siedzieliśmy na brzegu, trzymając nogi w rzece, której prąd owijał nam wokół stóp przybrzeżne trawy i łaskotał między palcami. Dmuchałem kilkakrotnie w wygrane na loterii organki, uderzyłem nimi o dłoń, jak to robili chłopcy, którzy na czymś takim potrafili wygrywać różne karwatki. Halinka położyła mi głowę na ramieniu i zapytała, czy nie jestem śpiący. Nie byłem.

– Chcesz tę orkiestrę? – zapytałem, podając jej organki. – Może tobie lepiej pójdzie, ja się chyba nigdy grać na tym nie nauczę.

– Wygrałeś je, twoje szczęście.

– Takie tam, ono nieduże, piccolo – powiedziałem i przypomniałem jej, że oboje sięgaliśmy po ten sam los, ale ona cofnęła rękę.

„Śmieszne są te dziewczyny” – pomyślałem – bo kiedy wzięła ode mnie organki, to najpierw przyglądała im się, jakby były z jakiegoś złota, a potem przytuliła do twarzy jak lalkę albo inną zabawkę.

Do wypalanej piorunami gruszy, skąd mieliśmy jeszcze do zabudowań kilka minut drogi, wyszedł po nas pies dziadków. Miał na imię Box, był brązowy, pręgowany i uchodził za groźnego. Dni spędzał przy budzie na łańcuchu. Bałem się go, ale teraz, gdy był przy nas, pozbyłem się wreszcie nocnego strachu. Wyczuł to, bo idąc obok, co kilka kroków dotykał mi pyskiem kolan.

* * *

– Zatrzymaj się. – Odrzuciła kule i położyła dłonie na kołnierzu mojej kurtki. Stała z opuszczoną głową. – Nie wiem, dlaczego jestem dzisiaj takim potworem.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Skończ z grzecznościami, bądź wreszcie normalny. – Poderwała głowę i jej wypłowiałe z niebieskości oczy biegały chwilę w ramach przerzedzonych rzęs. – Powinieneś mnie tu zostawić i odjechać, bo zamiast subtelną kreską wędrować po konturach tamtego wspomnienia, obrzucam cię błotem mojego żalu.

– Nie wszystkie miejsca się dobrze wspomina.

– To jest dla mnie świętością. – Uspokojona położyła mi głowę na ramieniu. Wiele przeżyłam, ale w najtrudniejszych chwilach zamieniałam się w tamtą trzynastolatkę, która wędrowała z tobą nocnymi polami pachnącymi rosą, koniczyną i zajęczą trawą. Dziękuję Bogu, że – łaskaw – zatrzymał w pamięci tamte zapachy, chłód wody w rzece i nieśmiałość twoich rąk.

Miałem teraz przed sobą twarz starej kobiety. Tamtej nocy, w dzieciństwie, co chwilę odwracała ją ku mnie, a ja, wierząc, że to wyraz zachwytu nad moją osobą, co rusz wymyślałem nowe historyjki, oczywiście ze mną w roli nieustraszonego. Coś w tym było, że sam, nawet w dzień, nie odważyłbym się zapuścić do lasu na przybrzeżne

skarpy i dalej, aż do młyna w Pilarzowie. W tę zabawową noc też się bałem, ale jej ojciec – jakkolwiek by go oceniać – był człowiekiem odważnym. Czy tak to na mnie działało, że chciałem, choć trochę, bać się mniej?

– Widziałeś z daleka, jak ich osaczyli. Mówiłeś, że ojciec walczył do końca. Czy tak było naprawdę? Czy tym zasłużył na pogardę innych ludzi? – Zaczerwienionymi od chłodu dłońmi zakryła twarz, jakby w ten sposób chciała przywołać do pamięci tamte zdarzenia.

– Przeczytasz o tym w jednym z opowiadań w mojej nowej książce.

– Będę na nią czekała.

* * *

Auto z wojskiem zatrzymało się przy grobli. Wychodzący z niego byli tak samo ospali jak ten czerwcowy poranek. W butach brodzili przy brzegu, obmywali twarze i moczyli głowy, a kilku nawet położyło się w trawie. Starszy rangą – bo jako jedyny miał na głowie czapkę rogatywkę z granatowym otokiem – przyszedł do ciotki po wodę dla żołnierzy. Dostał bańkę, naciągnął wody ze studni, napił się z wiadra i zawołał dwóch, żeby zanieśli wodę do auta. Oficerek, zbierając jabłka opadłe pod papierówką, poskarżył się ciotce, że przysyłają wojsko do szukania tytoniu na chłopskich polach.

– U mojego ojca – powiedział, żując jabłko – też w kącie sadu rośnie go trochę, bo dziadek musi mieć machorę na zakurkę. – Wyrzucił ogryzek. – Ale żeby wojsku tym głowę zasrać w tych trudnych czasach. – Upakował po kieszeniach jabłka i odszedł.

Ciotka patrzyła za nim, jak w butach z cholewami, za długimi do jego krótkich nóg, które przeszkadzały mu normalnie uginać kolana, kołysząc się, szedł do swojego wojska, a ona, wracając do przerwanych zajęć, powiedziała:

– Nie tabaki, ty sobaczy synu szukasz! Oj, nie tabaki.

Wojna niby się skończyła, ale dla mnie, dziewięciolatka, i dla moich rówieśników wojsko, broń i zabawy w wojnę wciąż były atrakcją. Dorosli mieli swoje problemy, więc nie widzieli potrzeby wtajemniczania nas w rzeczywistość, która nie przestawała być wojenna. Nam zostawało to, co udało się podstuchać i zobaczyć.

Dziewczyny zajęte były przygotowaniem obiadu. Niezauważony wymknąłem się na miejsce obserwacji. Największa we wsi stodoła – jedyna pokryta dachówką, a nie, jak pozostałe, słomianymi strzechami – była jeszcze pusta. Wydobyłem z kryjówki niemiecką lornetkę, w połowie zmiażdżoną, prawdopodobnie przez gąsienicę czołgu, i przez oborę wszedłem do stodoły. Przystawiłem drabinę do południowej ściany, żeby być jak najwyżej, i prześwietlami między deskami widziałem wojsko na grobli, pola i zabudowania Boru Pilarzowego, stojące w odległości około trzystu metrów.

Żołnierze ustawili się w szeregu, ale byli jacyś tacy nierwojskowi; niektórzy tylko mieli na głowie czapki, inni wcisnęli je pod naramienniki, a broń jedni niesli na plecach, innym zwisała z przodu albo z ramienia. Ten w rogatywce wymachiwał rękami i pokazywał miejsca, w które mają pójść.

Ciotka ich wyczuliła, bo ludzie w mundurach na początku leżeli polami tak jakoś bezładnie, dopiero po jakimś czasie utworzyli łuk skierowany w stronę Wilkowej stodoły. Serce waliło mi coraz głośniejsze i wciąż nie mogłem sobie poradzić z lornetką, przy której manipulowałem, na razie bez efektu. Gdy znów spojrziałem na pola, wojska nie było. Najpierw pomyślałem, że to mi się śniło, ale przecież stałem obok człowieka w rogatywce, gdy ciągnął wiadrem wodę ze studni, i czułem od niego smród podobny do tego, jaki zostawiał czarny smar, którym pocierano młyńskie tryby, kierat i osie chłopskich wozów. Na szczęście połówka lornetki zadziałała i w zbożu dojrzałem kłęczącego człowieka w mundurze.

Skuliłem się odruchowo, gdy padły pierwsze strzały. Ostrzał stodoły nie trwał długo. Z niej też odpowiedziano ogniem. Przez lornetkę widziałem nawet miejsca, z których strzelano. Nastąpiła cisza. Nie słyszałem, bo było za daleko, ale wyobrażałem sobie, że tych w stodole wzywano do poddania się.

Minęło kilka minut i ze zboża wystrzelono rakiety. Odpowiedziano na nią po drugiej stronie zabudowań. Wkrótce za strzechą Wilkowej stodoły spadły rakiety zapalające.

Za niewiele stodoła stanęła w ogniu. Pierwszy z płomieni wybiegł człowiek z gołą głową. Jednym okiem lornetki rozpoznałem w nim szkolnego kolegę mamy, który zatrzymał w lesie ciężarówkę. Biegł zygzakiem, na ugiętych nogach, torując sobie drogę seriami z automatu, ale niewielki kawałek łączki za płonąca stodołą, jaki miał do pokonania, to było za daleko, żeby dopaść kryjówki w zbożu. Pociski, które trafiły go od dołu, miały taką siłę, że na moment podrzuciły nim. Rozłożył ręce, jakby przypomniat sobie dawny, chłopięcy odruch, gdy przeskakiwał z jednego drzewa na drugie, a one, jak stery skrzydeł, były mu w tym pomocne. Upadł.

Reszta opuszczająca płonąca stodołę z podniesionymi rękami. Na niektórych płonęły ubrania. Tych zabijano na miejscu.

Opowiadano potem, że Rysia i jego ludzi, biwakujących któryś już dzień w stodole, gdzie nie obeszło się bez wódki, ostrzegano o przygotowanej akcji. Nie wierzyli, a może dość już mieli nieustannej pogoni? Wcześniej, bo stodoła, w której przebywali, stała na wzniesieniu, musieli widzieć wojskowych, którzy na niby szukali chłopskiego tytoniu.

Mówiono, że „tytoniową zasadzkę” na Rysia, który wymykał się wielokrotnie z zastawianych pułapek, przygotowało kieleckie UB, w którego budynku wyroki na ludziach z podziemia wykonywano – wieszając ich na schodach.

– Podaj mi kulę – powiedziała.

Podniosłem ją i trzymałem w rękach. Poprosiłem, żeby o własnych siłach zrobiła choć jeden krok.

– Jeśli upadnę, to nie dasz sobie rady z tym worem mięsa spustoszonego przez choroby.

– Pójdę po pomoc do wsi.

Po chwili namysłu rozłożyła ręce, jakby się szykowała do przejścia po linie, a ja wyciągnąłem swoje, jak do dziecka stawiającego pierwsze kroki. Wpatrzona w ziemię powoli przesuwiała prawą stopę. Z lewą było już lepiej, od razu zrobiła nią mały krok.

– Teraz – powiedziałem – chodź w moją stronę, ale wzrok skieruj przed siebie. – Zacząłem liczyć: raaz... dwa... raaz... dwa... Świetnie!

– Zatrzymaj się – poprosiła, wypuściła z ulgą powietrze. – Wykończy mnie twój eksperyment.

– To tylko powrót do nauki chodzenia.

– Łatwo ci mówić, jak jesteś zdrowy.

– Mam ci wyliczyć uczone nazwy moich dolegliwości?

– Nie, tylko nie to. Wolę cię widzieć ruchliwym, niegarbiącym się luzakiem, nawet jeśli specjalnie się napniesz i w środku syczysz z bólu.

– Dlatego chciałbym, żebyś mi coś przyrzekła.

– Trudne to będzie do spełnienia?

– Błahostki nie wymagają przyrzeczeń. – Badaliśmy się wzajemnie wzrokiem. – Niech ci się wydaje, że robisz to w czasie naszej dziecięcej nocnej wędrówki przed laty. Może wchodzimy teraz w chłodny nurt Lisowego Brodu?

Stała, nie podpierając się kulą, miała pogodną twarz i przyjazny wzrok.

– Będzie słowo? – zapytałem.

– Jest – odpowiedziała.

– Oddaję ci twój podpieracz, ale najpierw, proszę, wyrzuć go ze swojej głowy, a potem, jak najszybciej, odstaw w kąt.

– Spróbuję.

– Czy wiesz, czego w następnej kolejności powinnaś się pozbyć?

– Nie, daruj, za dużo zadziwień i rebusów jak na krótkie spotkania po latach.

Podąłem jej kulę, ale ona, nie sięgając po nią, powoli zrobiła kolejne dwa kroki.

– Popatrz – zawołała – to niesłychane, teraz popisuję się przed tobą.

– Robisz to wspaniale! – Znowu się odsunąłem, żeby mogła iść dalej.

– Co jeszcze z mojej głowy przeznaczasz na śmietnik? – zapytała, śmiejąc się, jakby rozbawiona moimi pomysłami.

– Starość – powiedziałem, a ona przez chwilę popatrzyła na mnie poważnie. – Bo słabość człowieka wyrasta z myślenia o przegranej.

Znowu zaczęła się uśmiechać i swobodniej postawiła nogę do kolejnego kroku. Może nawet zrobiła to zbyt śmiało, bo zachwiała się, ale zdążyłem podać jej rękę.

MAŁGORZATA GRAJEWSKA

POKONAĆ ODLEGŁOŚĆ

*Gdybyś kiedy we śnie poczuła,
że oczy moje już nie patrzą na ciebie z miłością,
wiedz, żeś żyć przestała.*

Stefan Żeromski

PROLOG

Podobno matka ma zawsze przeczucie, ja go nie miałam, albo nie potrafiłam odczytać znaków. Parę tygodni wcześniej stanął przede mną i z niepokojem, jakiego nigdy nie widziałam, powiedział:

– Mamo, będę krótko żył.

Stuknęłam go w czoło, z uśmiechem, i... zbagatelizowałam słowa, które okazały się prorocze.

ZAKRĘT NA PROSTEJ

Upał, pierwsza sobota wakacji. Właśnie kończę prasowanie. Odwieszam czarny żakiet, lato – nie będzie potrzebny. Jeszcze sukienka, gładzę fałdy dłonią. Rozgrzane żelazko jak łódka wpływa na czerwoną rzekę. Dzwoni telefon...

Nareszcie przestaję krzyczeć, unoszę się. Jakby nigdy nic: falują żółte łany rzepaku, zieleni się wysoka trawa wzdłuż rowu i droga – wyraźna chropowata smuga, niczym granica światów, rozdziela dwa życia. Nic nie czuję, ale wiem, że nie chcę puścić jego dłoni, jest lekka jak obłok. Powoli obracam się wokół własnej osi. Danse macabre? Dlaczego nie otwiera oczu, nie patrzy na mnie? Jest blisko i tylko szepcze:

– Kiedyś sam ci powiem, kto ostatni dotknął moich powiek. – Za nim szeleści powietrze, skrzydła niebieskie... To koniec. Spadam w czerwoną płamę na asfalcie. Teraz dotykam jej zapachu: słodki i duszny pozostanie we mnie na zawsze. Nie mam siły unieść głowy, gdy czar-na furgonetka, połykując bocznym napisem, jak rybi potwór, połyka moje dziecko zawinięte w folię.

Jutro przeczytam w gazecie: czternastoletni rowerzysta...

POSTÓJ Z PRZESIADKĄ

Na polu krzyż, nawet wiatr rzuca cień i często pada deszcz. Chcę być kroplą, wsiąkać, zniknąć. Wtedy dostrzegam, że ktoś patykiem obrysował serce, ledwie już widoczne, rozchłapane. Pamiętają – myślę – jeszcze pamiętają. Wszystko we mnie drży. Rozdrapuję piach aż do krwi. Gdybym mogła przebić warstwę wiecznego uspienia. Widzę szczelinę w ziemi, błękit na odległość ręki i twarz, której nie dotknę. Zaklinacze przestają działać, kwiaty pośpiesznie topię w wazonie, płomieniem opalam kamień. Jeszcze słyszę szepty, że powinienam zapomnieć. Zapalam czerwoną latarnię, wtłaczam ją w siebie jak dwie sylaby imienia, jak brak powrotu. Poza cementarną furtką niby jestem wśród, ale najlepiej czuję się osobno. Klucz chrobocze w zamku, skrzypi nieobecność. Przesuwam buty, bezpieczeństwa. Cisza boli. Robię się całkiem słoń, parę razy dziennie, pękam na nierówne części. Co z tego, że jestem nieżywa, stale szukam powodów własnej śmierci.

POD GÓRĘ

Dużo rozmawiamy, jeśli przebywanie w towarzystwie małomów-nego Boga można nazwać dialogiem, ale lubię te chwile, bo wtedy błękitny chłopiec jest najbliżej (nadal lubi podsłuchiwać dorosłych). Ja zawsze dość kategorycznie domagam się nieśmiertelności i jednocześnie zapewniam, że jestem gotowa do poświęceń. No cóż, Bóg jak zwykle milczy i robi swoje. Przedtem nie prowadziliśmy ze sobą takich

rozmów. Niby mamy osobne miejsca, a stale jesteśmy u siebie i z sobą. I już nigdy nie zgodzę się na mniej, niż jest. Teraz mój syn stał się nawet bardziej wyraźny niż przedtem, masuje mi skronie, delikatnie, od wewnątrz, mieści się w moich wymiarach, jak drzewo rozrasta się we mnie. Korzeniami wplata się w myśli, dotyka snów i patrzy od środka. Znowu mamy wspólny krwioobieg, na zawsze.

EPILOG

Jestem, mamo. Zapadłem się pod twoje powieki, pod skórę wsiąkam jak przez warstwę piasku. Pod powierzchnią czas płynie nurtem wstecznym.

Wracam do ciebie.

ANNA CZUJKOWSKA-WŁODARSKA

SKRZYPEK POD PARASOLEM

Oto ja – element krajobrazu tego miasta. Nieznacznie ruchomy element, wyrastający jak żywy pomnik w kilku stałych punktach miejscowego deptaka, na odcinku od Bramy Krakowskiej do kościoła Kapucynów. Staję zawsze po tej samej stronie pasażu, jakby muzyka tylko tu mogła sobie przebić – sprzyjający, harmoniczny korytarz.

Przedemną oswojone ściany kamienic.

Ręka unosząca smyczek pozostaje w ścisłym związku z oddechem Starego Miasta, a być może i oddechem Wschodu, tego miejsca, skąd przybyłem kilkanaście lat temu w poszukiwaniu lepszego życia. Zamieniłem pracę w filharmonii na uliczne muzykowanie i odtąd jedynym moim dyrektorem jest Ten na górze, zsyłający mi dobrą pogodę na granie lub jeszcze bardziej odpowiednią pogodę na bezkarne pozostanie w domu, bez odwiecznie mi towarzyszącego poczucia winy. On też zsyła mi mniej lub bardziej wdzięcznych słuchaczy, oddanych przyjaciół i zaciekle wrogów oraz siłę, bym mógł się kręcić w tym piekielnym kołowrocie.

Mało kto jest w stanie zrozumieć moją decyzję. Uliczne koncerty przez ogół postrzegane są jako rodzaj degradacji zawodowej, tymczasem ja wcale tak nie uważam. Nieustannie doskonalam swój warsztat, gdyż wiem, że gdy tylko wyciągnę skrzypce, stanę przed ludźmi zupełnie nagi, żadnym chybionym dźwiękiem niemogący się skryć za orkiestrą.

Fach, jaki wybrałem, traktuję bardzo serio. Nie wydaje mi się, by można było być za dobrym na uliczne muzykowanie. Stąd się bierze ambiwalentność uczuć, gdy słyszę, że marnują się na ulicy. Komplement i ów rodzaj współczucia uderzają we mnie niestrawnym dysonansem.

Fotografowanie ulicznego skrzypka podczas pracy stało się istną plagą. Obiektywy wycelowane jak lufy karabinów. Bezceremonialne. Bezmyślne. Zdejmują mnie jak turystyczną atrakcję, nie pytając, czy mam ochotę na uwiecznienie mojej twarzy w setkach telefonów komórkowych, które tak straszliwie spoczwarzają Bacha czy Mozarta. Ostatecznie zapytany o zgodę nigdy nie odmawiam, jednak nie lubię być traktowany bezosobowo. Przykuty do skrzypiec rzadko kiedy mogę pogrozić palcem, zwykle tylko odwracam się od delikwenta, bacząc, by nie upuścić spod brody instrumentu. Co niektórzy wraca zgorzony i demonstracyjnie wrzuca do futerału monetę. Jakby o to chodziło.

Jeszcze inni na tle skrzypka chcą uwiecznić siebie. Najlepiej w charytatywnym akcie. Kiedyś pewien Japończyk zawisł pochylony nad futerałem z trzymany w ręce pieniążkiem, szczerząc do swego towarzysza zęby w zajęczym uśmiechu. Ledwie kliknęła przesłona obiektywu, darczyńca zabrał swoją własność i poszedł czynić dobro gdzie indziej.

Oto ja – żywy symbol Henryka Wieniawskiego, który niegdyś w tym mieście się narodził i tu po raz pierwszy przygarnął do pierśi skrzypce. Jak każdy pomnik kochają mnie gołębie i inne przelotne ptactwo. Mówią, że gdy ptak narobi na głowę, będzie przypływ gotówki. Nie wpadam więc w panikę, gdy stworzenie spuści mi coś z wysoka, i zawsze w takich momentach się cieszę, że krowy nie latają.

Dawno temu, gdy rozpoczynałem swój fach w Krakowie, podczas gdy grałem w Małym Rynku, nasiusiał mi do futerału jamnik. Bynajmniej nie uznałem tego za złą wróżbę. Pies nie działał przypadkowo: najpierw obwąchał dokładnie obiekt i właściciela, obdarzając

ich zaufaniem. Ślady moczu, upstrzone w delikatną ścieżkę, widoczne były na pluszowym podłożu bardzo długo. Ta sama ścieżka uwodziła jeszcze moje oczy w innym mieście, gdzie – jak się okazało – od zawsze czekała na mnie moja kobieta. Zanim ją poznałem, skradziono mi ów futerał razem ze skrzypcami oraz z dokumentami podróży i wtedy to straciłem na bardzo długo i cel, i drogę, po której mógłbym kroczyć.

Poza przepływającą ulicą ludzką rzeką istnieją dwie kategorie obywateli: jedni starają się muzyka pogonić, inni zachęcają, by grał koło nich, to znaczy blisko miejsca, w którym prowadzą swój mały interes. Mają nadzieję, że wpadające w ucho przechodniów dźwięki skierują ich uwagę na to, co mają do zaoferowania. Pewien facet namawiał mnie usilnie na wspólny wyjazd do Niemiec, gdzie miałbym mu towarzyszyć podczas targów. Ani chciałem, ani mogłem to uczynić, gdyż dla obywatela zza wschodniej granicy wyjazd na zachód wiązałby się z procedurą nader skomplikowaną. Tym bardziej dla obywatela na tak zwanych ptasich prawach, jakim byłem w tym kraju przez dobre dwa lata. Pozbawiony dokumentów i środków finansowych nie mogłem wyjechać do ojczystej Ukrainy, by przywieźć nowe, czym domknąłem błędne koło i rozpocząłem faktycznie stały pobyt w Polsce.

Każdy dzień ulicznego muzykowania stanowił dla mnie nie lada wyzwanie. Wystawiony na widok i odsłuch publiczny w każdej chwili mogłem być poproszony o okazanie dokumentów, co rozumiejąc, mogłem złagodzić jedynie poranną dawką alkoholu. Rozsądną dawką, gdyż wszelki stan wskazujący na spożycie mógł mnie zdemaskować i zgubić. Wtedy to pogłębiłem i utrwaliłem w sobie pacyfistyczne nastawienie do świata, znosząc w milczeniu wszelką napastliwość ludzką; zaciskając zęby, by nie wdać się w niebezpieczną wymianę poglądów. Mimo to starałem się utrzymać właściwy wgląd w siebie, by nie przekroczyć granicy, za którą kończy się pokora, a zaczyna skierowana ku sobie pogarda.

Gdy po latach zmienił się diametralnie mój status, rzadko kiedy miałem okazję okazać się posiadaniem karty stałego pobytu czy

wreszcie dowodu osobistego. Wielokrotnie jednak jeszcze budziłem się w nocy i sprawdzałem w kieszeni obecność małej plastikowej karteczki.

Był czas, gdy byłem zmuszony grać na pożyczonych skrzypcach, płacąc za każdy dzień ich użytkowania dwadzieścia złotych. Niezależnie od tego, czy faktycznie je użytkowałem, czy nie. Pewien gość wyratował mnie z opresji po tym, gdy w zuchwałym napadzie wyrwano mi mój ukochany instrument. Bez jego skrzypiec niechybnie bym zginął. Były o niebo lepsze od starej, zdezelowanej gitary, którą mi pożyczała moja gospodyni, właścicielka wynajmowanej stacji. Miała wszak w tym akcie miłosierdzia i ona swój interes: gwarancję, że będę miał czym zapłacić dwie dychy za każdy dzień pobytu pod jej dachem.

Chęć zarobku jednak nie wzięła góry nad obawą przetrzymywania nielegalnego emigranta. Ledwie moja „właścicielka” dowiedziała się o braku dokumentów, natychmiast kazała mi się wynosić. Od tej chwili musiałem zarabiać na pełną gruzowiska ruinę na Starym Mieście, pozbawioną możliwości zamknięcia, aż proszącą się co noc o zawianych gości, lumpów i różnych nocnych marków. Siedziałem w niej jak pies w zimnej budzie, ale za to pies pozbawiony łańcucha i wdzięczny za namiastkę wolności. Wynajmowałem i pilnowałem jej, płacąc po dziesięć złotych na dobę. Był powód, by harować od świtu do nocy, bo trzeba było jeszcze coś zjeść i – rzecz jasna – wypić. Jeśli któregoś dnia brakło sił do pracy, padał deszcz, śnieg lub wiał najgorszy ze wszystkich wiatr, sytuacja moja stawała się nie do pozazdroszczenia, gdyż oznaczało to konieczność zarobienia w następnym dniu wymaganej kwoty podwójnie. Na szczęście zdołałem skonstruować ochronę przed deszczem – przytwierdzony do ciężkiego statywu parasol. Ustrojstwo dawało jednak szansę stałego zarobkowania.

Często myślę o skrzypcach, które straciłem. Ponadstuletnie były to pierwsze porządne skrzypce w moim życiu. Grałem na nich przez cały pobyt w Akademii Muzycznej i potem, w pracy zawodowej. Po-

słuszne moim rękoma, jakby dla nich skrojone, brzmiały dźwięcznie i niezwykle głośno.

Gdzie znajdują się teraz? Czyje ręce dotykają ich delikatnej faktury jak filigranowych bioder wiecznie żywej w pamięci kochanki?

Kimkolwiek jesteś, mój następcu, bądź dla nich dobry. Nade wszystko zaś – graj na nich, bo tylko wtedy żyją.

Wiele bym dał za to, by Twoja ręka okazała się ręką Mistrza. Nie zdołałem Was obronić, bo byłem za słaby. Być może dzięki temu pozostałem przy życiu, że nie skonfrontowałem się brutalnie z napastnikiem?...

Skrzypce zapłaciły najwyższą cenę za moje ich miłowanie w miejscu publicznym. Szczerze mówiąc, powinienem był się tego spodziewać, gdyż wcześniej dostałem do futerału w kopercie ostrzegawczy anonim. Treść głosiła: *Ukraiński uliczny artysto! Jeśli nie zaprzestasz swoich nędznych wypocin muzycznych w obrębie deptaka, zostaniesz pozabawiony narzędzi pracy.*

Nie zaprzestałem, a więc groźba została spełniona. Jak należało się spodziewać, policja sprawę szybko umorzyła. Zajmowanie się anonimem uznała za czynność poniżej swojej zawodowej godności. Mimo iż miałem podstawy podejrzewać pewne mieszkające na deptaku osoby, zastraszające mnie notorycznie i zatruwające mi życie, moje sugestie nie znalazły zainteresowania. Ot, zwykły brak dowodów.

Zawodowe podejście policji wykazało w tym przypadku wiele czujności, by zbadać, czy ofiara nie ma w całym zajściu jakiegoś ukrytego interesu, na przykład wyłudzenia odszkodowania. To bolało najbardziej. Instrument nie był ubezpieczony, nie miałbym więc skąd domagać się rekompensaty. Zrobiłbym wszystko, by mogły do mnie wrócić. Tylko tyle. Rzeczy zbyt proste często wydają się ludziom zawile.

Wracam też myślami do towarzyszy niedoli, których pierestrojka zwabiła wraz ze mną do tego kraju nad Wisłą. Gdzie są teraz? Czy nie przymierają głodem? Czy żyją?

Z orkiestry filharmonicznej zerwaliśmy się we czworo: skrzypce (w podmianie gitara), dwa akordeony i kontrabas. Mieliśmy nadzieję zaczepić się w jednej z krakowskich knajp, grając popularne utwory w aranżacjach jazzowych czy w stylu retro. Po kilku próbnych dniach stało się jasne, że kontrakt nie zostanie zawarty, gdyż to, co mieliśmy do zaproponowania, nie pasowało stylistycznie do miejsca, a zwłaszcza do oczekiwań właściciela. Wyłądowniśmy więc na ulicy.

Dzień, w którym „straciliśmy cnotę”, był owocny. Mieliśmy do podziału zdobyczne sześćdziesiąt złotych. Następnym był dramatyczny. Zarobiliśmy tylko osiem, co dawało po dwa złote na głowę. Załamani wypiliśmy najtańsze wino i wybraliśmy się na wieczorny pożegnalny spacer po Krakowie. Na szczęście zachowaliśmy pieniądze na bilet powrotny. Wtedy to los postawił na naszej drodze trębacza. Miał niezłe wzięcie. Ledwie odezwaliliśmy się do niego, rozpoznał w nas swoich krajanów i cały ten wieczór, a także następnego dnia, poświęcił na niezbędny dla nas instruktaż.

Rzecz jasna, z czasem doszliśmy do wniosku, do jakiego doszedłby każdy w podobnej sytuacji: nie opłacało się grać w grupie. Każdy z nas, by przeżyć, musiał rozpocząć muzykowanie na własny rachunek.

Mentalność każdego narodu jest odmienna. Poruszony muzyką Polak odda ostatnią koszulę lub to co akurat ma przy sobie. Mój kolega dostał kiedyś w odruchu serca maskę przeciwgazową. Była z tego kupa śmiechu.

Mnie samemu największą radość sprawiały darowane struny, kalafonia czy inne przydatne akcesoria, bo utwierdzały mnie w tym, co robię. Od pewnej skrzypaczki dostałem kiedyś w mroźny zimowy dzień maść do rąk zapobiegającą odmrożeniom.

A najmiłsze sercu są zawsze drobne wiosenne kwiatki, którymi ośmielone słońcem kobiety w wieku poborowym zdobią mój futerał. Nie wspomnę o spontanicznych, radosnych buziaczkach i kilku wzruszających przypadkach o większym ciężarze gatunkowym, kiedy to

byłem całowany po rękach. Bez wyjątku przez starsze pranie. Zdarzało się to zimą i zapewne stanowiło wyraz egzystencjalnych rozrachunków ze światem. Uznanie i wdzięczność, a może również troska i współczucie?

Bywa, że dary wzbudzają moją nieufność. Musiałem się kiedyś błyskawicznie pozbyć złotego łańcuszka i wypchanego pieniędzmi portfela. Portfel podniósł za chwilę jakiś rumuński Cygan i kiwnął na mnie głową z politowaniem. Myślał: idiota!

Rumuńscy Cyganie traktują mnie jak konkurenta, tyle że głupszego od nich, a nawet frajera. Podczas gdy ledwie już stałem na nogach, Cyganka wygrzewająca zadkiem asfalt naśmiewała się ze mnie, że zapieprzam jak wół, a dostaję znacznie mniej niż ona. Przynajmniej wtedy miała rację. Polacy mają wystarczająco dużo serca, ale nie zawsze kierują się rozumem. Gdy poczują potrzebę ofiarowania, jest im wszystko jedno, kogo wesprą. Niemiec sto razy się zastanowi, na co wyda zarobioną przez siebie monetę. Długo kalkuluje, na jaką fantazję może sobie pozwolić. Prawie nigdy nie wesprze niebieskiego ptaka, za to doceni ulicznego artystę.

Praca moja stanowi jakąś formę muzycznego pedagogizowania społeczeństwa. Być może w przypadku niektórych stwarza jedyną szansę kontaktu z muzyką na żywo. Jest moją misją i powołaniem. Po to przyszedłem na świat, by być tej sztuki sługą. Nie gospodarzem – a sługą. Muzykę i sztukę w ogóle uważam za byty samodzielne, na tyle doskonałe i samowystarczalne, że niezobowiązane służyć ludziom. To oni, ludzie, powinni przychodzić do sztuki tak, jak się przychodzi do świątyni. Do bóstwa, którego jestem kapłanem.

Niedopuszczalne wydaje mi się również naginanie muzyki do wszelkich okoliczności. Właściwie wiedziałem i czułem to od zawsze, ale dopiero od paru lat zaprzestałem definitywnie grywać na ślubach, imieninach, zaręczynach czy innych uroczystościach. Gdy ktoś prosi, bym uatrakcyjnił grą ich domową imprezę – odmawiam i zapraszam

na deptak. Jeszcze tylko nie potrafię odmówić na pogrzebie kogoś, o kim zapewniam, że tak bardzo kochał muzykę... Bo też i nieboszczyk nie przyjdzie do mnie, choćbym go nie wiem jak zapraszał. Bo to jedno, co mogę podarować na drogę odchodzącemu, i jest to też powód, dla którego nie targuję się wtedy o zapłatę, a i bywa – w uzasadnionych przypadkach – że gram najzwyczajniej w świecie za darmo.

Na ślubach nie lubiłem grać w szczególności. Źle znosiłem sytuację, gdy ksiądz mi przerywał lub w taki czy inny sposób wymownym, niecierpliwym ruchem ręki znad ołtarza dawał akompaniującemu mi organiście znak na kończenie frazy. A przecież muzyki nie da się przyłożyć do czegoś „ważniejszego” od niej samej. Muzyka zdaje się mową Pana Boga. Ani księdzu, ani innemu śmiertelnikowi nie wolno myśleć, że mają nad nią władzę. Jeśli przypadkiem by się zdarzyło, że nie mają szacunku dla wykonawcy, powinni go zachować dla twórcy, na przykład dla Bacha.

Ubóstwiam muzykę Bacha. Wydaje mi się on kimś w rodzaju badacza, który stara się przeniknąć w głąb materii dźwięku. Rozszczeplia ją na najdrobniejsze elementarne cząsteczki. Wnika głęboko, do mikrokosmosu, do nieskończoności. Potrafi rozwinąć stworzony przez siebie temat, wtopić się, dotrzeć do najdalszych głębin na jednym dominantowym akordzie.

A więc ja dotykam smyczkiem strun, a wy mi płacicie waszą drobną serdeczną monetą. Bo to taki układ. Taka gra. I nic ponadto. Po latach mam już swoje obserwacje i przemyślenia na temat, kiedy i za co ludzie dają pieniądze, a kiedy ich nie dają. Nie dają na ten przykład nigdy w sytuacji, gdy idą z psem lub gdy coś jedzą. I w tym drugim nie chodzi bynajmniej o względy higieniczne, gdyż niechlujność ludzka bywa zatrwajająca, lecz o prosty fakt, iż podczas jedzenia znaczna część krwi odpływa od mózgu do serca, a zbiera się w żołądku. Człowiek przejezdzony ponadto nie odbierze ani tym bardziej nie stworzy dzieła.

O niebo bardziej wrażliwi są przepici. Słuchają z przejęciem i często płaczą. Bywa, że pożyczają ode mnie na tanie wino. Pytani o to, ile brakuje, z reguły nie kłamią. Podają dokładną, wyliczoną kwotę: *trzydzieści pięć groszy*. Z zasady też potem starają się swój dług honorowo zwrócić. Są ponadto mistrzami projekcji. Pewien zawiany gość ni stąd, ni zowąd zwrócił się ku mnie z serdeczną radą:

– Nie wolno dużo pić!

Tymczasem ja wtedy już nie dotykałem alkoholu. Swoje wszak wypilem.

– Co, ciężko? – rzuciwszy pieniążek, innym znów razem rzekła do mnie poufnie, z empatią chuda, ascetyczna kobieta i uczyniła palcami wymowny gest w okolicach szyi. Po chwili schyliła się ku mnie i tajemniczo szepnęła mi do ucha:

– Ja też jestem skrzypaczką...

Kiedyś, gdy miałem pauzę na papierosa i kontemplowałem w milczeniu – a było to jeszcze w zamierzchłych czasach, gdy przepalałem znaczną część swoich zarobków – ledwie trzymający się na nogach jegomość wysupłał z kieszeni parę drobników i udzielił mi najcenniejszej w życiu rady:

– Nie, nie. Tego nie graj. Graj co innego.

Pobłażliwość i wyrozumiałość dla pijaków w Polsce jest godna podziwu. Doświadczyłem ich nie tylko wtedy, gdy sam piłem. Ludzie gotowi są wciąż jeszcze wybaczać mi grzechy, których nie popełniłem. Parę lat temu, gdy koncertowałem w Łodzi na Piotrowskiej, przyodziany w granatowy mundur ochroniarz pewnej ważnej instytucji, zaskoczony zapewne moim niezłym graniem, wielokrotnie i za każdym razem sekretnie informował krążącą w pobliżu mnie moją żonę:

– Wypieprzyli go z filharmonii. Rozumie pani, tego... – w tym miejscu uderzał dłonią po gardle. Sprzyjał mi jak znakomita większość ludzi w miejscach, w których gram, pragnąca mnie strzec przed różnymi, często wyimaginowanymi zagrożeniami.

Pewna pani opowiadała kiedyś ze zgorzeniem mojej własnej małżonce o kobiecie, która przed chwilą kręciła się koło skrzyпка:

– Widziała pani? Wstydu nie ma! Wyciągnie z niego ostatni grosz! Człowiek chce sobie coś zarobić, a ona już przy nim jest! Już go kocha! – Najwyraźniej nie rozpoznała jej w swojej rozmówczyni.

Innym znów razem moją ślubną potraktowano jak poważne źródło zagrożenia:

– A co ona tam siedzi i pisze ma ławce? Widział pan? Z Urzędu Skarbowego pewnie. A niech sobie idzie do jasnej cholery, będzie tu pana podsumowywała! Kogo innego niech się czepi, zaraza!

Trudno nie docenić takiego zachowania. Jest na swój sposób zabawne i wzruszające. Inaczej niż obcesowa odzywka pewnej damy, która nie mając ku temu żadnych podstaw, rzuciła mi ze wstrętem dwa złote i zapytała z pogardą:

– Co, na wódkę pan zbiera?

– Ja niczego nie zbieram, proszę pani. Ja gram i zarabiam. Zbierają inni.

Wciąż nie mogę pojąć, czemu spora część ludzi w tym, co robię, nie chce uznać po prostu pracy. Pamiętam pewnego staruszka, który codziennie przyjeżdżał na deptak wózkim inwalidzkim. Siedział nieruchomy, wyprostowany jak pomnik. W ręce trzymał plastikowy kubeczek. Doceniałem jego trud stawiania się na posterunku. Jakież było moje zdumienie, gdy pewnego dnia zakwestionował moją pracę:

– To? To co robisz, to ma być robota? Weź łopatę do ręki, to wtedy będziesz pracował!

Dziś Dziadek-Pomnik już nie żyje. Ale żyje przeświadczenie o tym, że muzyk bawi się na ulicy swoim instrumentem. Stwarza tło dla innych ważnych zdarzeń. W czas bożonarodzeniowy gra kolędy najpiękniej, jak potrafi, bo oto niedaleko Cyganka – Madonna z Dzieciątkiem. Wierzący słyszą Marię wpatrzoną w słodki sen przerośniętego synka. Morze czułości i tklivości. Wszystko jej będzie nagrodzone.

Kiedy indziej ona sama bierze sprawy w swoje ręce. Jak wtedy, w Częstochowie. Skrzypek grał, a Cyganka nieopodal zbierała datki. Wiedzioną intuicją pewna kobieta podeszła w końcu do skrzyпка i zapytała, czy faktycznie jest mężem Cyganki.

– Co, do cholery, jesteś moją żoną? – podbiegłem do niej wściekle poruszony.

– Tak, tak – kiwnęła pośpiesznie głową z rozbrajającą determinacją.

Ludzie płacą różną monetą. Gdy grałem w berlińskim metrze na Postdamerplatz, utkwiała mi w pamięci prowadząca rower ruda dziewczynka. Moje granie zatrzymało ją. Dostałem w darze napisany naprędce wiersz, którego dotychczas jeszcze nie przetłumaczyłem, ale wiersz ten żyje we mnie jak najpiękniejsza muzyka. Równie mocno wzruszyła mnie staruszka na Stadtmitte. Kończyłem właśnie moją pracę w sobotni wieczór, gdy jej drobna przyczajona postać wystartowała do mnie z czerwoną różą.

– *Wot, kagda wy igrali, ja pisala kipietoczkom* – wyrzuciła z siebie z płonącymi z emocji policzkami i położyła mi do futerału kwiat. Przemówiła w czystym rosyjskim języku. Jej wyznanie znaczyło ni mniej, ni więcej tyle, że gdy grałem, ona sikała wrzątkiem. Uroczą, przecudną staruszką. Pełną młodzieńczej egzaltacji. Bolesnie przejrzała i niewinna.

W tych samych Niemczech spotkałem się z bezdusnością, prostokątną i toporną biurokracją, zmieszaną z brakiem życzliwości. Dotyczyło to głównie egzekwowania prawa, a przerośniętą formę przybierało na Aleksanderplatz. Podchodziło tam do mnie kilkanaście razy dziennie po siedmiu strażników z psami. Kilkanaście razy sprawdzali moje dokumenty. Miałem już wtedy kartę stałego pobytu, lecz nie miałem jeszcze polskiego obywatelstwa. Czy ono by w tamtym momencie coś zmieniło? Dziś nie wydaje mi się, mimo iż Polska akurat

w tamtym pamiętnym roku weszła do Unii Europejskiej. Sucha litera prawa nierzadko przesłania tam zdrowy rozsądek.

Zdarzyło się oto, że w zezwoleniu na granie w metrze, czyli w tak zwanym *Musikgenehmigung*, miałem wpisane: *Skrzypce, Gitara, Śpiew*. Na wypadek, gdyby skrzypcom przytrafiła się jakaś trauma, zamierzałem ratować się gitarą. Tymczasem na gitarze miała tam trochę pograć moja żona, która przyjechała koncertować razem ze mną, a która z berlińskim metrem miała doświadczenia sięgające wczesnej młodości. Jej polskie obywatelstwo dodawało mi pewności siebie.

Tak więc gdy grałem któregoś dnia na skrzypcach, podeszła do mnie niemiecka strażniczka w mundurze i bardzo długo oglądała moje zezwolenie. Coś jej się nie zgadzało.

– No tak, skrzypce są, ale gdzie gitara i śpiew? – zawołała podejrzliwie.

– Nie mam gitary, bo gram dziś na skrzypcach – tłumaczyłem łamaną niemczyzną.

– Ale tu jest napisane: gitara i śpiew, a widzę tylko skrzypce! – kontynuowała.

– Śpiew mam przy sobie – sprecyzowałem – a gitara się zepsuła i została w domu.

– Aha... – urzędniczka przyjęła w końcu do wiadomości i została mnie w spokoju.

Wyjazd na metrowe granie od początku był źródłem zabawnych nieporozumień. Najpierw załatwianie wizy w ambasadzie niemieckiej i konieczność okazania się niezbędnymi środkami na koncie bankowym. Wyczyściliśmy z żoną na parę dni wszystkie karty kredytowe i wzięli dwie bankowe pożyczki. Konto zostało imponująco nabite, aż żal było je potem burzyć. Z umotywowaniem wyjazdu nie miałem trudności: powołałem się na sentymenty związane z moim dawnym pobytem z orkiestrą na festiwalu w Jubek i na żywą jeszcze pamięć zawiązanych tam przyjaźni.

Wniosek został załatwiony pozytywnie: dostałem pięciodniową wizę na pobyt u zachodnich sąsiadów. Po powrocie do domu przejrzałem raz jeszcze upragniony wpis w paszporcie i wtedy ugięły się pode mną nogi. W tłumaczeniu na polski napisane tam było: *ZAROBKOWANIE ZABRONIONE! GRAJEK*.

A więc zostałem zdradzony i wyprowadzony w pole. Za moją szczerość dostałem wilczy bilet. Konsul najwidoczniej przejrzał moje zamiary i postanowił im zapobiec. Wpisano mi w paszport informację w stylu: *Achtung! Achtung! Ten oto jegomość wymaga szczególnej uwagi, gdyż w każdej chwili może wyciągnąć zza pazuchy skrzypce jak kałacha i wymierzyć je przeciwko odwiecznemu niemieckiemu ordnungowi*.

Poczułem się jak zbity pies. Po chwilach rozżalenia wziąłem się jednak w garść i postanowiłem zawalczyć o własną godność. Konsulat niemiecki należało ukarać, a przynajmniej domagać się przeprosin. Powzięliśmy z żoną błyskawiczną decyzję: Pojedziemy do Francji. Do Paryża. Tymczasem należało Niemcom zwrócić ich „parszywą” wizę i wystąpić o przeprosiny. Domagała się ich zwłaszcza moja żona.

– Nie wysłałam za mąż za grajka, tylko za zawodowego skrzyпка – argumentowała u radcy prawnego, do którego mnie zaciągnęła.

– Dla przykładu musimy konsulat przywołać do porządku!

Wydawało się, że prawnik miał podobne zdanie.

– W sytuacji takiej zdecydowanie wypada zareagować – skwitował temat i rzucił się do komputera w poszukiwaniu właściwych namiarów.

– Jeszcze prosimy o nazwisko konsula – przypomniwała moja małżonka. – Skarga musi mieć adresata, inaczej można ją posłać do nieba.

– Oczywiście, proszę państwa. Poszukajmy... poszukajmy... No tak. No właśnie. Już tu widzę nazwisko i właśnie się okazało... Się okazało... że... ten... konsul... ma na nazwisko... Grajek!

W Berlinie zarobiliśmy trochę, jednak po odliczeniu kosztów mieszkania wyszliśmy na zero, a może nawet na lekki minus. Żona

szybko zachrypla i nie pokazała światu swego ślicznego, delikatnego głosu. Na dodatek smoliste wyziewy najwyraźniej szkodziły jej na płuca, bo miała trudności z oddychaniem i po nocach, wiedzona swym zwyczajem, mruczała już nie jak kocica, lecz warkotała jak najzwyczajszy traktor. Albo przynajmniej jak kot sąsiada, któremu na resztę życia utkwiła w gardle ość ryby.

Dzielnie walczyłem o byt, konkurując o miejsca z moimi wschodnimi rodakami. Co tydzień o świcie należało ustawić się w długiej kolejce w sztabie berlińskiego metra na Rathaus Steglitz celem wykupienia zezwolenia na granie. Z wyrozumiałością patrzyłem na sztuczki, do jakich moi towarzysze uciekali się podczas losowania najlepszych miejsc do grania. Rozumiałem, że byli bardziej jeszcze zdeterminowani niż ja.

To tam dowiedziałem się od krajanki Mariny, że nasz wspólny, już emerytowany nauczyciel od instrumentoznawstwa najzwyczajniej w świecie zmarł z głodu, nie zwróciwszy się do nikogo o pomoc. Był zbyt honorowy. Nie chciał prosić. Nie chciał być uznany za żebraka. Tak łatwo dziś nazwać żebrakiem choćby kogoś takiego jak ja, kto wykonuje swój wyuczony zawód i musi włożyć niemało kasy, by utrzymać w dobrej kondycji wszystkie instrumenty: płacić za drobne i grubsze naprawy, za wymianę włosia na smyczku, za struny, kalafonię i wszelkie akcesoria do czyszczenia skrzypiec.

Na dobrą sprawę nikt, kto choćby amatorsko uprawia uliczne muzykowanie, nie zasługuje na opinię żebraka. Przypięcie mu podobnej etykiety jest potężnym nadużyciem, zwłaszcza jeśli pochodzi od osoby posiadającej moc opiniotwórczą. Byłem zbulwersowany wystąpieniem dziennikarza Polsatu, który publicznie rozliczał staruszka-akordeonistę z ulicznego występu, wymieniając go jednym tchem z grupą rumuńskich Cyganów, piętnując niewybrednym mianem żebraka. A ów wszakże grał, by przed żebraniem uciec...

Wiele czasu poświęcam na robienie aranżacji do wykonywanych utworów, gdyż chciałbym do nich dodać cząstkę własnej twórczości.

Nie przekraczam jednak nigdy granicy, za którą moje ja przesłoniłoby mistrzowską doskonałość pierwowzoru. Noszę więc ze sobą magnetofoon i taśmy z nagrany akompaniamentem.

To jednak, co wzbogaca brzmienie, dla wielu wydaje się podejrzane. Być może robię to zbyt zawodowo, gdyż profesjonalizm wzbudza często nieufność słuchaczy. Widząc zapaloną lampkę magnetofonu, rzucają bezpodstawne oskarżenia:

- Leci z radia!
- Leci z playbacku.
- Oszukuje!

Poniżej własnej godności byłoby reagowanie na tak ewidentną głuchotę i głupotę, jednak incydenty takie potrafią mi zepsuć humor na długo.

Ciekawe, że zupełnie inaczej patrzą na to ludzie z Zachodu. Próbowałem analizować owo zjawisko w kontekście dziejów wszystkich słowiańskich narodów i doszedłem do przekonania, że najwidoczniej tych biednych obywateli już tyle razy w życiu oszukiwano, że nie potrafią już uwierzyć w uczciwość ludzką.

Generalnie jednak praca moja daje mi ogromnie dużo satysfakcji, gdyż wykonuję ją w poczuciu wolności. Nikt nie narzuca mi repertuaru ani sposobu wykonania, co jest normą w pracy filharmonika. Tam jest się tylko struną w „instrumencie” dyrygenta.

Rzecz jasna, zdarza się i teraz, że ktoś uznaje za swój obowiązek wtrącić się do mojego repertuaru, instruując w chwili, gdy gram *Pożegnanie Ojczyzny* M. Ogińskiego:

- Zagraj pan coś polskiego!

O ile na to akurat można spojrzeć z humorem i wyrozumiałością, o tyle wyprowadzają mnie z równowagi komentarze, że gram cały czas to samo. Jest to absolutnie nieprawda, gdyż mam w stałym repertuarze ze sto utworów, a ponadto jeszcze nigdy nie udało mi się zagrać którekolwiek z nich w taki sam sposób. Tym bardziej każdy człowiek zro-

bi to inaczej. Bo muzyka jest ulotna. Żyje naraz w czasie i przestrzeni. Nie uda się jej złapać za ogon. Nie da się podejść do niej jak do obrazu, podpatrzeć z bliska, z jednej i z drugiej strony. Jest nieustannie płynącą rzeką toczącą nowe wody.

– Czy mógłby pan zagrać jak Paganini? – pyta mnie ktoś czasami, a ja nie mogę ani chcę. Życzeniem moim jest, bym na zawsze pozostał sobą.

– Czy lubię to, co robię? – pytanie takie zadał mi kiedyś pewien dziennikarz, a ja odpowiedziałem żartobliwie, że z rana Kocham, a wieczorem – nienawidzę.

Przeczytałem potem w miejscowej gazecie: *Skrzypek nie nienawidzi tego, co robi*. Od tamtej chwili staram się unikać dziennikarzy.

Zmartwieniem moim jest, że coraz bardziej braknie mi sił do grania na ulicy i że być może pewnego dnia będę musiał wrócić do klatki, czyli do pracy w orkiestrze. Chciałbym, by była to złota klatka lub co najmniej srebrna. W przeciwnym razie wolałbym zostać na deptaku do naturalnego końca, do czasu, gdy specjalnie dla mnie zagra ktoś inny...

JERZY KĘDZIERSKI

NARESZCIE WYGLĄDAM JAK CZŁOWIEK (OPOWIEŚĆ GUZIKA)

Nazywam się Joachim Guzik. Sześćdziesiąt dziewięć lat już chodzę po świecie i zbieram guziki. Teraz wrzucam je do szklanego słoja, takiego na pojedynczą rybkę. Wcześniej guziki wrzucałem do szuflad. Nie wiem, które są najstarsze, ciągle je mieszam. Wkładam rękę, mieszam i wyciągam jeden. Próbuję sobie przypomnieć, gdzie i kiedy, z jakiego bruku guzik podniosłem, czy ulica była ciemna, jesienna, skąd wracałem. Człowiek potrzebuje mieć solidny motyw w garści, że nie śnił, lecz żył. Ja żyłem, zbierałem guziki, mam dowód, mogę pokazać. Wie pani, nie mogłem już patrzeć na tę pojedynczą rybkę, ona całowała kamienie.

KOSTKI I NADGARSTKI

Nawet w zatłoczonym autobusie znajdę miejsce siedzące. To sprawa zdecydowania, optymizmu i charakteru – nie wieku i łokci. Kiedy na przystanek podjeżdża nawalony w trzystu procentach autobus, można zakłąć pod nosem i można pomyśleć – zobaczymy, czy znajdę wolne miejsce i usiądę. Człowiek potrzebuje sukcesu. Co do ubioru, proszę pani, to takie problemy dawno mam za sobą. Zawsze, ale to zawsze należy ubierać się tak, żeby nas fotografowano na ulicy.

Jechałem rowerem dość wolno. Dziwiłem się, że ktoś, kto jedzie za mną, nie wyprzedza mnie. W końcu zrównał się ze mną – taki mło-

dzieniec z wierszy Kawafisa. Zwoje złotych loków kaskadowo spadające na wszystkie strony, lazur w oczach, dżem na ustach – pamięta pani wiersze Kawafisa? Zrównał się ze mną i wydukał:

– Dzień dobry! Proszę pana, czy mógłbym mieć do pana prośbę?

– Wal śmiało, chłopcze – odpowiedziałem.

Zatrzymaliśmy rowery.

– Czy pozwoliłby pan, żebym zrobił panu zdjęcie?

– Jasne – powiedziałem. Ustawił mnie, jakbym sam w sobie nie był dobry na zdjęcie. Pstryknął ze cztery razy. Potrzepał rzęsami i dał mi kwadracik, takie pół pocztówki z linkiem do bloga. Pod swoim zdjęciem przeczytałem osiemnaście komentarzy. Życ się chce, proszę pani! Jakaś Joanna napisała: *Niezły strzał! Jaka harmonia kostek i nadgarstków!*

PIANIN I PUSTE ULICE

Z tego miasta, proszę pani, da się jeszcze wyciągnąć kilka historii. Owszem, jeżeli chciałaby pani pograć w szachy, to nie jesteśmy w Awinionie, odradzam spacer po parku. U nas w parkach raczej nie zaczepia się ludzi. Opowiadał mi dawny przyjaciel, że jego przyjaciółka w Awinionie nie miała problemów z niedzielnymi popołudniami. Tak, tak, znamy to – *charakter człowieka sprawdza się w niedzielne popołudnia*. Przyjaciółka mojego dawnego przyjaciela w niedzielne popołudnia brała szachy pod pachy i spacerek do parku. Raz, dwa nabrała rutyny w pytaniu różnolatków: – Zagra pani? Zagra pan? Zagrasz? – i pukała zgiętym palcem lub całą dłońią w szachowe pudło.

Wie pani, myślę, że to nie jest zły pomysł. Ja przynoszę szachy, a pani wybiera park.

Z tego miasta da się wycisnąć jeszcze kilka historii. Wczoraj napełniony filmowymi scenami z kina Muza wracałem z Marcinem do domu. Cała ulica do wynajęcia, do odbudowy, jak po wojnie, po zarazie lub nieudanym prezydencie miasta. Ulica tak brzydka, że młodzież na-

wet nie zatrzymuje się tutaj, tylko w biegu pisze esemesy. Wie pani, są w świecie piękne miejsca, że młodzież specjalnie tam chodzi, by pisać w komórce. Wracalem z kina Muza wypełniony filmowymi scenami. Film był o francuskiej kawiarni. A szedłem, jakbym był wypełniony wyrzutami. Pusta ulica upokarza mnie. Taki układ miejski. Główna ulica w centrum przez władze państwa zdewastowana. Zna pani podobny przypadek w Europie? Poniżony martwą ulicą do Biedronki dochodzę. Pojawia się chłopak z torbą na ramieniu. Papiery z torby mu wystają, artysta? – myślę sobie. W ręce niesie chleb razowy z nasionami, pieczywo mieszane, krojony, w woreczku foliowym. „Pójdę za tobą, człowieku – pomyślałem sobie – dokąd mnie doprowadzisz”. Wie pani, ochotę na spacer miałem. Ja mam zawsze ochotę na spacer. A ten skubany doszedł tylko za róg, do Gwarnej, i o filar się podparł. „Ty tak ze mną? – myślę sobie. Ja na spacer, a ty na tramwaj się zaszadzasz pod filarem? Już ja ci pokażę”.

Wie pani, poświęcam płuca, śmieszność i krwioobieg dla literatury. Widzę, że chłopak pali. Podchodzę i pytam o papierosa, rozumie pani, traktat o sępieniu papierosów piszę. On nic, ale się uśmiecha. Pytam jeszcze raz, a on dalej się uśmiecha i mówi:

– Słabo mówię po polsku.

„Słabo, ale ładnie” – myślę sobie i też się uśmiecham. Lubimy nasze słowa w obcych ustach. Niegłupi chłopak, wyjmuję z torby paczkę z tytoniem do skręcania i pokazuje, czy o to pytam. Biorę pierwszy raz w życiu w niezręczne dwa palce, nakładam na bibułkę, nie idzie mi, za dużo nabrałem, wychodzi mi cygaro, nie skręt. Liżę krawędzie, zakleić nie umiem. Chłopak bierze ode mnie, formuje z wprawą – ten to dopiero ma palce. Liże i podaje mi. Mówi bez naleciałości:

– Bardzo proszę.

Pozwalam mu powiedzieć trzydzieści polskich słów, które zna i pięknie wypowiada:

– Z Belgii, studiuje, skrzypce, głównie pianin – powiedział *pianin*, ale tak ładnie, że niech mu będzie *pianin*. Zapytałem, dlaczego studiuje *pianin* w Poznaniu.

– Tu jest bardzo dobra Akademia Muzyczna – powiedział. Przyjechał pojazd szynowy. Belg wbiegł, w biegu z uśmiechem powiedział: – Do widzenia! – Wbiegł do tramwaju i wyjął z torby książkę, chlebem mi pomachał. A ten zasikany asfalt pod filarami nie śmierdział.

Miałem iść swoją drogą, ale widzę oranżowy szalik na czarnym płaszczu wysokiego faceta. To Jan A. P. Kaczmarek przechodzi. Złot pianistów jakiś czy co? Za tobą ja, mistrzu, chodził nie będę, za długie masz nogi.

DZIEWCZYNA PRZEDE MNĄ

Nic się nie zmieniło, proszę pani. W kolejkach można dostać tak zwanego szału. Lub podrywać. Ludzie poznawali się, pobierali, zachodzili w ciążę, rodzili dzieci – wszystko w kolejce po mięso, pamięta pani schyłkowy PRL? Nic się nie zmieniło, proszę pani. W Carrefourze, Netto, Biedronce w kolejce do kasy można oszaleć lub zawierać znajomości.

Nie lubię słowa *styl*, u nas tego nie ma. Nie da się powiedzieć, że ktoś *w kolejce do kasy w Carrefourze stracił styl* – co za bzdurne zdanie. Już koło puszek z groszkiem ją zauważyłem, a raczej zauważyliśmy siebie – przyjemne kobieciątko. Takie tam dubeltowe spojrzenia, że niby etykiety długo czytamy. Spojrzenia z repetą. W Carrefourze wcale nie jest długa taśma przed kasą. Wyłożyliśmy zakupy. Przed nami są trzy osoby. Tak jak zawsze. Pierwsza osoba kupuje artykuł, który ma nieaktualny kod. Trzeba wezwać kierownika. Kierownik musi znaleźć ten sam towar na półce, musi sprawdzić, dlaczego kod się nie nabija. Mijają cztery godziny. Dziewczyna przede mną – ta sama – ta od groszku, patrzy na moje zakupy wyłożone na taśmie. Bezdotykowo czyta etykiety moich zakupów. Ja również bezdotykowo oglądam jej

zakupy. Bezdotykowy poziom znajomości. Ona groszek, ja marchewka, ona śmietana, ja śledzik, ona oliwki, ja papryka. Ona przy kasie prosi o zapałki, ja poproszę o cygaretki. – Myśli pani, że nasze zakupy są kompatybilne? – zapytałem dziewczynę przede mną. Nie musiałem pytać. Gdyby wyjęła z torebki karteczkę, na której zapisała, co ma kupić, i sprawdziła, o czym zapomniała – to *to* było przy mnie, tuż za nią, wyłożone na taśmie.

– Tak, zanim pana pokroję, najpierw musiałabym pana oczyścić – mogłaby powiedzieć, gdyby miała styl. Ale u nas, proszę pani, kobiety ani mężczyźni nie mają stylu. Powiedziała:

– Zakupy są dla mojej babci.

STYL DOCELOWY

Myśli pani, że to coś znaczy? Pozwolę sobie wyrazić opinię, że zupełnie nie jest tak, jak pani powiedziała. Dżentelmenem zostaje się w drugim pokoleniu, a damą w piątym. Poza tym ustalmy, proszę, pojęcia. To, o czym pani mówi, to *styl* – nie *klasa*. *Style* się zmienia, *stylami* się bawi i gra. A... to jeszcze co innego, to o czym pani teraz mówi, to nie są *style* – to są *typy*. *Styl* to duże słowo, proszę pani – dla wielu zbyt duże. Niech sobie pani wyobrazi, że jeszcze dzisiaj zdarzają się mężczyźni do tego stopnia leniwi, że przez całe życie nie nauczą się wiązać muszki do fraka!

Dojrzewam powoli. Zaraz odpowiem na pani pytanie. Teraz bawię się w *styl* – *mąż na jeden dzień*. Wcześniej był *styl* – *sobria ebrietas* – *trzeźwe upojenie*. A zupełnie wcześniej świetnie się czułem w pięknie i godnie zaprojektowanym *stylu sexyciamajdy*.

Reporter-traper? Ogorzała twarz, zarost śmierdzący? Kolor khaki i kamizelka na naboje lub sprzęt fotograficzny? Rozbawiła mnie pani. Sam twórca tego *stylu* – Hemingway, ośmieszył go impotencją i samobójczym strzałem. Trzeba mieć samobójcze inklinacje, żeby flanelową koszulę i zamshowe buty założyć do miasta.

Styl docelowy – dobrze powiedziane. Znam go od dawna, powoli dojrzewam. Ten styl wyraża się w oczach. Nazywa się *dolentem consolari*. Są sytuacje, że do wyrażenia siebie pozostają nam tylko oczy. Nie trzeba zaraz z Oświęcimiem wyjeżdżać, chociaż to bardzo ważna lekcja. Większość z nas skończy na szpitalnych łózkach. Pozostaną nam oczy. Spojrzeniem da się strapionych pocieszyć. Spojrzenie – pracuję nad tym – to *styl docelowy*. Ludziom się wydaje, że można jednym tyłkiem na dwóch koniach jechać. Daleko się w ten sposób nie zajedzie. Poza tym to męczarnia, nie jazda.

ROWER

Rower wyzionął ducha. Nie wiąże się z tym szczególna historia. Ile cię będę wspominał, rowerze – nie obiecuję. Kto by tam słuchał o starym rowerze. Ostatnie spojrzenie, nikt cię nie chce. Nie jesteś potrzebny. Utyskiwania na byle nierówność nie były dostrzeżone. Łańcuch spadł i się nie podniesie. Koła się rozjechały, przeguby zwiotczały, dzwonek odpadł, to znaczy jego górna część. Rower jest stary. Rower nie człowiek – modlitwa mu nie pomoże.

KONEWKA

To ja nura! Pełne zanurzenie! To nie jest tak, że wszystkie problemy mamy za sobą. Niedawno w kościele ksiądz głosił kazanie o seksie. Pamięta pani, za naszych czasów kazania były o Panu Jezusie i Matce Bożej. Teraz kazania są o pornografii i o tym, co ksiądz w telewizji ogląda. W ławkach nasi rówieśnicy: plus minus siedemdziesiąt lat – ani jednej młodszej główki – wszyscy nad grobem prawie. Ksiądz w średnim wieku, najmłodszy w sakralnej przestrzeni, kazanie głosi o seksie. Pokręciło gościa, myślę sobie, czy on nie widzi, do kogo mówi? Wie pani, pomyślałam sobie później, że może rzeczywiście kazanie było na temat. Ludzie do późnej siwizny nie potrafią rozwiązać swoich problemów. W końcu odniosłem wrażenie, że kazanie było na

temat i na miejscu. Ktoś z ludzi w ławkach, myślę, zastanowił się, być może przemyślał własne błędy i w czasie kazania nareszcie usłyszał coś, co pozwoli nazwać problem, który od lat dusi co noc.

Niech sobie pani wyobrazi, że nie dalej jak w zeszłym tygodniu mój sąsiad zupełnie ni stąd, ni zowąd, w furii, wykrzyczał mi, że dwadzieścia pięć lat temu pożyczyłem od niego konewkę, a oddałem przeciekającą, z dziurą! Byłem zaskoczony. Rzeczywiście, pamiętam, że dwadzieścia pięć lat temu pożyczałem od niego konewkę, ale nie wiedziałem, że oddaję z dziurą. I teraz sąsiad do mnie, że konewkę z dziurą oddałem! Dwadzieścia pięć lat sikał z konewki nie tą dziurką, którą chciał. Dobry przykład na kazanie, prawda? Ale to nie kazanie, to życie. Ludzie do późnej starości nie mają rozwiązanych osobistych i sąsiedzkich problemów. Od sąsiada dostała mi się połajanka. Dwadzieścia pięć lat obłudnie mówił mi *cześć*, a wczoraj za tę konewkę sprzed dwudziestu pięciu lat chciał mnie zabić. Ale to dobrze, że w końcu nerwy mu puściły, chociaż nie wiem, jak dalej sprawę konewki on sobie w ostatnich latach życia ułożył.

Człowiek wymaga formacji ciągłej. Do końca musi postanawiać i zmieniać swoje nawyki, zwłaszcza myślowe. Ja na przykład, wie pani, doktorem ani doktorem habilitowanym nie jestem. Po prostu dużo czytam, taki nawyk, taka potrzeba. Dopiero w zeszłym roku, w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat podjąłem postanowienie – w pewnym sensie umartwienie wielkopostne. Postanowiłem, że w Wielkim Poście przez czterdzieści dni czytam wyłącznie książki religijne. Długo szukałem odpowiedniego umartwienia na czas Wielkiego Postu i dopiero znalazłem w zeszłym roku. To umartwienie – nie czytać wszystkiego, jak leci, lecz przez czterdzieści dni czytać dzieła ascetyczne, mądre, pobożne – jest pozytywne, wymaga ode mnie skupienia. Czytam pod przymusem, ale czytam. Forma pokuty. Kosztuje mnie ona dużo, ale to jest to. Dałem nura w Wielki Post. Pełne zanurzenie!

PATRON TRAMPÓW

Nie umiem mieszkać. Taki się urodziłem. Nikt nie może powiedzieć o sobie, że jest mężczyzną, jeżeli nie posiada w domu wiertarki. Ja wiertarkę mam w piwnicy. Problem, proszę pani, nie jest w tym, czy jestem mężczyzną, czy nie, tylko w tym, że ja nie umiem mieszkać. W życiu nie przeczytałem żadnej instrukcji obsługi, a bez tego się nie da żyć z kobietą. Kobieta musi mieszkać i mieć sprzęty, do których załączone są instrukcje obsługi. A we mnie instrukcja obsługi mogłaby wywołać depresję. Tak przypuszczam, chociaż w życiu żadnej instrukcji obsługi nie przeczytałem. Toleruję urządzenia najwyżej dwuguzikowe, dlatego nie umiem mieszkać i raczej wychodzę. Proszę pani, to nie jest tak, że pisarz chodzi po mieście, aż mu nogi w tyłek wejdą, i wtedy wchodzi do kawiarni, i siedzi tak długo, aż go pośladki zabolą. Zupełnie nie tak. Pisarz – proszę pani – wie. Wie, do jakiego miasta pojechać. Wie, którą ulicą iść. Wie, w której kawiarni usiąść, żeby spotkać taką kobietę jak pani. Pisarz nie szwenda się. To nie jest tak, że pisarz na rynku skupuje za bezcen historie, spekuluje i po czasie drogo sprzedaje. Pisarz – proszę pani – jest mądrym człowiekiem, albo pisarzem nie jest. Jeżeli jest się mądrzejszym od innych, to należy słuchać siebie, nie innych. Niech pani dobrze zauważy: pisarz słucha siebie. Słucha siebie i pisze teksty w rodzaju: *klasztorem moim są ulice, place i drogi, tabernakulum mi cały świat*. Są takie kontemplacyjne powołania – klauzurą jest miasto.

Jeszcze coś pani opowiem. Opowiem, jak poznałem patrol tram-pów. Jechałem pociągiem, Trzech Króli było, piątek, ale dzień wolny od pracy, w dodatku przed sobotą i niedzielą, więc w pociągu prawie pusto. Pisarz wie, do którego pustego przedziału wsiąść. Wie, kto zaraz do przedziału wejdzie. Tak też się stało. Usiadłem w pustym przedziale. Po chwili przyszedł chłopak, może tak z dziewiętnaście lat mógł mieć, wysoki i szczupły. Gdy pociąg ruszył, może tak po pół godziny,

jakoś zagadałem do chłopaka. Był miły. Powiedział zdanie z rodzaju tych, których pisarz nie zapomina. Powiedział:

– Ja nie umiem rozmawiać.

A ja mu odpowiedziałem:

– Ja nie umiem mieszkać.

Zapytałem chłopaka, jakiego ma patrona, kto mu pomaga wędrować przez świat? Zawsze tak się przedstawiam. Mówię:

– Jestem Joachim, a ty jakiego masz patrona? Kto ciebie prowadzi przez świat?

Chłopak powiedział:

– Ooo! Patrona mam wyjątkowego, to Benedykt Józef Labre.

Tak poznałem patrona trampów. Tych, którzy mieszkać nie potrafią, bo są zbyt roztargnieni, i miasto ich wzywa w dzień i w noc. W podróży najważniejsze jest, żeby mieć więcej miejsca na nogi.

SF

Ludzie pochylają się nisko, żeby z psem się przywitać. Są tacy, którzy nawet przyklękają, żeby z psem się przywitać. Psy są dzisiaj, proszę pani, bardziej kochane niż ludzie. Życie wyprzedziło fantastykę. Zna się pani na literaturze fantastycznej? Co tam piszą o psach? Życie wyprzedziło fantastykę. Weźmy, dajmy na to, Japonię. Po co w Japonii jest pięćdziesiąt atomowych elektrowni? Rozumiem, że się pocą i co trzy godziny muszą zmienić koszulę, ale oddzielna depilarka do każdego włoska? A to wszystko do prądu podłączyć trzeba, wszystko ma swoją wtyczkę, darmo nawet robot nie pracuje. Człowiek, proszę pani, poszedł w odstawkę. Człowiek, proszę pani, dziś tylko do psa może się przytulić. Czy literatura fantastyczna przewidziała to? Zna się pani na literaturze fantastycznej? To ja pani powiem: przyjdą takie czasy, że tylko najbogatsi będą chodzili pieszo.

CIAŁOŚĆ

W życiu, proszę pani, jak w maratonie. Nie chodzi o to, żeby wygrać, tylko o to, żeby wziąć udział. Jaki smak naleśników lubi pani najbardziej? To znaczy, z czym? Proszę pani, zdziwi to panią, ale jeżeli nie można uratować ducha, trzeba ratować ciało. Polak słucha muzyki klasycznej sześć sekund w miesiącu. Za nami jest oczywiście – kryje nam plecy – Albania. Tyle statystyka. Polak nie bierze udziału w życiu. Za Solidarności robotnik wywalczył nędzę dla siebie, i ot, na tym poprzestał. Ci, którzy wyjechali, są najmniej przedsiębiorczy, marzą, by wrócić na gotowe, i mogą, proszę pani, przeliczyć się. Bo w życiu Polak nie bierze udziału, Polak wznosi dla siebie więzienie. Ducha uratować się nie da, trzeba ratować ciało. Kościółek w tarapatkach, sam w siebie zapatrzony jak w obrazek. Zły duch pozbawia pragnień i marzeń. Ratować pozostało ciało. A Polak, proszę pani, walczy o nędzę dla siebie, organizuje marsze pod hasłem: Tylko dla przegranych. Robotnik na basen nie pójdzie, nie dlatego że sobie cenę biletu przez członków rodziny pomnoży i wyjdą mu dwie dniówki i nie dlatego że żeby ręcznik do sauny wypożyczyć, to musiałby półtorej godziny pracować. Nie, robotnik na basen nie pójdzie, bo nie po to z uporem całe życie pracuje, żeby na basen chodzić i *piniundze* wydawać. Ducha uratować się nie da, ciała ratować się nie chce. Inteligent na basen nie pójdzie, bo, jak mówi, jest istotą lądową, poza tym trzecia wojna światowa już na sąsiedniej ulicy, drożeje gaz, energia i benzyna. Teraz na basen nie pójdzie, bo taką ma sytuację. Człowiekowi, który z uporem wznosi dla siebie więzienie, nie można powiedzieć nie. A więzienia, zaręczam pani, nigdy nie są budowane na planie krzyża. Cieszę się, że panią poznałem. Tak myślałem, że wybierze pani malinowe bez bitej śmietany. Zjemy, zjemy.

GRZYWKA I PROSTE ZASADY

Teraz, proszę pani, są proste zasady. *Lajk za lajk. Ty lajkujesz mnie, żebym ja lajkował ciebie. Jest grzywka – jest impreza. Nie masz grzywki – odpadasz i o imprezie jesteś informowany po imprezie.* Jakie to proste. A piękno, proszę pani, nie ma wieku. Ludzie myślą poglądy z wartościami. Zastanawiam się, proszę pani, czy sześćdziesiąt dziewięć lat upoważnia mnie do tego, żebym podjął się już jakiegoś zajęcia. *Lepiej umrzeć i być świętym, niż pracować i być zgiętym. Stolarz struga, kowal kuje, a kiep kpi. Rób, rób, a zarobisz na grób.* My, naród polski, mamy hasła i przysłowia. Republika złudzeń. Ale teraz, proszę pani, są prostsze reguły: *lajk za lajk. Ty lajkujesz mnie, a ja ciebie. Nie masz grzywki – odpadasz. Taki life.* Ale gdzie w tym wszystkim fabuła! O fabułę proszę. Wie pani, wczoraj z kina wracałem. Przed przystankiem młodzian do mnie podchodzi. „Dam mu fajkę”, pomyślałem sobie. A on o bilet pyta i mamoną brzęczy. Zaraz, zaraz – przypominam sobie. Jak szedłem do kina, to grał na gitarze i śpiewał pod Kapo – podobało mi się, więc teraz w gawędę z nim ruszam. I wie pani, jaką miał fabułę? Stypendium dostał od Unii Europejskiej na studiowanie ochrony środowiska od razu po angielsku. Tysiąc złotych na rękę co miesiąc. Ale nie będzie studiował, nie dlatego że mu się nie chce, tylko dlatego że niczego na tych studiach nie ucą. Takie teraz są fabuły. Gra pod Kapo, stypendium nie odda. Proste zasady, przykład idzie z telewizora.

SZLIF

Owszem, ułożenie bioder w czasie konsumpcji piwa ma znaczenie. Szczęśliwi, którzy w mądrości się ćwiczą – mówi psalmista. Od siebie dodam: szczęśliwi, którzy się ucą być szczęśliwymi. Trzeba umieć usiąść lub trzeba umieć przy piwie postać. To nie takie proste. Mężczyzna, jak motor, musi mieć swoją chłodnicę. Tłok pracuje w cylindrze. Szlif czyni różnicę. Szlif, rozumie pani? Kobietom, wybaczy pani, niektóre kwestie ciężko tłumaczyć. Ja nie obrażam się na rze-

czywistość. Pani wybaczy, ale to, co niekiedy widzę na ulicach – jeśli już mówimy o mężczyznach – czasami mam wątpliwości. Mój sąsiad, który wynajmuje mieszkanie nade mną, młody człowiek, wychodzi ze śmieciami w japonkach i skarpetkach. Czy to mróz, czy to upał, po prostu widocznie cały rok chodzi po domu w skarpetach i japonkach. Pani pyta, co mnie to obchodzi, a ja pani odpowiadam: brrr!

Tylko miłość nie wychodzi z mody, Panie Boże zapłać. Jeżdżę 82. Na linii autobusu jest liceum i patrzę sobie na młodzież na przystanku i w autobusie. Raz podoba mi się – *grzywka, vans, lans* – a raz nie. Tylko miłość nie wychodzi z mody. Czasami chciałbym wykrzyknąć: Boże! Lubię ludzi i komunikację miejską! A czasami, tak jakoś ostatnio, mam ochotę wręczyć sto złotych, złożyć gratulacje i ucisnąć dłoń temu komuś, kto sprejem na ścianie obok mojego przystanku wymalował napis: CHŁOPKU! NIE RÓB Z SIEBIE PINDULINY!

LUŻNO

Zapraszam panią do Kultowej na piwo. Na Wrocławskiej, dobrze, że ogródek na ulicy nie jest zabudowany, tylko krzesła i stoliki luźno na chodniku wystawione. Usiądziemy naprzeciwko Żabki – jest tam galeria postaci. Wchodzą i wychodzą typy i typki. Zobaczysz pani. Pani się śmieje, że siadając do piwka, pamiętać trzeba o tym, żeby rozluźnić pośladki... zobaczysz pani. W Poznaniu trudno liczyć na flirt w metrze. Szukam osoby skromnej.

SZKOŁA PŁAKANIA

Coś pani powiem. Losy świata od kilku łez zależą. Dar łez. Łza skruchy, bez tego chłop z miejsca nie ruszy. Łza stawia chłopca na nogi. Nie łza, co ja mówię, potrzeba kilku łez. Módlcie się przede wszystkim o dar łez. Łzy nie są przywilejem świętych. Łzy są darem, łzy są łaską. Bez łez siebie nie zmienisz.

NARESZCIE

Muszę pani coś szybko powiedzieć i pokazać. Wczoraj odwiedziłem przyjaciółkę we Wrocławiu. Piękna pogoda była. Spacerowaliśmy, kawę wypiliśmy na ulicy Kiełbaśniczej. Później siedzieliśmy na Wyspie Słodowej i opowiadaliśmy sobie. Piękny słoneczny dzień był wczoraj. Niech pani zobaczy to zdjęcie. A to drugie śmieszne i przyjemne. Po spotkaniu z przyjaciółką poszedłem na mszę do kościoła św. Elżbiety. Potem przez Rynek na skos sunąłem w stronę dworca. Pierwszy cieplejszy wieczór po zimie. Takie wieczory maksymalnie trzy są w roku. Po pięknym dniu z przyjaciółką i mszy nałożyłem kaptur od bluzy na głowę i po skosie sunę przez Rynek. Dobiega do mnie od tyłu ten koleś ze zdjęcia i przez *ty* mówi:

– Przepraszam, masz bibułki?

Stałem jak wryty i mówię:

– Nie mam, dlaczego miałbym mieć? Mam papierosy, chcesz?

Powiedział, że wyglądam, jakbym miał bibułki. Nie chciał papierosów, potrzebował bibułki. Nie mogłem mu – zaskoczony tą sytuacją – powiedzieć, że traktat o sępieniu papierosów piszę i na sępieniu bibulek się nie znam. Zapytałem, czy mogę mu zrobić zdjęcie. Wieczór był szczęśliwy, taka tajnia. Wyglądam na kogoś, kto powinien mieć bibułki do skrętów. Nareszcie wyglądam jak człowiek, pomyślałem, i sunąłem Świdnicką na dworzec.

ANNA PILISZEWSKA

NAŁĘCZOWSKA PSALMODIA

WEZWANIE

Burza przyszła znienacka. Zbyt raptowna, zbyt gniewna, by nie uczynić szkód. Nocą słyszał trzeszczące, wibrujące grzmoty.

Połamano magnolie. Wiedział o tym, nim się wybudził, nim szorstko załopotał połami szlafroka. Gdy podchodził do okna, trącił filiżankę, którą wczoraj zostawił na skraju sekretarzyka – zabręczczała, gdy spadła i rozprysła się w drobne, mlecznobiałe skorupy. Odepchnął je ostrożnie koniuszkiem pantofla.

Odsunął ciężkie story – ogród otworzył przed nim roziskrzone podwoje. Owionął go rzeński chłód. Kwiaty, ciężkie peonie, dalie, szaławie i cynie dogasały pokotem w jaskrawych kałużach poszarpanych płatków. Powalony klematis, przygnieciony drabinką, zatarasował ścieżkę wiodącą do studni. Liście drgały od światła. Z gałęzi jaśminowca, zgiętych od ciężkich kropli, wycedzały się wąskie, strzeliste promienie. Ptaki pokrzykiwały ostro, niespokojnie.

Westchnął, wyszedł przed próg. Potem człapał skroś grządek, pijąc mokre powietrze. Czuł, jak się lepkie błoto wkleja w podeszwy, mlaska...

Mijając szpaler sosen, stanął, tknięty impulsem, jeszcze zanim ją dostrzegł. Jeszcze zanim pochylił się nad otwartą raną, lepką, gorzką od soków. To musiała być ona – jego rozdarta sosna. W myślach

ujrzał płaskowyż z siatką licznych wąwozów, barwy Bochotniczanki, zmarszczki lessowych pól. Tam powstała ta powieść... Więc to tak? Tak się miejsce domaga swego prawa do wspomnień?

Jednak chciał tego wcześniej. Więc pojedzie do wód...

GODZINA CZYTAŃ

Po co i dokąd jadę? – skubie czarny sakwojaż chropawym paznokciem. Tyle miejsc, tyle ciosów, tyle krętych korzeni zapuszczanych i wrywanych. Kto zapisywał go w czas, wkleszczał w dni i w przestrzenie, potem naraz przesadzał jak nomadę – piwonię? Lecz bywał imperatorem...

Czyż to nie jego właśnie pieczy powierzono najskalistszą piędź ziemi? Był włodarzem, był królem – władcą rubieży świata. Czy to nie on pisał: [...] *powierzono mi niemal „dyktaturę” nad Zakopanem i przyległymi dolinkami. Sprawowałem ten niezapomniany, śmieszny i wzniosły urząd przez jedenaście dni, kiedy się mama Austria waliła w gruzy. Za przysięgłem uroczyście wojsko, policję, szpiclów, gminę, pocztę i telegraf na wierność nowemu Państwu, a nawet prowadziłem wojnę o wieś Głódówki i Sucha Góra od inwazji czeskiej¹.*

Czy wtedy nie przywarł duszą do dumnych turni, do każdego kamienia? A Łysów, Praga, Zurych, a rodzinne Ciekoty...?

Jechać – mijając bezwolny, ruchomy krajobraz. Kiwać się, zasłuchanym w monotony pisk kół. Kiedyś sądził, że można coś opuścić na zawsze. Zatrzymać w jakimś czasie, w jakimś śnie nieuchronnym, w kręgu spraw napiętrzonych, błahych, choć nieodzownych, ważnych, chociaż nieważnych... Nie przygnały go nawet problemy Ochronki. Wtedy, z Florencji, pisał: [...] *taki obrót rzeczy jest dla mnie najzupełniej niespodzianką i dziwną tajemnicą. Ponieważ zaś nie mogę – wbrew naj-*

¹ Fragmenty zaznaczone kursywą pochodzą z twórczości Stefana Żeromskiego, listów, relacji osób związanych z pisarzem oraz modlitw *Psalmidii*. Wykorzystano tu także drobny wstęp z *Polskiej demonologii ludowej* Leonarda J. Pełki.

gorętszym pragnieniom – przybyć do Nałęczowa i rozplątać tej dziwacznie przykrej tajemnicy, więc... nie przyjechał zanurzony w wir zdarzeń. Sarkał, gryząc paznokcie. Owszem, nie, nie zapomniał.

Więc powracać. Zgarbionym zerkać w seledynowe, śmigające pejzaże. W ich pęd, przeobrażenia – falującą scenerię w przygodnym spektaklu. I zbliżać się. I wyczuwać aurę bliskich osób – tę upartą obecność; zawłaszczoną, wrośniętą w zioła, w czarne, szorstkie korzenie rozwidlone pod ziemią, która jest wielką sceną. Chaty, szopy, obory – rekwizyty w teatrze. Wilgoć. Kruki wśród pól.

Tak..., osoby: ich twarze i kontury postaci – doprawdy okrutnie boli, gdy łagodnie podchodzą. Opuszcza zmęczoną głowę, a oni coś szepcą, wyraźniej w pamięci. Nie trzeba zamykać powiek czy przymrużać oczu...

Konie gnały szeroką, piaszczystą drogą alei. Światła latarni rzuciły nagle strzały popłochu między wielkie pnie lip i topoli. Kareta na wybojach kołysała się [...] jak łagodna kolebka. Czarne jej pudło i lustrzane okna zasłonięte firankami rzuciły tajemnicze lśnienia i przecinały noc [...], która szybko zeszła na mokre łąki i zwiędłe pola.

Wpierw Adaś. Wiśniowy książę. Czy to było przedwczoraj, kiedy tykał paznokciem inicjału – litery szlifowanej misternie? „D” od „drogi”... Dopisał mu podówczas do listu Oktawii sześć zdań – sześć złotych liści malowanych jesienią. Wciąż je umie na pamięć: „Drogi Tatusiu. Dziękuję za miły list, postaram się być zdrowym, żebym mógł się uczyć. Chciałbym już zarabiać. Byliśmy dziś na regatach. Rower odebraliśmy, kosztowało 5 K. Całuję tatusia – A. Żeromski”.

„Ta-tusiu” rozerwane. Jak upiorna zapowiedź rozdzielenia, rozdarcia. Znowu śledzi w marzeniach rozpostarte nad stołem te krucheńkie ramiona. Drobną zmarszczkę na czole. Lampkę, która rozrzuci mleczne plamy i cienie. Palce wolno kreślące wiecznotrwale litery, ciemne linie przedmiotów i schyloną Oktawię. Tę samą, do której pisał: *Podczas deszczu 17 maja stałem pod werandką, obok sklepiku go-*

librody, a ty szłaś z pałacu w szarych pantofelkach i byłaś zła, że pantofle te widzisz. Miała rację, bo widział stare noski dokładnie. Wzruszały go, gdy szurały w wyobraźni zadziornie. Czy już był zadurzony?

I ten deszcz. Siąpi. Zostawia smugi. Tamci jakby wpisani w krople, w śpiewne staccato sznurków turlającej się wody. Kalosze i parasole. Peleryna Prusa – szara, w ciemniejszą kratkę, pełna czarnych zardrostek. Gdyby łało, czy włożyłby ją świadek – wtedy, na jego ślub?...

Najbliższa góra poczęła wykręcać się, zmieniać, jakby krzywić i dziwacznie garbić. Wypadały teraz przed jego oczy smugi zarośli, [...] las z nagła podbiegał ku drodze i odkrywał [...] posępne swoje głębie [...]. Ostatni szmat tzw. odpadków leśnych wykręcił się w inną stronę i zdarwało się, że ucieka za oczy, na przelaj, polami.

Mży. Doprawdy jak niegdyś, kiedy to po raz pierwszy przyjechał do miasta – z wyświechtanym kuferkiem, w tych pękniętych kaloszach...

Więc Nałęczów... Lecz zapuszczał korzenie długo, bardzo opornie. Ech! A Konrad, w takt ojca, tak go świetnie opisał: *Śłuchajcie chłopcy, tam na pocztę lazi grać w szachy jakiś nowy nauczyciel ze dworu Górskich. [...] Z miejsca kopnąłem się do parku i zaraz na drodze spotkałem mężczyznę w ubogim paltocie, zniszczonej barankowej czapce, o malej, pociągającej twarzy, [...] skarżył się na fatalne warunki... Ha!, doprawdy, doprawdy...*

Lecz w tym misterium była sekretna magia, nosił bowiem to miejsce jak święcony medalik. Tak!, wierzył w ideały i miał wizję przyszłości: żar w nim tlił się skórą, choć los zonglował niczym wicher rozpalonym powietrzem, gdy tamci – luminarze piekielnej maestrii – to kurczyli się, to olbrzymieli niczym cienie cyklopów. Czort wie, czy swój rodowód wywodzili od diabłów...?

Perwien mieszkaniac [...] jechał nocą przez las i zauważył wielkiego czarnego ptaka z czerwonymi ślepiami... [...]. Coś go tknęło, więc przeżegnał się. Wtedy szpetne ptaszysko zakrakało i znikło.

A jeszcze inni...? – podobni do jaspisu czy źródła. To ci ufnie wracali z wartkim rytmem przylotu ptaków. Wróble, słowików, jemiołuszek czy drozdów. A on kocha słowiki. Kiedyś tęsknił i cierpiał przez ich brak tak okropnie!, kiedyś, gdy los go rzucił w smutną, bezptasią przestrzeń, sierdził się: – Fatalna rzecz, że tu słowików nie ma. Cokolwiek by mówili realiści, rozmaici pozytywiści, słowik jest rozkoszą w życiu. – Teraz, gdy mu przypadnie wstąpić w korytarz bzów pamiętanych dokładnie, już tylko suche kiście – obtargane kikuty, już po maju, już lato!, już nie będzie słowików...

JUTRZNIA

Ściegi ścieżek i alej. Senne skrzydłoorzechy. Dęby, sosny, katalpy. Krępe tulipanowce i strzeliste wejmutki. Poskręcane gałęzie jak spracowane, goścem pokrzywione palce.

W środku koryto Bystrej – żyła bijąca światłem. Pusto, gwarnie od szpaków. Wykrzykują kantyki. Błade piórko – kreseczka w aureoli puchu frunie i się kołysz. Wolno opada, niknie jasna blizna powietrza.

Jakiś starzec o lasce mąci cienie pejzażu. Szura, szura stopami, kijem trąca kamyki. Stał. Patrzy wysoko w rozłożyste korony. Liczy myśli czy czeka? Na wschód słońca? Na córkę? Na nieuchronne, ciche, błogie wniebowstąpienie?

Z wód [...] bładoniebieskich, jak stal zsiniała od ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu opuszczały wodę dla nieba...

Więc tak łatwo wrócić. Więc przyjechał naprawdę...

Benedictus, qui venit in nomine Domini. Hosanna in excelsis.

Modlitwa w ciągu dnia.

Coś szeptał, wsparłszy brodę na pulpicie kłęcznika.

Sztywne figury świętych oprószone półmrokiem trwały zamysłone, zapatrzone w bezkresy, w mroczne oko Kosmosu. Przykurzone, napięte. Pomyślał: nasłuchują podniebnego tąpnięcia, trąb Jerycha czy tylko echa czyichś westchnień i kroków?

A kiedyś odśpiewali hymn, wyszli ku Górze Oliwnej.

Zdziwił się, gdy ją dostrzegł. Zachwyciła go skromną koroną płowych włosów. Zachwyciła nad podziw. Dlaczego? Bo schyliła się nagle, wiążąc mokrą sznurówkę u lichego trzewika – Małgorzata wiążąca pilnie rzemień sandała?

Speszył się, mogła być bowiem jego i tą wierną Justyną, i Siłaczką Bozowską. Bo naraz w jasnych oczach coś tam dojrzał, przeczytał...

Kim była? Urojeniem umęczonej fantazji, dozorczynią czy siostrą?

Zadrzał. W głowie powielił spięte w warkocz jej włosy. Istniały? Nie istniały...?

Chociaż odnaleźć ją wzrokiem?

Za stawem, na płaskim wzgórk, stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniąca zasiewem jarego żyta, które już w niwę żyjącą własnym żywotem zmieniać się poczęło.

Ludzie wyszli z kościoła – już jej w ciżbie nie dostrzegł...

NIESZPORY

Śniło mu się, że była zima. Szeleściło po kątach, a zgarbiona kobieta niosła w sękatych palcach wielką lampę naftową. Światło drgało na ścianach; szlochało i rosło. Zaparowane szyby rozmywały krajobraz – białe pola, odłogi. Zawieja grała marsze żałobne na soplach...

W zimnym powietrzu lecą drobnutki pyłki śniegu, mieszają się z iskrami, jakie zdziera z lodówki wiatr straszliwy, dmący nieznośnie, monotonnie, z cichym, ledwie dosłyszalnym, namiętnym drżeniem, co usypia i przeraża. Na nieobjętych okiem obszarach mkną po wierzchu skorupy śnieżnej niby dymy białe, leniwe, przejrzyste, sypkie jak piasek – mkną do umęczenia wzroku i przepadają w dali, roztopiając się w ogromie niebieskim.

Kaslnął. Wyszedł na dwór. I stąpał w siwym, chrzęszczącym śniegu.

Stanął, gdy kogoś dostrzegł. W białej zadymce płatków obraz był niezbyt ostry, nierealny.

Porządnie przecierał oczy – jakiś malarz natury ustawił w zapach krzesło i masywne sztalugi. Wodził pędzlem ostrożnie. Kiedy z odkrytą głową nachylał się nad paletą, śnieg nawiany we włosy zamieniał się w krople – ciekł strużkami za kołnierz...

A on stał i patrzył. Śledził spierzchnięte palce, poparzone mrozem. Już miał otworzyć usta – czy myślał się przywitać, czy poprosić, by przyjął jego filcowy kapelusz...? Postąpił kilka kroków. Czuł, jak pod obcasami pękają grudki lodu.

Wtem wicher z dachu szopy zdarł śnieżne okapy – wył, wzniecając po drodze dymiącą zasłonę: szczelny parawan płatków. Naraz ucichęł i mleczne zjawisko opadło.

Rozglądał się za malarzem. Tam, gdzie stały sztalugi, słaniał się biały kurz. *Szedł tylko tamtędy zimny przeciąg, wiejąc sypki śnieg niby lotną plewę. Gdzieniegdzie wałęsały się nad zaspami smugi najdrobniejszego pyłu jak dymek przyduszonego paleniska.*

Jak się stało, że zasnął?

Zmierzchało – rdza sunęła niebem w katatonii. Wieczór rozdził zapachy drzew spróchniałych, ich kory. A pierwsze tego roku zrumienione owoce spadały w zdeptaną trawę. Przez uchylone lufty wwiało wonie wieczoru. Świerszcze w rowach zaczęły śpiewać *cantus responsorius*...

KOMPLETA

Przychodzą i odchodzą. Cienie tych co umarli.

Spowiada się i sobie, i chrześzczącej pustce, chudym psom szczekającym gdzieś z odległych domów, sinym cieniom biegnącym doń z odwieczną tęsknotą.

Patrzy w tremo: dostrzega krzywizny przedmiotów, jakieś dale zamglone...

Sub Tuum praesidium confugimus sancta Dei Genitrix, nostras deprecationes ne despicias in necessitatibus nostris, sed a periculis cunctis libera nos semper, Virgo gloriosa et benedicta. Domina nostra, Mediatrix nostra, Advocata nostra, Consolatrix nostra. Tuo Filio nos reconcilia, tuo Filio nos commenda, tuo Filio nos repraesenta.

Schylły się korony starych drzew. Przez gęste sito liści w szumiącej zadumie przebiegł kulawy promień. Przecodziło się światło...

LAUREACI
IX OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU
MAŁYCH FORM LITERACKICH
IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO – 2014

I nagroda:

DINA STASZAK (Bytom), *Ptasznik*

II nagroda (równorzędne):

ELA GALOCH (Turek), *Poranna kawa z Brunonem*

KOSMA WOŹNIARSKI (Łódź), *Ojczyzna*

III nagroda:

LECHOSŁAW CIERNIAK (Słupsk), *Dostanę dobre konie, Stabilizacja, Ekwilibrysta, Przebudzenie, Peireskia Grandifolia*

WYRÓŻNIENIA:

EDWARD BOLEC (Rzeszów), *Nikt*

ANNA CZUJKOWSKA-WŁODARSKA (Lublin), *Dwie strony ulicy. Dziennik z ubiegłego stulecia*

KAROL KORYCZAN (Chrzanów), *Osobliwie szczęśliwa trzynastka*

MARIOLA KRUSZEWSKA (Mińsk Mazowiecki), *Małwy*

MARIA WOSIK (Myszków), *Migawki z teki wspomnień – część druga*

NAGRODY BURMISTRZA NAŁĘCZOWA:

BOGDAN NOWICKI (Świętochłowice), *Nałęczów. Wieczna historia*

GENOWEFA ŚWIATŁOŃ (Katowice), *Silaczka – emerytka*

DINA STRASZAK

PTASZNIK

Twoja matka mówi, że to wszystko przez grudzień. Nazywa go okrutnym i zagryza wargi, chciałaby powiedzieć coś jeszcze, ale rezygnuje, postanawia to przemilczeć, przeczekać. Rozumiem ją doskonale, rozumiem też luty – ponury, mokry luty leżący odłogiem na śniegu, otumaniony oddechem smogu, wrzaskiem wygłodniałych wron. Rozumiem jego odrętwienie i wilgotny marazm; to po grudniu, wiem. Rozumiem milczenie twojej matki, jej gubienie rękawiczek, szczuplejsze ramiona, rozumiem jej czekanie i przeświadczenie, że zima kiedyś wreszcie musi się skończyć.

Rozumiem to i też czekam.

Twoja nieobecność sprawia, że myślami częściej wracam do przeszłości. W głowie mającą spalone sierpniem popołudnia, wrześnieowe kępy wrzosu, pyszniąca się dojrzałą żółcią nawłóć. Chłodne wieczory w pubach na Rycerskiej i Strażackiej, głębokie w smaku irlandzkie piwo, nabrzmiałe dymem papierosowym mętnożółte powietrze, którym zaciągasz się głęboko, kiedy opowiadasz mi o pękających strunach w gitarze, muzyce skandynawskiej, swoim czarnym kocie. Słucham cię uważnie i zapamiętuję słowa, gesty, kształt paznokci, rysunek kości policzkowych; zachłannie gromadzę przejawy twojej obecności w przeżuciu, że już wkrótce, jeszcze moment.

Znikasz, a ja nie potrafię temu zapobiec.

Uwielbiałaś ptaki. Namiętnie gromadziłaś o nich wszelkie dostępne kompendia, na giełdach i w antykwariatach kupowałaś kolorowe tablice, zbierałaś pawie pióra. Anna mówiła, że te ostatnie przynoszą nieszczęście, a ty śmiałaś się, stroiłaś miny i wtykałaś je sobie we włosy; potrzasałaś mocno głową, aż pióra, chwiejąc się jak pijane, przymykały zielono-niebieskie oczy. Anna otwierała wtedy w przerażeniu usta i podnosiła rękę, jakby chciała się przeżegnać, w ostatniej chwili jednak się powstrzymywała, rękę zawieszała gdzieś w okolicach szyi, a pawie pióra, bezkarne, mrugały i drżały w jakimś ptasim wyuzdaniu.

Bywało, że w twoich włosach znajdowałam piórko nimfy albo drozda, błyszczącą lotkę sójki, perkoza, gawrona, czasem złotopłowe, cętkowane pióro bazanta szlachetnego. Rozróżniałam je doskonale, często dopiero ode mnie dowiadywałaś się, co wetknęłaś za ucho. – Mój ojciec jest ornitologiem – tłumaczyłam, i to tłumaczenie ci wystarczało; nie pytałaś o więcej, nie chciałaś wiedzieć więcej, ja nie chciałam więcej mówić. Zdanie: – Ja, córka ornitologa – brzmiało dostatecznie wyczerpująco, mieściło w sobie wszelką możliwą wypowiedź, wszelkie tłumaczenie, wszelkie słowo i wszelki jego brak, ciszę na palcach, piórko dzikiej kaczki, przepiórkę, zakrzywiony dziób sępa.

Ostatnio widziałam cię na ulicy. W ustach miałaś papierosa, a we włosach jakieś czarne, brzydkie pióro, zniszczone i poszarpane, bez połysku. Żałobne. Chciałam podejść i zapytać – dlaczego, po co, czy to jakiś cholerny znak, czy to od grudnia...?

Nie wolno mi jednak podchodzić. Nie wolno mi z tobą rozmawiać. Wolno mi tylko odnajdować twoje włosy na moich swetrach, długie, białe, wyciągające ze mnie trzewia. Zupełnie jak moja matka wydzierająca wnętrze z rozplątanych brzuchów żywych jeszcze ryb. Dłońmi jak kleszcze.

– Moja matka artystka. – Te słowa były jak żołądek gołębia miejskiego – zdolne pomieścić w sobie wszystko: drobny żwir, histeryczny śmiech, kilkudniowe milczenie, dżdżownicę. Miano artysty tłumaczy-

ło wszystko, podobnie jak ornitologia ojca. Rozwiewało wszelkie wątpliwości, stanowiło wszelkie wyjaśnienie, wszelki wyraz i wszelki jego brak. Zawierało w sobie monochromatyczny malunek tęczy, portret baletnicy, skrzypiące sztalugi, niepokój, złość.

Podejrzewam, że to czarne pióro wrosło w skórę twojej głowy, a ty przestałaś zwracać na nie uwagę. Smolistą chorągiew przyczesejiesz grzebieniem jak włosy, a o dolnej osi pióra, zanurzonej w skórze, nie masz nawet pojęcia. Nie wiesz, że właśnie tam, wewnątrz *calamus*, tkwi dusza¹ grudnia. Wycieńczona z głodu i mrozu, a jednocześnie straszliwa, mająca postać stężonej, nienazartej destrukcji. Czy działa na nią upływ czasu...? Nie wiem; obawiam się, że jedynie przyzwyczajają umysł do grudniowej obecności duszy.

Mój ojciec, znawca mitologii Słowian, powiedziałby, że dusza ta zstąpiła do łona twojej głowy za pomocą kruka – tak się dzieje jesienią i zimą. Gdyby to miało miejsce wiosną, kruk przemieniłby się w bociana. Sama urodziłam się w październiku; może dlatego ojciec w swoim dzienniku ochrzcił mnie takim, a nie innym imieniem. Wszak począł mnie w styczniu, w styczniu moja dusza wdarła się w postaci kruka do łona mojej matki. W październiku matczyne łono wypłuło mnie jak korek – lepką od mazi płodowej, z czarnym meszkiem na głowie i wrzaskiem na ustach. W dzienniku ojciec napisał: *Miała ciemne upierzenie i krakała żalostnie. Poczęta zimą, jesienią narodzona; nosi podwójne piętno kruka. Imię jej Zwiastun Śmierci i Nieszczęścia.*

Matka przez wiele miesięcy po porodzie kazała wołać na siebie Noemi. – Mój brzuch jest jak arka – tłumaczyła wszystkim, którzy przybywali na otwarcie jej wystawy. – Moje łono mogło wydać na świat pierwotnego wszelkiego latającego stworzenia, ale zdecydowało się na kruka, ptaka nieczystego, który będzie w stanie zjeść padlinę mych piersi. Słyszycie, jak płacze...? To prococtwo co do waszego jutra.

¹ Dusza – w ornitologii wewnętrzna część dolnej osi pióra.

Gdzieś tu jest Tejrezjasz; niech zamknie oczy i wsłucha się, wniknie w treść krakania, niech strzeże swych oczu.

Dziś rozumiem – to ty jesteś Tejrezjaszem. Nosilaś jego szaty jeszcze przed moimi narodzinami; jako dziecko siadałaś w koronach drzew i podsłuchiwałaś rozmowy wron i gawronów, aby nauczyć się kruczego dialektu. Władowałaś nim lepiej niż ja – odgadywałaś moje myśli już na poziomie abstrakcji, jeszcze zanim zdążyłam nadać im jakikolwiek kształt wyrazu. Chłonełaś je właśnie takie – bezpostaciowe, nieuformowane, jedynie z przebłyskiem koloru albo zarysem pióra.

Okrutny grudzień, okrutna zima. Marzec – kiedyś słodki zarodek wiosny, teraz agonia, rżężenie topniejącego śniegu. Wrony wciąż krzyczą, gawrony zataczają w powietrzu koła – pętle szubienic. Na ramionach odwilż, jej lepkie palce na karku; czuję, jak wspinają się wyżej, na policzki i powieki, jak wpełzają mi do ust. Są takie zimne, tak nieubłagane.

Anna mówi, że po naszych rodzicach dziedziczymy nieomal wszystko. Kształt nosa, kolor oczu, wrażliwość, inteligencję, skłonność do alkoholu, skłonności samobójcze.

Myśl o obciążeniu genetycznym wywołuje u mnie napady paniki. W piersiach czuję wtedy nerwobóle i bezmyślnie wgrzynam się we własne dłonie. Potem patrzę na okaleczone przedramiona mojej matki, na ojca kładącego zaciśniętą pięść w okolicach mostka, zaciągam się powietrzem i czuję zapach ich rąk – palce rozdrapujące strupy na kolanach, paznokcie, poplątane linie papilarne, depresja we wnętrzu dłoni.

Twoje słowa: – Nie słuchaj Anny, nie warto, Anna kłamie jak wszyscy; ja jedna mówię prawdę. Nie jesteś córką swego ojca i swej matki, mimo iż wypełzłaś z ich łona, nie jesteś nawet potomkiem swoich pradziadków. Ciebie przyniosły ptaki niebios, głodną i nieopierzoną, wykarmiły cię kruki, podrzuciły – jak kukułki, ale nie martw się, nie myśl o tym teraz, napaliłam w piecu i pochowałam pawie pióra, nie zmarzniesz już więcej, obiecuję; tylko ściągnij ten przemoczony płaszcz.

Słuchałam twoich słów jak matczynego baby bluesa, którego kofysanki do dziś mam w pamięci. Ciężko mi powiedzieć, o czym wtedy myślałam; że mówisz to, co chcę usłyszeć, że moja matka płacze i czeka, kuli się, że twoje oczy, włosy, czarny kot na kolanach, że śnieg, zima, mróz na gardle i nadchodzący grudzień; myślałam o tym, że ojciec wraca, wyciąga z ramy lustro, pyta: – Co widzisz? – że moja matka, obgryzione paznokcie i słowa: – Już rozumiem – wreszcie, że znikniesz, to tylko kwestia czasu, zabierzesz jeden z moich swetrów i znikniesz razem z nim, a ja będę go szukała na ulicach, chodnikach – wszędzie, nie znajdę ani jego, ani ciebie – czasem – długi biały włos, wyrzut sumienia, skurcz żalu, to takie oczywiste.

Kiedy wracam do domu, na podłodze odnajduję kawałki potłuczonego szkła, zgaduję, że to lustro. Matka wciąż szepcze: – Rozumiem, już rozumiem – a ojciec krąży jak jastrząb, zatrzymuje się przede mną i mówi, że harpia, kiedyś piękne stworzenie, urokliwe, urodziwe, usta słodsze niż miód, teraz nie, już nie; ojciec krąży coraz szybciej, maleją jego kroki, rośnie wściekłość, strach, urywane zdania: Harpia. Uskrzydłona kobieta. Złośliwa okrutna brutalna. Samica większa od samca. Twoja matka. Milcz, córko, nie jesteś moim dzieckiem, to wszystko przez kruki, wrony – rozdziobałyście mnie; już koniec, dość, powiedziałem.

Nie ma potrzeby, nie musisz – nie chowaj pawich piór. Wychowałam się pod ich okiem i wiele się od nich nauczyłam. – Dumy, próżności, kpienia z przesądów? – zapytasz, ale bez ironii, a ja odpowiem: – To ostatnie, oczywiście. – Zdejmę mokry płaszcz i dodam: – Anna wierzy w przesady i dzięki temu jest szczęśliwa; przyczyny nieszczęścia zawsze są dla niej jasne – twój czarny kot, pawie pióra, krakanie wron przed domem. Gdyby Hiob wiedział, dlaczego cierpi, łatwiej byłoby mu znosić próby. – Pomilczysz chwilę z moim płaszczem w rękach, przemyślisz to, co powiedziałam, woda będzie kapać na podłogę, zapachnie błotem, wreszcie stwierdzisz: – Nie jestem Hiobem. Ale wejdz – już październik.

Mój ojciec, ornitolog, przez cały okres narzeczeństwa dawał mojej matce pióra zamiast kwiatów. Matka przyjmowała je z wdziękiem i z przyzwyczajenia układała w wazonach, mówiąc: – Jakie one piękne, takie oryginalne, dziękuję ci – na co ojciec ripostował: – Pióra albino-tycznej jaskółki zamiast białych goździków, chwasty zwiędłą, pióra nie – albo: – Kanarek na miejsce słoneczników, słoneczniki są takie oklepane – albo: – Samiec astrylda słonecznego; czerwone róże, co za banał. – Tymi podarkami powoli zdobywał serce mojej matki. Pewnego dnia wręczył jej popielate pióra z czarnymi końcówkami i powiedział: – Żurawie zwyczajne łączą się w pary na całe życie. – Moja matka zakochała się. Do ślubu poszła z lotkami łabędzia niemego.

Raz, jeden jedyny, podarowałam ci pióro. Należało wcześniej do najzwyczajszego szaroburego wróbla, ale błyszczało pięknie; pomyślałam, że będzie pasowało do twojego swetra, którego kolor określałaś jako zbożowy. Uśmiechnęłaś się, pamiętam, i wsunęłaś piórko w spłot warkocza, otuliłaś się też szczerzej kocem; było ci zimno – nic dziwnego, miałaś na sobie tylko sweter, a była już jesień. Siedziałyśmy nad stawem, wczesny ranek, w dłoniach kubki z kawą; jej zapach przegryzał mgłę, w której nurzałyśmy się jak żalosne imitacje Kleopatry.

– To pióro ściemnieje – stwierdziłaś nagle, tak nagle, że aż odparłam: – Nie rozumiem – a przecież wiedziałam, rozumiałam, zaskoczyłaś mnie po prostu, nie zdążyłam się zastanowić. Rzekłaś jeszcze: – Będzie czarne jak smoła – wtedy już nic nie odpowiedziałam.

Poza okresem narzeczeństwa mój ojciec tylko raz podarował mojej matce bukiet z piór. Były to pióra gołębia, prawdopodobnie miejskiego – jasnoszare, o zapachu zakurzonych ulic, bez połysku. W porównaniu z barwnym upierzeniem moich papużek nierozłączek uznałam je za nijakie; moja matka jednak była nimi zachwycona, dopiero później zrozumiałam, dlaczego – stanowiły dla niej symbol pokoju po wcześniejszej awanturze z moim ojcem. Psychiatra mojej matki zalecił mojemu ojcu, aby częściej okazywał żonie uczucia. – To

jest jak sinusoida – powiedział lekarz. – Góra, dół, góra, dół. Góra – żona pana potrzebuje, dół – potrzebuje pana jeszcze bardziej. – Ojciec przytaknął i wyszedł z gabinetu, po drodze zebrał pióra i wręczył je mojej matce jako wyraz uczuć, które kazał mu okazywać lekarz.

Moja matka artystka w euforii przystąpiła do lepienia gołębia z gliny. Pracowała nad nim długo – z atlasem ojca w ręku sprawdzała szczegóły anatomii, dopieszczała detale. Wreszcie skończyła. Gołąb był piękny, doskonały, a moja matka była z niego dumna. Zadzwoiła do mojego ojca, ale ten nie odebrał, nagrała się więc na pocztę: – Dzień siódmy, skończyłam, przyjeżdż, będziemy świętować, czekam. – Ubrała się w elegancką suknię i czekała.

Sabat przeciągał się, a moja matka czekała. Z początku dostojnie i wytrwale, potem coraz niecierpliwiej; trwało to długo – kilka dni, kilkanaście – nie pamiętam dokładnie, w każdym razie za długo; moja matka wreszcie przestała czekać. Zdarła z siebie suknię i wrzasnęła coś niezrozumiale, przetrząsnęła dom w poszukiwaniu resztek gliny i te resztki zaczęła formować i dolepiać do doskonałej już rzeźby. Nie rozumiałam, co robi ani do czego zmierza; jej zachowanie przeraziło mnie jednak na tyle, aby wziąć szczoteczkę do zębów i przenocować u ciebie.

Kiedy wróciłam, ojciec już był – krążył jak myszołów i nazwał moją matkę harpią; moja matka płakała, zbierała potłuczone kawałki szkła i mamrotała wciąż: – Siedem lat nieszczęścia, już rozumiem. – A ojciec poprawiał ją: – Siedem razy siedem. – W końcu zatrzymał się przed rzeźbą z gliny i powiedział: – Sęp – padlinożerny ptak z rodziny jastrzębiowatych, charakteryzuje się nieowłosioną głową i szyją, szeroką rozpiętością skrzydeł, dobrze rozwiniętym zmysłem wzroku i słuchu; upierzenie zwykle ciemne, głowa bogato ubarwiona. – Moja matka wciąż próbowała ułożyć pierwotny kształt lustra z potłuczonych kawałków, jej włosy były potargane, ręce miała całe w krwiakach. Zapytałam głośno, co tu się do cholery dzieje, na co mój ojciec odpowie-

dział: – Nie przeklinaj, córko – i: – Wyrażam swoje uczucia – po czym wziął prochowiec i wyszedł.

Moja matka mówi: – Ach, cóż to były za ręce – silne, prawdziwie męskie; objęły mnie mocno, aż zabrakło mi tchu. – Tłumaczę jej: – Mamo, to był kaftan bezpieczeństwa.

Śnieg stopniał, zauważyłaś? Marsz pogrzebowy na cześć zimy odśpiewany, ulice i chodniki osuszone, pączkuje zwyrodniała zieleń.

Wciąż chodzę w martensach, nie zgadzając się na krokusy i przebiśniegi, wciąż odnajduję twoje włosy na swetrach i wciąż szukam tego jednego, tego, z którym znikłaś, w którym chodzisz, w którym śpisz – wiem o tym, nie zaprzeczaj. Pytam czasem o niego twoją matkę, ale ona udaje, że mnie nie rozumie; dalej gubi swoje rękawiczki, mimo iż są jej już niepotrzebne – jest ciepło, okrutnie ciepło, a ona wciąż rękawiczki i rękawiczki, gdzie są moje rękawiczki. Mówię jej: – Zima już się skończyła, grudzień dawno minął – a przecież wiem, że to nieprawda, grudzień przeciągnął się jak kot i wciąż jest obecny, może trochę cichszy, trochę spokojniejszy, ale jest, obserwuje nas.

ELA GALOCH

PORANNA KAWA Z BRUNONEM

Mówili, że *Sanatorium pod Klepsydrą* jest nieprzekładalne – język filmu wjeżdża w słowo jak Orient Express. Hass wychodzi poza wyrok. W logice surrealizmu nie ma łatwych akustyk: *żyrandole i opary szaleństwa*.

– Nie dotykaj klezmerskiego kontrabasu, spróbuj go zrozumieć od środka jarmarcznej budy! Przecież czas nie płynie, ale staje się tanim chwytem. Semicki ojciec umiera stopniowo, etapami, nigdy do końca. Matka – podstarzała płaczka – obiera tegoroczne kartofle. Żyjemy obok siebie jak ogień i woda. Świat jest niczym garść!

Przez szkolne podwórko idą chasydzi. W chałatach, z pejsami spod kapeluszy, potarganymi brodami niczym z Singerowskiego Biłgoraja. Idą wśród błysków burzy, MTV, szczekania psów. Na przełaj, nie zwracając uwagi na pisk hamulców i spojrzenia. Zatopieni w rozmowie sprzed wieków. Gdybyś miał dar zgadywania, może wiedziałaś o dwustu kilkudziesięciu liczbach, które składają się na Jego imię? Może o Adamie i czterech żywiołach – albo o winie i przebaczeniu? Idą zajęci czymś dużo ważniejszym niż opustoszała uliczka, gdzie plajtują cynamonowe sklepy i biegają romskie dzieci.

Rodzi się tymczasowy świat bez odniesień. Jozue bezsilnie bębni w szklany sen, a kinowi trybuni tylko żują popcorn ze źrenicami utrwalającymi przerażenie i ciekawość. Może obawiają się cadyków, co wcielili się w wieczny taniec? Przy mistyce jesteśmy bezbronni. Tyl-

ko przecucie zapuszcza się w oddech, powoli zmienia powikłany los Abrahama w dom. Lecz za oknami znów śpiewa Marquez o mądrości, która przychodzi, gdy już nie jest do niczego potrzebna.

* * *

W tych chagallowskich ścianach handlowych galerii najbezpieczniej byłoby obudzić się za sto lat jak po jednej myśli, wsuwając się we wszechogarniający świt Pesach. Pokusa silniejsza od mądrości – aż ze strachu rośnie wyobraźnia i dziurawi ulice krawców. Urwało się zdanie, werset ucieka przed kantorem. Słyszę za sobą biblijne lwy. Szakal zwabiony miedzianą rybą wyrusza na pustynne łowy, mimo że żydowscy tandeciarze, czapnicy i kuśnierze całymi rodzinami ciągną na targ. Od dawna są niczym napisy na stożkach Niniwy: „wielkie jest cierpienie pustych miejsc”.

Jesteśmy wyznawcami miasta Dawida, które nie wróci, choć istnieje całymi treściami. Historia nie zawsze może przetrwać tam, gdzie się zaczęła, mimo że biblijny ogród był czymś boiskiem do siatkówki. Tam mieszkała hebrajska dziewczyna, która twoje sny w małych kinach uczyła języka rąk. Tu zawsze jest bliżej, ale walcząc z głupcami, możesz stać się jednym z nich. Ludzkie stada to ich drapacze chmur. Patrę w bezmyślność, a ona bezboleśnie wnika we mnie. Siłą życia jest niespełnienie. Złość ścina wierzchołki macew, jakby rozjątrzona myśl miała przeistoczyć się w zniewalające ciało, przy którym nie może podźwignąć się nawet bryła synagogi. Chociaż jeszcze ci się wydaje, że sączy łagodzącą sągę pierwszych autobusów.

Więc mam ochotę na długą rozmowę o rzeczach najmniejszych, ale nie mam z kim. Jest piwo, które nie smakuje, i kilka papierosów. Wieczór posępnie zakrada się przez uchylone powieki. Otworzyło się lustro i rozkrzyczała karetka. Może jeszcze zapragniesz zawołać:

– Dobrego szabasu! Przecież nie ostygłeś z pomarańczowych piasków. Ale żywioły nie są tam, gdzie chcemy, bo chcemy...

* * *

Mogliśmy nimi pogardzać, szydzić, a jednak byli: talmudyści z bożnicy, zięciowie bogatych Żydów, zasiedzali przy wysłużonych stołach, nad postrzępionymi foliałami, śpiewający i wrzeszczący. Czasem tylko udawali, że się uczą. Jarmarczny zgiełk, obecność tylu kupców nie dawały rozmyślać nad Miszną. Bo za każdym z nas chodzą te same niepokoje. W labiryncie zdarzeń wciąż nie umiemy poznawać... i nie rozumiemy ludzkiej natury.

Nie wykarczowaliśmy wnętrza ze szpargałów. Zostało w nas tych dwoje z majówki, których losy zespoliły się jak zapchlone kundle. Pili najtańsze piwo i zbyt głośno się śmiali. Piaszczysta droga ze złoto-brudnym wzorem ułanów przemieszała ich z trawą przy pompatycznych pomnikach. Lecz nowe pokolenia sprzyjają rzeczom uchwytnym. Malują twarze na stadionach i głaszczą herezje: *więź na pokaz zazwyczaj ukrywa prywatną zdradę*.

Ostre promienie żarówki – jak zerwane linie wysokiego napięcia – kroją koc po kolejnej, kradzonej miłości w getcie. Palce są gotowe tylko do prostego jazzu na saksofon, czasem skrzypce, może fortepian. Po wszystkim chętnie chciałoby się wejść w trzeszczące płyty, gdzie w tle muzyki zaczynają się rozmowy, szczęknięcie kieliszków z atmosferą dziewcząt ubranych tylko w strusie pióra. Czy to twój głos, Rachelo, przedziera się przez gęstwinę kontrabasowych cięciw? Bliskość trzeba w sobie ciągle odnawiać, zmienia się z oddechu na oddech.

Ogrody zostały daleko poza murami. Więc siedzimy wśród piętrzących się butelek, jakbyśmy tu byli od zawsze. Witamy się ruchem krzesła, patrząc przez zachodzące słońce w oszklone ściany wina. To

bardziej zbiór kupletów niż opera.... Ale skłám i powiedz, że na mnie czekałaś. Powiedz, że jeszcze czytasz książki mądrościowe. Dla wielu z nas przedwojenne kino to już jedyny dekalog.

* * *

Nie chcę cię znaleźć tylko tam, gdzie drzewa połyka przeszłość. Podniszczone zdjęcia, brązowo-czerwone, dodają światu dni. Niektóre mają załamania jak zmarszczki, odsuwając go jeszcze bardziej w gęstwinę. Te ostrzejsze pozwalają na krótkie oswajanie. Wąsaci aptekarze z zapartym tchem śledzą skrzydlate łodzie Argiwów. Ściskają fajki pokoju, jakby na chwilę przerwali polowania na córki szamesa i odstawili niedopite kieliszki.

Kobiety w hałdach koków są zbyt ogromnymi formami, by je zobaczyć z bliska jak domy modlitwy czy zamczyska z piasku. Jeszcze je kształtujesz, nawołując do tej drugiej, która we mnie jest tobą, bo trzeba mojego czasu, by docenić asymetrię. Realizm gaśnie. Przed oczami stają szmaragdowo-turkusowo-błękitne sztychy Morza Martwego, sprzeczne z zasadami prawdopodobieństwa.

Z odrapanych ram skapuje nafciane światło i zahacza o tabloidy Łodzi. Sypialnia Lei Goldman zaplątała się w poźółkę szale jak o zachodzie suszące się chorągwie. Fruwają gorsety, oficerskie galony i zasypują cynowe jeziora wyobraźni. Słowo pełne słów leży na moich bezbronnych udach niczym połowa owocu.

– Wyplłyn poza oddech, a wnikniesz w wojskowe wozy i bryki rabinów, warczące ostrymi echami, jakby naraz wyłoniły się ze wszystkich dat. Roztrzęsione, zajadłe, niczym wieszczące ptaki, bo z drugiej połowy już jedzą wilki i przybywają listy, wlokąc za sobą coraz szerszy tren ognia, mimo że słowo słowu nierówne.

* * *

Przy tobie, Ajzyku, niewiadoma wplata w labirynty szop ze sztetl ze starą kosą i grabiami, jakby przez uchylone okno sukienki wkradło się lodowe piekło butelek po zabawie chrześcijańskich chłopców na Matki Boskiej Zielnej. Zamiast rozmawiać, bawisz się mdłymi kroplami potu. Może liczysz, ile jeszcze ich trzeba, żeby w tobie wygasła do dna?

– Jestem niemądra – powtarzasz niczym sentencję. Znów prze-tańczyłeś moją czułość z Lilith, śmiejąc się fałszywiej niż fagot Izaaka. Więc nie ufaj mi, dybuku! Na stopniu czarnego powietrza stoję. Moje biblijne stada piją cudze mleko. Umiem puszczać kaczki nawet nad taflą starej balii. Przecież wszystko co wokół to tylko odór ziemniaczanego spirytusu, zagłuszający miętowe poszycia i oczy sów hukających w jaworach na wiejską śmierć. Dziś jest ten świt jak rwąca rzeka, pochłonie domy z kart.

– Wyprowadzę cię w grzędawiska i w sad, gdzie wieszają się zdradzeni gajowi. Ale moja ciotka jest swatką. Przy rosnących kwadrach nie przelewa krwi, lecz zapala chanukowe świece, powtarzając, że oddalenie od nieumiejącego kochać mężczyzny pozwala wreszcie zaistnieć.

Rano pobiegnę do rabina, może moje demony wypuści przez małe palce stóp. Potem jeszcze dalej, na drugą stronę nowiu, do przyjaciela z dzieciństwa na bar micwę, który powie, że nigdy nie widział tyłu gwiazd, choć trzeba patrzeć pod nogi. Ale niebo zawsze przyciąga bardziej. Bo jeśli będziesz na wyciągnięcie dłoni, znów dopadnie mnie smak starej macy. Oddech z bożnicy zerwie wszystkie jaskółcze gniazda, niosąc mnie tylko za miedzę. Czas sięgnąć po mocniejszy wiatr. Z tobą fraza była długa i bezbarwna niczym podróż ścieżką – steraną listopadową szarością.

* * *

– Powiedz, czy już wiesz, jak testować granicę nadziei? Czy wrzuconym do środka granatem, wpuszczoną drabiną z postaciami w mundurach i wysokich butach?

– Wychodzić! *Alles heraus!* Nic wam nie grozi, jedziecie tylko do pracy... Wierzysz, że tak się stanie?

Ze zdań podstępnych, wyrwanych z kontekstu, niepoliczonych absurdów wychylają się obrazy niczym mezuzy na futrynach drzwi. Spóźniona kukulka wraca do Świątyni, okrążając sto razy pusty dziedziniec nieba. Może błędzenie jest koniecznym instrumentem prawdy osadzonej w niewidzialnej przestrzeni kabały i duchów? Ludzie wielbią Boga nienawiścią do ludzi.

Kim byli ci, których kamienie widzą okna gminnej szkoły? Czy tylko bezosobowymi skazami z za muzealnych gablot? Ocalały jedynie dwie maceby, innych Niemcy użyli do utwardzania dróg. Spacerując – przy chodnikowej egzotyce wersetów – z kamyków układam kadisz. Wysłuzone głązy dyszą chasydzkimi strofami: mężczyźni w jarmułkach utworzyli krąg i rozpoczynają taniec, a ich mali synowie znów bawią się pośrodku Jerozolimy.

Jutro wyślę listy na nieistniejące, przedwojenne adresy. Listy do getta. Zwrotna poczta z adnotacją „adresat nieznan” najwięcej powie o życiu i śmierci. Bo w tych miejscach trzeba być, oddychać, wsłuchiwać się w nie – aż będzie można poczuć, jak w gwarze jarmarków wracają bednarze, szewcy i krawcy. Będą się wspólnie modlić i budować synagogę, targując się o pole na wieczny spoczynek; ale gdziekolwiek jesteśmy i cokolwiek czynimy, istniejemy nad brzegiem krwi.

* * *

Piękna jest Birnele pod jedwabnym szalem, gdy dłońmi pachnącymi migdałami gładzi książki o złoconych brzegach. Czy tom *Synowie Isachara* powinien być ostatnią lekturą? Chociaż stare przysłowie mówi, że ojciec, który uczy córkę Talmudu, szerzy herezję. Ale czasy zmieniły się, nikt nie zmusza do małżeństwa. To babka – w czarnej sukni i z hebrajską książeczką psalmów – była szacowana jak sztuka bydła:

– Śliczna dziewczyna – cmokali swaci. Oby jej złe oko nie dosięgło! Pradziadek umył ręce, nałożył tefilin i zaczął szeptać modlitwy. Skręcone świece, baldachim i rabin spisujący ślubny kontrakt. Błogosławieństwo nad czarką wina – i oto jesteś zaślubiona przeszłości, bo teraz zostaje wspominać albo oszaleć.

Jeszcze przez chwilę będziemy istnieć po królewsku wśród otoman i obrazów. Jeszcze ci zagram na fortepianie, bo za oknem śmierzące podwórko ze śladami po farbiarzu. Tapicer słaniający się z głodu przy niedokończonym krześle, dawno zjedzono kozę stróża. Pomyje, hałdy, odpadki mieszają się z płaczem kobiet i ostatnimi głosami czytającymi Torę. Tylko chłopcy jeszcze potrafią dręczyć kijami kalekę, życie i śmierć rozkładając na bezosobową groteskę.

Birnele, przebac mi bolesną świadomość, odpuść gorzką możliwość, gdy nikt nie odważył się śpiewać w twojej obronie. A potem – jak gdyby nigdy nic – wciąż wracam do biura, banku, na giełdę, jakbym tylko domyślał się, że twoim ciałem stały się winnice i gaje granatów ze wszystkimi innymi korzeniami Wschodu. Może jesteś tam, gdzie Dawid z Goliatem wpatrują się w morze? Moje słońce zaszło i spoczywa za górami z dzieciństwa.

* * *

Mojsze, synu ciotecznego pradziadka, nie marnuj dnia na próżne rozmowy i nie wznos domów zbyt wysoko, bo łatwo zapomnieć o Synaju, wtedy Stwórca zapomni o człowieku. Będziesz tylko koniem smagany biczem deszczu przy swojej cegielni i dwóch młynach, które zmuszasz do pracy aż po utratę tchu. Kto żyje bez rachunku, umiera bez łaski, bo im więcej bogactw, tym więcej trosk. Pieniądze stają się pokusą i karą. Na Rosz ha-Szana odbędą się Boże sądy nad wszystkim.

– Trzeba będzie znów zstąpić w otchłań po schodach bez poręczy: „Zmiłuj się nade mną, bom słaby; ulecz mnie”. Zgłębiam siebie jak mętna kropla octu.

Wielkowiejska puszcza nie nadaje się dla biblijnego Żyda. Bo gdy z czołem opartym o ścianę i twarzą zwróconą ku Jerozolimie zaczyna powtarzać osiemnaście błogosławieństw, za drzwiami gromadzą się tragarze, handlarki kucają wzdłuż ulicy, a chodnikami spacerują małe dziewczynki z rozszczebiotanymi bonami, bluźniąc nieustającym hałasem. Modlitwę trzeba odmawiać w skupieniu – tak wolno, jakby się liczyło złote monety, chociaż rój świętych liter jest cenniejszy od ich największej ilości. Najwyższy jest tylko blisko tych, którzy go wołają.

– Pan usłyszał błaganie, Pan przyjął orację. Będziemy tańczyć i weselić się, *zajt frejach: aj-aj-aj, ja-ba-bim...* Ogień gniewu lepiej zwalczać płomieniami ekstazy niż bólem. Kto nie smakuje rajy w przykazaniach na tym świecie, nie będzie czuł jego smaku w wieczności.

– Na mojej prywatnej górze Nebo zawsze będą nosić długie pejsy, chałat do kostek i futrzaną czapę w szabat. Bez przeszkód szanować rabina z Góry Kalwarii, dźwięcząc podniosłym szeptem w świątecznej synagodze. Na stole będą czuwać niczym dobre anioły: chałka, śledzie i biały ser ze źródlaną wodą. Bo gdy drogi człowieka są miłe Najwyższemu, pojedna z nim nawet wzburzonego sąsiada.

* * *

Na strychu jedwabie i wełna sukien szukają niezaistniałych jeszcze pokoleń. Misterne tiule na ślub pierwszej z prawnuczek wydają się nierozmieniałne niczym naramienniki królowej Saby, choć od spodu – podstępnie – nadciąga zemsta porzuconych rzeczy: pleśń. Wybuchają pożary, zmysłowo liżąc kosztowne pantofle, buszują w futrach i dzieciennych płaszczkach, plwając metalowymi guzikami. By na koniec zmierzchu dopełnić front, nie przeliczając ludzi i przedmiotów na jakiegokolwiek jutro. A poza tym wszystko zwyciężajnie!

– Szczekające szafy i zmurszały kredens z sobotnimi filiżankami wyrwane z bolszewickiej nicości. Dlatego mówi się, że w tej kamienicy świat bierze się na serio. Nie robi się z kochanki żony, z żony – primabaleriny. Za to wolno łyżeczkami dzwonić o brzeg kryształowych kieliszków przy każdej okazji, bo *w czteropiętrowej, kamiennej skrzyni spoczywa stare, żydowskie podwórko*. Podczas pogrzebów i wesel jedni drugich odwiedzają, podnoszą głos na innych z balkonów. Każdy mówi, nikt nie słucha. Gwar zbyt wielu falsetów jak na perskim rynku. Ług z kadzi praczek przeplata się z oparami czekolady, lukrów i rumowych ciast z tylnych drzwi cukierni. Łoskot kół po bruku, nawoływawanie bawiących się w berka dzieci: *bejchło, bejchło*.

– Chodź tutaj, nie ruszaj tego – znów przekrzykują się Żydówki. No i gra skrzypek... Z kolonialnego sklepiku wyfruwają śledzie, czosnek, cebula, maca, trochę tytoniowego dymu. Aromat piekących się chałek i rosołu przypomina, że szabas jest blisko. Wreszcie zatrzyma się czas.

Po zachodzie z mieszkań wypływają tylko wstążki błogosławieństw, a dalej już cisza, cisza, cisza... Po pośpiesznym zamknięciu warsztatów i kramów umieszczą w oknach szabasowe świeczki, które rozświetlą mdłym blaskiem zapuszczone zakamarki myśli. Przy zasta-

wionym stole wreszcie porozmawiajmy ze sobą, twarzą w twarz: „Nie śmiej podnieść głowy”, choć słyszę nad sobą szept, który jest muzyką.

* * *

Z drobnymi kamykami w kieszeniach wędrujemy przez plac targowy, mijamy dziewiętnastowieczne wille, aż wąska przecznica doprowadza nas do synagogi, gdzie jeszcze nie ucichły przypowieści Szlomo ben Natana. Za miastem rzędy macew kryją się wśród wysokich traw. Wciąż widać wyraźne napisy. Język hebrajski dodaje tajemnicy: nie ma tu twarzy, kamiennych spojrzeń, ale echa wędrowki do Kanaan. Błogosławiące dłonie opowiadają o grobie kohena. Ręka wrzucającą monetę do skarbonki – o tym, kto wspomagał ubogich. Światła rozsiadły się na macebach kobiet. Do nich należało zapalenie szabasowych menor.

Moryc, Miriam, Taube są wśród nas, chociaż po ulicy nie biegają ich synowie z długimi, kręconymi pejsami – a zza okien nie słychać klarnetu ani skrzypiec klezmerskich muzykantów. „Pamięć to dar”. Jeszcze pod podłogami oficyn, w starych schowkach drzemią ich drewniane zabawki: pukawki, wózki z konikiem i ptaki na kółkach klepiące wypłowiałymi kikutami. Sklepikarze nafty i cukru, kulawy krawiec i koszerny szohet Abram – istnieją wśród głośniego zawołania chasyda, pielgrzyma z Ameryki. W długim czarnym płaszczu, kapeluszu, brodaty kiwa się przy grobie rebe Elimelecha, ekstatycznie wyśpiewując psalmy.

Dwudziestego pierwszego adara – szóstego miesiąca – jego grób nawiedzają „sprawiedliwi, podtrzymujący istnienie świata” z Nowego Jorku, Tel Awiwu, Jerozolimy. Rozmawiają modlitwą, wrzucając za ozdobną kratę ohela kwitefe: o dobre życie, zdrowie i powodzenie w interesach, „żeby naszym sąsiadem był anioł, co strzeże ludzkich snów”. Na schodach chcemy słyszeć jego dyskretnie kroki i szelest zwi-

janych skrzydeł. Cadyk w rocznicę śmierci zstępuje z nieba i zabiera do Pana ludzkie myśli.

* * *

Od pierwszego spojrzenia powiedzieć sobie tak wiele milczeniem, jakby w spojrzeniu czas nie płynął, lecz trwał niczym kropla żywicy na ścianach świtu, ledwie przeczuwając ulicę wytyczoną ilością szabasowych kroków.

„Zmiłuj się, Panie, zmiłuj się nade mną”. Pokrop hyzopem i daj wreszcie usłyszeć weselne klarnety, bo coraz mniejszą mam władzę nad królestwem ciała. W myślach wołam: Mojsze, dla ciebie jestem drzewem, któremu przy bluszczowej sukni poprawiasz ramiączko; z kącików ust kradniesz oranż zachodów. Dziś upał stał się tak gęsty, że zieleń za mykwą pachnie kobiecą skórą: *tumbala, tumbala, tumbalalaika*.

Przed synagogą wcielamy się w obcych sobie ludzi, żeby znakami zachwycenia nie zwabić zazdrosnej Lilith. Przecież niektórzy cadycy w przeczuciu bliskości szepczą o podziemnej fali, co z sykiem rozbija się o płomień szeolu. Głośno śpiewają tylko konstelacje ud żon, gdy brodaci mędrcy grzeszą zaniedbaniem, nawracając jedynie słowa. Niech przyjdzie chwila na chupe, żeby z *mame* i teściową obesła osiem razy ślubny baldachim. Bym w muślinowym woalu mogła stanąć obok ciebie i napić się wina: *harej at mekudeszet li kadat mosze weisrael, oto jesteś mi poślubiona* – powiesz, zanim obcasem stłuczysz kielich.

Po złotym rosale, wręczeniu prezentów zatańczę micwa tantz wokół krewnych. „Kaźda panna młoda jest pełna wdzięku”; z warg ich krajobrazu wyleci oswojony feniks. W tak oczywistych momentach wiarygodność nie jest konieczna. Lecz nie powinno się wracać do utraconego raju, bo siedmiobramne Jerycho wciąż śpi niczym wypalona lampa oliwna. Jedynie przy rozszerzonej źrenicy kołysze się niebieska

łódź. Uciec stąd, nareszcie uciec, uczyć się naszych ciał, jakbyśmy rysowali ptasie dzieci i puszczali wolno.

* * *

Stare Żydówki czuwają, żeby spódnica nie była za krótka – bluzka przezroczyta, bo już idzie swatka, prowadzi Szumla z synem Cwi Lejbem. Będą oglądać, cmokać, zastanawiać się i przeliczać posag: „Śpiesz się tylko przy kupnie ziemi, żonę wybieraj powoli”. Prawda czasem jest jak dziki brzeg. Dla aniołów wszystko jest łatwe, lecz nie czeka ich nagroda; mężczyzna musi walczyć każdego dnia, każdej minuty. Ale czymże byłoby życie bez cymesu, za nim przyjdzie nowa rzeczywistość, gdzie może trzeba będzie zmienić się w szklarza, krawca albo za lichwę kupować chleb?

– Powiedz, stara Chaszo, jaką ketubę spisujemy z Cwi? Czy będziemy się szukać w zagraconych szufladach, spiżarniach i nieczystym złocie, wracając z jarmarków jak po najcięższej pracy? Czy pod chupą jego oczy staną się niczym zgiełk wokół nieznanego rebe, chociaż wyrasta z Talmudu niczym winnica z czerwonej ziemi?

– Cokolwiek się stanie, będę cię kochać. A teraz zagrajcie *Hava Nagila!* – Wiatr zawadiacko podniesie jarmułkę, poskręca pejsy w tańcu z butelką.

Nie ma znaczenia, że mody przemijają, że wokół targowiska nieporządek: ogryzki, słoma i pierze. Poświęcanie zawsze jest dobrym interesem, szczególnie gdy żydowskie żony w najskromniejszych sukniach zapalają szabasowe świece. Urządzają koszerne kuchnie, w eklektycznych kredensach chowają garnki i naczynia oddzielnie do potraw mlecznych, mięsnych, jeszcze inne na Pesach. Przygotowują *kugel*, pieką chałki, dbają o dom, rodzą synów, żeby mężowie spokojnie studiowali Torę.

A w czasie Kuczek dobrze jest się razem położyć pod pierzyną i spoglądać na gwiazdy przez szafasowe gałęzie, dopóki „wiecznych wygnańców” nie zmorzy sen, bo już dusze śpiących wstępują do nieba jak do sąsiadów – i opowiadają Panu o minionym dniu.

* * *

Piszę list do Fejgle, o której swaci śpiewają aż pod Zamość. Ja – syn bożnicowego szamesa – piszę, że najlepiej czuję się w ciszy pełnej szczekania psów, świerszczy, gdzie mówić o miłości znaczy jeszcze raz powtarzać to, co zapisały spojrzenia. To nic, że w synagodze zawsze będziemy siedzieć w osobnych salach. Nie dotknę cię ani pocałuję, zanim nie spiszemy umowy i nie staniemy pod baldachimem: oto jednoaktówka męzczyzny.

Piszę list o czułości jak jeziorze o świcie, do którego się podąża, gdy ono czeka, żeby nas sobą napoić aż po dno. Potem chce się błędzić i wracać. Gojowskie książki opowiadają o zbliżaniu się do kobiety jak o zdmuchiowaniu skały niczym pióra, gdy stoi się wobec żrenic, których się od zawsze szukało. Codziennosc bez uczuć jest znikomym odpryskiem świata. Bliskość to przebudzenie wśród najświeższych traw, polnego skrzypu, ale nie tak gwałtownie jak w symfonii, lecz szeptem niczym w chasydzkiej piosence.

Piszę, że po szabasiu przy rozklekotanych stolikach, gdzie stare ciotki będą zachwalać czerwone wino babki Chai, niby przypadkiem odsłaniasz czubek buta. Fragment kolana, niemo prosząc, bym w myślach opowiadał, że za wrotami pończochy rozpościera się tajemnicza fala szmaragdu: wierzby przy kępach sitowia, kaczeńce, trzepot skrzydeł, jakby tylko tu – z głębi wieków – piękne Rebeki, Estery, Ruth tęskniły za zmysłową wyspą jak za najdłuższym wierszem. Napisałem list, wyznając zazdrość i wszystko inne. Lecz nikt nie rzuci w nas ka-

mieni, bo nie zdobyłem się na wręczenie koperty. Przecież cały sztetl w pośpiechu nuci, że za chwilę będziemy mężem i żoną. Wyjedziemy i rozplyniemy się w kibucu.

– *Trakht un trakt*: napiszę długi list. List do Miriam...

* * *

„Już ci niosą suknię z welonem”, na twojej kruchej gałęzi usiadł archanioł. Dobrze dobrana para jest równa cudowi przejścia przez Morze Czerwone. Idziemy brzegiem wykąpani w nowiu. Chederowi chłopcy z siatek, w których dźwigali pustynny wiatr, wytrząsają antyczne wazy.

Ketuba uczyni cię nienaruszalną dla świata niczym święty werset: będę dla ciebie pracował, szanował cię i dotykał – aż staniesz się łagodnie rozkołysaną synagogą na wzgórzu, która każdej wiosny zakwita sadem wiśni. Chociaż po ślubie zetną ci włosy, żebyś nie przyciągała cudzych spojrzeń, bo masz w sobie coś: *bei mir bist du schon*.

Za zamkniętą furtką sypialni wyszepczę ci: *bella, bella* – a ty, całując mnie, powiesz, że rozumiesz. Krajobraz wypełni się polnym groszkiem ciała, nieoglądanym wcześniej przez nikogo. Będę gładził wijące się łodyżki, wybierając okazałe strąki. Drżący z podniecenia odłamuję koniuszki. Nabrzmiała słodyczą, powoli rozchylisz kruchy płatek brzucha.

„Wejdz, zmierz tę świeżość”, zawładnij Edenem pierwszy i jedyny raz, bo potem mogę się stać tylko wypłowiałą fotografią. Zachwyty nie ma smaku ani zapachu, jak się przyzwyczaimy, to tak jakby go nie było: „Utkaleś go niczym arras w łonie Ewy”.

– Chanele, tylko goje szukają historii krótkich, bez końca i początku. Ale takie nie są nawet kobiety od Moneta w rozwianych szalach, gdy pośpiesznie pieści pędzlem ich włosy. Będę ci śpiewał: „To

nie kres, ale katharsis”, choćby to była najpóźniejsza godzina życia. Ziemia nie jest raniącym gniazdem. Okrutna jest tylko samotność ludzi o cienistych twarzach.

* * *

Z prześwitów pociągów poligon sprzątniętych pól kojarzył się z akompaniamentem, jakby wrześniowe mgły przelewały się *Damą pikową* Czajkowskiego. W rozślonecznionych ścierniskach Vivaldi porywał nietrwałym pięknem. Lecz poza tłem zabrakło swetra porośniętego ptasią trawą – a w dłoniach chłopców z wakacji nie płynęły przejrzyste rzeki, mimo że człowiek raz oswojony powinien być wierny jak krajobraz: tak samo w każdym języku.

W zamyśleniu zapadam się w wierzbowy pejzaż z szybami grającymi niczym świerszcze. Potem we śnie – ubrana tylko w maskę Pierrota – przymierzam drapowany gorset prababki Ciwy i kask cyklisty Iosifa. Nie wstydzę się, przecież kobieta – czasem – lubi podejrzeć bliskość, co rozgrywa się poza przestrzenią ciała, chociaż to jedynie morga rzepaku za wysłużoną wiatą przystanku. Z wizją dzieciństwa znosi się wszystko, mimo że prócz imienia nie zostało nic więcej. Chcieć „być” jest największym buntem: pamięć bywa silniejsza niż ryk na stadionach. Stajemy się mocni, bo przywoływać, znaczy opowiadać, choć na całość brak słów.

Kierowcom ze zwirowni znów pozwalam domyślać się, że ruda Gołda biega boso po wsi. Kobiety przy dożynkach ubierają moje oczy. Pod ich zalotnymi podeszwami obraca się karafka pełna świtu. Roztańczyło się młode wino w rozpryskanym zacierze w oknach strychów. W rześkim powietrzu wykopów nadzwyczajność wisi nie jak kadisz, ale wesoła, skoczna nuta z toastem *leba'amin...* Bo powrotów doświadczają się od wewnątrz. Kiedy gra klezmerska muzyka – wszystko jest

możliwe. Ograniczenia uwidaczniają się, gdy zostaje tylko pulsowanie w skroniach.

* * *

W sąsiednim ogrodzie od zawsze zamknięty na wytrych do starej szkatułki z ustami Marleny Dietrich. Wieczorami oranżowe szminki wyzierają spod wysłużonych, plisowanych sukien, jak gdyby cienie zza okna jeszcze majaczyły żywymi źrenicami Miriam.

Kiedy pytam, czy miał jakieś imię, milczy się o pończochach, nafcie czy papierosach w jego frontowych kieszeniach i tylko w mysiej szparze zmięta pocztówka z widokiem gospody w Salzburgu – z dedykacją zwycięstwa – niebezpiecznie otwiera czas, jakby za grzechy tajemnic miało nastąpić kolejne trzęsienie nieba aż do ósmego pokolenia. Nasze kobiety znów musiałyby gubić mężów niczym berety.

– Czy jeszcze potrzebujesz wiedzieć, gdzie była synagoga – a gdzie ewangelicki zbór, jak pachną odpustowe obwarzanki albo szabasowa chałka? Bezradni nie patrzymy w oczy, ale w pustą przestrzeń, jak spogląda się po zbyt długim pożegnaniu, wykrzykując o krochmalonych obrusach z monogramami i ezoterycznym słońcu tarocistek w odnowionych pokojach. Taimy emocje na przekór tamtej cygańskiej dziewczynie powieszanej przez czerwonoarmistów na jabłoni, żeby nikt na chybił trafił z szuflad nie wyciągał przestraszonych twarzy. Chociaż wciąż łomoczą poplamionymi firankami, że nawet te pojedyncze kroki nie mogą być odesłane do światła. Zimne są ciała naszych empirycznych foliałów.

Pod ręcznikami jeszcze drga archaiczne miasto pełne rejwachu, pokrzykiwań węglarzy, zapachu cebuli i gęsiego smalcu, reklamowych szyldów sprzed siedemdziesięciu lat. Ciemne sienie, kocie łby, chruściane płoty za domami. Chanukowe świece, dzwon na Anioł Pański

i toasty na pięćdziesiąte urodziny Jana Mullera, przedwojennego właściciela fabryki materiałów na garnitury przy naszej ulicy. Lecz chwile coraz częściej zaskakują kłamstwem, które staje się cudem. Teraz nie trzeba zabijać, wystarczy dobrze się bawić w Prenzlauer Berg z nocami bez granic...

KOSMA WOŹNIARSKI

OJCZYŻNA

Rdzawy koń stąpa powoli i jakby z rozważą, kopyta odciskają się w skrwawionym błocie. Co rusz wynurza się zeń jakiś białawy gnat, to lufa znów, to kolba, to szmata munduru. Na koniu jeździec, który na te resztki patrzeć nie chce. Spogląda wyżej, widzi rozprute ogniem artyleryjskim pola, posieczone, lśniące zagajniki brzozowe, gorejące i szerniałe już płamy łąk. Gdzieniedzie jeszcze pogruchothane, nadwęglone wozy, takżeż kapliczki i samotne chaty. I trupy.

Świeże niektóre, inne już nadżarte. Czarne ptactwo kołuje nad drogą, póki jeździec się nie oddali. Potem spada na cmentarzysko i bez względu na wiek zabitych, na rangę i majątność, zaczyna szarpać dziobami równie smaczne tkanki.

Wiatr wieje rześki, rozpędza dymy i opary gnilne. Jeździec czuje w ustach posmak śmierci, która wisi w powietrzu, ale na osmalonych policzkach i czole kładą się chłodne dłonie niespokojnej wiatrugi. Jest zimno, nic się jeszcze nie zazieleniło, krajobraz brunatny, czarnawy. Wysoko w górze niebo wciąż szare, jednolite. Spada kilka kropel deszczu, za mało, by spłukać truciznę, by dać żyć nowemu, co się na śmierci może narodzić.

Oto w oddali zauważa jeździec skarłałe sylwetki. Chodzą po polu, oglądają, przykucają. Im bliżej podjeżdża, tym więcej widać. Kędzierzawi, w pozlepianych futrzanych kamizelkach, brudnych koszulinach i dziurawych portkach, noszonych jedne na drugie. Wyłuskane z zie-

mi biżuterie, zmatowiałe złote zęby, co tylko się błyszczy – podnoszą, oglądają, próbują, chowają za pazuchę. Szybko spostrzegają jeźdźca, ale nie czują strachu. Patrzą – z daleka bronie nie widzą, on jeden, ich siła.

Jeździec wstrzymuje wierzchowca w dystansie.

– Czy to ziemia polska? – zakrzykuje do nich.

Starzy chłopcy popatrują nań. Oczy ich są ukryte pod zapchlonymi włosiskami. Nagle zaczynają śmiać się drwiąco, jak stado ptaszysk. Spróchniałe resztki zębów, brudne twarze i diabelskie głosy wzbudzają strach w jeźdźcu. Spina konia ostrogami, mocniej niż kiedykolwiek. Aż do wierzbowego zakrętu ściga go bluźnierczy rechot. Lecz gdy ogląda się jeszcze, już z oddali, chłopcy tłuką się między sobą, rwąc kłaki z głów, łupiąc oczy, kłając niczym sfera opętanych szaleństwem kundli.

Pod wierzbami jest most i rzeka. Jeździec zatrzymuje się na popas, poi konia, sam nie ma już jadła, więc tylko zrywa podeschniętą gałązkę i żuje, by oszukać głód. Ale wie już, że do domu wrócił. Poznaje zakręt, wierzby, mostek, zna okolicę. Jak dobrze popatrzeć, to za wierzbami, za nadrzeczными chaszczami widać już bryłę drewnianego szynku. Żyd go prowadzi, stary Skrobisz. U Skrobisza ma jeździec dług wdzięczności z dawnych czasów, więc na pewno nocleg i posiłek znajdzie.

Mostek dudni i ugina się, gdy przejeżdżają – jeździec i koń – na drugą stronę. Bezlistne bzy i leszczyny połyskują surowym drewnem, poobdzierane z kory, poszarpane w bitewnej zawierusze.

Tuż zaraz znajomy szynk.

Już widać, że pusty. Drzwi otwarte, okna wybite, puch z pierzyn turla się po obejściu otoczonym niskim płotkiem. Jakieś dobra wyrzuczone na dwór: naczynia, śliczne rzeźbione meble, obrazy. Wszystko poniszczone, zdeptane. Cisza wokół, Skrobisz nie wychodzi, nie wita. Pies jego, Znajda, nie wylatuje skądś z przymilnym szczekiem. Nie słychać głosów z szynku, znajomej Skrobiszowej przyśpiewki. Cisza.

Jeździec schodzi z wierzchowca, który niepokoi się czymś, co tylko zwierzęta mogą wyczuć. Przywiązuje wodze do płotu, kładzie dłoń na chrapach konia. Potem wchodzi do szynku.

Główna izba jest pełna sprzętów, z których żaden nie stoi tak, jak powinien. Meble powywracane niczym martwe żuki godzą w powalę sztywnymi pośmiertnie nogami. Przewrócone szafki zieją pustką, stolki i ławy w podobnym nieładzie. Wszędzie skorupy, strzępy, brud – znak, że Skrobisza wzięto, wygnano lub zabito. Jeździec przeszukuje znajome pokoje, żaden nie zachował się w takim stanie, jaki pamięta. Nie ma też nigdzie Skrobisza, żywego lub martwego. Może zdołał uciec?

Jeździec wraca do jadalni. W opustoszonej kuchni znalazł butelkę wina, którą Skrobisz przed Skrobiszową chował w sobie tylko znanym miejscu, oraz wzgardzony ułamek chleba. Ktoś kopnął go pod ścianę, na okurzonej skórce widnieje wzór podeszwy.

Posiłek trwa długo. Po kilkudniowej głodówce włączęgi chleb i wino smakują tak, że żal zjadać od razu. Ale już zmierzch powoli zachodzi do szynku, gasi jasność w oknach, a jeździec chce ujechać jeszcze kawałek, nawet jeśli miałby wrócić tu na noc.

Koń niecierpliwi się, rzy, ogląda na zarośla. Jeździec znów uspokaja go znajomym gestem, głaszcze masywną rdzawą szyję. Chmury na niebie tężeją, ciemnieją, schodzą coraz niżej...

Za labiryntem bzu i leszczyny są już pierwsze zabudowania gospodarskie. Wszystkie chaty, obory, stodoły, kurniki są znane, ale snują inną opowieść. Mówią głośno o grabieżach, gwałtach, podpaleniach; przewrócone płoty, podziurawione płoty, podziurawione belki pamiętają, ile razy je strzelano. Pierza tu więcej, pomyka po stratowanej glebie niczym śnieg. Kilka kur chodzi samopas po drodze. Rudy kot na wierzbie siedzi tak spokojnie, jakby nic się tu nie stało. Ludzi nie widać.

Jeździec w przejeździe ogląda obsrane przez gęsi podwórka, puste okna, rozwarte drzwi, nieme kominy. Czuć lekko spaleniznę, ale

dymu żadnego nie widać, widocznie już się wypaliło. Dawno musieli przejść, ale że nikt się nie ostał – to dziwne, myśli jeździec. Kraina jak wymarła, jego zgliszcza, trupy i wrony nad tym wszystkim.

Lecz cóż widzi? Oto odmykają się drzwi pod zielonym gankiem i człek jakiś, starowina, motelką próg omiata. Znajomy ten siwy puch nad uszami, znajome wartkie ruchy, przygarbione plecy. Jeździec podjeżdża, tamten go nie widzi, a i słuch najwyraźniej ma już słaby.

– Powitać! – woła jeździec, rad, że ma się wreszcie do kogo normalnie odezwać.

Dziadeczek odwraca się lękliwie. Widzi jeźdźca umorusanego, potarganego, znużonego, ale uśmiechniętego. Widzi prostą szablę u boku, sfatygowany mundur. Rogatywki brak, lanca i karabin gdzieś przepadły...

– Pochwalony! – odpowiada dziadeczek, oczy mu się śmieją. – Witam i dobrego życzeń! Czegóż szanowny pan ułan szuka? Jeśli jadła i napitku, to proszę w gościnę. Gość w domu...

– Do domu jadę – odpowiada jeździec. – Tu moje rodzinne strony.

Dziadeczek przygląda mu się baczniej. I po chwili poznaje młodzieńca, którego dawno temu lał tęgo za wybieranie jajek z kurnika.

– Kajtek! Na Boga miłościwego! Kajtek od Rachowickich!

– Kajetan, panie Grzelak. – jeździec zeskakuje z wierzchowca i ściska pomarszczoną dłoń starowiny. – Z wojny wracam.

Stary Grzelak zaprasza go do chałupy, gdzie nie czuć już swądu spalenizny, ale swojsko pachnie barszcz w garnku na fajerce. Jeździec dostaje wodnistą, ale gorącą zupę w nadtłuczonym talerzu, do tego pajdę chleba i pochłania go już tylko jedzenie. Później, na prośbę Grzelaka, opowiada o wojnie, bitwach i o tym jak błądził w poszukiwaniu ojczyzny. Grzelak kiwa głową, dziwi się i smuci. Wreszcie sam wspomina, jak się potyczki pod wieś przeniosły, jak część ludności opór stawiała, część się w domach pozamykała, a reszta uciekła do la-

sów Waliszewskich. O starym Skrobiszu nic nie wiedział, ale gdybał, że cwany Żyd pewnie siedzi teraz w lesie.

– Mało kto we wsi został – mówi Grzelak, wyciągając z kredensu butelczynę nalewki jeżynowej. – Walczyli, do partyzantki poszli, po-uciekali... Tera kto wraca co jakiś czas, ale większość nie wraca. Puste chałupy zostały. Pochowalim tych, co zginęli, obcych i swoich. I żyć dalej trzeba.

– Ano trzeba. A co u nas we dworku słycać?

Grzelak posępnieje, ucieka wzrokiem.

– Dwór pusty stoi.

– Jak to...?!

Starowina wzdycha ciężko.

– Jak tamci przyszli, to chcieli wasz dom na koszary zagrabić. Ale wiesz, Kajtek, że ojciec twój to wielki narodowiec, patriota, do dworu najeżdźcy wpuścić nie chciał. Broni nie było, a słowem samym powstrzymać się nie da... Rozstrzelali go pod śliwami.

Kajetan przełyka z trudem gorycz tej nowiny.

– A matka? A Elżbietka?!

– Pochowalim ich wszystkich na cmentarzu.

Kajetan zapłakał. Grzelak chciałby go pocieszyć, ale nie znajduje słów. Siedzą w ciemnej izbie, ogień trzaska pod fajerkami. Milczą.

– Ściemnia się. Pościelę ci łóżko, zostaniesz na noc...

– Do domu wrócę – mówi Kajtek drżącym głosem.

– Nie puszczę cię do dworu – rzecze Grzelak z nagłą stanowczo.

– Licho tam jakieś złe zamieszkało. Nikt teraz do dworu nie chodzi.

– Licho? U nas? Też gadanie.

– Licho, licho. Jak szanownego seniora... już po wszystkim zajęli dwór i do nocy siedzieli, ale potem coś ich wyгнаł z domostwa. Wszystkich oficerów, co chcieli tam nocować. A dwóch to nawet po-traktowało, że hej! Skórę im z pysków zdarło.

Kajetan patrzy na niego bez słowa, popładły.

– Posłali tam paru młodszych z latarkami, pod bronią, ale ich też dopadło. Rozszarpało. Obdarło. – Grzelak łyka suto nalewki. – Ze dwa razy tylko zdołali wypalić. Ponoć jak ojca waszego strzelali, coś spadło z nieba i wleciało przez komin. U nas mówili, że szanowny senior przeklął ich przed śmiercią, plagę jakąś spuścił albo czarta zwołał.

– Wiecie przecież, że my chrześcijanie...

– A i coś z waszego chrześcijańskiego domu jatkę se zrobiło. Mówię, jak było. Oficery chcieli dwór podpalić, ale pora była deszczowa, w powietrzu widać mokro i palić się nie chciało. A potem nasi podeszli... to już mówiłem, bitwa była i o czartach nie było czasu pomyśleć. Ale teraz nikt nie chce iść do dworu.

– Ja pójdę, w końcu to dom mój. I to jeszcze dziś, tylko pierw do rodziny zajrzę.

Grzelak milczy, kiwa głową. Obiecuje, że jakby co, to łóżko zascielone będzie czekać. Kajetan dziękuje, dziękuje stokrotnie i pozdrowia dziadeczką. Wsiada na zmęczonego wierzchowca, zawraca w bzy i leszczyny, gdzie wije się boczna droga na cmentarz pod dębami.

Coraz ciemniej, coraz zimniej. Kajetan żałuje, że nie wziął od Grzelaka latarni, bo choć ścieżka prosta, to niemiło się jedzie w taką pogodę. Ale cmentarz już blisko, już widać drewnianą bramę, przez którą przejeżdża się tak samo jak kiedyś, choć już nic takie samo nie jest.

Na poświęconej ziemi Kajetan zsiada z konia i wiąże wodze do bramy. Zwierzę gryzie wędzidło, tak jak jeździec wcześniej gryzł zerwaną gałązkę.

Wiele starych krzyży jest poprzewracanych, wiele grobów zniszczonych. Nowych nie zliczysz, bielą się świeżym drewnem nawet pod zmierzch. Kajetan chodzi od jednego do drugiego, sprawdza nazwiska. Wiele jest mogił bezimiennych, ale przecież wszyscy znali tu jego rodzinę, na pewno umieściliby jakiś znak...

Jest. Duża mogiła na skraju cmentarza, z największym krzyżem, otoczona białymi palikami. Imiona wryte na deszczułkach i poczer-

nione węglem. Wszystkie, prócz jednego. Kajetan staje nad grobem rodziny, jakby nieobecny. Klęka. Jego zmysły przypominają sobie dzieciństwo. Pocałunki matki, brzmienie głosu ojca, gdy nauczał go patriotycznych pieśni. Osobliwy zapach dworu, radość, gdy Elżbietka ciągnęła go do zabawy w sadzie...

Chmury przepływają szybko tuż nad cmentarzem, ciągną na zachód, jakby ścigając dawno niewidziane słońce. Mży. W oddali, w sąsiedniej wsi, wyją psy. Pasma pól nie wyróżniają się już, ponury mrok zatapia w sobie krainę, gasi wszelkie barwy.

Kajetan podnosi się znad mogiły. Ze zdumieniem zauważa, że otacza go czerni, krajobraz znikł, widać tylko krzyże. Znów wyje pies, tym razem bliżej, pod płotem cmentarza. Uwiązany do bramy wierzchowiec płoszy się, parska. Kajetan decyduje się wracać, chociaż dom mniej tam jest niż tu.

Z nieruchomej ciemności dobiega złowróżbne wycie. Kajetan zawraca konia, dojeżdża do krzyżówki i wybiera główną drogę do wsi. Mało tu drzew, trakt przecina pole, widać nieco więcej. Koń przechodzi w galop, spoziera dziko na boki. Wyczuwa to, czego Kajetan jeszcze nie widzi – czarne kształty ścigające się z nimi. Zdziczałe psy biegną polem, kłusują się nawzajem, bo to nie stado, a zgraja, w której każdy z każdym walczy o lepsze. Zbliżają się, zaciskają kleszcze pogoni.

Teraz już Kajetan dostrzega szum czarnych sylwetek po bokach, słyszy cichy oddech kilkunastu gardeł, kilkunastu zębatych pysków. Ogarnia go chłód, ale to nie chłód strachu, lecz lodowata determinacja. Wyciąga zdobyczny rewolwer kawaleryjski, szykuje się, skupia na tych najbliższych, popędza konia...

Wpadają pomiędzy płoty, stodoły, między chałupy. Czuć w powietrzu znajomy swąd spalenizny. Pogoń zostaje z tyłu. Słychać skowyt, kłębowisko ruchliwej czerni nie śmie wkroczyć w obręb wsi.

Na głównej drodze koń zwalnia, jeźdźciec uspokaja się. Jest cicho. W niektórych chałupach jest jasno, w większości – ciemno. Gdzienie-

gdzie da się dostrzec ślady napraw, ale zdecydowanie łatwiej zauważyć ruinę. Przez drogę przebiega chyłkiem lis; musiał przyzwycząić się do polowania w na wpół wymarłej wsi.

Kajetan mija ostatnie chałupy i skręca z głównej drogi na ścieżkę znikającą w sadzie jabłoni. Tu dla odmiany wszystko wygląda tak, jak wyglądać powinno. Wojna pozornie łagodnie obeszła się z sadem, w którym Kajetan spędzał dzieciństwo. Ów pozór jest bolesny, gdy ma się świadomość, co zaszło w majątku. Po kilku minutach jazdy pośród znajomych drzew otwiera się przed przybyszem dziedziniec dworu. Niewiele widać. Budynki gospodarcze stoją w takiej liczbie, jaką zapamiętał. Widać ślady obozowania, uchodząc w pośpiechu, najeźdźca zostawił część zaopatrzenia. Cuchnie. Najwyraźniej srali, gdzie popadnie, kalając ojczystą ziemię. Kajetan woli nie myśleć o tym, co jeszcze tu wyprawiali, a myśl o matce i siostrze dławi mu serce.

Zsiada z konia dopiero przed dworkiem. Przywiązuje wodze do sztachety płotu i wkracza pewnie na ganek. Drzwi wejściowe są otwarte, ale brak w tym zwyczajowej gościny. To znak, że już nie ma domu, że została martwa skorupa. Mając w pamięci słowa starego Grzelaka, Kajetan wyjmuje rewolwer kawaleryjski, choć jego palec nawet nie dotyka języka spustu. Cóż bowiem może go spotkać gorszego od tego, czego już doświadczył? I to w jego rodzinnym dworze.

Wchodzi do zimnej, pustej sieni. Odłamki stłuczonego lustra zasyciają parkiet, rozbijają sylwetkę Kajetana na anatomiczne drzazgi. Za sienią jest przedpokój, stąd rozchodzą się w przeciwległe strony wąskie korytarze. Na lewo są pokoje, na prawo – kuchnia i spiżarnia. Na wprost jadalnia i pokój dzienny, w którym ojciec zwykł podejmować gości. Kajetan idzie w prawo, ogląda pomieszczenia kuchenne. Uchowały się w dobrym stanie, zapewne dlatego że żołnierze nie zabawili w dworze długo.

Słychać szelest z któregoś z pogrążonych w ciemności pomieszczeń. Coś sunie po parkiecie, chrobocze. Kajetan zatrzymuje się, czuje

krw tętniącą w skroniach, zimny pot na karku. Słuch wyostrza się, gdy ledwo co widać. W kuchni przez okno wpada nieco nikłej poświaty, korytarz jest niemal zupełnie ciemny. Z oddali nawet tu dociera wycie psów.

Kajetan przesuwając się powoli wzdłuż ściany, rewolwer ma wycelowany w nicość, w której coś się wciąż niepokoi. Wraca do przedpokoju, przystaje na chwilę, wchodzi do izby. Pusto. Na ławach jakieś płaszcze, pasy. Wyróżnia się spośród nich latarnia, ale brakuje rozpałki. Kajetan sięga do kieszeni, wyjmując niewielką puszczykę z zapalnikami fosforowymi. Zamiera na moment, słysząc, że to w dziennym pokoju ojca coś się załęgło, coś się tam rusza, hałasuje. Drzwi są uchylone, wąska, czarna przestrzeń jest zupełnie ślepa. Kajetan staje przodem do niej, ściąga pokrywkę blaszanej puszeki. Wysypuje zapaliki na ławę, bierze od razu jedną, trze o chropowaty blat. Sycząc i trzeszcząc, rodzi się najpierw iskra, potem płomień, i już może spełznąć na knot lampy, gdzie go płynnym ruchem poprowadziła dłoń Kajetana. Jadalnia rozświetla się powoli tłustą, żółtą wydzieliną płomienia, raczej poświatą niż światłem. Lampa mocno dymi. Kajetan podnosi ją lewą ręką, prawa jest cały czas uzbrojona, czujna.

Krok za krokiem podchodzi do uchylonych drzwi. Oficerki stukają lekko, z godnością. Najpierw do pokoju wsuwa się lampa, zaraz za nią, nieco wyżej, rewolwer. Żółta poświata kreśli kształty sprzętów, nie zgłębia jednak detali, więc przestrzeń dla nieznanego jawić się może jako komora rodem z koszmaru. Oto bowiem wynurzają się z czerni obiekty pół zwierzęce, pół ludzkie, zacierające swe sylwetki lub zlewające się z przedmiotami w jeden hybrydyczny twór, niepodobny do żadnego ziemskiego stworzenia. Formy tu i obłe, i ostre, strzeliste i kabłąkowate, wielkie i dobre – cała budząca podświadomy niepokój menażeria. Jedyne Kajetan wie, że wchodzi do izby poświęconej polskości, że ojciec zgromadził tu sztandary i chorągwie, stroje paradne i odznaczenia, a nawet elementy zbroi sprzed wieków, które odkopa-

no przypadkiem na leżącym w majątku polu. Kajetan zna te kształty, pamięta, gdzie stoi zbroja, gdzie stojak z pordezwiąłymi muszkietami, gdzie orzeł wyobrażony w drewnie, gdzie skrzydła niby to husarskie, w dzieciństwie przez niego dla ojca zrobione.

Wchodzi powoli, a coś ciągle szeleści, miota się, jeszcze poza zasięgiem światła, ale już coraz odważniej przesuwa się granica pomiędzy zółcią a czernią. Ciemność uchodzi, wymyka się, wsiąka w kąty i szczeliny. Kajetan staje w pokoju, podnosi odważniej lampę – skoro dotąd go nie zaatakowało, to może jest bezpieczny?

Izba wypełnia się poświatą. Widać biurko ojca, zaścielone sklejonymi, wilgotnymi papierami, odsunięte krzesło, które senior zwykł starannie dosuwać. Za biurkiem, pod ścianą z rozpostartą chorągwią, burzy się tuż przy podłodze jakiś ciemny kształt. To jedyny ruch, jaki Kajetan może uchwycić wzrokiem. Ruch ten jest słaby i jakby mozolny, więc można podejść bliżej, właściwie już bez strachu...

Kajetan okrąża biurko, podnosi rewolwer..., a potem opuszcza. Palcem zasuwa kurek, wsuwa broń w olstro. Patrzy.

Pod zwiędłą chorągwią z wyobrażonym srebrzystoszarym orłem na szkarłatnym polu kłębi się ogromne, nierówno zarysowane cielsko. Nim wzrok powędruje dalej, już widać, że drży, że wręcz dygocze. Im dłużej Kajetan patrzy, tym więcej dostrzega. Anatomia znajoma, lecz jakby zmieniona, zdeformowana. Tu tułów wygięty, tam dziwna głowa z czujnym okiem, obserwującym go równie bacznie. To musi być jakieś groteskowe przerysowanie, myśli Kajetan. Przykuca, by być nieco bliżej. Widzi już strukturę zachodzących na siebie łusek, widzi skrzydło, które zgięte pod tym kątem nie może być skrzydłem sprawnym. Widzi szpony, jeszcze obleczone jakimś wysuszonym ochłapem.

Wyczuwa już odpowiedź, nim jeszcze umysł ją sformułuje. Instynkt pierwej wie, że to nie łuski, lecz pierze. Że głowa wcale nie jest dziwna, a jedynie wtulona w pozostałe zdrowe skrzydło, ukrywające dziób. Że to wielkie ptaszysko o barwie nieokreślonej, jakiejś szara-

wej, może żółtawej, może białawej. Że jest straszliwie poturbowane, że umiera, ale bronilo się do końca. Leży na parkiecie, ale w kałuży krwi – swojej lub cudzej, a może tej i tej. I umysł już znajduje się na właściwym torze, już zaczyna tłumaczyć. Tu skrzydło krzywe, bo przestrzelone. W boku druga dziura, posoka zastygła w brunaci, ale wcześniej musiała być żywo czerwona. Ptaszyisko pcha ku niemu żółtawy dziób, stara się obrócić, szeleści, chrobocze pazurami, ale więcej już w nim obumarcia niż życia. Kajetan wyciąga dłoń i dotyka mocnego dzioba, którego trzyma się jeszcze zaskorupiona wraża krew. Umysł nie wie, skąd się wzięło to ptaszyisko w izbie ojca, on nigdy nie hodował ptactwa, a jeśli już miałby, to na pewno nie w najcenniejszym dla siebie pokoju... ale instynkt uspokaja, szepcze łagodnie, że tego przecież nie trzeba rozumieć.

I Kajetan nie wie już, czy to sen, czy półsenne majaki. Prostuje się w siodle, przed nim krajobraz jak morze, postacie ludzkie niczym fale zderzają się ze sobą. Ekspłodują bałwany ziemi, słychać huk, wrzask i nowe fale biegną sobie na spotkanie.

Już trąbią do szarży. Koń gna na wprost. Kajetan znów jest jeźdźcem, jeźdźcem wśród jeźdźców, ułanem. Popędza wierzchowca, świrgają niewidzialne kule, któraś strąca rogatywkę z głowy, dym omiata twarz. Słychać: za Rzeczpospolitą!, ale nie wie, czy to krzyczą, czy on krzyczy, czy to tylko w jego głowie. Grzmi artyleria, krzyk wznosi się i opada, trzaska proch w karabinach, wizgają szable... gdzieś tam dwór rodzinny, tu fontanny gleby, piachu i dymu, instynkt ucisza umysł, jeździec pochyła się mocniej w siodle, już wpada z impetem w to morze człowiecze, już pruje je orężem, coś wrywa lancę, sięga po szablę i dalej pruje i siecze, gubią się imiona, nazwiska, zlewają się w jedno, znów wybuch, znów krew, znów ból, błyski ognia, błyska stal, za ojczyznę! Woła, a może to woła tylko w jego głowie...

LECHOSŁAW CIERNIAK

DOSTANĘ DOBRE KONIE

Siedzieli na ławce przy padoku, który wyglądał niczym gustownie urządzonej gazon, ale wcale nie było przyjemnie, bo kłótnia jeszcze trwała, chociaż milczeli.

– Proszę cię, uszanuj moje zdanie – powiedziała potem. – Czy ja się w ogóle nie liczę? Nie jestem przedmiotem, żeby mnie ciągle przenosić z miejsca na miejsce. I powód zawsze ten sam: „tamten tor będzie szczęśliwy”. Powtarzasz to do znudzenia.

– Dostanę dobre konie – odparł J. – Jestem pewny, że...

– Tak było już wiele razy. Dostawałeś wspaniałe konie i byłeś całkowicie pewny – zareplikowała. – Ja chcę mieć wreszcie normalny dom, a nie objeżdżać kraj w poszukiwaniu dobrego toru i wspaniałych koni. I chcę mieć dziecko.

– Tam jest płaski tor, a...

– I chcę mieć dziecko! – powtórzyła, prawie krzyżąc.

– Na płaskich torach...

– Chcę mieć dziecko – przerwała mu po raz drugi, ale teraz zupełnie cicho, niemal szeptem.

– W porządku – powiedział. – Dziecko można mieć wszędzie. Jeżeli tak bardzo chcesz...

– Pomyśl o nas. I w końcu uświadom sobie, że masz pecha. Od trzech sezonów nic ci nie wychodzi – powiedziała, łagodząc, na ile

tylko mogła, nutę pretensji w głosie. Nie chciała go urazić. Pragnęła, by uświadomił sobie, że okres kryzysu, jaki przechodzi, jest już zbyt długi, by mógł być tylko przejściowym niepowodzeniem.

– Już dawno powinienem przerzucić się na płaski tor – odparł.
– Zobaczysz, kochana, że wróci dobra passa. Zawsze lubiłem płaskie tory.

Nigdy nie lubił płaskich torów, ale odkąd suma startów zaczęła się równać sumie przegranych gonitw, wmówił sobie, że przejście na płaski tor zmieni tę sytuację. Nigdy ich nie lubił, bo sukces na nich bardziej zależał od konia niż jeźdźca, a w swoim czasie był na tyle dobrym dżokejem, że mógł sobie pozwolić, by dużo zależało od niego.

– Przyrzeknij, że to ostatni raz – powiedziała. – I że wrócimy tutaj, jeżeli ci nie wyjdzie. – Przyrzekł solennie. – Przyzwyczaiałam się już do tego miejsca i będzie mi trudno wyjeżdżać – dodała po chwili.
– Ale to ostatni raz, prawda?

Przyrzekł po raz drugi. Oboje poczuli się znacznie lepiej i postanowili wracać do domu, którym była jednopokojowa kwatery, mieszcząca się w antresoli budynku przeznaczonego na magazyn jeździeckich utensyliów. Uzgodnili, że wyjadą porannym pociągiem. Uzgodnili też wiele innych spraw, które w przeszłości miały wykluczyć jakiegokolwiek problemy zagrażające ich stabilizacji.

– Nigdy przedtem nie mówiłeś, że lubisz płaskie tory – powiedziała potem mocno wtulona w niego.

Nie odpowiedział. Pośród ciemności nie widziała jego twarzy, ale pomyślała, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Nigdy przedtem nie mówiłeś, że je lubisz.

Ciągle milczał. Mogło się zdawać, że śpi, ale jego miarowy oddech stracił potem rytm i wstrząsnął nim płacz nie do opanowania.

STABILIZACJA

Fred zajmował pokój na poddaszu. Okna wychodziły wprost na stajnię i padok okolony różami. Maneżu nie było widać, bo wyrosłe brzoźki skrywały pieczołowicie tę wyznaczoną bierwionami połąć ziemi. Roztaczająca się wokół zieleń, kontrastująca z anemią tynków, na tyle urzekła Adama, że przestał rozmawiać z Fredem. Wyraźnie posmutniał i dłuższy czas jeszcze milczał, zanim odwrócił się do okna plecami.

– Czuję się dziwnie – powiedział Fredowi. – Najprawdopodobniej źle zrobiłem, przyjeżdżając tu.

– Każdy powinien kiedyś wrócić, by na nowo zobaczyć, skąd wyszedł – odparł spokojnie Fred. – Cieszę się, że znowu cię widzę. Nic jeszcze nie powiedziałeś o Joannie.

– Czuję się dobrze. Jest dobrą żoną i matką.

– Zawsze była przykładnie troskliwa – zauważył Fred. – Wielu zazdrościło ci tego związku, nie wyłączając mnie.

– Tak – powiedział Adam, ale zabrzmiało to jak westchnienie. – Tak.

– Mężczyzna musi mieć żonę i należysz do tych nielicznych, którzy trafili dobrze. Ja w dalszym ciągu nie mam szczęścia do kobiet, jak widzisz. Sypiam sam, jadam sam, a to niezbyt zdrowe w moim wieku.

– A co z Soter Robinem? – zapytał potem Adam.

– Po twoim wyjeździe dosiadał go przez dwa sezony Leon, a potem Robina sprzedali na aukcji.

Wiadomość zaskoczyła Adama. Chciał zobaczyć Soter Robina i, jadąc tu, dużo o nim myślał. Jakże często wspominał tego wspa-
nianego umięśnionego wierzchowca o pęcinach wykształconych więcej
niż należycie, dzięki czemu koń tak dużo zyskiwał na prężności. Lubił
rozważania o nim, bo ilekroć to robił, na nowo przeżywał najpomysł-
niejszy okres w swoim życiu, kiedy to znakomita passa nieprzerwanie
sumowała sukcesy przez kilka sezonów z rzędu, a poza tym przywo-
ływało to chwile, w których czuł się najlepiej. Poznał wtedy Joannę
i wkrótce wyjechali. Było mu bardzo trudno wyjeżdżać, ale Joanna
orzekła, że to zbyt ryzykowne zajęcie dla mężczyzny, który ma być mę-
żem, a on wtedy jeszcze nie umiał sprzeciwiać się kobietom. Uwielbia-
ła stabilizację i równie mocno nienawidziła ryzyka, nawet jeżeli stawką
miała być błahostka. Przyznawał, że zapobiegliwość w tym względzie
ma swoje dobre strony, ale potem coraz częściej uświadamiał też sobie
zgubność decyzji, do której w porywie namiętności dopuścił. I wtedy
już wiedział, że należy do ludzi, którzy nigdy nie powinni zbyt od-
dalać się od siebie i że nigdy nie powinien rzucać tego zawodu. Było
jednak za późno, by cokolwiek zmieniać.

– Coś ci dolega? – zapytał Fred.

– Dlaczego pytasz?

– Wyglądasz dziwnie. Zupełnie jak ksiądz. A każdy ksiądz wy-
gląda na chorego.

– Nie zauważyłem. – Adam próbował się uśmiechnąć.

– Zróbmy sobie przyzwoite popołudnie – zaproponował Fred.

– Tak jak bywało dawniej. Jutro nie mam żadnej gonitwy i mogę się
urząnąć. Dzisiejszy dzień daje dobrą okazję.

Poszli do „Amazonki”. Fred poprowadził traktem obiegającym
stadninę od popołudniowej strony, co znacznie skracało drogę. Adam
doskonale pamiętał ten skrót, jak i wiele innych szczegółów, które te-
raz porównywał z tym, co zachowała pamięć. Nie było tylko kładki
nad strumieniem. Woda okazała się z biegiem lat żywotniejsza i wy-
budowano tu z solidnych bierwion miniaturę mostu.

„Amazonka” okazała się tak samo elitarna jak przed laty, bo sądząc po ubiorach, większość klienteli stanowiła „końska” brać. Usiedli za filarem. Adam przyglądał się obcym.

– Szukasz znajomych twarzy? – zauważył Fred. – Sezon w pełni i rozjechali się po świecie. Zwalą się na jesień.

Potem Fred zamówił, co trzeba, i mówił o czymś, co raz po raz wzbudzało w nim śmiech. Adam zdawał się słuchać, ale nie uszło uwadze Freda, że wymusza pogodny wyraz twarzy.

– Za folbluty – powiedział do Adama. – Pierwsze trzy pijemy za konie.

Potem ponownie napełnił kieliszki.

– Teraz za araby.

I nalał po raz trzeci.

– No i za rasę hunter.

Zamilkli, patrząc na siebie w taki sposób, że w milczeniu nie było nic niestosownego. Dawna przyjaźń budziła wiele miłych wspomnień i przyjemnie było odnajdywać je w sobie.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytał potem Fred.

– Wieczornym pociągiem.

– Musisz?

– Muszę – odparł Adam.

– Myślałem, że obejrzymy wspólnie parę gonitw. I nie chcesz zobaczyć porannych galopów?

– Nie mogę – powiedział Adam. Obiecał Joannie, że wróci wieczornym pociągiem, by odwiedzić syna do jej rodziców, gdzie miał spędzić wakacje. Kochał syna i nie chciał sprawić mu zawodu, a poza tym rozczarowałby Joannę.

– Nie mogę – powtórzył. – Może innym razem.

– Myślałeś kiedyś, żeby wrócić? – zapytał Fred.

– Tak. Ale jest już za późno.

– Znam kilku dżokejów, którzy znakomitą sprawność osiągnęli grubo po trzydziestce.

– To bardzo trudne.

– Na wagę jest sposób, a żeby nie mieć kłopotu z nogami, wystarczy kilka galopów i skakanie. Jestem przekonany, że mógłbyś mieć niejeden dobry sezon.

– Nie mówmy o tym – powiedział Adam. – Lepiej o tym nie mówmy. – Był przekonany, że na wagę zawsze jest sposób, ale wołał o tym nie myśleć.

– Jest parę koni nieobsadzonych – zauważył Fred. – Gdybyś tylko zechciał...

– Wiele spraw skomplikowałbym zanadto. Lepiej o tym nie mówmy.

– Wypijmy za Bostona. Nie ma lepszego na finiszu.

– Nie znam.

– Mój koń. Jeden z lepszych, jaki mi się trafił w tym pięcioleciu.

Potem Fred poweselał i wyraźnie nabrał ochoty do następnych kieliszków.

– Teraz ty nalewaj i mów, za co mamy pić – powiedział do Adama.

W przeciwieństwie do Freda twarz Adama spoważniała.

– Wypijmy za... – Adam urwał, zastanawiając się szybko, za co powinien wypić. Starał się znaleźć coś, co w obecnej egzystencji chciałby zachować i uczcić.

– No za co? – przynaglił Fred.

Twarcz Adama jakby zatraciła żywotność. Faliste linie na opalonym czole były teraz rażąco wyraźne i wyglądał o wiele starzej niż przed chwilą. Fred przyglądał mu się uważnie. Powoli zaczynał go rozumieć. Przyglądał mu się długo i w skupieniu, a potem powiedział, mając już pewność, że rozumie go zupełnie:

– Wypijmy ot tak, po prostu.

LECHOSŁAW CIERNIAK

EKWILIBRYSTA

Leżał sam w ciemności. Od dłuższego czasu nie mógł nic poradzić na bezsenność i nawet w chwilach uniesień twarz Alberta nie pozbywała się wyrazu znużenia. Był jedynym ekwilibrystą w tym cyrku i robiącym to tak dobrze, że coraz częściej porównywano go do pewnego Szweda, któremu karkołomne wręcz popisy na linie zdawały się nie sprawiać żadnych trudności. Nie było to bez znaczenia dla frekwencji i odwołanie jego występu stanowiłoby wysoce przykrą ostateczność, więc samopoczucie Alberta przestało być wyłącznie jego prywatną sprawą. Niepokój spiętrzał fakt, że w tych okolicach o tej porze roku dni zazwyczaj bywały duszne, co w znacznym stopniu zakłócało precyzję stąpania.

Leżał zwrócony twarzą do ściany, kiedy zapukał masztalerz.

– Chciałem z panem pomówić – powiedział masztalerz tonem usilnej prośby. – Zamierzałem przyjść wcześniej, ale miałem kłopoty z końmi.

– Zapal światło i usiądź. – Albert ułożył się na wznak i patrzył w sufit. Nie spojrzął na masztalerza.

– Znowu cię przysłali? Czy nie możemy porozmawiać o czymś innym? Na przykład o dziwkach? O pięknych zdrowych dziwkach.

– Pan sobie żartuje...

– Wcale. Lubię rozmawiać o dziwkach. To jest jedyny temat, który mnie nie nudzi.

– Wiem, że to nieprawda – powiedział masztalerz. – Pan sobie żartuje.

– Po co cię przysłali?

– Mówią, że pan się kończy. Za mało pan sypia i któregoś dnia może coś nie wyjść. Chodzenie po linie nie jest spacerem po deptaku.

– Sądzisz, że to jest aż tak trudne?

– Dlaczego pan nie sypia?

– To ty pytasz, czy oni?

Masztalerz z trudem krył zmieszanie i było mu wygodniej, że tamten patrzył w sufit. Milczał dłuższą chwilę, a potem spojrział na minorową twarz Alberta i powiedział najsubtelniej, jak umiał:

– Powinien pan porozmawiać z lekarzem.

– Nie jestem chory – odparł Albert.

– Ale powinien pan sypiać.

– Dajmy już temu spokój. Dobrze, że przyszedłeś, ale niedobrze, że w tej sprawie.

„To wszystko jest bardzo dziwne” – pomyślał masztalerz.

– Znakomicie pan sobie radzi, chodząc po linie, a traci równowagę, stąpając po ziemi. Trudno to zrozumieć.

Albert nie odpowiedział.

„Dlaczego, u licha, najtrudniej jest mi w nocy?” – pomyślał. Jeszcze zanim Katarzyna odeszła, odczuł udrękę pustki. Poczucie osamotnienia przychodziło powoli, ale z zabójczą systematycznością, i wtedy już wiedział, że jeżeli ktoś twierdzi, że człowiek ma siłę w każdej okoliczności, to jest w tym bardzo mało racji. Wprawdzie godził się na wyjazd Katarzyny, bo jej obecność już od dawna bezpowrotnie utraciła klimat ukojenia, co kiedyś sprawiało, że był innym człowiekiem, ale nie godził się z osamotnieniem i pustką, która go niszczyła. Nie potrafił też zapomnieć tych cudownych, najśliczniejszych uniesień, kiedy jeszcze Katarzyna była ponad wszystkim, choć o samej Katarzynie zapomniał, wcale sobie tego nie wmawiając.

– Czy mógłbym dla pana coś zrobić? – zapytał masztalerz.

– Co?

– Właśnie nie wiem. Ale chciałbym coś zrobić.

– Przekonaj ich, że to wina klimatu. I że będzie inaczej, kiedy zmienimy miejsce. A teraz już idź. Spróbuję zasnąć.

Masztalerz wyszedł, a Albert na powrót ułożył się twarzą do ściany. Usiłował nie myśleć o niczym, ale senność zupełnie pierzchła pomimo zmęczenia i wiedział, że najprawdopodobniej zaśnie dopiero nad ranem.

„Szkoda, że to nie wina klimatu – pomyślał. – Wystarczyłoby zmienić miejsce. Wystarczyłoby tylko tyle”.

LECHOŚŁAW CIERNIAK

PRZEBUDZENIE

Leżeliśmy na słomie i byłoby nam całkiem wygodnie jak na warunki podróży towarowym wagonem, gdyby nie brak oświetlenia. Wprawdzie dokuczał zapach końskiego potu, ale uchyliliśmy drzwi i ten rodzaj klimatyzacji w pełni zdał egzamin. Pociąg wlokł się monotonnie, a zza rozsuniętych drzwi zaglądała upstrzona gwiazdami noc. Nie mieliśmy kłopotu z końmi, bo dobrze znosiły tę podróż i nic nie stało na przeszkodzie, by zasnąć, jeżeli któryś z nas miałby na to ochotę, ale wracaliśmy z poczuciem całkowitej porażki, przejęci tym do głębi, i senność pierchła pomimo zmęczenia.

– Nigdy jeszcze nie przegrałem czternastu gonitw pod rząd – powiedział Gostyn.

– Nie wiem, co się stało – odparłem.

– Może to wina klimatu? Konie nie miały zbyt dużo czasu na aklimatyzację.

– Podczas kontrolnych galopów nie zauważyłem niczego niepokojącego – odrzekłem. – Były w dobrej formie. Wiesz dobrze, jak troszczyłem się o nie.

– Nie mam do ciebie pretensji. Przygotowałeś konie należycie – zgodził się Gostyn.

– Wszyscy byli cholernie zawiedzeni – powiedziałem. – Myśleli, że to jakiś szwindel. Na pewno tak myśleli.

Mijał mi jakaś prowincjonalną stację i światła ramp omiotły wewnątrz naszego wagonu, tak że przez moment widziałem Gostyna, który leżał z siodłem pod głową ze spiętymi dłońmi na piersiach.

– Jak myślisz, co powiedzą, kiedy wrócimy? – zapytał.

– Nie wiem. Ale nie będą zachwyceni. Popieprzyliśmy im statystykę – odparłem. – Będą się czepiać.

– Robiłem wszystko i nie wiem, dlaczego mi nie wyszło. Ciągle o tym myślę – zauważył.

Było mi przykro, że tak fatalnie zakończył sezon, ale inaczej być nie mogło, bo raz po raz powtarzał zasadnicze błędy, zupełnie jakby zestarzał się w ciągu tego miesiąca o dobre kilka lat i już nie czuł toru.

– Te derby zawsze były dla mnie szczęśliwe – powiedział nostalgicznie.

– Tak – odparłem. – W ubiegłym roku pokazałeś tu klasę.

– Miałem dobre konie.

– To były te same konie – powiedziałem.

– Ach, tak. Były dobre. Pamiętasz, jak...

Nie słuchałem Gostyna. Przymknąłem oczy w nadziei, że jednostajny rytm pędzącego pociągu sprawi w końcu, że zasnę. Ale Gostyn mówił długo i zbyt donośnie i chcąc nie chcąc fragmenty jego zdań docierały do mnie. Wspominał ubiegłoroczny sezon mocno podekscytowany, szczegółowo rozpamiętując poszczególne gonitwy, a zwłaszcza te, podczas których naocznie przekonał wielu, że na torze nie ma rzeczy niemożliwych, ja zaś zacząłem zastanawiać się, czy jeszcze kiedykolwiek znajdzie jakiś sposób, by skopiować choć w części niektóre gonitwy z poprzedniego sezonu, ale utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że jego nogi są już zbyt stare i że nie mają nic wspólnego z twarzą Gostyna, która zachowała jeszcze wyraz męskiej witalności.

– Może spróbujemy zasnąć – powiedziałem.

– Nie mogę – odparł.

– Spróbuj. I przestań o tym myśleć. To nic nie pomoże. Stało się.

- Powiedz mi, dlaczego?
 - Co, dlaczego? – zapytałem, jakby chcąc zyskać na czasie.
 - Dlaczego przegrałem te czternaście gonitw?
 - Nie wiem – skłamałem szybko. – Może powinienś wypocząć?
 - Czy to wina koni? Ale mówiłeś, że były dobrze przygotowane.
 - Może rzeczywiście to wina klimatu – powiedziałem tak sobie.
 - A badałeś im tętno? – zapytał, a timbre jego głosu nie tyle wyraził ciekawość co nadzieję.
 - Nie – skłamałem. – Cholera, przeoczyłem to.
 - Kiedy przemieszcza się konie na większe odległości, należy sprawdzać tętno – powiedział, ale bez cienia pretensji w głosie. – Różnice klimatyczne mogą spowodować kondycyjne zmiany.
 - Wiem – powiedziałem. – Strasznie mi przykro, że to przeoczyłem. Powiniennem o tym pamiętać.
 - A podczas wieczornych doglądów zauważyłeś może, że zanadto się pocią? – zapytał z tą samą nadzieją w głosie, co poprzednio.
 - Były niekiedy spocone – skłamałem.
 - No widzisz – powiedział. – To typowy objaw zakłóceń w układzie krążenia.
 - Powiniennem zmierzyć im tętno – odrzekłem i byłem pewny, że sprawiam mu tym przyjemność.
 - Nie przejmuj się już tym. Ale na przyszłość musisz o tym pamiętać.
- Pociąg wjechał na wiadukt, który był bardzo długi i wzmagał hałas.
- Kiedy przejechaliśmy go, wydawało się, że nastąpi cisza.
- Masz rację, że powinniśmy zasnąć – powiedział potem Gostyn.
- I wkrótce zasnął, ja zaś patrzyłem bezmyślnie w drugi kąt wagonu, gdzie majaczył cień białego wałacha i czułem się okropnie. Nie zmrużyłem oka do rana. Gostyn spał jeszcze, kiedy wtocono nasz wagon na bocznice, gdzie mieliśmy oczekiwać na samochód. Konie zniosły tę podróż całkiem dobrze i nie wyglądały na zmęczone. Raz po

raz strzygły uszami, jakby zniecierpliwione oczekiwaniem na powrót do macierzystej stajni. Stojąc w drzwiach wagonu, widziałem w oddali przyszczyżone łąki stadniny, a za świerkowym młodnikiem dachy zabudowań stajennych. Dzień zapowiadał się pogodnie.

Nie zamierzałem budzić śpiącego Gostyna i odsunąłem się od drzwi, jakby w nadziei, że zbudzi go słońce, bo pomyślałem, że powinien obudzić się sam, albo niech to zrobi za mnie ktoś inny. Ogarnął mnie dojmujący smutek i czułem się okropnie.

PEIRESKIA GRANDIFOLIA

– Nie dam – powtórzył stary, zasłaniając sobą kwiat. Nie patrzył na pielęgniarkę, ale gdzieś w bok. Nie chciał na nią patrzeć. Lubił młodego pielęgniarkę, zresztą jak wszyscy pensjonariusze, za hałaśliwe gwizdanie po łobuzersku i za pocieszne zaloty do siostry Anny, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

– To jest mój kwiat – powiedział. – Nie macie żadnego prawa dotykać mojej własności.

– Takie było polecenie dyrektora – próbował wyjaśnić pielęgniarkę. – Tam, gdzie poprzednio była palarnia, będą stały wszystkie kwiaty. Oprócz rzeczy osobistych nie można trzymać w pokojach nic więcej.

– Nie dam i koniec! – Stary przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i ujął laskę w sposób najwyraźniej sprzeczny z jej przeznaczeniem.

– Ja muszę wykonać polecenie. Za to mi płacą.

– Powiedziałem, że nie dam.

Pielęgniarkę stał bezradnie. Nie wiedział, w jaki sposób mógłby sprzeciwić się starymu, by go nie urazić, bo także go lubił. Stary nigdy za wiele nie wymagał i potrafił też uspokoić zanadto rozkapryszonych pensjonariuszy, kiedy młody pielęgniarkę miał ochotę dłużej pobyc z Anną w jej gabinecie. Wobec stanowczej postawy starego poczuł się zupełnie bezradny. Stali w milczeniu naprzeciw siebie przez dłuższą

chwilę, a potem młody pielęgniarz wyszedł bez słowa. Uznał, że najlepiej będzie pomówić z Anną, zanim cokolwiek postanowi.

Stary usiadł na łóżku. Oddychał z trudnością. W chwilach uniesień zawsze miał kłopoty z oddechem i nie mijało to szybko. Spoglądał w stronę okna, przez które widział spory wycinek parku. Dzień był pogodny i większość starców zgrupowała się przy fontannie. Widział też siwą Weronikę, Ambrożego i rachityczną postać Józefa – najbardziej kłótniwe trio.

– Nie dam – powiedział do siebie. Przeniósł spojrzenie na kwiat i przyglądał mu się w skupieniu. Był wyrosły, niezwykajny w swoim wyglądzie, bo jakby pozbawiony kolorów. Tylko brąz i anemiczna zieleń. W ubiegłym tygodniu przesadził go do dużej puszki po marmoladzie, na którą ponalepiał świecące papierki po cukierkach, żeby go trochę ozdabiała. Z zadziwiającą punktualnością odrzucał zbędne pędy i było w tym coś z obrzędu, na tyle doniosłą koniecznością, że stary jadł śniadanie dopiero po tych czynnościach. Kiedy Weronika podarowała mu ten kwiat, zajął się nim bez reszty. Weronika zwykła mawiać, że kwiaty najbardziej przypominają młodość, ale stary nie podzielał jej zdania. Może dlatego że wcale nie potrzebował wspomnień, bo tylko niszczyły w nim spokój, przywołując w pamięci okresy, kiedy miał siłę, ufność i trochę szczęścia, co miało miejsce, zanim jeszcze córka i syn zadomowili się na dobre w odległych miastach w niespełna trzy miesiące po pogrzebie żony. Było znacznie wygodniej znaleźć sposób, żeby o tym zapomnieć, cieszyło starego, że wkrótce rozsadzi kwiat i obowiązki z tym związane pochłoną mu znacznie więcej czasu i że z przyjemnością będzie poznawał to bezszelestne istnienie, bo nauczył się już dostrzegać nawet najsubtelniejsze zmiany w życiu rośliny.

– Nie chciałbym go urazić... – powiedział młody pielęgniarz do Anny. – Nie wiem, jak z tego wybrnąć.

– Niepotrzebnie się kłopotujesz, kochanie. Ludzie starsi często robią z błahostek problemy – odparła.

– Pomyśl o naszej sobocie. Tak rzadko mamy razem wolny dzień.

– Muszę to jakoś załatwić – powiedział.

Od godziny bez przerwy o tym mówił i czuła się znudzona.

– Znowu zaczynasz. Po prostu weź ten kwiat. Zarządzenie jest jasne jak słońce. Teraz właśnie śpią i nie widzę nic prostszego, jak pójść i go stamtąd zabrać. Pomogę ci.

Stary spał wtulony w poduszkę. Pozostali starcy także zapadli w błogi sen i wyniesienie kwiatu nie nastęrczało żadnych trudności.

Pokój, w którym do niedawna mieściła się palarnia, był duży i jasny i kwiaty bardzo ożywiały to miejsce tak, żeby było najodpowiedniejsze do odwiedzin i spotkań pensjonariuszy.

– Ten kwiat jest przecież okropny, a tyle o niego awantury – powiedziała Anna. – No spójrz na tamte... Ten jest okropny. No i ta puszcza...

Młody pielęgniarz spojrział i musiał przyznać Annie rację.

– Taki przeraźliwie szary – dodał po chwili. – Nazywa się peireskia grandifolia. To jeden z najbrzydszych kwiatów.

EDWARD BOLEC

NIKT

(fragment większej całości)

Wstał, zamaskował plecak w zaroślach, na wszelki wypadek, gdyby ktoś odkrył obozowisko podczas jego nieobecności, i postanowił przejść się po parku. Wrócił na górę po skarpie w taki sam sposób, w jaki zszedł na dół. Nigdy za dużo przezorności. Nad rzeką, niedaleko stąd, w odległości nie większej niż kilometr, na wysokości stadionu piłkarskiego „Stali”, parę godzin temu spotkał grupki młodocianych szalikowców biwakujących na trawie przed meczem, obok leżały puste butelki po piwie i winie.

Olszynki wydawały się puste. Daleko od niego kilku chłopców grało w piłkę między drzewami. Dawno temu, w upalne wakacyjne dni, całe miasto opalało się tutaj na trawie, rzeka była pełna kąpiących się ludzi, śmigających w obie strony kajaków i motorówek, a także niesionych leniwym prądem wijącej się łagodnymi zakolami rzeki samochodowych i traktorowych dętek, których właściciele, do połowy zanurzeni w orzeźwiającej wodzie, zażywali równocześnie kąpeli słonecznych. Z brzegu, po stronie wsi, tryskały źródła krystalicznie czystej, zimnej wody, którą piło się ze złożonych dłoni, a zwisające do lustra wody gałęzie rosnących na brzegu wierzb tworzyły naturalne zielone altanki, do których można było wpłynąć na łódce z dziewczyną jak do bezpiecznego portu; w zaroślach zawsze znalazło się miejsce, aby ukryć się przed wzrokiem ciekawskich.

Na końcu parku wznosiła się następna skarpa, druga i ostatnia, zabezpieczająca miasto przed powodzią, gdy raz na kilka lat po wiosennych ulewach rzeka występowała z brzegów i woda podchodziła aż do szczytu tej drugiej skarpy, ale nigdy, jak pamiętał, jeszcze się przez nią nie przelała. Druga skarpa zawsze mówiła rzece: stop!, wtedy zamieniała się z łagodnej, łaszącej się do ludzi kotki w szaloną i groźną bestię, zabierającą ludziom to wszystko, co gromadzili pracownicy przez całe lata, a często także ich samych.

Odwrocił się w stronę drzew. Stały w szeregu jak ogromne kamienne baszty niewidocznego zamku.

– Zobaczyłem was od razu po wyjściu z samolotu – powiedział do siebie półgłosem. – To miasto egzystuje w waszym cieniu, wszystko, co wzniesiono w nim od mojego wyjazdu, nawet najwyższe wieżowce, stoją w waszym cieniu... Czy to nie dziwne? Drzewa patrzące na wszystko z góry, na ludzi, na domy, na ulice, życie pod kontrolą drzew...

Potężne topole zaszumiały:

– Po co tu przyjechałeś? Nie potrzebujemy cię! Nie było cię, gdy wycinano nasze siostry, wracaj tam, skąd przybyłeś! Nikt cię już nie pamięta, nikt nie mówi o tobie ani dobrze, ani źle, jesteś nikim, człowiekiem bez nazwiska! Nie pamiętamy nawet twojego imienia...

– To nieprawda! – mężczyzna wykrzyknął te słowa mocnym głosem, jakby sprzeciwiał się komuś lub czemuś, co ktoś powiedział, ale w pobliżu nie było nikogo, ściemniało się, a wieczorem ludzie bali się chodzić nad Wisłok, żeby nie natknąć się na bandy wyrostków walczących ze sobą, często na noże i kije bejsbolowe, bez żadnych innych powodów.

– To nieprawda! – powtórzył stanowczo mężczyzna i wyciągnął rękę w stronę najbliższego drzewa, ale za potężnym pnieniem nie ukrywał się żaden przeciwnik.

– Musicie mnie pamiętać! – mówił z przekonaniem. – Przychodziłem tu codziennie. Dotykałem dłońmi waszej kory i zawsze robiłem to delikatnie, jak najlepszy przyjaciel!

– Nie pamiętamy! – zaśmiały się drwiąco drzewa. – Od tamtego czasu tyłu mężczyzn nas obłapiało, a niektórzy nawet oddawali na nas moc! Ty zresztą pewnie też!

– Jesteście złośliwe i niesprawiedliwe! – bronił się mężczyzna. – Nigdy was nie zawiodłem, z nikim nie związałem się tak blisko jak z wami, a gdy wyjechałem, często o was myślałem, powracałem do wspólnie spędzonych chwil...

– I co z tego, kiedy cię nie było! Najpierw pozwoliłeś nam przywiązać się do siebie, uwiodłeś nas tym swoim zamglonym spojrzeniem zaczynającego dorosłe życie chłopaka, przez lata całe uczyniłeś z nas swoje najbliższe siostry i przyjaciółki, którym mogłeś bez obawy powierzyć wszystkie, nawet najskrytsze myśli... Gdy byłeś szczęśliwy i miałeś swoją pierwszą dziewczynę, krzyczałeś jej imię na cały głos, opowiadałeś nam, jak było ci z nią dobrze, i przytulałeś się do nas całym ciałem! Wtedy naprawdę nas kochałeś i myślałeś o nas! A potem, nagle, z dnia na dzień, zniknąłeś bez jednego słowa pożegnania...

– Przepraszam! Macie rację! – tłumaczył się mężczyzna. – Zachowałem się jak kretyń, wszystkich tak zostawiłem, nie chciałem, aby mój wyjazd z miasta stał się głośny, obawiałem się, że mogą cofnąć mi paszport, zawrócić z lotniska, to był trudny czas, dla mnie, dla każdego, teraz będzie inaczej, przepraszam!

– Już jest inaczej, od tamtego czasu wszystko się zmieniło – przerwały mężczyźnie drzewa. – Zmienił się świat, ten kraj, zmieniło się to miasto, ty się zmieniłeś i my także. Nie jesteśmy już te same co wtedy, gdy przywoziłeś swojego syna w dzieciennym wózekczku, aby pochwalić się nim przed nami! Ale dzisiaj poznałyśmy cię od razu. Mimo siwych włosów i licznych zmarszczek na twarzy. Poznałyśmy cię po twoich oczach, niebieskich jak oczy ludzi mieszkających nad tą rzeką, poznałyśmy cię po twoich ruchach, jak dawniej szybkich i nerwowych, jakbyś się gdzieś spieszył, zapomniał o czymś i nie mógł zdecydować, co zrobić, czy wrócić tam, skąd przyszedłeś, i dokończyć to, o czym nie

pamiętałeś, czy pomimo wszystko iść dalej, dokąd zmierzałeś. Taki pozostałeś w naszych sercach po wyjeździe z miasta, roztargniony i niezdecydowany, wieczny chłopiec. I taki, jak widzimy, jesteś nadal.

Mężczyzna rozglądał się niespokojnie dookoła. Nie dostrzegał nikogo, komu mógłby przypisać głosy płynące do niego od strony gigantycznych drzew. „Czy ja wciąż śnię, czy to dzieje się naprawdę?” – myślał.

– Tylko my cię jeszcze pamiętamy – mówiły topole. – Nikt więcej! Nie pamięta cię rzeka, bo to już nie ta sama rzeka co wtedy! Tamta była młoda i piękna jak dziewczyna, która przyjechała za tobą z miasta przy słowackiej granicy, gdzie zostałeś jej pierwszym mężczyzną. Dzisiejsza rzeka jest samotna jak kobieta, od której odszedł mąż, dzieci wyjechały do innych miast, a znajomi i krewni umarli. Kto tu dzisiaj przychodzi? Tylko tacy faceci jak ty, których zżera nostalgia za odległą przeszłością, ludzie idący na skróty od mostu Zamkowego do ulicy Lwowskiej i na halę targową, których nie stać na autobus, drobne pijaczki z reklamówką taniego piwa lub wina. W soboty i niedziele jeszcze mniej osób...

– Nie pamięta cię ziemia, na której stoisz w tej chwili – mówiły topole, nie dopuszczając go do głosu. – Powodzie, które nawiedzały nas wiele razy od twojego wyjazdu, przyniosły ze sobą ziemię z gór! Nie pamiętają cię ptaki, które chronią się przed palącym słońcem w cieniu naszych liści, bo to już inne ptaki; ani ryby w rzece, które wymarły, gdy w fabryce silników do MIG-ów pękł zbiornik i to, co w nim było, spłynęło do rzeki, wszystkie ryby usnęły i już nie obudziły się nigdy! Strażacy wybierali je czerpakami i wywozili przez wiele dni. Ryby, które są w Wisłoku, przywieziono w metalowych kontenerach i wpuszczono do rzeki.

– Nie ma też wielu twoich przyjaciół, wyjechali z miasta jak ty lub odeszli tam, gdzie każdy kiedyś rusza w drogę, na której nie obowiązuje bilet powrotny. Nie ma tamtej trawy, po której biegałeś boso

z twoją dziewczyną, a gdy słońce odeszło za zamkową wieżę, a my udawałyśmy, że śpimy, to oparłeś dziewczynę o jedną z nas i robiłeś z nią to wszystko, co sprawiało wam tyle radości i szczęścia. Nigdy tego nie zrozumieliśmy, ale było nam miło, że lubicie przebywać w naszym towarzystwie! A potem przychodziłeś tu z innymi dziewczynami. Niektóre z nich nie podobały się nam, próbowałyśmy ci to powiedzieć, ale nie dawałeś nam dojść do słowa, zawsze byłeś taki nieobliczalny!

– Wy, wy do mnie mówicie? Wy, drzewa, wy, topole? Czy to możliwe, że rozumiem waszą mowę, to nudne zawrodożenie liści na wietrze? – zapytał mężczyzna zdziwionym głosem, jakby przed nim stał drugi człowiek, a nie galaktycznych rozmiarów drzewa. – Mówicie do mnie już dłuższą chwilę, a ja wam odpowiadam i nawet tego nie zauważyłem, że spowiadam się drzewom? Co się ze mną dzieje? Ja śnię czy naprawdę rozmawiam z topolami nad rzeką?

– Mężczyzna uderzył się lekko otwartą dłońią w policzek, jakby sprawdzał, czy jego umysł kontroluje bieg wydarzeń.

– Zawsze do ciebie mówiliśmy – kontynuowały topole – od samego początku, gdy się tu pokazałeś jako mały, nieśmiały, zagubiony chłopak, gdy twój ojciec dostał mieszkanie w bloku przy Baldachówce i przenieśliście się ze wsi do miasta, z tamtego brzegu rzeki na ten brzeg, ale wtedy nie chciałeś nas słuchać, nie próbowałeś nawet zrozumieć naszej mowy...

– Więc jak mogę rozumieć wasz język dzisiaj, kiedy nigdy się go nie uczyłem... Uczyłem się różnych języków w różnych krajach, gdzie byłem, ale języka drzew nie uczyłem się nigdy! – odpowiedział mężczyzna.

– Nie musiałeś się go uczyć, ponieważ zawsze go znałeś – odrzekły topole. – Nasz język przekazali ci twoja matka i twój ojciec, którzy otrzymali go od swoich rodziców, i tak aż do tamtego dnia trzeba by się wrócić, gdy pierwsze ziarno upadło w tym miejscu na ziemię i dało początek całemu naszemu rodowi nad rzeką, ludziom i drzewom...

Ale samo otrzymanie w spadku naszego języka nie wystarcza, aby go rozumieć, potrzebna jest jeszcze miłość, która otwiera serce i znajduje drogę do naszego języka, ukrytego na dnie duszy każdego człowieka z tych stron, a i to nie zawsze wystarcza, ty jesteś tego najlepszym przykładem, gdy byłeś głuchy na naszą mowę, gdy słuchałeś innych, twoich kobiet, szefów, wrogów, bo przyjaciół nie miałeś zbyt wielu... Wtedy nie mogłeś nas usłyszeć, chociaż odzywałyśmy się do ciebie za każdym razem, gdy tu przychodziłeś... A przychodziłeś często i my cię witałyśmy delikatnym szelestem liści latem lub drzeniem gałęzi zimą, gdy wszystkie liście opadły... Ale ty nie odpowiadałeś na nasze powitanie...

– Rzeczywiście, pamiętam ten wasz szelest latem, drzenie gałęzi zimą, lecz myślałem, że to wiatr od dynowskich wzgórz powodował te odgłosy...

– Wiatr wiał, gdy go wołałyśmy, żeby ci powiedzieć: Witaj, chłopcze, i nie martw się, bo jak może pamiętasz, przechodziłeś tu przeważnie po to, żeby się wygadać przed nami i samym sobą, żeby zebrać myśli, które często krążyły w twojej głowie jak dzikie osy w powietrzu... Przypominasz sobie, jak jednego dnia przybiegłeś i krzyczałeś, że wydrukowano twoje opowiadanie, że będziesz pisarzem...

Mężczyzna milczał. Topole wiedziały o nim wszystko. Był nawet z tego faktu zadowolony... Nikt do tej pory tak naprawdę nie interesował się jego życiem. Żona i syn uważali go za dziwaka, egocentryka i egoistę, pochłoniętego pisaniem tekstów, których nikt nie czytał, i monotonnym uprawianiem od lat tych samych ćwiczeń fizycznych. Gdy któregoś dnia ostatecznie zrozumiał, że nie będą go szukać, jeżeli nie wróci na noc do domu, spakował swoje najważniejsze książki i wyjechał do Nowego Jorku. Tak było lepiej dla nich wszystkich, on był wolny, zgodnie z jego wyobrażeniem o wolności, a oni nie musieli chować się przed ludźmi za jego skrajne poglądy, zawsze odbiegające od opinii normalnych ludzi, za których się przecież uważali. I tak już zostało, nawet po tym, gdy udało mu się zostać urzędnikiem w dużej

firmie na Manha. Egzystowali na innych biegunach, on zanurzony po uszy w swoich opowiadaniach pisanych do szuflady, oni w ekskluzywnej dzielnicy North End w Boltonie.

– Dlaczego milczysz? – szydziły drzewa. – Nie masz nam już nic do powiedzenia? Dawniej tak dużo mówiłeś! Pamiętamy jeszcze twoje monologi sprzed lat! Nigdy nie słuchałeś, co my próbowałyśmy ci przekazać! Nieraz bolały nas już uszy od twojego paplania! Nie chcesz mówić o porażkach, o swoim nieudanym życiu, o samotności, która cię zżera jak rak mieszkańców tego miasta?

Słońce skryło się za zamkową wieżą, zapaliły się latarnie przy asfaltowej alei, żaby schowane w dżungli krzaków na obu brzegach Wisłoka rozpoczęły swój wieczorny koncert. Mężczyzna usiadł na ławce w cieniu jednego z drzew.

– Gdzie się chowasz? – zawołało drzewo. – Nie widzę twojej twarzy, chciałabym patrzeć ci w oczy, gdy do ciebie mówię!

– Nie wiedziałem, że jestem na przesłuchaniu! – z sarkazmem w głosie odparował mężczyzna. – Myślałem, że jesteście przyjaciółmi, że sprawię wam radość, gdy przyjdę nad rzekę...

– I nie mylisz się, cieszymy się, że jednak o nas nie zapomniałeś do końca, ale zasady dobrego wychowania obowiązują każdego, także ciebie...

– No dobrze, widzisz mnie teraz? – mężczyzna obrócił się twarzą do drzewa.

– Znacznie lepiej, teraz możemy pogadać! – odparło drzewo. – Gdy zniknąłeś z miasta, postanowiłyśmy szybciej rosnać. Myślałyśmy, że może z naszych wierzchołków zobaczymy, dokąd się udałeś, ale mimo wydzwignięcia się ponad najwyższe domy w mieście, ponad wieżowce na skarpie i ponad wieżę na zamku nie natrafiłyśmy na żaden ślad po tobie. Ptaki, które co roku na wiosnę przylatują z innych krajów, także nie spotkały cię podczas ich wędrówki. Sądziłyśmy, że zginąłeś gdzieś w świecie i już nigdy nie będziesz krążył między nami

i gadał do siebie. Ale jednak wróciłeś! Na starość każdy próbuje wrócić do miejsca, skąd wyszedł. Zatacza krąg, jak słońce na niebie, i wtedy czuje się spełniony. Ten, kto tego nie dokona, podobno umiera w hańbie i poniżeniu. Tak przynajmniej sądzą ludzie. Ty pewnie też, skoro tu jesteś!

– Przyjechałem na grób rodziców! Nie mogłem być na pogrzebie ojca rok temu, gdy umarł, więc jestem teraz. Czy to niewystarczający powód, żeby pokazać się w tym mieście? Czy aż tak was drażni moja decyzja o powrocie? Zapewniam was, że nie zabawię tu długo! Za kilka dni wracam tam, skąd przyjechałem!

– My cię nie wyrzucamy z miasta. Jesteś jego zaginioną częścią, jak brak kociego łba w bruku Baldachówki, gdzie spędziłeś swoje najlepsze lata – powiedziały topole, a ich listki zadrżały, jakby nagle, w środku lata, powiał lodowaty wiatr.

Nad rzeką zapadła już głęboka noc. Lamy rzucały niewiele światła na asfaltową aleję. Cały park tonął w nieprzejrzystej czerni, wierzchołki topoli ginęły w otchłani granatowego nieba podziurawionego odległymi gwiazdkami. Ojciec umarł blisko rok temu, ale on do tej pory nie oswoił się z nową sytuacją; że już nigdy nie zatelefonuje do niego z Manha, jak robił to przez całe długie lata, i nigdy już nie będzie słuchał jego narzekań na zdrowie, nie dowie się, że boli go „kiszka stolcowa”, ma zaparcia, problemy z oddychaniem, nie śpi po nocach, nikt go nie odwiedza, kończy mu się forsa, głowa mu pęka, puchną nogi, nawala serce, poci się i nie ma czym gryźć jedzenia, które przygotowuje mu pani Maryla. Już nigdy!

– Twój ojciec to był gość – odezwały się topole. – Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale twój ojciec mógł żyć jeszcze kilka lat. Umarł, bo był samotny. Upadł, uderzył głową w żeliwny kaloryfer i miążdżycza, która do tej pory powoli przygotowywała się do ostatniego skoku na jego schorwane ciało, wykorzystwała natychmiast chwilowe osłabienie organizmu, zawładnęła nim bez reszty i nie było już ratunku.

– To wszystko wiem, od moich braci – rzekł mężczyzna. – I czuję się winny, że nie mogłem być na miejscu, gdy mnie potrzebował...

– Mogłeś, gdybyś nie wyjechał, nie tłukł się po świecie, nie szukał szczęścia tam, gdzie go nie ma...

– Może macie rację – mężczyzna potrząsnął głową, jakby przyznawał się do błędu, do popełnienia przestępstwa przed wysokim sądem. – Ale co zmieni przyznanie się do winy? Nie wróci życia mojemu ojcu, mojej matce, nie odejmie mi zmarnowanych lat, nie przyciemni moich siwych włosów.

– Nie wyglądasz na szczęśliwego człowieka, a masz przecież wszystko, co jest potrzebne do szczęścia. Jesteś zdrowy, silny, a czas, który minął, niewiele cię zmienił. Trochę przysrebrzyłeś skronie, ale nawet ci z tym do twarzy. Zachodzą tu ludzie, których znałeś, z którymi się spotykałeś, a nawet przyjaźniłeś, ale oni są schorowani, zmęczeni życiem, są całkowitym przeciwieństwem ciebie. Powinieneś więc czuć się szczęśliwy, a z twoich oczu patrzy samo nieszczęście... Twoja dusza jest chora, ale na to nie ma żadnego lekarstwa...

– Sam nie wiem, dlaczego tak jest – usprawiedliwiał się mężczyzna. – Urodziłem się chyba pod parszywą gwiazdą. W moim życiu wszystko rozpadło się, jak dom z drewnianych klocków dotknięty ręką dziecka, które go przed chwilą ułożyło. Dokąd sięgam pamięcią, prawie zawsze robiłem to, czego nie chciałem. Chodziłem do złych szkół, uczyłem się nie tego, co mnie interesowało, z czym wiązałem przyszłość, spałem z kobietami, których nie kochałem, a te, które chciałem mieć, nie zwracały na mnie uwagi, pracowałem w zawodach, których nie znosiłem, a które sam sobie wybrałem, nie będąc do tego przez nikogo zmuszony. Mój problem to niewiara w samego siebie i odkładanie na potem, na przyszły czas tego, co powinienem zrobić teraz, od razu, w tej chwili!

– Mówisz dziwne rzeczy – odrzyknęły topole. – Ucz się od nas. Do szczęścia potrzeba tak mało, trochę słońca, wody, powietrza i miło-

ści. To w zupełności wystarcza. Słońca dzisiaj było tak dużo, przez cały dzień, woda jest w rzece i w ziemi, powietrze tu najlepsze... Miłość... cóż, o nią jest najtrudniej, ale ludzie, którzy tu przychodzą, kochają nas, chociaż często sami o tym nie wiedzą. Gdyby nas nie kochali, nie przychodziliby tutaj, nie siedzieli na ławkach między nami... Posłuchaj piosenki, którą śpiewamy często wieczorem, po tak pięknym dniu jak dzisiaj...

*Jesteśmy szczęśliwe,
Słońce nas ogrzewa,
Rzeka nie pozwala
Uschnąć nam z pragnienia,
Dobra ziemia nas żywi,
Powietrza mamy w bród,
A ludzie nas kochają!*

Ostatnią linijkę zwrotki topole powtórzyły trzy razy, coraz głośniej, coraz radośniejszymi głosami, trzepotały przy tym listkami jak tamburynami, koniki polne grały cieniutko na swych delikatnych skrzydełkach jak na skrzypcach, żaby rechotały jak instrumenty perkusyjne, wróble, gołębie i rybitwy były niezastąpione w naśladowaniu puzonów i saksofonów. Wszystko, co żyło nad rzeką, w wysokiej trawie, w przybrzeżnych szuwarach, w krzakach nieprzebranych od lat przez człowieka, w nieprzebranych gałęziach drzew parku, uczestniczyło w koncercie.

Mężczyzna poderwał się z ławki i rozglądał dookoła, zaskoczony, że jest świadkiem czegoś, co nie powinno się w żaden sposób wydarzyć. Ale koncert trwał nadal, topole kolejny raz wyciągały wysoko zwrotkę o powodach swego szczęśliwego rośnięcia w migające gwiazdami granatowe niebo, a wiatr od dynowskich wzgórz łagodnymi, ciepłymi podmuchami dyrygował w najlepsze tą nieprzeliczoną orkiestrą.

ANNA CZUJKOWSKA-WŁODARSKA

DWIE STRONY ULICY

Dziennik z ubiegłego tysiąclecia

LIPIEC

Nie dostałam się na studia. Wstyd na całą wieś. Ledwie poczęta romanistka, a już skasowana prawem egzaminu wstępnego. Nie zdałam. Tak po prostu. A tak pięknie rozprawiałam na ustnym o muzyce Claude'a Debussy'ego... Wiedziałam od pewnej studentki, że egzaminator uwielbia *Popołudnie fauna*, nie byłam więc zaskoczona, gdy starszego pana ożywiło moje nagłe wyznanie. *L'Après-midi d'un Faune* należało wymawiać głosem ściszym i łagodnym, wskazującym na znaczny poziom wtajemniczenia. Wielka szkoda, że nie podziałało...

* * *

Trawy stały nieruchome w słońcu, gdy trzeci już raz w tym tygodniu wracałam z odległej poczty, aby osobiście przejąć powiadomienie z uniwersytetu, zanim z torby listonosza trafi wprost w ręce ojca. Już wiedziałam, że nie przyjęto mnie z powodu niezdanego egzaminu, oficjalną jednak przyczyną miał pozostać brak wolnych miejsc. Przez chwilę żalowałam, że nie byłam w liceum kujonem i że nie ewakuowałam się bezpiecznie na studia bez egzaminu na świadectwie z czerwonym paskiem. Widziałam na liście sporo takich szczęśliwców. Zbyt

wielu... Staram się nie wychodzić z domu, by nie prowokować pytań o moje studia. Ojciec jest załamany, zupełnie nie potrafi tego ukryć. On także unika ludzi. Tylko pies patrzy na mnie niezmiennie zakochanym wzrokiem. Przekłête muchy czynią poobiednią ciszę nie do zniesienia. *L'Après-midi d'un Faune, L'après-midi d'un Faune...*

* * *

Nie chciała mnie wyższa uczelnia, ale sam Lublin nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Wypatrzyłam dziś kilka urokliwych uliczek, na których bym pragnęła zamieszkać. Już wyobrażam sobie jesień w tych ulicach i pierwszy śnieg pod latarniami. Czuję w sobie ogromną potrzebę pisania i niezbędną ku temu potrzebę samotności. Przejechałam szmat drogi, by się w tym mieście zakotwiczyć. Należało poszukać pretekstu, czyli czego? To pewnie bez znaczenia, jeśli nie będę mogła studiować filologii romańskiej. I tak przyjdzie mi zdawać jeszcze raz za rok. Z egzaminów pamiętam, że jakiś chłopak zdawał szósty raz i zdradził wszystkim, iż tym razem go na pewno wezmą. Zawsze biorą tych, którzy zdają szósty raz. Mnie będą musieli wziąć za drugim, a na razie – muszę gdzieś przeczekać. Może nawet nie byłoby to wszystko takie trudne, gdyby i szkoły pomaturalne nie pozamykały już swoich przyjęć. Mój wybór padł na studium hotelarskie, właśnie z powodu obcego języka. Sekretarka szybko zamknęła temat: – Brak wolnych miejsc, ponadto wcześniej tam też przeprowadzano egzaminy. – Z trudem udało mi się dostać do dyrektora.

– Błagam pana, niech mnie pan przyjmie. Obiecuję mieć same piątki, a co najmniej czwórki. Przy pierwszej gorszej ocenie mnie pan wyrzuci lub sama honorowo opuszczę mury szkoły – zapewniałam żarliwie. Dyrektor wydawał się poruszony moją historią i niezwykłą determinacją. Po chwili namysłu zdobył się na pewną obietnicę, która jednak nie mogła mnie w tym momencie satysfakcjonować.

– Zapraszam panią pod koniec września, zwykle do tego czasu ktoś z naszej szkoły rezygnuje, wtedy panią przyjmę. Obiecuję.

Perspektywa wydawała mi się zbyt odległa i niepewna. Podziękowałam i udałam się na dalsze poszukiwania. Następne w kolejności było studium geodezji i kartografii, obszary najzupełniej obce. Upewniwszy się, że w grę wchodzi rysunek techniczny, sama straciłam zainteresowanie. Moją uwagę przykuło jednak obecne w tym samym budynku studium melioracji.

– To dla chłopców, proszę pani. Nie mamy u siebie ani jednej damy. Rozumie pani, specyfika pracy, brodzenie po mokrych łąkach...

– To coś naprawdę dla mnie, niech mi pan uwierzy – zapewniam.
– Uwielbiam podmokłe łąki, jestem wychowanką pól, łąk i lasów. Mam duszę romantyka, ale nie boję się konkretnej roboty.

Sekretarka udała się na krótką naradę do jakiegoś gabinetu i wróciła z werdyktem:

– Na próbę możemy przyjąć do grupy jedną przedstawicielkę płci żeńskiej, ale czy poradzi sobie pani z rysunkiem technicznym?

– O rany, to i tutaj? – zwątpiłam ostatecznie i postanowiłam poszukać czegoś równie przyziemnego, ale niewymagającego tak dalekiej precyzji. Studium gastronomiczne. Przybytek niewysokich lotów, w sam raz dla kury domowej.

– Ale przynajmniej przez ten rok nauczę się dobrze gotować i nie będę głodowała.

W sekretariacie szkoły pozostała jeszcze jedna drobna formalność – napisać krótkie podanie i życiorys. Szybko sporządziłam jedno i drugie, lecz gdy tylko podałam kartki sekretarce, ta oddała mi je z powrotem:

– Niech to pani jakoś normalnie napisze...

– Nie bardzo rozumiem, to znaczy jak? – zapytałam nieśmiało.

– Normalnie to znaczy normalnie! – wyskandowała przez zęby i podała mi nowe kartki. Zapełniłam je ponownie, pomijając tym ra-

zem pewne punkty życiorysu, starając się uchronić własną tożsamość przed inwazją najwyraźniej odmiennej, obcej mi natury. I tym razem jednak mój życiorys wrócił do poprawki. Przeczucie mi podpowiadało, że to, co mam napisać, nie może w niczym przypominać pracy szkolnej i że powinno być ujęte bez należynej dbałości o styl. Nie bardzo mi się to podobało, jednak skleciwszy naprędce trzęsącą się ręką parę zdań, poddałam je ponownej ocenie. Werdykt doprowadził mnie do szału.

– Do jasnej cholery! – nie wytrzymałam wreszcie, wrzasnąwszy na cały głos. – Dla waszej zasranej szkoły nie będę gwałciła własnej natury, nie będę się zniżać do poziomu, jaki tu, w szkole, wystarcza do sterczenia nad garami. Dziękuję, z całego serca pani dziękuję, że mnie pani otrzeźwiła – to mówiąc, zgmiotłam zapisaną kartkę w ręce i cisnęłam przez otwarte okno.

– *Adieu, Madame, je t'emmerde!* – wykrzyczałam, gdy byłam już po drugiej stronie drzwi, nie mając odwagi wypowiedzieć w ojczystym języku nazwy tego miejsca, w które by mnie miała pocałować.

Pozostał jeszcze ostatni punkt programu – studium włókiennicze. Rzecz na tyle obca, że niestwarzająca zagrożenia na przyszłość. Nie było bowiem możliwe, bym mogła z czegoś takiego cokolwiek dla siebie utkać. Kilka zdań napisanych najgorzej, jak potrafiłam, z wciśniętym na siłę błędem ortograficznym – i już byłam przyjęta. Uczucie ulgi i straszliwej straty, jak cyrograf podpisany własną krwią.

SIERPIEŃ

Byłam dziś w Lublinie. Przejrzałam kilka urokliwych zakątków, które bym chciała oglądać z okien mojego lokum, lecz w żadnym nie oczekiwano lokatora. Pewna śliczna, wyzywająco ubrana dziewczyna, przejęta moimi poszukiwaniami, obiecała dowiedzieć się o dodatkowe miejsce dla mnie u swego gospodarza. W międzyczasie zaprowadziła mnie do knajpy, gdzie pracowała jako kelnerka ze swą starszą siostrą. Ogromna była moja wdzięczność, że obie – tak doskonale i dopra-

cowane w każdym calu – chcą mi poświęcić swój czas. Mnie, kopcuszkowi i prowincjonalnej gęsi. Jednocześnie, obserwując skierowane ku nim łakome, lubieżne spojrzenia mężczyzn, obudziły się we mnie obawy, że nie sprostam ich prawdopodobnemu stylowi bycia i że nie będę go chciała podzielać. Chroniłam w sobie wyobrażenie o wielkiej, czystej miłości.

* * *

Dzisiejsze poszukiwania stancji zakończyły się sukcesem. Tym razem woził mnie taksówkarz, któremu się wydawało, że zna kilka dobrych miejsc, a na koniec, uciekłszy się do tak zwanego zdrowego rozsądku, zawiózł mnie w rejon myjej „uczelni”, bym przynajmniej miała blisko na zajęcia. Będzie czekało na mnie miejsce przy ulicy Truskawkowej. Cóż, truskawki lubię, ale sama ulica – straszna. I w nazwie, i we wszystkim, co ją tworzy. Z pewnością nie uda mi się tam spłodzić żadnego dzieła.

* * *

Ten mariaż z włókiennictwem to ani z miłości, ani z rozsądku. Jakiś akt autodestrukcji, który by miał potrząsnąć moim życiem, a jednocześnie odholować mnie w rejon bezpieczny, na przeczekanie. Tyle tylko, że przez cały ten czas, który do niczego ma nie doprowadzić, ojciec będzie musiał łożyć na moje utrzymanie. Bez sensu, naprawdę bez sensu...

Zmieniam decyzję – pójde do klasztoru. Oczywiście nie na serio, bo nie wyobrażam sobie nie mieć w przyszłości męża i dzieci. Wi-działam się ze znajomą zakonnica. Pojedziemy do samego matecznika, aby mogła mnie zaprezentować swoim przełożonym. Martwię się, że

siostra zakonna, która powiezie mnie na oględziny, ma zbyt dużą nadzieję, że zechcę tam pozostać. Już sama nie wiem, nie wiem, co by było dla mnie lepsze. Powiedzmy, że nie wykluczam możliwości, iż mogłabym pozostać w klasztorze na zawsze. Tak naprawdę nikt mnie nie kocha, prócz może jednego cholernie inteligentnego dziwaka, ale wiązać się z nim to bronić go przed całym światem i jakby nigdy nie mieć domu.

Być może kiedyś odnajdzie mnie moje szczęście, ale ono przecież by mnie odnalazło i w klasztorze... Fajnie by było uciec z kimś wartym grzechu. Skądś nabieram pewności, że dopiero w tych grubych murach, za zamkniętymi ciężkimi drzwiami, coś się dla mnie otworzy. Bo taka ironia losu, bo może i ja jestem pomyłką natury, jak to o sobie mawia ów największy w okolicy dziwak, wietrzący być może powinowactwo dusz?

Pójdę więc do klasztoru, choć sama jeszcze nie wiem, czy to dobry pomysł. Prawdopodobnie mogłabym tam kontynuować grę na fortepianie (ściślej – na organach). Wyobrażam sobie, że pracowałabym jako organistka w jakimś kościele, najchętniej w tym, w którym by msze odprawiał On – wielbiony przeze mnie ksiądz, wybranek serca. A nawet jeśli zdecyduję się znów zdawać na studia, to rok spędzony na muzykowaniu nie byłby rokiem straconym, a w zamian za codzienną modlitwę dostalabym wikt i opierunek. Ogólnie – nie najgorzej.

* * *

W klasztorze było z powodu mojego przyjazdu wielkie święto, na deser podano nawet lody. Jedna z dziewcząt, które na czas nauki szkolnej, a jak widać, także podczas wakacji pomieszkują w klasztorze i są zapewne zdeklarowane Bogu, zapewniła mnie, że nie jest tak zawsze. Ucztę wydano z okazji mojego przyjazdu. Nie bardzo rozumiem po co.

Naprawdę nie jest mi to na rękę i jest mi z tego powodu głupio, bo czuję się tu trochę jak koń trojański. Ostatecznie przecież nie wykluczam, że mogłabym tu zagrać miejsce na dłużej, ale problemem mógłby być brak bratniej duszy. Te trzy dziewczyny zupełnie jakieś lewe, bez fantazji, sztywne i nieprzyjemne. Zupełnie nie znają się na żartach i widać, że mnie nie lubią. Już zapowiedziały, że nie będą mogła nosić mojej dżinsowej spódnicy i że z pewnością siostry obetną mi włosy. To ostatnie zabrzmiało złowieszczo. Długie włosy to połowa mojej osobowości i zamach na nie byłby rzeczą straszną. Przecież nawet i tu, w zakonie, pierwsze okrzyki wydane na mój widok brzmiały:

– O! Maryla Rodowicz! Jaka podobna do Rodowicz!

No właśnie, spróbujcie obciąć Maryli włosy – gryzłaby i kopała jak wściekła klacz i ja swoich nie oddam. Wybłągam pozwolenie na warkoczyki, to druga połowa mojej natury. A jakby Rodowicz wyglądała w habicie? Intrygująco zapewne. Jak terrorystka. Jak zamachowiec, który ma za zadanie wysadzić klasztor w powietrze.

Zaliczyłam dziś jedną wpadkę: rozczesywałam umyte włosy, siedząc na parapecie okna. Promienie słońca miały je uczynić jeszcze jaśniejszymi.

– Na Boga, dziewczyno, schodź no tu szybko, toż tam na dole, na ulicy, już całe zbiegowisko, nie widzisz?! – jakaś straszna zakonnica wpadła zdyszana do pokoju. Faktycznie, nie zauważyłam pochłonięta własnymi myślami, jednakowoż owo naruszenie normy zaczęło mnie niebezpiecznie bawić. Podobnie jak wyrywające mi się co chwila małe, w gruncie rzeczy niewinne słówka, udające prawdziwe przekleństwa, które wywoływały u bezwzględnych dziewcząt falę ogromnego zgorzzenia. Inspirowało mnie to tylko do dalszych, coraz śmielszych prób przełamywania tabu.

* * *

W klasztorze rozprawiano dziś o mojej muzycznej edukacji. Miałam zdecydować, kto będzie mi udzielał lekcji gry, przebywająca na miejscu siostra zakonna czy mieszkający w pewnej odległości od klasztoru starszy pan – profesor muzyki. Decyzję podjęłam natychmiast, podpierając ją silnym argumentem:

– Znając siebie, proszę sióstr, decyduję się na mocną rękę. Żadnej łagodności, żadnego folgowania. Niech mnie już uczy ten profesor, przynajmniej będę miała nad głową bat.

– O, to nasza siostra jest równie wymagająca. Moje dziecko...

– Być może – ostrzegłam – ale z pewnością ma zbyt dobre serce, a ja to zaraz wykorzystam. W tej nauce nie wolno mi w niczym popuścić: Muszę grać albo dobrze, albo wcale!

Stanęło na profesorze. Bogu dzięki, bo pewnie bym oszalała, będąc skazana na ten wieczny, nieustający babiniec.

Potem czekało mnie spotkanie z matką generalną. Akurat przyjechała do Polski z jakiejś misji w Afryce. Czułam się trochę jak na egzaminie. Pytała o religijność moich rodziców i o towarzyszące mi, w związku z perspektywą życia zakonnego, emocje. A ja nie kryłam, że jest mi w tej chwili bardzo smutno, gdyż wiem, że nie będę mogła mieć własnych dzieci, ale też to wszystko po to, bym bardziej mogła kochać cudze, i że tak wielka ofiara będzie miłsza Bogu.

Dziś niedziela. Jako nowo przybyły do zakonu gość otrzymałam w darze serca od sióstr przywilej stania na mszy w pierwszym rzędzie. To nie lada wyróżnienie. Rozumiejąc, jak bardzo to dla nich ważne, byłam gotowa oddać ów przywilej którejkolwiek z nich, najchętniej tej, którą by on najdogłębniej ucieszył. Ostatecznie jednak, nie mogąc odstąpić przywileju, stanęłam w bliskości ołtarza z postanowieniem rozpoznania sytuacji. Było tak, albo może tak mi się tylko zdawało, że ksiądz cały czas lustrował mnie wzrokiem. Stałam w dzinsowej spód-

nicy, z włosami rozpuszczonymi jak nimfa błotna (jak mawiał mój dziadek) albo też jak Maryla Rodowicz – ksiądz zapewne obstawił któryś typ. Miał silny, donośny głos. Zdecydowany i męski. Co chwilę wtórował mu chór tych słabych i monotonnych, wydobywających się jak z najgłębszych czyścówych otchłani. Zrobiło mi się tych siostr strasznie żal. To są chore głosy – skonstatowałam. – Wszystko tu jest chore. On przychodzi z zewnątrz, ze świata żywych, one zaś utrzymywane są w niekończącym się letargu, bo zapewne tylko tak mogą tu przetrwać. Biedne istoty, może i któraś z nich tęskni za kimś lub choćby i do niego – do niego jak do mężczyzny, tymczasem on dziś spośród wszystkich wybrał mnie, należąca do jego świata, pachnąca jeszcze świeżo skoszoną łąką, wysmaganą słońcem... No nie, coś mi się wydaje, że droga do mojego Umiłowanego nie prowadzi przez kościół, a wręcz przeciwnie.

* * *

Przewrotna kartko, ale byś mi narobiła ambarasu! Siedzę rozdygotana i zgrzana jak mysz! Wypadła mi szelma z rąk, a ja patrzyłam bezwolnie na jej zygzakowaty lot. Byłam pewna, że śledzę ją cały czas wzrokiem, tymczasem się okazało, że w spodziewanym miejscu upadku jej nie było. Nie do wiary, istne działanie sił nieczystych. W przybytku jak ten może być to nawet możliwe, bo diabeł lubi się zakradać do miejsc świętych, lubi kusić i mącić. Ja sama mam nieodparte wrażenie, że w krótkim czasie stałam się kimś gorszym, niż jestem naprawdę. Boże, przebacz mi. Pomóż mi odnaleźć tę przeklętą kartkę i pozwól mi stąd bezpiecznie odejść, a będę Cię najgorliwiej wyznawała w świecie zwykłych śmiertelników. Narobiłam straszego bałaganu, gdyż wydawało mi się, że zapisany kawałek papieru mógł się przedostać przez uchylone drzwi szafy pomiędzy półki z garderobą

jednej z dziewcząt. Ledwie poukładałam na nowo jej osobistą bieliznę. Zlitował się w końcu nade mną Święty Antoni, specjalista od rzeczy zagubionych. Gdy tylko padłam na kolana z imieniem jego na ustach, przyjęta pozycja horyzontalna umożliwiła mi dostrzeżenie niesfornej zapiski pod łóżkiem, sprytnie ukrytej za nóżką nocnej szafki.

* * *

Przyszedł czas powrotu do domu. Będę musiała wszystko raz jeszcze przemyśleć. Zapewniono mnie, że drzwi klasztoru będą od-tąd stały przede mną otworem. Wystarczy, że usłyszę głos „Przyjdź do mnie”. Siostra, z którą wyruszyłam w drogę powrotną, była ze mnie bardzo dumna. Wyznała mi poufnie, że matka generalna wiąże ze mną ogromne nadzieje:

– Ta dziewczyna dobrze wie, czego chce. Tak wielkiego powoła-nia nie widziałam jeszcze, jak moje dwudziestopięcioletnie!

WRZESIEŃ

Przeżyłam pierwszą, straszną noc na Truskawkowej. Jakoś zupełnie nie pomyślałam, że należało mieć własną kołdrę i poduszkę. Noc była przeraźliwie zimna, przez wentylator w ścianie przenikało mroźne powietrze. Strasznie pusto i nieprzytulnie, z pewnością szykowano to pomieszczenie na kuchnię. Jak się dowiedziałam, ma tu stanąć jeszcze jedno łóżko, gdyby znalazła się chętna osoba, bo pokój jest duży. Całe szczęście, że pani przyniosła mi kołderkę dziecka, włożyłam ją sobie pod głowę. Spałam, a właściwie trwałam w dreszczach do rana, przy-kryta tylko letnim płaszczem. Gdy wybrałam się na rozpoczęcie roku szkolnego, szkoła świeciła pustkami. Uroczysta inauguracja odbywała się ponoć w kinie Kosmos. Wróciłam na stację po kilka drobiazgów – i już zaplanowałam weekendowy wyjazd do mieszkającej w stoli-

cy siostry. W drodze na dworzec, gdy akurat mijałam moją przyszlą szkołę, zatrzymało się przy mnie osobowe auto. Dziewczyna w moim wieku, jak się okazało – także przyszła włókienniczka – rozpaczliwie poszukiwała stacji.

– Popatrz – mówiła – szwagier wozi mnie tu z kołdrą i poduszką, musi już wracać, a nie ma mnie gdzie z tym majdanem zostawić...

– Hej, mówisz: z kołdrą i poduszką? No tak, to duży problem, ale się nie martw. Jedźcie na Truskawkową, tam w moim pokoju jest jeszcze jedno wolne miejsce!

* * *

Po trochę opóźnionym powrocie na stację mój los wyraźnie się poprawił. Marcysia okazała się precudnym, przesympatycznym stworzeniem, a przy tym z ogromną zaletą w postaci ciepłej kołdry i poduszki. Dodaje mi też otuchy, gdy nagle tracę poczucie sensu. Nudzę się na lekcjach, zamiast rysunków technicznych (jednak znalazły mnie i tutaj) szkicuję twarz jednej dziewczynki w niekończących się replikach. Marcysia w tym czasie sporządza za mnie rysunek techniczny, zapewne w zrozumiałej trosce, by za szybko mnie z tej szkoły nie wyrzucili. Brak włókienniczego powołania trudno na dłuższą metę ukryć.

– To kiedy nas pani opuści? To nie jest miejsce dla pani – powiedział nauczyciel jakiegoś przedmiotu (nie zdążyłam jeszcze zapytać Marcysi, jak się ten przedmiot nazywa). Wszystkie one są do siebie bardzo podobne. Ciekawa jestem, skąd wiedział, że mam to wszystko w głębokim poważaniu, przecież nie mogę mieć tego wypisanego na twarzy.

* * *

Dziwne, że i w takiej szkole nauczyciele wygłaszają mowy o wyższości wykładanego przez siebie przedmiotu nad innymi. Czyż można przedkładać jeden przedmiot nad drugi, jeśli nijak nie da się odróżnić jednego od drugiego? Jedna pani nauczycielka dziś usiłowała nam to wmówić. Jedyne, co mi po tym zostało, to ten oto wierszyk:

*Ciągle się po klasie wlecze,
Mówi, by nie ważyć lekce
Tego to przedmiotu, który
– Nie wiem, jak się zowie z fachury.
Nazwiska jakoweś sypie
Autorów książek w jej typie,
A ja milczenie mam w głowie
Po każdym jej sztywnym słowie.
Kajetu nie mam żadnego,
Ni tego i ni owego.
I książek ja nie posiadam.
I myślę. I nic nie gadam...*

* * *

Dałam dziś straszną plamę, ale najpierw nie na żarty się wystraszyłam. Późne powroty do domu mogą przyprawić o atak serca. Gdy tak szłam wzdłuż cmentarza przy Unickiej, a było już grubo po dziesiątej w nocy, zauważyłam idącego za mną mężczyznę. Przyspieszyłam kroku, a on uczynił dokładnie to samo. Czułam na karku jego oddech.

– Dobry wieczór – powiedział, zrównując krok z moim.

– Dobry wieczór – usiłowałam odpowiedzieć przyjaźnie, by oswoić potencjalnego wroga. Na szczęście powinnam była już skręcić w bocz-

ną uliczkę, więc istniała realna szansa na pozbycie się delikwenta. Ten jednak nie miał zamiaru odstąpić ode mnie, nawet wtedy gdy musiałam wejść w ciemny, niebezpieczny zaułek.

– Niezbyt miło tak samej łązić po nocy – wyrzuciłam z siebie, ale widzę, że i pan musi pokonywać te egipskie ciemności...

– Czasem trzeba, a jakże! – wykrzyknął radośnie.

– No to co? – zapytałam z udawanym zaciekawieniem, kryjąc szczery przestach, gdy osobnik nadal kierował za mną swe kroki. – To tak sobie dalej idziemy razem?

– A idziemy! Dobrze się składa!

– Pana tu na żarty zbiera, a ja powiem panu coś fajnego. Jednego razu, gdy wracałam do domu, nie byłam w stanie namierzyć, gdzie właściwie mieszkam. Wszystko przez ogórki, które dotąd stały w słóikach na balkonie i wskazywały mi właściwy dom pośród tylu podobnych do siebie, a tego dnia – zniknęły. Pan sobie wyobraża? Gospodyni sprzątnęła ogórki, a ja zupełnie straciłam orientację...

– Złapałyby za dużo słońca, trzeba je było schować do piwnicy.

– Zapewne tak było, jak pan mówi, ale proszę sobie wyobrazić moje położenie: stałam na dworze jak bezdomna, jak dziecko we mgle. Bo ja tu, proszę pana, mieszkam na stacji od niedawna, tu niedaleko... – kontynuowałam opowieść jak Szeherazada. Na nic się to jednak zdało, bo natrętny adorator, najwyraźniej nie chcąc mnie opuścić, doprowadził mnie już pod sam dom.

– Teraz muszę się już naprawdę z panem pożegnać. Właśnie tu mieszkam – wyszeptalam drżącym głosem, obawiając się sięgnąć po klucze.

– Wiem, wiem, panienko. Ja otworzę, mam klucze na wierzchu – to mówiąc, sięgnął ręką ku ścianie i sprawił, że w górze rozbłysło światło.

Patrzyłam na niego z zapewne niewyraźną miną.

– Tak myślałem, że mnie pani nie poznała. Za mało bywa pani w domu.

* * *

Mieliśmy dziś pierwszy sprawdzian z jakiegoś przedmiotu. Potem Marcysia mi powie – z jakiego. O dziwo, zadanie okazało się dość ciekawe; mogłabym się nawet pokusić o rozwiązanie, gdybym tylko wiedziała, jaki jest do niego klucz. To jakby ktoś po chińsku zapytał cię o godzinę. Nic prostszego, bo przecież masz zegarek, tylko jak to wyrazić po chińsku? Było jakoś tak: na punkt oddziaływały różne siły, trzeba było coś wyliczyć. Liczby wyglądały znajomo i zachęcająco. Z matmy byłam niezła. Pan od tego przedmiotu stał przy mnie wyczekująco, byłam więc zmuszona przystąpić do pracy: *Jestem punktem zawieszonym w przestrzeni, bez oparcia, a to znaczy, że nie oddziałują na mnie żadne siły* – pisałam w największym natchnieniu, zainspirowana treścią zadania. Pisałam długo, długo, uchwyciwszy dziewiarski wątek. Swoją pracę oddałam jako jedna z ostatnich i czułam, że atmosfera zagęściła się bezpowrotnie, na tyle, iż coś musi się wydarzyć.

* * *

A to coś niesamowitego zdarzyło się już dziś. W drzwiach klasy stanęła moja koleżanka z liceum i wywołała mnie z lekcji. Kochana Agatka, jak ona mnie tu znalazła? Po oblanym egzaminie na studia wyładowała w studium medycznym na drugim końcu Polski i po paru tygodniach ścielenia łóżek miała już serdecznie dość.

– Rzucaj w cholere tę przędzalnię, jedziemy do Szczecbrzeszyna! Od października otwierają się tam eksperymentalnie, dla takich niedobitków jak my, studium nauczania początkowego. Za trzy dni egzamin... – Agata wyrzuciła z siebie jednym tchem, z emocji czerwona jak burak.

Tej decyzji nie trzeba było nawet podejmować. Spadła prosto z nieba i ukazała oczom wielki kawał błękitu.

PAŹDZIERNIK

Egzamin wstępny do nowej szkoły był samą przyjemnością. Trzeba było wystukać parę rytmów i zaśpiewać piosenkę. Wybrałam przepiękny utwór Georges'a Moustakiego *Le facteur*. Przejmujący liryczny wstęp z rozdzierającą serce wokalizą, mówiący o śmierci młodego listonosza i o tym, że miłość nie może już podróżować, gdyż straciła swojego posłańca. Chyba naprawdę zapadł w pamięć zacnej komisji, bo już za parę dni wpadł do nas na zajęcia dyrektor szkoły i szukał tej pani, która „tak pięknie śpiewała po francusku”. Musiałam zaśpiewać piosenkę jeszcze raz, a potem jeszcze jedną.

Obie nasze grupy są złożone z samych desantowców: niedoszły biolog, filozof, filolożki i psycholożki, pedagog i wuefista. Mieszkają wszyscy, gdzie popadnie. My we dwie z Agatą mieszkamy w domku przybudowanym do muru kościelnego, w małym pokoiku, w którym mieści się jeden spory tapczan, chuda szafa i piecyk elektryczny. W jeszcze mniejszym pomieszczeniu, zawieszonym pół piętra wyżej niczym wagonik górskiej kolejki, zgotowano nam „kącik czystości”: stojącą na krześle metalową miskę i wiadro z wodą. Wodę nosimy z publicznej studni, znajdującej się nieopodal, po drugiej stronie ulicy. Brakuje tu wprawdzie jednego ważnego gabinetu: Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale awaryjnie sprawę można za 50 groszy załatwić na nieodległym dworcu PKS lub w zięjących otwartymi kraterami miejskich szaletach, przyległych do największej w miasteczku speluny. Warunki nieszczerne, zważywszy na dość wysoką miesięczną opłatę. Trudno jednak mieć pretensje do losu. Gospodyni sprawę od początku postawiła uczciwie.

– Musicie tylko wiedzieć, dziewczęta, że nie będziecie miały w domu ubikacji. My tu wprawdzie mamy swoją na piętrze, ale nie praktykujemy wspólnego użytkowania. Będziecie sobie chodzić do toalet publicznych. To wam pewnie nie będzie przeszkadzało? – patrzyła na nas badawczo, z nadzieją w oczach.

– Oczywiście, że nie. Nie ma sprawy, prawda? Bierzemy? – Agata spojrzała na mnie prosząco.

– Pewnie, że bierzemy – przytaknęłam skwapliwie, daleka od drobiazgowości, czym rzecz całą zamknęłam i definitywnie przypieczętowałam...

* * *

Spartańskie warunki życia mają tę dobrą stronę, że wymuszają niezbędny do przetrwania ład. Nie ma na ten przykład mowy o tym, żebyśmy się miały nadprogramowo obżerać. Fizjologia nie ma prawa nas zaskoczyć. Jeśli chodzi o mnie, całe popołudnia spędzałam w szkole, nie odstępując pianina. Gra na tym instrumencie jest wysoko postawiona w programie szkoły, a ja mam możliwość ją doskonalić i – co nie bez znaczenia – nie muszę tracić kasy na dworcu PKS.

Aby uczynić życie prostszym, oszczędzamy wodę i czas. Myć się trzeba, rzecz jasna, ale już takie jajko bez problemu można ugotować grzałką, co automatycznie daje wrzątek na zaparzenie herbaty. Agata w swoich udoskonaleniach poszła jeszcze dalej – gotuje grzałką mleko. Ja nie znoszę mleka i nie znoszę tych brązowych wiórów, które potem trzeba obrywać z grzałki, jeśli nie chce się pić obrzydliwej lury, czyli śmierdzącej spalenizną „bawarki”.

* * *

Nie wiem, po jaką cholere Agata zarządziła odchudzanie. Nie jestem aż tak zdeterminowana, właściwie nawet nie jestem gruba i nie mam też dla kogo walczyć o nienaganną sylwetkę. Ostatecznie jednak zgodziłam się cierpieć dla towarzystwa. Wolno nam w ciągu dnia zjeść

trochę chudego twarogu lub gotowane jajko, czasami prosto z drzewa zerwane, cherlawe, niedorozwinięte jabłko. Już parę dni chodzę smutna i zła. Życie nie jest sprawiedliwe. Munia, która wynajmuje pokój po sąsiedzku, u dwojga starszuchów, jest przez nich bez przerwy podkarmiana i na dodatek może korzystać z ich wygódki. Tyle tylko że w naszej sytuacji jedzenie jest wysoce niewskazane.

* * *

Strasznie mi wstyd, zdradziłam dziś moją najlepszą koleżankę. Diabli ponieśli nas do kina, na jakiś film. Agata pewnie pamięta tytuł, a ja pamiętam tylko tyle, że w filmie tym zamawiano w knajpie jajecznicę. Było to ponad moje siły, wierciłam się i musiałam być nieznośna, bo Agata, widząc moje zniecierpliwienie, poradziła, bym już raczej sobie poszła do domu. I poszłam, ale do knajpy.

– Jajecznicza z dwóch jaj, proszę!

* * *

Moja współlokatorka wyraziła dziś swoje ubolewanie, że mimo trwającej już dwa tygodnie głodówki ja chudnę dużo wolniej niż ona. Udało mi się ją w końcu pocieszyć i uwolnić od poczucia winy. Żeby tylko Munia się nie wygadała... Od tygodnia już po cichu przywołuje mnie do siebie i podkarmia pierożkami albo plackami ziemniaczanymi, które dostaje od starszuchów.

– Chodź, chodź – woła mnie konspiracyjnym tonem – nie wiemy Agacie...

* * *

Ufff, mamy za sobą straszny dzień. Agata dostała list, po którym się wściekła i oświadczyła, że z odchudzaniem koniec. A że akurat dostała z domu pieniądze, zamiotła ręką w szerokim geście i oznajmiła, że jeszcze dziś je przeżremy.

– Do restauracji! Natychmiast!

Zamawiałyśmy wszystko, co było możliwe, ale dla niej zakończyło się to strasznymi boleściami brzucha. Po paru godzinach męczarni ogarnęła się wreszcie:

– Popatrz – powiedziała – chudniesz wolniej, ale i tak masz zdrowsze kiszki.

LISTOPAD

Małe miasteczka mają w sobie mnóstwo tajemnego uroku. Całe życie toczy się tu na jednej głównej ulicy z rzędem niewysokich domków i sklepami po schodkach. Pełne kocich łbów, tych odwiecznych kamieni, od których odbijają się kościelne dzwony, i z wyczuwalnymi zawirowaniami w powietrzu, czymś na kształt światów równoległych. Na późne jesienne spacerunki wybieram te właśnie strefy graniczne, uaktywniające się w mgłach i w deszczu.

Gdyby nie listy od Marcysi, nie pamiętałabym ani o wzgardzonej Truskawkowej, ani o koszu, jaki dała mi romanistyka. Lecz oto dowiedziałam się właśnie, że za tamten sprawdzian o punkcie zawieszonym w przestrzeni jako jedyna osoba w klasie dostałam ocenę pozytywną (3+). Co ten równy gość tam robi?

Wczoraj napisałam najdłuższy w świecie wiersz, w którym rozprawiałam się ze wspomnieniami mojej niespełnionej miłości. To pewnie przez bliskość kościołów. Chyba też bardziej mi odpowiada trwanie w niespełnieniu, bo nie czuję się gotowa na bycie w pełni kobietą. Agata umawia się na randki, a mnie zabiera ze sobą jak młodszą sio-

strę. Ta rola bardzo mi odpowiada, bo daje poczucie bezpieczeństwa. Odsuwa ode mnie przyszłość, której się boję. Nie czuję się w takich momentach zbędna ani skrepowana, gdyż weszłam w rolę gramofonu. Jako że nie mamy tu innego sprzętu grającego, umilam zakochanej parze czas śpiewaniem. Pozwalam się nastawić na żadaną piosenkę, choć sama najchętniej wybieram te francuskie. Agata rozpuściła plotkę, że jestem dzieckiem polskiego dyplomaty, które prawie całe życie spędziło we Francji. Zaraz potem przykleił się do mnie pewien niebrzydki chłopiec, który uporczywie próbuje wywołać mnie z domu wołaniem: Francuzeczko! Hej, Francuzeczko! Wciąż jednak nie jestem zdolna potraktować tego serio, bo wykracza to poza przyjętą przeze mnie rolę.

GRUDZIEŃ

Zasypało śniegiem cały Szczepieszyn. Ścisnął mróz i w dyżurnym wiadrze wody w naszym kąciku czystości każdego ranka trzeba tłuc nożem wierzchnią warstwę lodu. Zimno tam jak w psiarni. Doszła nam za to jeszcze jedna toaleta. Wieczorem, pod niebem wyiskrzonym gwiazdami, udajemy się na nadrzeczne łąki i tam pod okiem najdostojniejszego Wieprza każda z nas wybiega w śniegu swoje własne koło, a potem w dowolny sposób znaczy jego środek. Mamy z tego sporo uciechy. Czasami też, gdy straszna zamieć, Munia wpuszcza nas cichaczem do swojej wygodki.

STYCZEŃ

Od rana jesteśmy w popłochu. Zdarzyła się bardzo dziwna historia. Początek był taki, że Agata złamała regulamin i najadła się zbyt późno. Nie mogliśmy przecież wysadzić jej w kole o trzeciej w nocy!

– Idź do kącika czystości – powiedziałam – i tak do rana zamarnie.

Lecz oto dziś rankiem Agata wraca blada i drżącym głosem oznajmia:

- Słuchaj Pusi, gównno zginęło. Nie ma gówna...
- Jak to zginęło? Niemożliwe! A na pewno zrobiłaś? – próbowałam się upewnić.
- Jasne, że zrobiłam. Zginął cały foliowy pakuneczek...
- No to nie mamy gówna. Żadna strata – skwitowałam. Szczerze mówiąc jednak, z tym gównem to sprawa podejrzana.

* * *

Przeżyłyśmy obie z Agatą ciężkie chwile. Wczoraj po południu ta okrutnica doprowadziła mnie do szału. Zarzuciła mi, iż swą nadgorliwością w ćwiczeniach na fortepianie podniosłam poprzeczkę całej grupie, przez co większość ma teraz problem z zaliczeniem. Pech chciał, że trafiła z tym pod „gorącą rękę” (byłyśmy akurat w szkole). W przyływie furii wdarłam się do pokoju nauczycielskiego, wyniosłam dziennik ocen w ustronne miejsce i w akcie samobiczowania postawiłam sobie z muzyki parę dwój, Agacie i kilku innym zagrożonym osobom zaś – czwórki i piątki. O swoim dokonaniu opowiedziałam jej dopiero w domu, gdy musiałam zacząć pakować manatki. Pogodziłam się bowiem z tym, że zostanę skreślona z listy „studentek”. Ale Agata pogodzić się z tym nie chciała, wpadła w istną rozpacz, a potem płakałyśmy obydwie. Ona także była gotowa wrócić do rodzinnego domu.

Rankiem z podniesionymi głowami, ramię w ramię poszłyśmy na zajęcia, aby spojrzeć prawdzie w oczy i ewentualnie pożegnać się z grupą. Okazało się, że sprawa już się wydała, ale na razie nie wyszła poza dwie zainteresowane osoby: pana od muzyki i opiekunkę roku. Ta druga zapytała wprost, kto się porwał na taki czyn.

– Ja – wyznałam – wszystko to moja sprawka.

Odmówiłam jednakże podania powodu, którego na siłę nikt nie dochodził. Życie wróciło do normy.

* * *

Rozstrojowi nerwowemu nierzadko towarzyszy rozstrój brzucha. Całe szczęście, że zła przygoda przytrafiła mi się w niedzielę. Wczesnym rankiem ledwie zdołałam wyskoczyć z łóżka i – narzuciwszy na nocną koszulę tylko długie palto – wystartowałam jak rakietka w stronę publicznych kloak. Omal nie potknęłam się o podlane uryną, zwodniczo tylko przyprószone śniegiem betonowe podesty i o podchmielnego gościa, który wyrósł niespodziewanie na mojej drodze. Do celu dobiegłam grubo spóźniona i w efekcie do domu wróciłam uboższa o pewną niewymowną część garderoby.

LUTY

Ostatni zdany egzamin musiał być uczczony należycie, gdyż oblewanie jest zawsze sprawą poważną. Wybór lokalu padł na naszą stację. W ciasnym pokoju z trudem mogło się pomieścić ponad dwadzieścia osób, było trochę oczywistego zamieszania. Gdy tylko się wynieśli ostatni imprezowicze, a dokładniej, gdy ostatniego wyniesiono, zaszczyliła nas wizytą starsza pani domu:

– Dziś, dziewczęta, przebrała się miarka. Nie mam zamiaru dłużej tolerować waszych gości ani waszego zachowania. Zbyt wiele tego się zebrało... Myślę, że się rozumiemy? Macie dwa dni na znalezienie nowej stacji. Nie będę mówić o wszystkim, bo zapewne się domyślacie, co jeszcze mam na myśli. Szczur przyniósł pod same drzwi taki jeden prezent... Zniósł z piętra po schodach, taki mądry szczur.. Od Świętego Mikołaja! Poprzegryzał woreczek, podziurawił, pogubił po drodze... Wiedział, gdzie położyć. Bardzo, bardzo mądry szczur!

Patrzyłyśmy na nią jak na oprawcę i ofiarę zarazem. Twarz miała bezwzględna i obolała.

– Ale przecież nie możecie mieć pretensji, prawda? – kontynuowała głosem niespodziewanie łagodnym. – Uprzedzałam was, że nie

będziecie tu miały ubikacji i to wam nie przeszkadzało... To teraz jesteście kwita, i możecie się wynosić. Wynosić – poprawiła samą siebie, przybrawszy na powrót groźny ton, pokazała na drzwi i wyszła. A my po minucie ciszy stłumiłyśmy nagły, histeryczny śmiech.

* * *

Awansowałam dziś na drugą stronę ulicy, do okrągłego domu stojącego na zakręcie. Z uwagi na mieszczący się w nim bar-spielunę użyczenie pokoi uczącej się młodzieży objęte jest tu formalnym zakazem. Na końcu długiego korytarza czynne całą dobę Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i ciepła woda w kranie. Pod trzeszczącą drewnianą podłogą toczy się nocne życie, za oknem przekleństwa, śpiewy i rzewne wyznania zawianych gości. Te same obrazy, tylko oglądane z drugiej strony ulicy. Z wielkich panoramicznych okien widać cichy, przyrośnięty do kościelnego muru dom. Dom, w którym nas już nie ma...

KAROL KORYCZAN

OSOBLIWIE SZCZĘŚLIWA TRZYNASTKA

Trzynastego lipca 2011 roku czekam w holu Sheratona na umówione spotkanie z chrzanowskimi Żydami. Widzę ich z oddali, jak jedzą śniadanie. To bracia Mandelbaum. Starszy o siedem lat Roman dobiega dziewięćdziesiątki. Czerstwy, mocno opalony, drobniejszy od brata. Gdy chwilę później robiliśmy „niedźwiedzia” na powitanie, czuło się w nim siłę. Wążył dwukrotnie mniej, lecz jego dłoń miała stalowy uścisk. Towarzyszyła mu sprężysta dama, zadbana, uśmiechnięta, zaciekawiona, mimo siedemdziesiątki. Przedstawiła się po angielsku:

– Jestem Guggenheim.

– Z tych sławnych amerykańskich Guggenheimów?

– Tak.

– Pani też interesuje się sztuką?

– Jak najbardziej.

– Jestem kolekcjonerem, podaruję Pani grafikę *Polski sztetl*, autorem jest artysta z Kazimierza nad Wisłą – Rudnicki.

– Ależ pan hojny.

– Drobiazg.

Brat Romana, Samuel, mój znajomy od siedmiu lat, ogląda podarunki; grafikę, album na temat. Pokazuje pozostałej trójce. Żona Samuela, Ewelina, wertuje wydany po niemiecku album polskich kirkutów i trzy tomy *Skarbów Małopolski*.

– O tu, poznaję chrzanowski kirkut i tu dalej także poznaję.

Potakuję głową, że się zgadza. Tam leżą rodzice obu braci. Mieszkali na Grunwaldzkiej, a za okupacji na Rynku w Chrzanowie i u Zielińskich na Podwalu. W 1943 braci wywieziono do obozów pracy na Dolny Śląsk. Mieli szczęście, że ich nie rozdzielono. Przeżyli ten koszmar. Rodziców zgładzono w Polsce, a siostry w czeskim obozie. W 1945 roku pełnoletni już Roman zdecydował, że wyjadą na Zachód, bo zostali na świecie sami. Mieli już gorzką wiedzę o utracie bliskich. Obozowe i okupacyjne przeżycia, permanentnie, wciskający się niczym kurz – strach mieli za sobą. Zapomnieć, na ile to możliwe, i budować życie na nowo, dłużyć czas razem. Samuel był przecież chłopcem, który powinien zacząć gimnazjum. Ale uczyli się szybko. Wierzyli w Boga i swój fart. Nie mogli zmarnować wygranego na loterii losu. Wiele lat później, gdy czytali strofy wiersza, wilgotniały oczy i brakowało słów.

*Martwi przyjaciele odżywają w Tobie
I martwe pory. Twoje istnienie
Jest cudem, ale inny cud go przewyższa:
Mój czas umarły w tobie odnajduję.*

*Krążę po kraju już nieistniejącym,
Bardzo dalekim, dawno pogrzebanym
Przez moją wolę życia, Czy jest czymś dobrym,
Czy złym, nie wiem, to, co Ty sprawiłeś...*

Dziś Roman jest właścicielem dużej fabryki w Szwajcarii. Tam wszystko musi grać jak w zegarku, to stabilny grunt, mimo że kamień na kamieniu i skała. Dlatego Roman pozwala się reperować od czasu do czasu i nie wypuszcza interesu z rąk. Są z bratem tak bardzo zżyci, że jak na siebie patrzą, to czuć ich wzajemne uwielbienie na odległość. Samuel kocha swą Ewelinę, bo jest jego Rajem neutraconym, gdy nie

umyka oku. Jest wyrazistym centrum na bladym rysunku otoczenia. Ewelina pochodzi z Katowic, ocalała, wyjeżdżając wczesną jesienią 1939 roku. Jak wypada każdej zamożnej Żydówce, nosi bajeczną, rodową biżuterię, do tego najlepsze buty i torebki. Mówi zwięźle, bezstronnie, o ile się da, i na temat. Da się lubić. Oni się tak wspierają, jak góry z dolinami i chmury z niebem.

Oszczędzałem pytania o szczegóły przeżyć braci z okupacji, ale gdy oni żyli w tym czasie grozy w Chrzanowie, przez wiadukt na Krakowskiej od 1942 roku pociągi z wywożonymi na rzeź Żydami gęstniały jak dziś korki na uczęszczanych szosach. Sto metrów dalej od wiaduktu transporty zatrzymywały się na semaforze przed stacją Chrzanów. Trudno powiedzieć, że kwitł, ale tętnił na pewno – tamże intensywny handel. Kosztowności za jedzenie. Ale w napięciu, bo można było dostać kulkę od przekupywanej eskorty niemieckiej. Auschwitz i zagłada pracowały już pełną parą. Stąd to jedynie dziewiętnaście kilometrów. Podobno tą koleją, tuż po wybudowaniu kolei wiedeńskiej, jechał pociągiem cadyk Elimelech z Leżajska. Czczą go do dziś chasydzi, przyjeżdżając na jego grób w Ohelu Leżajskim. Zatrzymał się wówczas w mieście Oświęcim na noc ze swoimi zwolennikami, mając coś do załatwienia. Nie zmrużyli oka, miotali się z boku na bok. To był zwiastun grozy, która nadejdzie na te ziemie za dwieście lat. Zginą miliony ludzi.

Rodzeństwo Mandelbaum tuż przed wywózką na Dolny Śląsk miotało się po Chrzanowie, aby przeżyć okupację. To ktoś z rodziny, to ktoś z chrzanowian podawał im rękę. Było bardzo niespokojnie i niebezpiecznie. W granicach Rzeszy, ale poza granicami pewności egzystencji. Najbliżsi ginęli, obręcz się zaciskała. Po latach przypomną sobie wersy wiersza:

*Sam nie jestem, kiedy stale
cienie moich drogich bliźnich*

*Pozostały w mej ojczyźnie,
Otaczają mnie wytrwale...*

Bracia ukrywali się, bo znali centrum Chrzanowa na wylot. Zakamarki, piwnice, strychy i zaułki. Ale do czasu, aż ich ujęto i wywieziono, na pewno, wydawało się – na śmierć.

Samuel Mandelbaum wspomina czasy szkolne tuż przed wojną. Uczęszczali z Romanem do trójki przy alei Henryka. Lubili z wzajemnością ówczesnego dyrektora szkoły. W wakacje kręcili się po obrzeżach miasta, pływali nad Skałą i Zapadliskiem, na tak zwanej Kopaninie. W czasie przerw lekcyjnych wymieniali znaczki pocztowe z kolegami, w obszernej toalecie grało się w zośkę albo ciepki, na drobne monety, a w klasie w cymbergaja. Na późne lata pamięta się sporo detali ze szczenięcych, wczesnych lat w rodzinnym sztetl, starym Chrzanowie. Ocaleli dzięki Bogu i Go nie zawiedli.

Roman, a szczególnie Samuel byli głównymi architektami odrestaurowania cmentarza żydowskiego w Chrzanowie. Miałem honor im w tym dziele pomagać. Oni po wojnie mogli powtórzyć za Primo Levim, który jak mój ojciec przeżył Oświęcim, „że ukończyli lager”.

Po obozie pamięć robi z ludźmi różne sztuczki. Jakoś tak się staje, że z przeszłości zostają prawie wyłącznie dobre wspomnienia.

Niemcy mieli wyniki w unicestwianiu Żydów i Słowian, dzięki *Gründlichkeit* – fundamentalizmowi. Drażeniu do samych korzeni rzeczy. W czasach wojny to jest piekło, ale w czasach pokoju – może czyścić.

Mandelbaumowie to zdolni ludzie. Niemieckiego nauczyli się w lagrze. Paradoksalnie ułatwiło im to po wojnie start w Niemczech i Szwajcarii. Czuli, że jeśli nic nie jest ważne, to nie ma czego ratować. Nie pytajmy tych ludzi o chorobę dusz – one ciągle płaczą. A bracia mimo to często się uśmiechają, aby ona była niewidoczna, aby budzić rzeczy nowe i potrzebne. Bo każde sedno rzeczy potrzebuje tła i dyskrekcji. Szanujmy wspomnienia, sympatyzujmy z herosami.

MARIOLA KRUSZEWSKA

MALWY

Kiedy się urodził, szeroko rozwarł nozdrza i wciągnął w nie pierwszy, najwspanialszy zapach świata – mleka matki, którą ssało starsze rodzeństwo. Potem poznał inne wspaniałe zapachy – aromat rozgrzanej słońcem trawy, ciepłych rąk człowieka, wikliny. Wachlarz woni poszerzał się wraz z dorastaniem szczeniaka. Świat był naszpikowany zapachami, które młody pies chciwie wdychał i oswajał. Dochodziły z podwórek, ogrodów, pól i lasów, niektóre intrygujące, inne ostrzegawcze, jedne przykre, drugie nęcące, ale najpiękniejszy stał się zapach miękkich jak płatki malwy dłoni małej Gretchen Kügelgen. Pies rósł spowity tą aurą w błogim poczuciu szczęścia, bezpieczeństwa i niewzruszoności swojego miejsca na ziemi, ale cóż znaczą psie pragnienia albo i pragnienia jego pani wobec pragnień panów świata i historii?

Kiedy stary Kügelgen załadował na wóz wszystko, co mógł, łącznie z żoną i dziećmi, klepnął otwartą dłonią koński zad. Zwierzę ruszyło w swoją najdalszą drogę. Ocalona ojcowizna oddalała się nieśpiesznie, nie zważając na rozpaczliwy szloch córki wyciągającej ręce w kierunku szczeniaka. Gospodarz przykłęknął nad zwierzęciem, stawiając przed nim wypelnioną po brzegi miskę:

– I co ty na to, Reks, zostajesz tu, piesku, zostajesz – powiedział w swej twardej mowie, drapiąc psa za uchem. Potem nagłym ruchem zawiązał na szyi szczeniaka długi sznurek, a drugi jego koniec przy-

mocował do płotu. – Pilnuj domu, Reks, pilnuj, piesku. My tu niedługo wrócimy, tak, wrócimy po ciebie.

Ale Reks był tylko szczeniakiem i nie rozumiał, dlaczego chuda linka dławi go, gdy usiłuje dogonić swoich państwa, dogonić i wskoczyć na ciepłe kolana małej Gretchen.

Wkrótce do wozu Kügelgenów dołączyły kolejne. Kawalkada furmanek sunących z prędkością pogrzebowego konduktu zabrała ze sobą namiastki domów i wszystkie swojskie zapachy, których echo wsiąkło w mury, w płoty, w drzewa na długo. Ludzie szklistym wzrokiem zegnali pozostawione kilkanaście albo i kilkadziesiąt lat. Z oporem obracali twarze na zachód, gdzie czekało obce, nieznanne, niechciane.

Nie wiadomo, jak długo tkwił przywiązany, żywiąc się na koniec larwami wygrzebanymi z ziemi, popijany wodą z kałuż – był tylko niczego nieświadomym psem zdany na ludzką niełaskę. Obserwował z coraz mniejszym zainteresowaniem przemarsz czołgów, maszyn, samochodów, konnych wozów. Słyszał podniesione głosy, terkot karabinów, płacz. Czuł zapach ludzkiego potu, intensywnego, bo przesiąkniętego strachem. Słabł, pogrążał się w ośpienie.

Potem przyszli ludzie o zupełnie nowych zapachach. Pachnieli stepową trawą i wiśniowym sadem. Mówili niespiesznie, pieszczotliwie. Ich język przypominał śpiew, w którym brzmiała nieokreślona tęsknota i smutek. Przywieźli ze sobą tysiące nowych woni upchniętych w walizkach i naprędce skleconych tobołkach, woni nieznanych wcześniej Reksowi. Wdychał je chciwie, z zaciekawieniem, choć czasami budziły w nim dziwny, niezrozumiały lęk.

Pewnego dnia czyjeś miękkie dłonie odwiązały z szyi Reksa duszący sznurek. Zwierzę spojrzało na dziewczynę i choć instynkt nakazywał mu uciekać jak najdalej od obcej, jakaś dziwna siła przykuła go do ziemi, której miał pilnować. A może po prostu nie pozwoliły mu na to nadwątlone siły?

I tak stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem i powonieniem. Nie wiadomo, czy Sabinę zdjęła litość nad osieroconym szczeniakiem,

czy wspomnienie tamtego psa pozostawionego w oddalonej o półtora miesiąca jazdy pociągiem chacie, dość, że pochyliła się nad Rekssem i rzekła w swojej niezrozumiałej dla zwierzęcia mowie:

– Będziesz się nazywał Amos. I będziesz należał do mnie, rozumiesz?

Nowo nazwany zamachał energicznie ogonem, chociaż zapewne niczego nie pojął. Czuł jednak, że od tego momentu w jego życiu nastąpią zmiany.

Amos, rozpieszczany przez Sabinę, powoli zapominał o rodzinie Kügelgenów. Para nowych właścicieli gospodarstwa nie była tak skora do radości jak ich córka. Zwłaszcza starsza pani często popłakiwała i spędzała długie godziny, siedząc z nosem przyklejonym do okna. Czasem wywęszył silniejsze wspomnienie – a to zagubioną w ogrodzie lalkę Gretchen, a to spracowaną siekierę z drewni. Wówczas przysiadł i cicho skomlał, a czujna Sabina drapała go na uchem:

– Nie płacz, piesku, teraz jesteś mój. A jak odnajdzie się Marysia, będziesz i jej. Ona jest malutka, będziesz musiał uważać, żeby jej nie zrobić krzywdy. A potem wszyscy wrócimy do domu, ale on jest bardzo, bardzo daleko.

Amos dorastał i męźniał. Często wymykał się z podwórka na samotne włóczęgi po polach i łąkach. Ziemia pachniała jeszcze skrzepłą krwią, prochem i spalenizną. Wszechobecny swąd wypełniał nozdrza Amosa nawet w odległym o parę kilometrów lesie, gdzie polował na chybkie zające albo ścigał dla zabawy rączce sarny. Wracając, wpadał niekiedy na sąsiednie podwórka, czyniąc jazgot wśród swobodnie drepcących kur, kaczek i gęsi. Nie wiedział, bo i skądże, że jest psem myśliwskim. Kiedy kolejny właściciel zaduszonej kaczki zjawił się u gospodarza z dowodem zbrodni w ręku, żądając odszkodowania, wówczas gospodarz sklecił psu budę, do której przywiązywał go łańcuchem, nader często odpinanym przez Sabinę. Jej matka zasiała wokół psiego locum wszędobylskie małwy. Panoszyły się w ogrodzie,

pod murami domu, przy płocie niczym żywa tapeta, przypominając gospodyni utracony dom. Amos niekiedy zapuszczał się w gęste szeregi łodyg, czym ściągał na siebie jej gniew.

Dorastała także jego pani. Był przy niej stale, gdzie tylko mógł. Pilnował przy pracy w polu, odprowadzał do kościoła, towarzyszył na spacerach, w których coraz częściej uczestniczyli obcy mężczyźni. Szczególnie jeden, którego zapachu Amos nie lubił, spędzał długie chwile obok Sabiny. Ale to zapach innego mężczyzny wybrała jego pani i wprowadziła pod swój dach. Amos lubił przebywać w jego pobliżu. To był zapach spokoju, pewności siebie i letnich malin, a jego pani rozkwitała w nim. Pewnego dnia męża Sabiny znaleziono martwego, z kulą w czaszce. A kiedy młoda wdowa przestała opłakiwać zły los, oddała rękę mężczyźnie, którego zapachu Amos tak bardzo nie lubił. Ale i on długo nie zagrzał miejsca u boku Sabiny, pomarli też jej rodzice, nie doczekawszy przyjazdu Marysi zagubionej gdzieś między wschodem a zachodem.

Dni płynęły bliźniaczo podobne do siebie, leniwie, jak rzeka pod lodem. Aż przyszedł wieczór pachnący maciejką, krwią i strachem.

Amos, dawszy upust swym myśliwskim pasjom na sąsiednim podwórku, warował uwiązany za karę łańcuchem do budy. Bezksiężycowa noc okrywała czarnym kocem spracowaną wieś. Pies z westchnieniem ułożył łeb na ciepłej ziemi. Powieki ciążyły mu coraz bardziej, gdy nagle nozdrza uchwyciły złowrózby zapach. To nie był żaden z dobrze mu znanych zapachów rodzinnej wsi, choć wymieszany ze znajomą wonią bimbru. Amos, wiedziony instynktem, zerwał się, zeszytniał i węszył zaniepokojony. Sierść na grzbiecie przybrała kształt ryżowej szczotki. Ostry zapach grozy obnażył mu kły i z gardzieli wydobył się chrapliwy sygnał ostrzegawczy.

Zobaczył ich, złowieszcze cienie wpełzające do domu jego pani. Teraz już cały był alarmem, wołającym o pomoc, groźbą i rozpaczą. Łańcuch prężył się i opadał gwałtownie, pazury daremnie ryły ziemię. Amos słyszał zduszony krzyk, rechot, trzask łamanych sprzętów,

brzęk szkła, ale nade wszystko czuł kobiece przerażenie przepełniające znajome kąty. Naraz drzwi rozwarły się hukiem i ujrzał w nich Sabinę. Rozczochrana, w białej, rozdartej koszuli do ziemi, pokrwawiona, z siekierą w dłoni przypominała upiora. Wybiegła na podwórze i pomknęła w kierunku ogrodu gęsto porośniętego szpalerami wysokich malw, krzakami porzeczek, agrestu i malin. Za nią wybiegły złowrogie cienie, gubiąc się w chwytających ich ubrania i skórę kolczastych gałęziach. Amos szarpał swoją niewolę, dławiąc się coraz chrapliwszym ujadaniem. Wtem zza węgła spiżarki wysunęła się biała postać. Skulona przebiegła niewielki dystans dzielący ją od ujadającego zwierzęcia i wśliznęła się przez wąski otwór do psiej budy. Amos stał na posterunku wiedziony jakimś atawistycznym impulsem. Intuicja podpowiadała mu, że żadnym gestem nie może zdradzić miejsca, w którym ukryła się jego pani. A ta, wtulona w liche, drewniane ściany, modliła się, ściskając zbielałymi dłońmi okrwawioną siekierę. Teraz miała na imię Trwoga, jak niegdyś, jak dawno temu na tamtej ziemi i w tamtej budzie. Wówczas też pragnęła stać się niewidzialna. I niewidząca polyskujących w ogniu ostrzy siekier, wideł i kos. Zakotwiczony głęboko w pamięci, wypierany, spychany z dziecięcą naiwnością w baśniowy świat wizerunek piekła powrócił. Znów była małą, przerażoną Sabinią sikającą pod siebie ze strachu.

Amos trząsał się na całym ciele. Dygotał w nim każdy nerw, każdy włos sierści napięty do granic możliwości. Szczekał jeszcze długo po tym, jak ponure cienie uciekły w mrok, unosząc ze sobą woń grozy. Wówczas poczuł, jak drżące dłonie Sabiny usiłują odpiąć dławiący, bolesny uścisk z szyi. Ze zdziwieniem poczuł znajomy zapach krwi na jej palcach. Psiej krwi.

MARIA WOSIK

MIGAWKI Z TEKI WSPOMNIEŃ – CZĘŚĆ DRUGA

PANI JANINA ŁASKOWSKA

Wśród wielu wspaniałych pedagogów, którzy kształtowali nasze osobowości prywatne i pedagogiczne, szczególnie w pamięć zapadła mi pani Jadwiga Łaskowska – profesorka od języka polskiego.

Była to osoba o kształtnej sylwetce i arystokratycznej urodzie, schludnie i gustownie ubrana, w sile wieku, dystygowana i powściągliwa. Jej mąż był wielkim, zwalistym milczkiem o nabrzmiałej twarzy i bujnych siwych włosach. Kilkakrotnie zastępował ją na lekcjach, gdy niedomagała.

Byłam najmłodsza i najmniejsza w klasie, siedziałam w pierwszej ławce w środkowym rzędzie, skąd miałam możliwość obserwacji dość bezpośredniej, a więc i szczegółów dotyczących fizjonomii bądź ubioru profesorki, co mogło ująć uwagę pozostałych uczniów, zajętych – jak zwykle – innymi sprawami niż wykład.

Zauważyłam więc, że pani profesor miewa spuchnięte oczy, które mruży, gdy słońce oświetli wnętrze klasy. Szykowne wdzianko w paski miało przy rękawach lamówki, żeby ukryć wytarcie brzegów. Pani profesor była osobą ubogą, ale z godnością znosiła ten stan, nigdy się nie skarżyła na niedostatek, starała się wyglądać estetycznie, wszak stanowiła wzór do naśladowania.

Raz, gdy nadchodziła druga rocznica Powstania Warszawskiego i ktoś z klasy relacjonował tak zwaną prasówkę, czyli omawiał krótko

bieżące informacje z prasy, pani profesor rozplakała się (chyba często w domu płakała, stąd te spuchnięte powieki), po czym przeprosiła nas, mówiąc, że w Powstaniu Warszawskim zginął jej jedyny, dwudziestoletni syn, że od tamtej pory jej mąż doznał szoku i nie jest w pełni świadomy, że jest jej bardzo ciężko... Pomyślałam, że oto widzę Niobe – odwieczną matkę bolesną, że na zły los nie ma rady i że jest zagadką, dlaczego są wojny, które dręczą niewinnych ludzi. Piszę to, mając przed oczami tę tragiczną postać, mimo że minęło od tamtych przeżyć sześćdziesiąt sześć lat. Właśnie w telewizji jest program o Powstaniu Warszawskim i nagle wszystko staje się aktualne, jakby to było wczoraj. Jestem wzrokowcem, więc obrazy w mej pamięci są wyraźne i barwne, natomiast zapominam nazwy – ot, przypadłość podeszłego wieku.

Pani profesor radziła sobie z brakiem podręcznika w ten sposób, że korzystała z czasopisma „Literatura”, z którego fragmenty artykułów czytaliśmy na lekcji. Zwracała uwagę nie tylko na treść, ale i na piękną polszczyznę. A pisywali do tego pisma: Tuwim, Gałczyński, Przyboś, Jalu Kurek, Adolf Rudnicki, Wiktor Woroszyński, Jerzy Zawieyski i wielu innych wspaniałych pisarzy, materiał był więc przedniego gatunku.

Pani profesor była z nami dwa lata, potem odeszła w niewyjaśnionych okolicznościach. Zastąpiła ją świeżo upieczona pani magister Danuta Chłopek (obecnie Letka) z Wszechnicy Jagiellońskiej – wspaniała wykładowczyni. Ona nauczyła mnie odczuwać poezję.

A WIATR CIĄGLE W OCZY...

Dane mi jest przemierzać dnie i noce w nie wiadomo jak długim, lecz ograniczonym terminie, za to wiadomo, do jakiego celu prowadzi ten trakt...

Po drodze mijam podobnych do mnie osobników... Zdarza się, że napotkam szczególnie typy, którymi jestem olśniona, i to zdarzenie zostawia trwały ślad w pamięci, umyśle i sercu...

Oto jeden z takich przypadków.

Zdarzyło się to w latach sześćdziesiątych XX wieku.

Niezbyt daleko od Częstochowy znajdziesz miejscowość o starym rodowodzie i szczególnej nazwie – Koziegłowy. Stąd na północny wschód przez cztery kilometry polną drogą, na krótkich nóżkach udałam się do wioski Rosochacz. Skromne chatynki na rozległej płaszczyźnie jałowych pól, zakończonych lasami na horyzoncie, otaczały pawilonowy budynek szkoły, gdzie grupce dzieci i dwóm młodym osobom stanowiącym ciało pedagogiczne przewodziła pani kierowniczka. Wysoka, szczupła, o urodzie przypominającej żonę wieszczka z portretu owalnego w Żółtym Potoku. Moją uwagę zajęły oczy o barwie wyblakłego błękitu. Mówiły o mądrości, inteligentnej dobroci i rozumnej stanowczości właścicielki tych okien duszy. Nazywała się OLGA STECOWIAT.

Dwukrotnie miałam okazję spotkania się z nią w jej siedzibie, którą można opisać, przytaczając Puszkina, nasza *biednaja łaczużka i pieczalna, i tiomna...*, a jej mieszkanka to żywa kopia Siłaczki Żeromskiego.

Spotkania były krótkie – około dwóch godzin wystarczyło, by załatwić sprawy służbowe, które były powodem moich wizyt w szkole.

Do tej pory, czyli przez kilka dziesiątków lat, nasuwa mi się natrączywie podobieństwo losów tej osoby do dziejów życia Norwida, tragizm tych losów, czyli „rzucanie pereł między wieprze”, albo Asnyka *Szkoda*.

Równocześnie – pielęgnując w pamięci fascynujący obraz niezwykłej osobowości tej kobiety – mam satysfakcję, że spotkałam człowieka świadomego sensu swojego życia i niezłomnie wiernego ideałom autentycznego humanizmu, mimo zmasowanych i permanentnych przeciwności materialnych i psychicznych, co w owym czasie było zjawiskiem naturalnym, dotyczącym prawdziwych ludzi.

KRZESŁO

Poszłam na wystawę Hasióra. Moje zetknięcie się po raz pierwszy z jego twórczością wywołało we mnie negatywne wrażenie. Byłam zaskoczona dziwactwem przedstawianych materiałów i form. Nieczytelne było dla mnie przesłanie artysty. Wychowana na realizmie miałam trudności z percepcją sztuki w innej konwencji. Postanowiłam nie omijać wystaw sztuki nowoczesnej, będących w zasięgu moich możliwości.

I tak pewnego razu znalazłam się na kolejnej wystawie wielkiego twórcy. Jego nowe dzieła wywołały u mnie skojarzenia z przeżyтыми latami wojny, a moja samotność wśród tych dzieł, ich dobitna symbolika i cisza panująca wokół spowodowały, że znalazłam się wyobraźnią w tamtych tragicznych czasach.

Oto kolejny z oglądanych eksponatów – krzesło, którego siedzenie jest najeżone ostrymi nożami, a ja widzę „tramwaj” w alei Szucha. Tak zapewne czuli się ci, którzy nieruchomo siedzieli na prostych krzesłach, słuchając jęków torturowanych, i czekali na swój nieuchronny los...

Nagle wtargnęła grupa nastolatków. Wróciłam do współczesności. Obserwuję ich reakcje na ekspozycję. Słyszę dialog: – Ty, zobacz! Ha, ha, ha! To jest krzesło fakira! Masz ochotę siąść? – A ty? – To jest rzeźba. – Jaka tam rzeźba! To dla draki! – Taki humor – no, nie? Ha, ha, ha! – i odeszli...

Chwilę stałam nieruchomo, wpatrzona w krzesło z mnóstwem sterczących ostrzy – wielkich, zimnych, bezwzględnych, okrutnych.

To samo dzieło sztuki jakże różnie działa na odbiorcę w zależności od jego doświadczeń życiowych.

Spojrzałam na gromadkę opuszczających salę wystawową podrostków z uczuciem zazdrości i radości. Jakże chciałabym móc tak beztrudnie odbierać życie i sztukę. Jakie to szczęście, że oni nie muszą dzielić losu Baczyńskiego, że nie są obciążeni takimi skojarzeniami jak moje.

Szczęśliwej przyszłości życzę wam, piękni chłopcy.

BOGDAN NOWICKI

NAŁĘCZÓW. WIECZNA HISTORIA

ZAPOMNIENIE¹

Aż wreszcie cień poczyna ustępować. Jest taka minuta przed wschodem słońca, gdy zlatuje w głąb krzaków jałowca i rokicin, przypada na twarz w trawy, chyłkiem idzie między badyłami, rowami i bruzdami, zbliża się do lasu, wreszcie na łeb na szyję doń ucieka, aby tam usiąść pod osłoną sosen, oddychać nocą i patrzeć z wściekłością na bielejące pola. Od tej minuty głośniejsz krzyczą derkacze, zaczynają wołać przeciągle swoje „ku-wyk” czajki i, jak chłop pracowity, wstaje śpiewać hymn pracy serdeczny brat roli – skowronek.

Drożyna nasza, zarosła trawą, poprzerzynana wyschniętymi katużami i korzeniami drzew, wybiega czasami na łąkę, by znowu ku lasowi zawrócić. Gdy stosując się do jej kaprysów wyjdziemy z lasu, bierzemy oddalone krzaki za pasące się konie, zbliżamy się ku nim z ostrożnością nadzwyczajną po to chyba, by je kopnąć nogą ze złością, gdy się okażą w całej swej niewinności rosą białą od stóp do głów jak komżą okryte.

Nareszcie purpurowym płomieniem zapala się zorza nad lasem. Złotopąsowymi brzeżkami otaczają się białe chmurki leżące na niebie jak plamy od bezmyślnych pociągnięć pędzlem na niezaczętym obrazie. Zdaje się, że jakaś ręka szybko ściąga z widnokąrgu oponę czarną i ostatek ciemności

¹ Ten i dalsze fragmenty zapisane kursywą pochodzą z opowiadania Stefana Żeromskiego *Zapomnienie*.

wsiąka w ziemię. Wstają wsie z ich wysokimi topolami, co się w świtanie niebieskimi wydają, kępy drzew, drogi, pola uśmiechnięte i dalekie, dalekie smugi lasów granatowych, jak ogromne zastygłe fale.

SYGNATURY

Niemożliwość ukonstytuowania się czegoś takiego, co istnieje od pierwszej chwili w pełni określonej tożsamości, powoduje, że występujące realnie zdarzenia są sygnaturami, które należy dopiero otworzyć – jak schowki lub pudełka na kredki.

Budowanie na fragmentach wiecznych historii jest uporczywym interpretowaniem zdarzeń, dlatego w poszczególnych opowieściach nabierają one charakteru fraktalnego.

Taką scenografią jest Nałęczów – dla mnie.

Bez względu na to, czy oglądam go z bliska, czy z daleka, widzę zawsze ten sam plan miasta.

Wyobraźmy sobie drzewo. Jego pień rozgałęzia się konarami. Te zaś przechodzą w gałęzie, gałęzie w gałązki, gałązki w liście, liście w drobne naczynia przewodzące wodę i substancje organiczne. Zmienia się skala, zmieniają rozmiary, ale plan budowy pozostaje niezmienny, jest taki sam lub podobny do planu całości.

NAŁĘCZOWSKI SEN

Gdy dym z kominów jest płaski, brudzi szyby. Stare dachy pożera mech. Pyłki z łąk trą o światło. Zaglądam w pożółkły chłód, gdzie skarłałe drzewa...

Próby zbliżenia matowieją jak szadz na lusterku.

Kręgi żaru drgają wokół ogniska. Pieczone ziemniaki. Kwaśny dym.

Przez uchylone okno słyszę trzask ułamanej gałązki... Wychyłam głowę. Wszędzie świecą kropelki nocnego deszczu – jak drobne kawałki szkła.

W izbie ostrożnie przechodzę obok drewnianych półek, półsennych przedmiotów. Przez okno – spocone i miękkie – widzę blask dogasającego ogniska.

W ogrodzie skrzypią dynie. Z drzew odrywają się wielkie ćmy, pył ich skrzydełek oblepia powietrze.

W kuchni rozpoznaję piec, kredens, stół, stołki. W butelkach stojących na ostyglým piecu igrają matowe odbicia. Namacuję chleb, pogryzam kęs za kęsem. Wybieram okruchy i patrzę w drzwi. Zgarniam resztki z dłoni. Potem wdrapuję się do łóżka, zzuwam buty. Ale nie do końca, tak trochę, aby czuć na skórze ich skórę.

Zgięty w końcu usypiam, wciskając policzek w mój nałęczowski sen.

CADYK

Rudy jak płomyk intonował: „Ja to złośliwy brud na tkaninie Boskiego alfabetu...”.

Zjawiał się zewsząd. Uczniowie lubili targać słomiany wiecheć jego brody, a on chichotał i mlaskał wargami. I każdy palec przykładał do czoła.

Gdzie przebywał?... Do kogo mrugał?...

W końcu rozleciał się w cząsteczki materii krążące w powietrzu...

NAŁĘCZOWSKIE ECHO

Nałęczów pachnie dymem i mokrą korą drzew.

W uniesieniu wędrówki, która jest żalobną lamentacją i agonialnym westchnieniem, zbiegają się wokół zagęszczenia i napięcia dawnej przestrzeni, pulsującej poza granicami mojej obecności. Czy jestem równocześnie w środku spektaklu i poza nim? Dlaczego takie, a nie inne rekwizyty rozstrzygają o moim byciu? Nie sposób wyrzec na zewnątrz, to co powinno być z drugiej strony, pojawia się zawsze wewnątrz mnie.

Stymuluję wyobraźnię i poszerzam pole widzenia różnorodnością detali. Jednak nawet przeniesienie się w dawną topografię nie oznacza uniezależnienia od siebie i tego, co mnie dzisiaj otacza. Chcę wyrzucić poza ograniczające blanki, ale ciągle natrafiam tylko na siebie.

Krajobraz trwa jako wciąż ponawiana interpretacja uczestnictwa, natomiast deformacja zjawisk jest wyrazem bezsilnej próby wydostania się na zewnątrz. Moja gra nie godzi się z porządkiem rzeczy.

Tworzę fantasmagoryczne projekcje, które uzurpują dla siebie przestrzeń:

Z bardzo daleka, z głębi olszyn nad rzeczką, dolatuje odgłos pieśni słowika. Leci po rosie tklliwe nawoływanie: przyjdź, przyjdź, przyjdź!... i niewysłuchane cichnie między trawami. Nastaje cisza długa, póki nie wypadnie z niej staccato ekstatycznej, gwałtownej, namiętnej, nerwowej, upajającej, miłosnej pieśni. I ta zacichnie w rosach dalekich... wtedy zadumane olszyny słuchają urwanych, radosnych wybuchów głosu, podobnych do pocałunków. Ale nie czas nam słuchać Szopena olszyny.

Długo będziemy czekać do następnej wiosny – teraz mogę ją poczuć tylko w wyobraźni – napisać o olszynach i Szopenie olszyn.

Przytłacza mnie pora roku.

Rytuał jesieni, rozlatującego i scalającego się cyklicznie karnawału, feerie zdradzonej własną scenicznością pory i ciżby ludzkiej pstrokacizny – fałszywej, konsumującej, niekrzewiącej niczego poza ceremonią – dokonują przekroczenia ścian i horyzontów zarówno konkretnego miejsca, jak i jego mentalnej zawiesiny.

W emfaticznym harmiderze całkowicie zakazanego obrzędu każdy traci indywidualność – jest konwencjonalną figurą z lunaparku.

Scena uruchamia oszałamiającą maszynierię, gdzie funkcję prezentera pełni kompleks napiętnowania, wydziedziczenia, zniszczenia prześladowanej jak nigdy dotąd gromady. Powstaje przestrzeń echa: epizody są tu grą pomyłek, ponieważ nie mogą być osadzone na czymś, czego nie ma.

Bo cóż może znajdować się za proscenium? Echo...

DESZCZ

Wtem zrywa się ulewa: ciężkie krople bębnią o cierpką powierzchnię ziemi. Piasek syczy wokół, tworząc kruche koronki.

Ochładza się i w przestrzeni jakby nastąpił przeciąg. Chłód marszczy kamienie. Furgocą deski. Deszcz przemienia obrazy.

Znajome dotąd ulice, budynki, sklepy, postacie przyjmują nowe role, zmieniają swój dotychczasowy kostium, nie zrywają jednak więzi ze swoim poprzednim wcieleniem. Ich przygodność staje się luką, przez którą widać rzeczywistość grającą samą siebie.

Nałęczów zyskuje status makiety, a zjawiska – inscenizacji. Pada drobniutki deszcz...

WIECZNA HISTORIA

Moja ostatnia jesień jest wielkim, wędrownym teatrem. Ogromną kolorową cebulą. Coraz to nową panoramą. Nigdy nie dotrzeć do żadnego sedna.

Wychodzę ze swej roli protagonisty i wchodzę w rolę komentatora – dokonuję wewnętrznego skoku pomiędzy mimetyzmem a hiper-mimetyzmem własnej osoby, doznaję manipulacji ze strony pragnienia, które tylko pozornie jest moim pragnieniem. Jednak jako homo duplex nie tracę z wydarzeniami kontaktu, co więcej, mogę je obserwować z różnych kątów widzenia.

Dlatego piszę. Ręka zaciska pióro i wysypują się słowa:

Jak woda przyplływają i otaczają nas zimne fale leśnego chłodu, nasyczone zapachem poziomek, jałowca, młodej wikliny, smoły sosnowej, całym tym niedającym się opisać, wilgotnym, gęstym, duszącym, a tak zdrowym zapachem lasu, ukrytego w mgłach porannych.

Potem odkładam papier oraz pióro – wychodzę na zewnątrz. Psy szczekają w opłotkach. Patrzę w dal, a Nałęczów zachodzi mgłą – piśsze wieczną historię...

SIŁACZKA – EMERYTKA

Gdy wyszła z pokoju nauczycielskiego, zobaczyła na korytarzu bezładny, gwarny, trochę rozbawiony, nieco rozgorączkowany szkolny tłum. Atmosfera dobrze jej znana. Ale uczniowie nowi jej nie znali, a ci z poprzednich lat szukali oczami belfra, za którym teraz powinni iść do sali. W tym tłoku ten i ów, przepychając się, potrącił ją, nie zwracając uwagi. Książki, szpargały, pomoce, które musiała zabrać z nie swojej już szafki, wypadły jej z ręki. Schyliła się, by je pozbierać, wtedy upadła jej torebka. Jeden z chłopców niechcący ją potrącił i, powiedziawszy przepraszam, obejrzał się. Ach, to pani, na moment się zatrzymał, rzucił *sorry* i odszedł śpiesznie. Nadzieja, że ktoś z nią porozmawia, zgasła. Stała z boku przy oknie, położyła książki na parapecie. Postanowiła przeczekać to przemieszczanie i tumult, w którym była już tylko zawadzającą osobą.

Gdy drzwi do klas zamknęły się za spóźnialskimi, ponownie pozbierała rzeczy i zaczęła powoli schodzić po schodach, kierując się do wyjścia. Ciska po dzwonku wydawała jej się straszna. Zaczęło ją piec pod powiekami. Woźny, siedzący jak zwykle przy wejściu, powiedział dzień dobry. Ona jemu do widzenia. Nie dostrzegł łez.

A myślała, że szkoła się bez niej zawali. Nie zawaliła się. Zrozumiała to szybko i odczuła boleśnie. Choć życie płynęło coraz wolniejszym rytmem, zdrowie zaczęło szwankować. Miała teraz czas na wizy-

ty w poradniach, rehabilitację, a czuła się coraz gorzej. Wreszcie trafiła do lekarki, która popatrzyła nie tylko na wyniki, ale i na nią, i zapytała:

– Czym się pani teraz zajmuje? – Jak to niczym? – Proszę pani, nie można nie robić nic. W pani wieku trzeba biec już trochę wolniej od wiatru, ale nie zatrzymywać się na dłużej. Z człowiekiem jest tak jak z długo eksploatowanym samochodem; musi być cały czas na biegu, bo jak się zatrzyma, to trudno ponownie ruszyć.

Więc dopiero w gabinecie lekarskim wyrzuciła z siebie, co leżało jej na sercu: następca nie miał odwagi zadzwonić przed końcem wাকacji, by powiedzieć, że nie ma dla niej obiecanych godzin. Wówczas swoje rzeczy zabrałaby pod nieobecność grona, które dziś potraktowało ją jak obcą. Niemłoda już lekarka w bluzce świadczącej, że jego właścicielce szkoda czasu na śledzenie trendów mody, pokiwała głową i powiedziała: – Ścieżki szybciej zarastają, niż nam się wydaje. – Chwilę się zastanowiła. Spojrzała w kartotekę, potem na adres na kopercie. Poszukała czegoś na stoliku obok biurka. Coś napisała na kartce. Wreszcie powiedziała: – Niech pani zrobi jeszcze to badanie. Mam w pani bloku leżącą pacjentkę. I jest problem, bo zachorowała śródowiskowa, a tu leży gotowy wniosek na środki zaopatrzenia. Przepadnie unieruchomionej kobiecie przydział na ten miesiąc, jeśli się spóźni. A szkoda, bo pewnie teraz jej ledwo starcza. – Nie ma sprawy – prze-rwała Wiola. – Zabiorę, zaniosę, załatwię – odpowiedziała.

I powstało nowe pole do działania. Wraz ze starzeniem się osiedla starzeją się mieszkańcy bloków, a młodzi ze śląskich rodzin obierają głównie kurs na Zachód, więc „Siłaczki na chodzie” mają co robić.

Nieporadnych, niezradnych, ciężko chorych w jej bloku nie brakowało. Była znów potrzebna, w wirze, ale załatwianie smutnych spraw, nawet pogrzebów, sprzyjało nawrotom depresji, jaka pojawiła się u niej tuż po przejściu na emeryturę. – Wiesz – powiedziała kiedyś – nie zostaje po człowieku nic. Był, nie ma. Nowi lokatorzy w mig wyrzucą wszystko. – Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – dodał

rozmówca. – Ależ skąd – zaprzeczyła. – Nawet proch nowi wymiotą do czysta.

Coś się zmieniło, gdy trafiła do świetlicy środowiskowej. – Zrobi pani wykład dla młodzieży na temat korzystania z Internetu. – O rany! Ludzie! Umiem tyle, ile podpatrzyłam u wnuków. Owszem, wiem, jak włączyć i wyłączyć komputer, który stawia mi opory większe niż koń narowisty, a wy mi każecie uczyć tych z palcem wskazującym na klawiaturze od pieluch. Wyśmieją mnie.

– Nie o komputerach ma pani mówić, ale o śmieciach w Internecie – powtórzyła młodsza od jej córki kierowniczką. – Przemyśli pani i zrobi. Na kiedy panią wpisać? Za dwa tygodnie, we wtorek? Może być? Niech będzie! Raz kozie śmierć!

W wyznaczonym dniu odszukała wskazaną jej salkę, zerknęła na wypisany na kartce tytuł swej pogadanki i wtedy usłyszała za plecami: – O kurde, babcia z epoki dinozaurów i Internet. – Rozległ się rechot. Trochę się speszyła, ale nie z takimi dawała sobie radę. Kto uczył w szkole przysposobienia zawodowego, tego niewiele zdziwi. A zwykle musiała brać wychowawstwo najtrudniejszych klas. Ustawiczni wagarowicze z różnymi ciągotkami do złego wydalenia z podstawówek byli kierowani do zespołu szkół, gdzie była dyrektorką. Tu tworzono klasy umożliwiające im ukończenie siódmej i ósmej klasy szkoły podstawowej oraz naukę zawodu. W jej szkole było to głównie krawiectwo i fryzjerstwo. Przerośnięte wiekowo dziewczyny z przeszłością i po przejściach dawały zdrowo popalić. Przeważnie pochodziły z takich domów, że od dziecka miały pod przysłowiową górkę, więc i do szkoły było im nie po drodze. Nie było łatwo scementować grupę, spowodować, by wreszcie czegoś chciały i rozumiały, że nauka zawodu może być szansą na godniejsze życie, inne niż to, które znały ze swego środowiska. Nie raz przeprowadzając wywiad z poturbowaną dziewczyną, usłyszała: – Wujek się rzucił! – To ktoś z rodziny z wami mieszka? – Co pani, pani nie zna życia! Jaki krewny? Żaden krewny. Taki tam... obzartuch. – To ten Włoch? – Nie. Włoch w ciupie. Matka przykludziła nowego.

„Los mnie oszczędził” – myślała wtedy. Faktycznie nie znała takiego życia. Ale niejedną podopieczną udało się jej wyprowadzić na prostą. Przez ludzi do ludzi, więc i ona, szukając praktyki czy pracy dla jakiejś dziewczyny, trafiała do byłych uczennic. – Zatrudnij ją, nie będziesz mieć kłopotu – rekomendowała.

Największą pomoc miała od Majki. Ta znała problemy szkoły i internatu od podszewki. Gdy zaczęła naukę, miała czternaście lat, a gdy ją zakończyła to... Nie, nie Majka chyba jeszcze nie przestała się uczyć, bo jak się rozpędziła, to poprzez zawodówkę, średnią trzyletnią i dwuletnią policealną aż do studiów magisterskich na dwóch kierunkach doszła do podyplomowych i wciąż dojeżdża na jakąś uczelnię. Gdy ją zapytała kiedyś, czy już wreszcie nie czas zakończyć, bo ma rodzinę i już drugie dziecko, Majka się wyrwała: – A pamięta pani hasło, jakie wisiało w świetlicy? – Jakie znów hasło? Chcesz mi przypomnieć „Niech się święci pierwszy...”. – Nie zdążyła dokończyć, gdy Majka wyrecytowała: – „Nauka jest jak niezmierne morze, im więcej jej pijesz, tym bardziej jesteś spragniony! Kiedyś poznasz, co to za rozkosz”. – Faktycznie, omawiając *Szyfrowe prace*, poleciła uczniom znaleźć i wypisać kilka cytatów. Potem z dziewczynami z kursu dekorator wnętrz zrobiła z tego afisz. Chyba tylko ty wzięłaś sobie do serca ten cytat, powiedziała do Majki...

I przypomniała sobie, jak poszła do głównej dyrektorki w jej sprawie. – Nie można pozwolić, by najlepsza absolwentka technikum pracowała w szkole jako sprzątaczką. Jaka to będzie motywacja do nauki dla innych. – A masz dla niej coś innego? – zapytała główna.

Wiola zaczęła myśleć. Za chwilę poszła na warsztaty, a tam kierowniczką wyskoczyła:

– Mamy problem. Nauczycielka zawodu w ciąży. Mąż przyniósł zwolnienie. Pewnie nie będzie jej do końca roku, po porodzie macierzyński, wiemy, jak to jest. Skąd ja wezmę taką, która umie pokazać, jak zrobić formę. Wstyd dla szkoły wypuścić z technikum bez umiejętności kroju!

– To wam dam zastępstwo – odpowiedziała uradowana Wiola.

– Ale kogo? – zapytała kierowniczką. – Bo teoretyka po studiach, który nie umie usiąść przy maszynie, nie pokaże nawet jak igłę zmienić, już miałam i kolejnego nie chcę.

– Dostaniesz taką, jaką sobie wychowałaś. Spod twojej ręki!

– Nie żartuj. Kogo?

– Majka chce u nas zostać! Musi u nas zostać.

– Majka? Która Majka? Czy ta co mówiły na nią Picus-głancus?

– A jaka! Pewnie że ta.

Gadatliwa Szulicka na chwilę zamilkła. Wiola też czekała i w myśli szukała kontrargumentów, jakimi mogłaby odeprzeć ewentualne argumenty kierowniczki.

– Ale jak to będzie, gdy zaczniesz pracować z koleżankami? Przecież mieszka z nimi w internacie.

– A co to przeszkadza. Nie da się kiwać dziewczynom, że mają dyżur w świetlicy albo w kuchni i chcą się zwolnić z zajęć. Ona się nie spoufalala nawet w klasie. Pamiętacie, jak ją dziewczyny szukały, by szła z nimi do miasta? A ona zadekowała się w prasowni i od nowa przeglądała i poprawiała każdą sztukę przed szkolną rewią mody.

– Nie musiała tego robić – dodała jedna z młodszych instruktorek – a robiła. Reszty się nauczy.

Zapadła cisza. By nie rozważać za długo, Wiola rzuciła:

– To problem rozwiązany, masz zastępstwo. Idę do dyry – zakończyła odwiedzin. – Gdyby miała opory, masz mnie poprzeć, zwróciła się do kierowniczki. – I śpieszym krokiem poszła do głównego budynku szkoły.

– Wracam z warsztatów. Mam nowinę. Zostaniemy babciami!

– Jak to, co ty mówisz – zapytała dyrektorka, mimo dość słusznego wieku pozująca na młodą i zła, że nazywano ją starą. Teraz ma zostać babcią? Też coś. Kto? Tylko nie mów, że jakaś uczennica...

– Glinkowska. – Dyrektorka odetchnęła.

– Musi leżeć – dodała Wiola. – Szulicka panikuje, bo zanosí się na długą nieobecność, więc damy jej Majkę na zastępstwo. Załatwione?

– Załatwione.

– Problem z głowy, idę zobaczyć, co w kuchni – powiedziała Wiola i już była przy drzwiach, gdy dopadło ją pytanie dyrektorki:

– A jeśli się nie sprawdzi? To nasza uczennica! – Główna zaczęła mieć opory.

– To ją zwolnisz. Ale myślę, że Majka skorzysta z szansy... Ale teraz niech usłyszysz od ciebie, że ją zatrudnisz. Tu, w gabinecie – zakończyła dyplomatycznie Wiola. Dyra była wyraźnie połączona. I posłały dyżurną, by odnalazła dziewczynę.

Spotkały się na korytarzu. Wiola z tajemniczym uśmiechem, Majka z wypisanym na twarzy niepokojem:

– Nie pozwolę, byś ty, najlepsza uczennica, podpisywała się długim piórem po podłodze – tak w żargonie nazywała się praca sprzątaczkí.

– To co ja zrobię. Nie mam gdzie mieszkać. Nie przyjmą mnie na zaoczne, gdy nie będę mieć pracy, mieszkania... Przecież pani wie... Nie mogę do domu, powiedziała niemal z płaczem. Mama ma dość problemów, obiecałam, że jej pomogę, gdy skończę szkołę. – Faktycznie, Wiola przypomniała sobie, gdy pewnego razu przyszła do jej gabinetu siwiuteńka, drobna kobiecina w wiejskim stroju i z koszykiem w ręku. To była matka Majki. Przyjechała z kieleckiej wsi, zmęczona podróżą i życiem. Wtedy dopiero Wiola dowiedziała się, że Majka jest najstarsza z siedmiorga dzieci, a jej najmłodsza siostra miała trzy lata, gdy zmarł ojciec.

– Córka jest dobrą uczennicą, nie musiała pani przyjeżdżać – powiedziała Wiola. – Chyba że chce pani usłyszeć pochwały... Zaraz przyniosę dziennik. – Wówczas starsza kobieta powiedziała:

– Trzeba się wywdzięczyc – i wyjęła z koszyka owiniętą w lnianą ściereczkę blachę kołacza z serem. Wiołę wzruszył ten gest. I choć pa-

miętała powiedzenie swej matki „Jak się nie najesz, to się nie naliziesz”, w tym przypadku nie miała serca, by kazać zabrać kołacz z powrotem.

Ta prosta wiejska kobieta miała wiele wewnętrznej ciszy i ładu, który nie wszystkim jest dany. Chyba Majka ma ten dar po niej, bo mimo trudnych warunków jest inna niż dziewczyny z miejskich środowisk lumpenproletariackich. Bywają takie osoby, które nawet szorując podłogę, nie tracą nic ze swojej szlachetności. Pochodząca z biednej chłopskiej rodziny dziewczyna należała do takich.

Wiola, patrząc na Majkę, przerwała swoje rozmyślenia i powiedziała bliskiej płaczu dziewczynie:

– Dobrze, dobrze. Nie becz, będziesz sprzątaczką... przez wakacje!

– A potem? – zapytała dziewczyna.

– Umiesz szyć? Umiesz. Umiesz kroić? Umiesz!

– No umiem – odpowiedziała niepewnie.

– Szulicka powiedziała, że umiesz! Będziesz instruktorką na warsztatach.

– O rany! Co pani! Chyba pani żartuje!

– No to co, chcesz pracować u nas, czy nie? Bo musisz iść najpierw do dyry, potem do Szulickiej.

– To pani Szulicka już wie? Pytała ją pa...

– Wie i bierze cię pod swoje skrzydła – przerwała Wiola.

– A wiesz, że z nią to nie przelewki.

* * *

Teraz, przed spotkaniem z nieznaną jej grupą młodzieży, nie wiadomo dlaczego przypomniała sobie dzieje Majki i w duchu modliła się po swojemu: „Panie Boże, jeśli komuś pomogłam, to mi i Ty teraz pomóż, a jeśli nie pomogłam, choć mogłam, to mi teraz nie pamiętaj”,

jednocześnie dyskretnie obserwując grupkę. Który z nich mógł sobie pozwolić na komentarz? To ten w ząbek czesany i kolczykowany! Na bank. Wyłowiła w tłumie przywódcę tego stada. Zwróciła się do niego: – Tu masz klucz. Otwórz. Prowadź do sali! – Facet nieco spuścił z tonu. A ona usiłowała opanować drżenie głowy, które od niedawna w sytuacjach stresowych zaczęło się u niej pojawiać.

– Zajmijcie miejsca! – Stała przed nimi. Jak ich opanować, by nie zauważyli.

Trzeba się było przedstawić, ale w tej sytuacji musiała zmienić przygotowaną koncepcję: – Witam was, wy, młodzi, z epoki moich wnuków! Z epoki z palcem na klawiaturze! Zaczynałam pracę w epoce Gomułki, dla ścisłości dodam, że to lata... te i te, poprzez epokę Gierka, to lata te i te. Moje pokolenie też słuchało muzyki, na przykład Czerwonych Gitar, Niebiesko-Czarnych... – I tego, no tego *siwy włós*... Fogga – dorzucił ktoś kpiąco. – Fogga też – odpowiedziała spokojnie. – Uściśle! Jestem więc z epoki kredy! Kredy i tablicy. Wiele się od tego czasu zmieniło...

Chyba dobrze zaczęła, skoro zapanowała cisza. Powiedziała:

– Życie w czasach trudniejszych. Musicie zastanowić się, czym jest słowo. – Nawiązała do Biblii, ale nie za dużo, by nie przynudzać i nie moralizować, bo się zjeżą, zablokują. – Słowo powiedziane jest inne niż zapisane, jeszcze inne wysłane. Wysłane pędzi szybciej od orkanu. Przestajecie nad nim panować. Klik. Chciał, nie chciał – poszło w sieć takie ot „Kaśka jest głupia”. Gdy ja, będąc w waszym wieku, pokłóciłam się z koleżanką i chciałam jej nagadać, musiałam do niej iść. Nim zaszałam, trochę przemyślałam, emocje nieco opadły. Może nie taka głupia ta Kaśka. Za chwilę musiałam jej spojrzeć w twarz. Po pyskówce można było trzasnąć drzwiami, kopnąć kamień leżący na drodze. O naszym konflikcie wiedziała tylko Kaśka i ja, chyba że komuś któraś z nas opowiedziała. A czas łagodził zadrażnienia. Po paru dniach złość rozeszła się po kościach. A teraz tylko klik i poszło.

A czyta o tym wielu, także ten, kto nie zna tej Kaśki, ale sprowokowany jednym kliknięciem może ją za waszym przyzwoleniem obrażać. Gdy szłam do szkoły i spotkałam Kaśkę, mogłam się bocyć, a ona na mnie. Mogłam zmienić miejsce w ławce. Ale po kilku dniach jedna drugą mogła szturchnąć, powiedzieć, że obie jesteśmy głupie, i sytuacja wracała do normy. Czy teraz możecie powstrzymać swoje „Kaśka jest głupia”? Jaki macie wpływ na to narzędzie, którym się posługujecie? A słowem można zabić! Tak jak źle prowadzonym samochodem, nożem, który jest do krojenia chleba, ale w rękę Kaina okazał się narzędziem zbrodni... Obelga też może być narzędziem kainowym. Zwłaszcza wysłana za pomocą Internetu, bo istnieje, a wy nie macie szans jej powstrzymać. Zapewne niektórzy z was znają piosenkę Niemena *Dziwny jest ten świat*.

– No pewnie, kto by nie znał! Ale to śpiewa babka, nie facet. Śpiewała w Opolu.

– Nie babka, tylko jego córka!

Zaczęła się dyskusja, przekrzykiwanie. Niepotrzebnie. Znów opanować tłum! Więc żeby nie było jak w tej piosence:

*A jednak często jest,
Że ktoś słowem złym
Zabija tak jak nożem!*

– Starajcie się... Po prostu trzeba dać sobie na wstrzymanie, nim się coś wyśle. Napisać, owszem, możecie. Tradycyjnie, na kartce, potem popatrzeć, odłożyć i pomyśleć, czy trzeba to wysłać. Ile takich niepotrzebnych zapisków można po kilku dniach podrzeć i wyrzucić. A w Internecie? Obelga żyje, ogromnie, rośnie, aż wybuchnie, uderzy. I może zabić. – W porę przypomniała sobie podsłuchaną rozmowę na cmentarzu: – Patrz, to grób tej, co się powiesiła... Taka młoda, taka ładna. Wypisywali o niej, że... – Wykorzystała znany jej z życia tragiczny przypadek, mający początek we wpisach w Internecie.

Po wykładzie ten w ząbek czesany, wychodząc z sali, rzucił do widzenia! Teraz nie szukał aprobaty grupy!

Znów poproszono ją o wykład na temat uzależnień. – Od czego? – zapytała. – Od komputera, Internetu, gier, bo o tym nikt u nas nie mówił – podpowiedziała młoda kierowniczką. – Co wy tu ze mnie psychologa chcecie zrobić? – A nie jest pani? Szybko nawiązuje pani kontakt z grupą. To jest ważne. – Więc znów się zgodziła.

Czym zajmuje się Wiola pomiędzy spotkaniami – pomocą sąsiadom, rehabilitacją? Od wiosny rzadziej jest do dyspozycji w mieście. Wyjeżdża na wieś, którą włączono do powiatu. Tam uprawia resztkę z ojcowizny. Od lutego w jej M-4 na Śląsku, w niegdyś bogatym górniczym mieście, na każdym parapecie stoją skrzynki, w których pielęgnują starannie pielęgnowane rośliny: pomidory, sałata, różne odmiany papryki. Potem wiezie je do niewykończonego jeszcze domu stojącego na skraju miasta w Małopolsce.

Dom budowała na wsi, będąc już wdową. Miasto, rozrastając się, wchłonęło tę jej rodzinną wieś. Więc teraz na działce na skraju miasta pikuje, pielęgnuje, dogląda tego, co wykiełkowało w zorskim mieszkaniu. I wreszcie przychodzi czas sadzenia. Jej oczkiem w głowie jest namiot szklarniowy. W nim spędza dużo czasu. Wracając do domu na Śląsku, wiezie w swym wysłużonym tico kupionym jeszcze za starych dobrych czasów, gdy żył mąż i mieli dwie pensje, wszystko, co się uda zmieścić w niewielkim bagażniku i na tylnym siedzeniu, które w połowie należy do Psuni, kundla przybłądy. Ten pies też się starzeje, jak jej sąsiedzi, i również potrzebuje wizyt u lekarza. Po powrocie musi wysłuchać smutnych zwykle opowieści: – Ta z dołu leży. Tego nad panią wzięło pogotowie, ale przywieźli go z powrotem. – Szybko przegląda pocztę, wyrzuca reklamy. Nazajutrz od rana załatwia głównie cudze sprawy.

Tak upływają dni psorki emerytki, która nie ma czasu na narzekanie. Gdy raz próbowała poskarżyć się na zmęczenie, Barbara, miesz-

kająca obok, skomentowała: – Jak się chce tyle mieć!!! – Faktycznie. Widać chce dużo, nie to co Barbara, która mieszka w domu z działką nieco tylko mniejszą od jej, ale nie ma ani klombu, ani warzywnika. Zeszłoroczne liście przepędza wiatr po podwórku, gdzieś tam kwitną pojedynczo nagietki i astry samosiejki, walczące nieśmiało o prawo bytu z panoszącymi się różnymi odmianami roślin ruderalnych. Wejście do domu od frontu zdobią zasadzone przez poprzednich lokatorów dwa krzewy róż proszące się o przycięcie i podparcie. – Nie mam ręki do roślin – asekuruje się Barbara.

– Po co pani tyle uprawia – pyta Wiolę. – Jak to po co? Potrzebujemy.

– Kto?

– Córka z rodziną, przybrana córka też z rodziną, niektórzy sąsiedzi. Mamy na całą zimę warzywa i owoce.

– Opłaca się pani? – pyta Basia, która czasem dostaje gotowe puszki i słoje z pomocy społecznej. Wiola woli dawać, niż brać! Ale jako emerytka zdąża coraz szybciej w kierunku starego, coraz cieńszego portfela, więc dać może z tego, co urodzi się na działce. Mimo to nie traci pogody ducha.

Czasem tylko do bardzo bliskich powie: – Nie myślałam, że po czterdziestu latach pracy będę musiała się zastanawiać, czy mogę sobie pozwolić na kupno codziennej gazety. – Barbara jest młodsza od Wioli o niecałe dwadzieścia lat. Los sprawił, że przyszło im być sąsiadkami. Ale są jakby przeciwieństwem. Wiola energiczna, dynamiczna. Barbara pasywna, wycofana. Podobno nie zawsze taka była.

Dzień Barbary jest niemal jednostajny. Od kiedy umarł jej Józinek, wstaje około siódmej. Szybko się myje w nieogrzewanej łazience, przyczesuje przydługawe, proste włosy, które już proszą się o nałożenie nowej farby, wkłada na siebie żałobną odzież. Z kawą w ręce i papierosem w drugiej przechodzi szybko do pokoju obok doglądać swoich roślinek. Pospiesznie włącza komputer. Szuka gry, otwiera. Wreszcie

jest. Plewi wirtualny ogródek według wskazówek, podlewa według instrukcji. Udało się! Coś wykiełkowało. Z wypiekami na twarzy wraca do kuchni po kolejną kawę, kolejnego papierosa. Włącza drugi komputer, siada i sprawdza korespondencję na FB. Czyta, odpisuje. Stawia pasjansa. Koło dziewiętej robi sobie śniadanie, jak na osobę bez środków do życia wcale nie skromne. Potem wypuszcza psa. I znów wraca do komputera, do gry lub poczty, do Facebooka. Rzadko wychodzi z domu. Coraz bardziej wciąga ją wirtualny świat.

Barbara, tak jak Wiola, urodziła się na wsi. Krótko pracowała zawodowo. Po wyjściu za mąż i urodzeniu dzieci była już tylko żoną przy mężu, który był kierownikiem w małej firmie, a gdy tę sprywatyzowano, założył własną. Szło mu nieźle, ale w którymś momencie Józinek, człowiek o miękkim sercu, przestał panować nad wydatkami. Gdy się zorientował w długach, zaczął uciekać w alkohol. Wtedy pogubił się ze zleceniami. Często zamiast szukać w Internecie nowych ofert, grał, a żona na drugim komputerze stawiała pasjansa. Ale gdy potrzebowała zrobić zakupy, organizował w jakiś sposób pieniądze i jechali, wracając z bagażnikiem pełnym produktów z górnej półki. Firma kulała, ale pozornie wszystko szło dobrze. Zdarzało się, że nawet ten i ów prosił go o wsparcie i je otrzymywał, bo Józinek, chodzący z pękatym portfelem, sprawiał wrażenie krezusa i nie potrafił odmówić! Dusza człowiek, powiedział o nim dyrektor szkoły, który nie raz pozyskał wsparcie dla jakiejś szkolnej sprawy. Aż pewnej zimy zaczął chorować.

Gdy nie był w stanie wykonać zleceń, koszty rosły. Długi ogromniały, problemy narastały, a on coraz więcej pił. Nie klócili się, bo pił i spał. Gdy trochę wytrzeźwiał, ona robiła listę zakupów. Nie dociekała, skąd i od kogo będą pieniądze, ale po południu jechali do miasta. W czwartek widziano ich razem w markecie; ona z koszem pełnym produktów dobrej jakości, do którego on dołożył – nie zważając na karcące spojrzenie żony – butelkę.

Wieczorem zabrało go pogotowie, wrócił w piątek o poranku. Zamierzał jechać do pracy; zlecenie nosił w kieszeni od dawna. Ale znów zaniemógł. Usiadł w fotelu, by odpocząć.

– Pojadę wieczorem – powiedział do coraz bardziej zgaszonej żony. – Nawet lepiej, bo zakład będzie pusty, maszyny wyłączone – przytaknęła. Pojechał wieczorem... karetką do szpitala. Nic nie wskazywało na tragiczny finał, jaki rozegrał się za parę godzin! Józinek zmarł bowiem tej nocy.

Czy załatwiający dotąd sam wszystko uzmysłowił sobie, że nie jest nie do zdarcia? Że wpadł w spiralę, z której trudno się wykręcić? Tego nie rozgryzie już nikt. Więc Basiunia gra teraz sama, choć powinna pakować rzeczy, by opuścić wynajęty dom. Jednak nie potrafi zmusić się do jakiegokolwiek aktywności. Czy dlatego że pilniejsze są wirtualne roślinki? Czy patrząc na stosy dokumentów, zdjęć, niepotrzebnych podręczników i szkolnych zeszytów dorosłych już dzieci, rozważa swoje życie? Niemal czterdzieści lat w tej wsi, która przez ten czas weszła do miasta. Zawsze w cudzych domach. Czy myśli o działce, którą kupili na początku małżeństwa, a budowę zakończyli na etapie fundamentów porośniętych teraz chwastami?

Wiola patrzy na to marnowanie czasu trochę zła, ale żal jej Basiuni, która została wdową w najmniej spodziewanym momencie życia. Czy wiedziała o długach? Podobno nie była wtajemniczana w kondycję firmy. Ale gdy Wiola chce przypomnieć sobie cenę węgla sprzed dwóch lat, Basiunia znajduje w komputerze potrzebną pozycję wydatków! I wreszcie zaczyna zwierzać się ze swoich planów, także matrymonialnych, bo chyba wolałaby być żoną przy kolejnym mężu, który zadecyduje o wszystkim jak Józinek.

– Słucha mnie pani? – pyta w pewnym momencie Barbara, która zaprosiła ją – jak to nazwała – na przedostatnią kawę. – Będę się stąd wyprowadzać.

Czy słuchała sąsiadki? Czy analizowała swoje życie, bo czasem trzeba przez pryzmat cudzych problemów ocenić swoje. – Czym jest miłość? – pytali ją niekiedy uczniowie. Odwoływała się do Fromma. Miłość to nie tylko branie, to dawanie. Także szansa na rozwój drugiej

osoby. Czy tę szansę miała? Czy jej nie zmarnowała? Mimo niełatwej pracy i małżeństwa z człowiekiem poważnie chorym od dzieciństwa mawiała: – Byłam szczęśliwa. Chyba niejedną SPZ-etkę udało mi się uratować przed wyczekiwaniem na facetów na rogu ulicy. – Co to jest kalectwo? – podjęła temat kiedyś na lekcji wychowawczej. – Kaleką jest ten, kto się da wyrzucić na pobocze, a nie ten bez nogi czy ręki – podsumowała dyskusję. – Co to jest podział obowiązków? Równo wcale nie oznacza sprawiedliwie. Równo? Robisz to, co możesz ty, a druga strona robi to, czemu podoła. – Przecież większość fizycznych prac w ich domu spadało na jej barki. To ona prowadziła samochód, wносиła walizki na piętro.

Po śmierci męża, który po chorobie przebytej w dzieciństwie nosił protezę, czuła się bardzo samotna, ale wtedy jeszcze pracowała.

– Czasem budzi mnie coś w środku nocy. Serce wtedy podchodzi do gardła. Mijają długie godziny, nim ponownie usnę – powiedziała kiedyś Majce, która od czasu do czasu wpada niby na kawę, a w międzyczasie zdąży umyć okno, powiesić nowe firanki, ogarnąć cały pokój. Skarcona, że miała przyjść na pogaduszki, odpowiada żartem: – Myję w swoim pokoju. Myję, bo boję się pani męża – śmieje się. – Nie żartuj, chyba się go nie bałaś? – Nie. Przecież tylko by powiedział: otwórz okno, bo nie widzę, jaka pogoda. Więc myję... – Faktycznie, ten pokój przez krótki czas zajmowała Majka, bo gdy zaczęła pracę jako nauczycielka, Wiola wolała, by nie mieszkała już w internacie. – Niech się wprowadzi do nas. Pokój Anki jest wolny – powiedział mąż, gdy ich córka wyszła za mąż i wyprowadziła się. Ale światło gasisz o 22.00, odkurzasz w każdą sobotę całe mieszkanie – powiedział na wstępie. – Dobrze, mogę nawet zrobić pranie – powiedziała dziewczyna, która już nieraz bywała u nich na niedzielnym obiedzie. – Nie, pranie należy do mnie i tak zostanie. Ale robisz zakupy – ustalił, bo chodzenie sprawiało mu coraz większą trudność. – Tylko się nie wygadam w pracy, gdzie mieszkasz – dodała Wiola.

Teraz Wiola wraca myślami do czasów małżeństwa i coraz bardziej czuje, jak brakuje jej wsparcia, które miała. Czy dlatego mąż często pojawia się w jej snach?

Ostatni sen pamięta bardzo wyraźnie: Byli niby na jej ojcowiznie. Tam, gdzie zawsze miała ogród warzywny, obok zburzonej dawno stodoły prowadziła droga. I zobaczyła na tej drodze ni to wóz, ni sanie. W tym pojeździe siedział jej mąż. Wyglądał, jak żywy, uśmiechał się. Koło wozu stała jakaś kobieta, powoziła. Zabierała go. Ona, pozostawiona sama sobie, patrzyła w jego kierunku nieświadoma, czy ją zegna, czy zaprasza.

Ten sen powraca.

– Chyba jest mu tam po drugiej stronie dobrze, skoro był uśmiechnięty – komentuje ów sen, opowiadając go znajomym. – Wiem, że żyło mu się trudno, że cierpiał, a nic nie dało się zrobić, by mu ulżyć... Ale czasem jestem zła, że mnie tak zostawił samą – dodaje.

Nic nie wróżyło takiego końca. Śpiesząc na przystanek, by odebrać skierowanie do chirurga sąsiadce spod ósemki, Wiola rypnęła jak długa na śliski chodnik. Podparła się prawą ręką, by nie upaść w jesiennie błoto. Ogromnie zabolalo. Ręka dziwnie zaczęła się układać. „Chyba złamałam” – pomyślała, ale wstała i zdążyła wsiąść do autobusu. W poradni załatwiła to, co miała załatwić, i już chciała wracać, gdy rejestratorka zapytała:

– Czemu pani taka blada. Niech pani zaczeka, może pani pójdzie do lekarza... Ma pani u nas kartotekę? – Ledwie zdążyła usiąść na ławce, zasłabła. Gdy odzyskała przytomność, lekarz kazał posadzić ją na wózku i wysłał na rentgen. Gdy wróciła, podniósł do góry zdjęcie. Na szczęście tylko złamanie. Szkoda, że prawa, ale ma pani szczęście, bez przemieszczenia.

– Czy pani na coś choruje? Nie powinna pani zemdleć. Często się pani zdarzają utraty przytomności? Nie? Zawsze tak pani reaguje na ból? Przecież to tylko złamanie. Miewa pani wysokie ciśnienie? Nie mierzy pani?

Ale ból rósł. Rósł w głowie!!! Znów straciła przytomność. Ocknęła się w szpitalu. Jak przez mgłę zobaczyła nad sobą pielęgniarkę; goliła jej głowę. – Co mi pani robi? – chciała zapytać, ale zamiast swego głosu usłyszała dziwny bełkot i lzy popłynęły jej z oczu.

– Czy pani wyraża zgodę na operację? – zapytał kolejny nieznamny jej mężczyzna. Widząc, że chce zadać pytanie, zaczął tłumaczyć: – Zrobiliśmy tomografię głowy. Ma pani guz... Musimy operować. Zgadza się pani? Może pani podpisać? Kogo upoważnia pani do... – Nie zdążył dokończyć. Pacjentka zaczęła odpływać...

Córka wydzwaniała przez całe przedpołudnie. Chciała przekazać, że umówiła ją na wizytę u neurologa. „Mama znów nie wzięła komórki” – pomyślała. Pewnie poszła do miasta. A może do poradni. Ale jakiś wewnętrzny niepokój nie pozwolił jej skupić się na pracy. Zadzwoiła do sąsiadki, potem do Majki, ta na pogotowie, potem na policję. Odetchnęła, gdy zadzwonił telefon i na wyświetlaczu zobaczyła znany numer. Ale głos był obcy:

– Proszę pani, kim pani jest dla...? – Czemu pan pyta? Skąd pan ma ten telefon? Kim pan jest? – „Pewnie mama zgubiła telefon” – pomyślała.

– Lekarzem – usłyszała w słuchawce. – Proszę przyjść do szpitala...

– Spóźniłam się, nie zdążyłam potrzymać ją za rękę, jak ona tatę, gdy odchodził – wyrzuca sobie córka. – A tak nie chciała być w takiej chwili sama. Ale ona zawsze była zdrowa.

Siłaczki nie mają czasu dla siebie. Zajęte pracą rzadko się badają, nie narzekają, nie chorują. Żyją dla innych. Same padają w biegu trafione szybkim strzałem śmierci.

LAUREACI
X OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU
MAŁYCH FORM LITERACKICH
IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO – 2017

Jury w składzie:

- ♦ dr hab. Elżbieta Flis-Czeraniak – Instytut Filologii Polskiej UMCS – przewodnicząca
- ♦ Maria Mironowicz-Panek – starszy kustosz, emerytowany kierownik Muzeum Stefana Żeromskiego
- ♦ Waldemar Michalski – redaktor Kwartalnika „Akcent”

Na posiedzeniu w dniu 20 listopada 2017 roku, po wnikliwym rozpatrzeniu 54 prac nadesłanych na Konkurs, postanowiło przyznać następujące nagrody ufundowane przez Towarzystwo Przyjaciół Zakładu Leczniczego „Uzdrowisko Nałęczów” SA:

I nagroda:

Krzysztof Martwicki (Płońsk), *W drodze na Dalnię. 1945*

II nagroda:

Anna Piliszewska (Wieliczka), *Niemen*

III nagroda:

Janusz Mielczarek (Częstochowa), *Tam gdzie Nie rosły poziomki*

Ponadto przyznano następujące nagrody sponsorowane:

NAGRODA SPECJALNA BURMISTRZA NAŁĘCZOWA

JANINA SZYMCZYK (Stara Wieś), *Inka*

ZBIGNIEW MENDEL (Katowice), *Kto potencjalnie będzie Cezarym Baryką*

NAGRODA SPECJALNA FUNDACJI SANATORIÓW DLA ROLNIKÓW W POLSCE

BARTOSZ RADOMSKI (Warszawa), *„Uciekła mi przepióreczka”*

NAGRODA SPONSOROWANA

MACIEJ JAGODZIŃSKI (Warszawa), *Memento*

Jury rekomenduje do druku w tomiku pokonkursowym następujące prace:

MARIANNA PAWŁOWSKA (Niemojki), *Śladami „Ogrodu młodości”*

PAWEŁ MICNAS (Koziegłowy), *Norwe szaty*

ANDRZEJ KOZICKI (Sandomierz), *Anioły, Anioły, Anioły*

KATARZYNA WOŚ (Bełżyce), *Róża*

EUGENIUSZ RYCHLICKI (Chorzów), *Kontrasty*

Jury z satysfakcją potwierdza wysoki poziom literacki nadesłanych prac, a szczególnie interesujące odwołania do twórczości Stefana Żeromskiego, próby aktualnego odczytania idei przewodniej twórczości autora *Przedwiośnia*. Konkurs potwierdził niesłabnące zainteresowanie twórczością Stefana Żeromskiego.

Jury wyraża swoje uznanie organizatorom konkursu i rekomenduje jego organizację w kolejnych edycjach.

Na tym protokół zakończono i podpisano.

KRZYSZTOF MARTWICKI

W DRODZE NA DALNIĘ, 1945

Tak się zagadaliśmy z Panem M., że w pewnej chwili straciłem rozeznanie, gdzie jesteśmy. Wszystko wokół było jednakowe. I zagajniki, i nieurodzajne pagórki, i niebo nad nami zewsząd majowo błękitne. Niby to jeszcze moje strony, mazowieckie, a jednak zabłąkałem się jakoś w mojej głowie i zupełnie nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. Ale nie wiedzieć, gdzie się jest, to zawsze szaleńcza przygoda, wiadomo. Kiedyś nawet nie wiedziałem, w jakim jestem... państwie! I musiałem w Ardenach rozpytać w karczmie, czy to jeszcze Francja, czy Belgia, czy może już Księstwo Luksemburg! Są jednak pewne granice szaleństwa. Tym bardziej u siebie, we własnym kraju. Granice niewidzialne, tak zwanego dobrego smaku, kiedy się należy opamiętać w całym zawirowaniu podróży, w prześmiesznej błazenadzie zwanej życiem, i wylądować na twardej ziemi.

Szczęśliwie na czas w sukurs mi przyszła daleka postać. Daleka i mała jak przecinek. Ktoś ledwo widoczny, ot taka migawka w Kosmosie, niewiele więcej. I na nią poprosiłem, by pan M. skierował nasze siwki.

Stary człowiek, który stał z grabiami na skraju pola, był ubogo ubrany. Samodziałowe ubranie wisiało na nim szarawo i smutno, powojennie. Na nosie miał kościane okulary, najwyraźniej pęknięte nad nosem, bo gęsto przewiązane były tam brudnąwą dratwą. W całej swej ubogiej posturze i odzieniu ów ktoś bardziej przypominał stracha na

wróble niż ludzką istotę. Może w istocie był strachem? A może człowiekiem przydrożnym, których kiedyś było wielu? Stali na rozstajach i za mały grosz albo za zdrowaškę za ich dusze bezbłędnie wskazywali kierunek. Kto wie, może stary człowiek był jednym z ostatnich takich ludzi? Postanowiłem spytać go o drogę. O drogę na Dalnię, za żalnieńskie pola i jeszcze dalej. I jeszcze dalej. W stronę Könihsbergu. Bo za Dalnię to już jeden krok, rzut beretem w ten inny, lepszy świat. Za Dalnię od zawsze kończyło się wszystko znajome i tam jakby urywała się kula ziemiska i była przepaść w zasobniejszy, jak się jeszcze przed końcem świata zdawało, ni to polski, ni pruski kraj. Świat niepokojący, graniczny. I lepszy niż ten, z którego się wyruszyło. Graniczny świat jest zawsze lepszy niż nasz własny. Nikt nie wie, dlaczego. O drogę w taki świat spytałem.

Starzec najpierw obejrzał mnie mocno zaintrygowany. Potem przeniósł wzrok na nasz wóz cyrkowy. Otaksował go dokładnie, pokłuszył głowę z uznaniem, że – fu, fu! – bardzo mu się podoba. A potem znowu spojrzął na mnie i sękatym palcem pokazał ścianę drzew.

– To są lasy poczynające się od górki, zwanej Rusnową, do Lisich Jam – powiedział. – Dalej trzeba do Studzianki. Po czym za Studzianką bzami wzdłuż Lipin do granicy Strzałkowa. Calutki czas, ma się rozumieć, jadąc drogą wiodącą od strony Drogiszek, nie inaczej. A kiedy po kwadransie z okładem mijać będziecie leśną kapliczkę, z której stare wiatry dawno wywiały Frasobliwego, to ani chybi będzie to już tuż-tuż. Ta granica. Znaczą się, przed wojną to było tam, ale dziś?... – starszy pan tylko wzruszył ramionami. – Tylko trzeba tam dotrzeć przed nocą, bo inaczej zbłądzicie.

Nie będąc do końca przekonany, czy wszystko dobrze zrozumiałem i zapamiętałem, zdawkowym uchyleniem kapelusza podziękowałem starszszkowi i kazałem ruszać.

– Stara kapliczka! – zawołał jeszcze za nami. – Z sosnowego pnia! I pusta! To jeszcze powinno tam być!

I rzeczywiście, przydrożny człowiek miał rację. Za kapliczką był zakręt. Piaszczysto wnikał w ciemny bór. I tam trzeba było wjechać. O ile ktoś się nie bał. A myśmy się przecież nie bali. Bo kto by się bał, przeżywszy taką wojnę jak nasza? Kto by się jeszcze czegokolwiek potrafił przestraszyć?! Pan M. tylko rażno spał siwki i wjechaliśmy. Zazieleniło się nad głowami leśną ciemnością. Wilgotne powietrze dotknęło naszych twarzy. Zewsząd zapachniało żywicznie, grzybowo i tajemniczo. Ciemne gałęzie i tylko chrzęst chrustu pod kołami, jak w baśni zza siedmiu gór. Wjechaliśmy w baśń i od razu wszystko stało się jasne. Tak się wkracza w nieznanne. W prawdziwe nieznanne. Najbardziej prawdziwe. Tak się wkracza w baśń, prawdziwszą niż życie.

– Ale tu straszno... – szepnęła mi za plecami Anielka. – I tak ciekawie. Jak u braci Grimm.

– Teraz już tak będzie zawsze – odszepnąłem jej z mrugnięciem oka.

Bór kończył się na skraju jakiejś wsi. Jej zabudowania różniły się od tych przed boru, czyli mazowieckich. Nie były już drewniane, kryte strzechą i podparte byle czym, ale ceglane, szachulcowe i na kamiennej podmurówce. Zabudowania, że ho, ho! A niebo owe domostwa drapały skośnymi dachami ze starannie ułożonej dachówki. I już na pierwszy rzut oka było jasne, że borem wjechaliśmy do Prus.

Patrzyłem na mijane zasobne siedliska i taka mi myśl zaświtała w głowie, że oto po wielu latach znów jestem w Niemczech. Poczułem, jak znowu zaczyna mnie otaczać ten systematyczny i przewidywalny świat. Ten świat, w którym zawsze dwa plus dwa znaczyło cztery, i w żaden sposób nie mogło być inaczej. Tylko że teraz... Z tym jednakże obecnie wyjątkiem, że dziś to już nie miały być Niemcy, które dobrze znałem, ale Polska. Taka Polska, której, o dziwo, znać jeszcze nie mogłem. Przedziwne wrażenie. Być w jednym państwie, a zarazem w innym.

Wrażenie owo było tym dziwniejsze, że jadąc wzdłuż wsi, nie spotkaliśmy żywej duszy. Nawet byle kura nie zagdakała, nawet pies

z kulawą nogą nie zaszczekał. Pusto tu jak po epidemii. Niemców wypędzono w diabły, a nikt ze starej Polski nie kwapił się z osiedlaniem. Pozostały zabudowania, obejścia, obojętne i niewinne z natury. Bo czy można taką, dajmy na to, stodołę postawić w stan oskarżenia za komory gazowe? Albo oziminę, zasianą jeszcze niemiecką ręką, a teraz rosnącą majowo, osądzić i skazać za warszawskie getto? Nijak nie można, a nawet nie wolno. Nie wolno sądzić przedmiotów za ludzkie grzechy. Zły człowiek wywołał tę wojnę, a potem drugi zły człowiek pogmatwał, zamącił brudnym paluchem na mapie granice, i oto teraz znaleźliśmy się razem w tym dziwnym miejscu. I nie bardzo wiemy – ta stodoła, ta ozimina i my, ludzie – co dalej. Jak się odnaleźć? Jak na nowo opowiedzieć sobie świat? Żeby wszystko wróciło w dawne, nowe kontury, przeistoczyło się w zarysy życia, potocznie zwanego normalnym. Takie myśli wierciły się w mojej głowie, gdy mijaliśmy kolejne nieme i bezładne siedliska.

Na nocleg postanowiliśmy się zatrzymać w pierwszym z brzegu zabudowaniu. W okazałym gospodarstwie z domem pięcioizbowym, oborą murowaną, stodołą, że we dwa konie można by zawrócić, maneżem nieporzdewiałym i studnią na dwadzieścia kuf! A i jeszcze warzywniak, i pokaźny kawałek sadu, i gołębnik. Wszystko pogrodzone, jak się należy. Sztachety wzmacniane kowalską robotą. Brama i furtki na żelaznych zawiasach. Wszędzie zamki na klucz, a wszystkie klucze schludnym rzędem na haczykach w kuchni tuż przy wejściu. Wydawało się, że jeszcze drżą, jakby ktoś je tam zawiesił pięć sekund temu, a przecież od wyzwolenia to zaraz będzie czwarty miesiąc. Ależ gospodarstwo! Mucha nie siada. Tylko że wszystko tu jakieś takie... – pomyślałem sobie. – Wszystko tu na wskroś nie nasze, obce, zimne, niemieckie.

Nie mogąc zasnąć, rozmyślałem. Może właśnie gdzieś tu albo na innym skrawku tak zwanych Ziemi Odzyskanych w czyjejs głowie, podobnie jak w mojej, powstaje dziwny mętlik. A w mętliku tym uparcie

zaczyna krążyć nowe słowo: „poniemiecki”. Żeby nazwać dom, maszynę, aparat czy jakiś inny sprzęt, które zrządzanie historii daje nam w ręce. I zaczyna rodzić się w tym słowie „poniemiecki” jakaś bolesna sprzecznosc, która nigdy już nie będzie dawała spokoju. Że coś jest lepsze, solidniejsze, lepiej pomyślane niż polskie. Lepsze bo niemieckie. A zarazem gorsze, fałszywe, agresywne, bo... niemieckie. Pomyślałem sobie, że, powiedzmy, za jakieś dwadzieścia lat stolarz spod Płocka będzie wsuwał deskę w starą heblarkę Kruppa i nadziwić się nie będzie mógł, że bez ostrzenia ciągle szlifuje, że ganc pomada! A jednocześnie jak go kto zapyta, co to za maszyna, co tak pięknie hebluje, machał będzie ręką, że to takie tam ponemieckie gównno! Albo dzwon w kościele w Strzegowie. Ktoś pojechał aż do Soldau, czyli Działdowa, na szaber. Zdjął z pierwszego lepszego ewangelickiego kościoła dzwon, otulił słomą i furmanką przywiózł do Strzegowa, zawiesił i po dziś dzień dzwoni jak ta lala. Ale przecież gdyby to był dzwon rodzimy, odlany z naszych żelazek z duszą, mózdzierzy, kluczy i wszelkiej mosiężnej drobnicy, dzwoniłby o całe niebo piękniej, prawda? Bo po polsku. A tak, to ten, co dzwoni, owszem dzwoni dobrze, prawidłowo i punktualnie, ale przecież nikt mu nigdy nie zapomni, że jest ponemiecki. I zawsze będzie podejrzany. A jak za pięćdziesiąt lat podczas procesji urwie mu się serce i o mały włos kogoś nie zabije, wszystko stanie się jasne. Serce się urwało i upadło dwa kroki od dziewczynki sypiącej kwiatkami! Przypadek? Wcale nie. Co się dziwisz, to przecież... ponemiecki dzwon. Ale dlaczego tak się przyczepiłem do tej ponemieckości? A to co na wskroś polskie, to niby jakieś lepsze?

Nazajutrz jechaliśmy z panem M. dalej. Brzózki samosiejki, pola, zagajniki. Majowy świat gdzieś pod Nidzicą. Pan M. powoził, a do mnie powoli dochodziło coś bardzo ważnego. Kimże właściwie jestem, żeby tak o tym wszystkim niemieckim, ponemieckim myśleć? Skoro wszystko już dawno się poplątało. Bo na przykład mój własny życiorys. Groch z kapustą, jakiś mętnawy amalgamat, a nie prawdziwe życie.

Urodziłem się w Elblągu, kilka przecznic od domu, w którym mieszkała matka Angeli Merkel. Mój dziadek, który przed wojną skończył w Berlinie szkołę budowlaną, tak samo dobrze mówił po polsku, jak i po niemiecku. A swojej młodszej córce, urodzonej na Mazowszu, dał na imię Berta. Kim właściwie był? Kim się wewnątrz czuł, skoro ledwo skończyła się wojna, natychmiast osiedlił się w Szczecinie, o którym w czterdziestym piątym roku nie do końca było wiadomo, czy będzie w granicach Polski. Czego tam tak naprawdę szukał? A ja? A ja się wychowywałem na Mazowszu, a potem wyjechałem na długo do Francji. Czasem łapię się na tym, że myślę po francusku. W słodkiej Francji spotkałem kobietę, która jest matką mojego syna. Mój syn jest Francuzem i mieszka w Prowansji. Ale zanim dorósł i zanim rozstałem się z jego matką, w ciągu dziesięciu lat przeprowadziliśmy się osiem razy! Najpierw był Kraków, potem Myślenice, potem kemping w Taradeau, następnie La Motte-en-Champsaur w Alpach, potem Płońsk, Warszawa, Falenica i znowu wylądowałem w Płońsku. Teraz pytam siebie: Do czego mam tęsknić, gdzie ma mnie ciągnąć, gdzie gnać? Gdzie właściwie jest moja mała ojczyzna? A ta duża to... która? Na dodatek przez piętnaście lat byłem księdzem, a potem już nie byłem. I co z tym wszystkim zrobić? Przecież jestem za jednym zamachem ponemiecki, pofrancuski, pokapłański i popolski... Jestem nikiem.

– O czym pan tak długo milczy, panie Rysiu? – nagle zagadnął mnie pan M.

– Dobre pytanie, panie M.... Wie pan, tak sobie rozmyślałem o Dalni.

– Ale Dalnia już dawno za nami – zdziwił się pan M.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent.

– A może krążymy w kółko i zaraz za zakrętem, o, za tym, znowu będzie Dalnia?

Pan M. popatrzył na mnie dziwnie, spiął konie i pojechaliśmy dalej. Pojechaliśmy dalniej. I tak sobie jedziemy do dziś.

ANNA PILISZEWSKA

NIEMEN

Spojrzyj no waszmość, co to za przestronne nozdrza! jakie wilgotne! Jak waści pies takim nosem wiatr weźmie, to tam już ma co trąbą podać do mózgu. A jaki za to u tego grzbiet! Bo i pieczeniasty, i długi, zważ waćpan.

Stefan Żeromski, *Popioły*

Przechadza się wolno, ręce założył do tyłu. Myśli. A oknami wślizgują się już pierwsze promienie. Jakiś ptak usiadł na modrzewiu i czyści brązowe piórka. Obserwuje go chwilę przez szybę. Jeszcze chwilę poduma, a potem wypije herbatę. Następnie napisze kilka stron – dwie, trzy, cztery – nie więcej. No, może i pięć, ale to góra! Bo potem pójdzie spotkać się z przyjacielem, który właśnie przyjechał z Paryża – jest umówiony w południe, w parku. Pospacerują sobie, pogadają jak zawsze, a może nawet do kogoś zajrzą z niespodziewaną wizytą, może do Aleksandra? Na razie krąży tam i z powrotem. Podłoga czasami skrzypnie pod jego stopami, czasem ściany zatrzeszczą, coś brzdęknie, coś zaszeleści. Ot, taka sobie cichutka mowa miejsca oraz przedmiotów.

W krążących drobinach pyłu, w ciszy, jeśli naraz przystanie z filizanką przy wargach i mocno nateży ucho, nasłuchując tej mowy, z lekkim uśmiechem stwierdza, iż staje się ona zupełnie wyraźna. Przestrzeń mówi. Co mówi? Co wyszeptuje miejsce? O czym szepczą cienie, biurko i bibeloty? O czym skrzynia podróżna?

Wymarzył sobie ten dom. Teraz jest jego własnością, tu odpoczywa, tu pisze, cieszy go spokój, zieleń, gorzkawy zapach drewna, każdy kąt. Kupił to swoje szczęście za pieniądze z *Popiołów*, dlatego nazywa je Popiołówką. Jak inaczej mógłby je nazwać? Bo miejsce – prawie jak człowiek – domaga się imienia. Więc Popiołówka. Ot co!

Dopija letnią herbatę. Pochyla głowę nad kartką. Światło coraz odważniej wcedza się i rozświetla przestrzeń.

Napisze te kilka stron – dwie, trzy, cztery – nie więcej. No, może i pięć, ale to góra! Bo potem ma spotkanie, bo umówił się w parku...

* * *

Wiatr mu strącił kapelusz, kiedy sprężystym krokiem szedł na spotkanie. Schylił się. Otrzepał z drobinek kurzu. I wtedy znowu go dostrzegł.

Pies leżał w plamie słońca, pośród trawy do kolan – jakby zmęczony czy senny. Zwinięty ziewnął, wspierając swój ciężki, rdzawy łeb na wyciągniętych, przednich łapach. A kiedy mężczyzna podszedł, aby podnieść kapelusz, szczerknął krótko, łagodnie, na znak, że i on go spostrzegł.

Mężczyzna założył kapelusz.

Zerknęła na siebie – człowiek i zwierzę – niczym starzy znajomi. A potem pies podniósł się z trawy, zbliżył, następnie usiadł, przekrzywiając głowę.

– Jak się masz? – spytał mężczyzna.

Pies zamerdał ogonem.

– Jesteś głodny? Nno tak..., jesteś, jesteś! A ja, niestety, nic nie mam...

Mężczyzna rozłożył ręce, a pies patrzy zupełnie, jakby rozumiał każde jedno słowo.

– Siedzisz tu czwarty dzień. Widziałem cię w czwartek i piątek. I teraz. A dziś przecież niedziela. Ktoś cię zgubił? Porzucił? Zapomniał? Rozumiem, że czekasz tutaj na kogoś...

W brązowych, myślących ślepiach rozbłyskują złotawe iskry. Ręka mężczyzny ostrożnie dotyka ciemnego karku i gładzi szorstką sierść – początkowo samymi czubkami palców, potem otwartą dłońią. Poprzez opuszki – w żyły, a z żył aż w głębię serca – wsącza się dziwne ciepło; prąd czulego wzruszenia. I jednocześnie jakiś nieokreślony żal, jakiś wewnętrzny ból.

– Wiesz... Jak będę wracał, a ty jeszcze tu będziesz, to ja cię czymś poczęstuję. Coś dobrego przyniosę. Kiełbasy spory kawałek! Nnno..., chyba lubisz kiełbasę? Poczekasz?

Wysoko, jasnym błękitem przesuwają się mleczne karawele obłoków. Czas na chwilę przystanął. Mężczyźnie wydaje się, iż wszystko dokoła zamarło, że rośliny zamilkły w swych odwiecznych szelestach. Przestrzeń kurczy się, kurczy – i wnet mieści się w niej już tylko zwierzę i tylko jego własna ręka błędząca w szorstkiej sierści tam i powrotem.

Zrywa się wiatr i ciska mu w oczy drobiny pyłu. Zapiekło! Mężczyzna mruga, trze oczy. Z kieszonki kamizelki wyciąga chustkę i płański zegarek z dewizką, który pokazuje, że jest już za kwadrans dwunasta – zrywa się więc. Biegnie, wciąż odwracając głowę, choć przecież pies został już dawno poza linią widzenia.

– Poczekasz, prawda? Poczekasz...? – szepce wciąż, nieświadomie.

* * *

W srebrnej poświacie gwiazd Góra Armatnia zdaje się błękitna. Szczególnie kiedy jest mgła.

Stawia szerokie kroki. Namacał w kieszeni spory kawał kiełbasy – tylko dla pewności, bo przecież wie, że ją tam porządnie schował. Ciekawi go, czy pies nadal czeka przy kępie wybujałych ostów. Może odnalazł już swojego pana, na którego tak wiernie czekał. Może sobie gdzieś poszedł... Ale dokąd? A wieczór taki wilgotny...

Zbliżając się ku miejscu, gdzie upuścił kapelusze, wręcz wypatruje oczy. Trawa błyska od rosy.

– Jesteś...?

W niebieściejących zaroślach cisza. Tylko w oddali słychać cykające koniki polne.

Wydłużają się cienie.

– Jesteś???

Wtem ruch jakiś ostrożny, trzask łamanej gałązki. Oto zza zasłony krzewów wyłania się kształt niewyraźny. Wietrzy... I naraz już jest!, już podbiegł w kilku radosnych susach.

– Mam kiełbasę. Proszę...

Niebem przesuwają się chmury, zasłania gwiazdne kaganki i Góra Armatnia z błękitnej przeobraża się w szarą.

Stąpa uważnie, bacząc, by się nie potknąć. A za nim pies. Idą wolno – krok w krok...

* * *

Przegląda stary rękopis. Kartki sennie szeleszczą.

Pies oparł pysk na jego kolanie i drzemie. Nazwał go Niemen – jak tamtego z *Popiołów*. Jak inaczej mógłby go nazwać, skoro tu, przed Popiołówką go spotkał? A zwierzęta – jak ludzie – muszą mieć swoje imię. Więc skoro znalazł go przed Popiołówką...

A zresztą może było inaczej? Może było odwrotnie i to nie on psa, ale to zwierzę znalazło jego? Może to Niemen go wybrał? Może

zwierzęta, podobnie jak miejsca oraz przedmioty, wybierają nas – z sobie wiadomych powodów...?

Spogląda raz po raz na zegar, ponieważ spodziewa się wizyty swego przyjaciela.

Na ganku stukają kroki. Ktoś się wspina po schodach. Pies podniósł uszy. Słucha. Wstają jak na komendę, aby witać się w drzwiach.

– To ten pies z twej opowieści? To o nim wspominałeś mi wtedy w parku?

– Owszem.

– Jakże się wabi?

– Niemen.

– Ho, ho!

Pies przysiadł. Merda ogonem. Wie, że to wokół niego krąży rozmowa.

Mężczyźni się uśmiechają. Jeden z nich otwiera książkę leżącą na małym biurku. Chwilę szpera wśród stronic...

– *Spojrzyj no waszmość, co to za przestronne nozdrza! Jakie wilgotne! Jak waści pies takim nosem wiatr weźmie, to tam już ma co trąbą podać do mózgu. A jaki za to u tego grzbiet! Bo i pieczeniasty, i długi, zważ waćpan... – czyta.*

JANUSZ MIELCZAREK

TAM GDZIE NIE ROSŁY POZIOMKI

Kościółek otaczała płatanina krzewów. Jego drzwi, z łuszczącymi się resztkami farby, zwiślały z futryny podtrzymywane przez zardzewiały zawias. Między nimi a murem ciemniała szczelina, przez którą można było przecisnąć się do środka. Weszliśmy. Wokół była pustka i ruina.

Przyklękliśmy. W kącie, upstrzony ptasimi odchodami, strzępił się na wpół suchy krzew dzikiej róży. Z wnęki, obok której mógł być kiedyś ołtarz, zerwał się ku nam dziki gołąb, jakby chciał nas stąd przepędzić. Na ziemi wałały się w nieładzie kawałki desek zżerane przez robaki. Ze ścian sterczały pokrzywione gwoździe, a ręka, odłamana od świętej figury, leżała pomiędzy liśćmi łopianu, dzierżąc w niekompletnej dłoni drzazgi pozostałe z okładki Ewangelii.

Wstaliśmy, przetarli upocone twarze. W tym miejscu modlili się ludzie. Trudziło się, żeby tu dojść. Odpoczywali po drodze, posilali się, obmywali w strumieniu i dalej pięli pod górę. Czy wszyscy rozpoczynający wędrówkę postawili stopy tutaj, za progiem, i dostąpili łaski modlitwy w kościółku na zboczu góry? – pytałem moją wyobraźnię. – Przecież na pewno byli wśród nich chorzy i kalecy, którzy osuwające się kamienie ścieżki forsowali na kolanach, prawie na leżąco. Co jakiś czas zmieniali pokrwawione opatrunki z podartych szmat i ruszali dalej. Ilu z nich zdołało donieść tu swoje cierpienie, modły i błaganie o pomoc?

Czym jest dzisiaj, pośród zwojów tamtego bólu, zasuszonych cierpień i nadziei, nasza zbyteczność? Kaprys ludzi nienawykłych do zmagania się z surowymi prawami natury; nas, przybyszów z innych czasów, z dzisiaj? Czy nasze tu przyjście można porównać z wysiłkiem potrzebnym do przebycia chociażby kilkudziesięciu metrów przez kalekę czołgającego się na kolanach do tej świątynki? Do troski, z jaką rozsypywał zakrwawione szmaty i sprawdzał, czy może iść dalej? Rzęził powietrzem w przekrwionych oskrzelach, płuł na szydzącą z niego okolicę, ale ufał, że się nie podda, a skały nie zachichocą nad nim w sposób, w jaki poniżają przegranych.

Moje dotychczasowe wyjazdy w góry zawsze niosły jakieś wyzwania. Teraz miało być sielsko i pocztówkowo. To, że skręciliśmy z głównego traktu do miejsca zapomnianego przez przewodniki, jest przypadkiem bez znaczenia. Skąd więc pytania, które zadawałem sam sobie, a może ktoś zaczął mi zadawać? Przejęcie się losem nieznanym ludzi, których ożywiła moja imaginacja? Po co na tej scenie, gdzie jedynym aktorem jest przysypiający w wyłomie muru gołąb, usiłuję inscenizować spektakl z przeszłości? Co zaakceptuje widownia cieni – wykładnię sumienia czy grę wyobraźni?

Podniosłem wzrok ku prześwitom w dachu, zasłoniłem twarz. Może to w tym miejscu zapisywano kiedyś stronicę Księgi Pytań, a zwierzałe mury pod tiulami pajęczyn przechowują pamięć o modłach i ofiarach tu składanych, błaganiach o zdrowie i litość? Czy niesiono je do tego miejsca z taką żarliwością, że przetrwały do dzisiaj?

W jakim celu z zamazanej kliszy intuicji usiłuję rozszyfrować historię tego miejsca? Przecież to podobnie, jakbym ze śladów kropli krwi na toporze kata chciał odczytać nazwisko straconego. A może to wszystko jest tylko myleniem tropów na ścieżce poszukiwania siebie.

Czy koło napędzane kiedyś strumieniem ludzkich losów zastygło w bezruchu na zawsze, czy sunie jeszcze niepostrzeżenie, a spoczęła ziemia, na której moje stopy stoją niepewnie, wciąż przechowuje ludzkie losy, ich wiarę i zaklęcia, od których pękały kamienie?

Czynię tak, bo wymusza to na mnie energia tego miejsca, moje przekonania, sumienie, odczuwanie cierpienia drugiego człowieka, a może bojaźń przed własnym losem? Jeśli ominę te mury jak kiosk z hamburgerami, to znaczy, że moje człowieczeństwo leni się na wakacjach. Że tędy przesunęła się tylko nadęta człekokształtnie, poruszająca się substancja, która, opakowana w miejsca zbyteczności, nie dorównuje nawet szelestowi śmiecia foliowej torebki bezwolnej ruchom powietrza.

Obok, na murze, był wydrapany zanikający już napis po francusku: *Avez-vous apporté le corps – vous-avez une ame?* Przyniosłeś ciało – gdzie masz duszę? Pokazałem go Ewie. Najpierw powtórzyła szeptem, a potem zapytała:

– Przyniosłeś?

– Jestem i wciąż pytam.

Wpatrzyłem się w oparty o ścianę krzyż. Podeszedłem bliżej: na szerniałym drewnie przebijały jaśniejsze plamy, które mogły być śladami po przytwierdzonej tu figurze Chrystusa. Gdzie była teraz? Co się z nią stało? Przymknąłem oczy, w myśli nierozproszonej obrazami usiłowałem szukać odpowiedzi. Ewa wyczuła to, nachyliła się i zasugerowała szeptem, że być może ludzie z tych stron, gdzieś w dolinie, w miejscu bardziej dostępnym, zbudowali nowy kościół, do którego przenieśli figurę.

Tak być mogło, ale krzyż połyskujący jeszcze gdzieś tam w kącie, którym kiedyś był nasączony, tutaj, wśród tych ruin nieruin, nie przystawał do reszty. To nie były tylko połączone ze sobą kawałki drewna, choć tak wyglądały. On był tu śladem czasu zatrzymanego chwilowo, w przelocie, ale na wiele lat. Rozejrzałem się za resztką jakiejś nie do końca wypalanej świecy. Łudziłem się, że zapalona przywoła dawne obrazy tego miejsca, powiąże projekcję z myśli i płomienia, poprowadzi ku skojarzeniom. Ogień zawsze przyciągał mój wzrok okrucieństwem i nieprzewidywalnością. Nieuchwytny, i dlatego pełen

ułud i znaczeń, które – mimo grozy – chciałoby się w nim odkrywać. Teraz przed sobą miałem ślad materialny, który mógł być częścią historii tego miejsca.

Gołąb sfrunął na krzyż. Kilkakrotnie przebiegł po nim czerwonymi zapalkami nóżek i powrócił na dawne miejsce. Zaskrzypiały drzwi, za nimi chmurą owadów ucztowało górskie lato. Mielśmy odchodzić, gdy znad krzyża doszedł nas cichy, lekko schrypiały głos:

– Czego tu szukacie? – Zamarliśmy. W uszach zadudniła zbudzona nagłymi słowami cisza. Głos, choć cichy, brzmiał surowo: – Przywiodła was tu chciwość. – Gołąb poderwał się, jakby próbował ruszyć do lotu, ale po chwili podkulił tylko skrzydła i pozostał. – Szliście tu z nadzieją, że znajdziecie coś cennego, może nawet skarby?

Pociemniało mi w oczach i drżały ręce. – To niemożliwe... niemożliwe – powtarzałem jak w gorączce. – Nie, to wszystko dzieje się tylko w mojej głowie... tylko w niej... Podejście było męczące... Potem jeszcze te pytania... A teraz głos... Tak, oczywiście, to omam, jakimi góry potrafią kpić z intruzów przychodzących z miejsc, gdzie żyje się byle jak.

Ewa spojrzała na mnie i przygładziła krótkie włosy.

A więc ona... – usiłowałem z bezładu i szamotaniny myśli wyplątać nić, która na powrót połączy mnie z tym miejscem i wszystkim, co się tu dzieje.

– Tak nie można, to niesprawiedliwe... – rozejrzała się wokoło, jakby chciała wysledzić miejsce, skąd dobywa się głos. – Ten kościółek zobaczyliśmy z daleka i wzbudził naszą ciekawość. To wszystko. Możemy zaraz stąd odejść.

– Zadaliście sobie tak wiele trudu tylko po to, żeby spotkać tu pustkę i zniszczenie.

– A jednak... – mówiła ściszym głosem. Przełknęła ślinę, rozejrzała się dookoła. – Czy naprawdę jesteście tu sami...?

– Oczywiście. Reszta to złudzenie waszej zadufanej, ludzkiej wyobraźni. Ludzie wymyślają historie podszyte okropnościami, jak-

by mało było nieszczęścia wokół. Góry, jaskinie i czyhające w nich niebezpieczeństwo są najlepszą scenerią dla tworzenia sytuacji grozy. A wszystko to dla pieniędzy, bo publiczność lubi się bać i płaci za to sownie. Jedna z takich bajek przyszła z wami.

– Przyjechaliśmy z różnych krajów. Chcieliśmy się poznać.

– Kobieto, trudno uwierzyć, że dwoje ludzi ryzykuje daleką podróż tylko po to, żeby się poznać. Może jesteście kurierami i mieliście sobie coś do przekazania?

– Mówiłam prawdę. – Była stanowcza.

– Przecież któreś mogło zakpić z drugiego?

– Ja mu wierzyłam.

– Zawsze tak bardzo ufasz ludziom?

– Nie, ale jego broniło to, co napisał. – Ewa wpatrywała się w miejsce, skąd dochodził głos. – Kpina jest grą ludzi płochych, pozorów. – Dotknęła mojego ramienia. – Ten człowiek pisze książki, a ja... – pochyliła się ku mnie – ja je polubiłam. Może nawet... pokochałam. – Zwiżyła wargi, wzięła oddech. – Przez kilka miesięcy posyłaliśmy do siebie listy przez Internet. W tym kościółku jesteśmy przypadkowo. – Zamyśliła się. – A może tak nam się tylko wydaje?

– Mówisz, że ten milczący człowiek pisze książki? – Głos był teraz czysty i spokojny. – Ludzie niepotrzebnie komplikują sobie życie, oddając się temu żmudnemu i wyniszczającemu zajęciu. Ono jest nieubłagane, potrafi zawładnąć duszą i wyssać z człowieka wszystko, co w nim najcenniejsze. Wielu oddało za nie życie, a tych, co wciąż próbują pisać, nic nie jest w stanie powstrzymać. Niektórzy wierzą, że w ten sposób zostawią po sobie ślad dla potomności. O, naiwni. Potomność nie oczekuje zaśmiecających świat symboli, jej do przetrwania potrzebne jest człowieczeństwo, ten najtrwalszy z kryształów. Ono jest ostateczną treścią egzystencji. – Gołąb uchylił powiekę, sprawdził naszą obecność i oddalił się w sen. – Nie sądzę, aby książki były tu czymś znaczącym, chociaż ty uważasz, że pisane ręką tego człowieka zasługu-

ją nawet na to, żeby je kochać. Niewiele jest na świecie rzeczy wartych miłości. Musisz też pamiętać, że książka to także wytwór ludzkiego egoizmu, nazbyt rozbudowanego ego, samouwiełbienia, a często pychy.

– Ale piszący nie kryją tego, pokazują się takimi, jacy są, otwierają kreowane przez nich światy. Możemy je akceptować albo odrzucić.

– Kochać książki? Hm... dziwne, prawda? Ale skoro można zatracić się w miłości do ludzi, przedmiotów, gór, morza, pieniędzy, to pewnie do książek także.

Podziwiałem Ewę. Słowa tego dialogu dochodziły do mnie jakby odbite od ścian, falowały, i zniekształcone spływały ku ziemi.

– Powiesz coś jeszcze o twojej miłości do książek?

– Wciąż jeszcze żegluję w tej szeleszczącej rzece unoszącej czytelnika ku morzu wyobraźni. Ta, pochodząca z książek, pomaga zatrymać chwilę, spojrzeć w świat i w siebie.

– Narażasz się tym na kpinę. Wymykasz się z tłuszczy wpadającej w sidła pozorów szczęścia, władzy, sztuki. Buntowników traktuje się z wyjątkowym okrucieństwem.

– Nikomu nie pozwalałam włamać się do mojej wyobraźni, a więc także do tego, na co naprowadza książka. Tę, napisaną przez niego, dostałam przypadkowo, choć w przypadku nie wierzę – wskazała na mnie. – Miałam ledwie godzinę, żeby ją przekartkować. Zaciekawiała mnie. Odnalazłam go przez Internet, napisałam i poprosiłam o pomoc w jej zdobyciu. – Spojrzała na mnie wzrokiem tego słonecznego dnia unoszonego przez owady falujące w szczelinie obok drzwi. – Odpowiedział, że napisał tę książkę dla mnie. Naprawdę, to były pierwsze słowa, jakie mi przesłał. Pokochałam to jego kłamstwo za miłość do anonimowego czytelnika. Autor nie zna go, ale tamten poszukuje jego książki, a więc czegoś, czemu nadał życie.

– Mówisz o tym jak zakochana kobieta. – Głos dźwięczał teraz szlachetnym metalem. – Dobra książka powstaje z potrzeby podzielenia się z innymi tym, co ma się najlepsze. Jej treści potrafią poruszać się

w czasie, w przestrzeni, nie są niczym ograniczone. To pewnie dlatego wciąż jeszcze wielu ludzi nie może bez nich żyć.

– Jego książka przeniosła mnie w czasy, za którymi tęskniłam.

– Masz na myśli młodość? Czy przez dwadzieścia deko zadrukowanego papieru znowu stałaś się podlotkiem?

– Nie, ale pomogła mi pogodzić się z tym, co dosięga nas nieuniknienie.

– Wierzysz, że wytrwasz w tym przekonaniu, że za miesiąc lub dwa nie poczujesz się oszukana? – Gołąb zatoczył koło pod sufitem i ponownie usiadł we wnęce. – Życie człowieka naznaczone jest przemijaniem, jak wszystkiego. Wydaje mu się, że zawsze powinien być taki, jaki był rok temu, dziesięć, a tu zupełnie niespodziewanie zjawia się obok ktoś inny, niby podobny, ale z nową zmarszczką, bólami, zadyszką i coraz bardziej postrzępionymi nerwami. Możesz mu podać rękę jak komuś potrzebującemu noclegu w twoim domu albo bezskutecznie usiłować wyrzucić za drzwi. I powtarzać to codziennie. Wówczas przegrywasz.

– Czy książka może pomóc żyć? – zapytała Ewa po dłuższym milczeniu.

– Jeśli jej treści sięgają do najbardziej nieprzeniknionej miazgi człowieczej, to pewnie to uczyni, jeżeli jednak jest jak oszołomiona ryba, która znalazła się na płyciźnie, ślizga się i rzuca po wilgotnym piasku, na którym zostawia tylko chwilowy ślad, to... spróbuj odpowiedzieć sobie sama. Tym co przywiodło was na to spotkanie była wiara i zaufanie do słowa. Czyż nie jest ono najtrwalszą kładką od człowieka do człowieka?

To co słyszałem, układało mi się na ramionach tkaniną przetykaną nitką szlachetnego metalu. Ale wewnątrz, jak wędrowca spragnionego łyka wody, piekła tajemnica krzyża. Tykała we mnie dźwiękiem zegara, który ma swój odrębny porządek czasu i obojętne są mu pory dni i nocy. Usiłowałem się przełamać, drżałem, aż wreszcie wydusiłem z siebie:

– Co się stało z figurą, której ślady widać na krzyżu?

– Napiszesz kiedyś o tym w książce?

– Nie wiem – usta sztywniały mi w gorączce – czy Dusza Mojej Wyobraźni będzie gotowa na to, żeby sięgnąć tam, gdzie – jak mówiłeś – jest dalej niż do najbardziej nieprzeniknionej miazgi człowieczej.

– Ale gdybyś chciał tego spróbować, to posłuchaj. Niegdyś ukryli się tutaj ludzie prześladowani. Przymierali głodem, cierpieli choroby, ale wiara w życie była w nich niepokonana. Gdy najgorsze minęło, postanowili wrócić i odzyskać, co im zabrano. Odeszli, ale wkrótce wrócili, bo uznali, że tam, na dole, raźniej im będzie żyć z figurą.

– Dzięki Ci za sekret tego krzyża. Potrzebowałem go, żeby dalej tworzyć swoje opowieści i mieć nadzieję, że ktoś je przeczyta – mówiłem przez ściśnięte gardło kaleczone słowami jak kolcami niedojrzałych kasztanów. – Wiem już, czyj głos słyszymy, i wiem także, że powinniśmy pochylić się przed Tobą i ugiąć kolana.

– Nie kazałem wam tego czynić, to jest przecież rozmowa przyjaciół. – Głos był spokojny.

– Tak, ale pierwszy raz słyszymy Ciebie osobiście, bez pośredników. – Wykrzyknąłem niemal.

– Przez lata przychodzili tu różni ludzie. Przynosili smutek i oddanie, uwielbienie i ból, ale także szyderstwa i kłamstwo. – Głos zamilkł i bałem się, że już nie wróci, ale po chwili znowu przemówił: – Z wami nie przyszedł tu strach ani pycha, nie było fałszywego poddania się, ale miłość i pokora dla tworzenia. Tego właśnie, co jest sensem istnienia: książki, gołębia, pajęczyn na ścianie i świata. I choć nigdy tak nie czynię, dla was zrobiłem wyjątek.

– Tam, na dole, nikt nam nie uwierzy, że spotkaliśmy tu Ciebie – powiedziałem, wciąż nie mogąc opanować drżenia rąk.

– Nie rozgłaszajcie tego. Wyśledzą to miejsce z samolotów, wpadną tu z kamerami, wykrywaczami czegoś tam. Najpierw zniszczą to, co zostało, a potem będą prześcigać się w kłamstwach. Bo czas dzisiaj taki, że najlepiej sprzedaje się kłamstwo.

Zaległa cisza. Do szczeliny w dachu wsunęła się dłoń popołudniowego słońca i po jakimś czasie sięgnęła ramienia krzyża. Powietrze drżało świetlistym pyłem, jakby za chwilę miało nim wyłoczyć biedę tego miejsca, a potem unieść krzyż, żeby promienny i lewitujący pozostał tak na zawsze.

– Czy to ty pisałeś o ojcu Domino z kościoła na krystalicznej skale w mieście Nepado? – Głos dochodził teraz z miejsca pod dachem, z okolic szczeliny, przez którą wpadało słońce.

– Nie wiedziałem, że tak nazywało się to miasto.

– To skąd znałeś tamtą historię?

Wróciłem pamięcią do majowego dnia sprzed sześciu lat.

Po ćwierćwieczu wydałem moją drugą książkę. Poszedłem podziękować do klasztoru. Wychodząc, zatrzymałem się na schodach. Słowa znowu burzyły mi się w gardle, zakleszczały. Ledwie mówiłem. Niżej była zieleń parków, które znałem od dziecka, a w oddali ulica i dom z białego kamienia, w którym się urodziłem. Wtedy nagle zerwał się wiatr.

– Uważasz, że to on przyniósł ci tę historię.

– Nie wiem, ale tak było.

– Byłeś nią tak zafrapowany, że nie dosłyszałeś nazwy miasta.

– W tamtej chwili wszystko wokół stało się nieważne – mówiłem coraz szybciej. – Notowałem tylko w pośpiechu to, co zasłyszała wyobraźnia. – Ponownie przeżywałem emocje sprzed lat. – W ciągu kilku minut musiałem zapisać usłyszane. – Potarłem skronie. – Potem, już w domu, do świtu napisałem tę historię o zakonnicy i człowieku ze szramami na dłoniach.

– Czy zawsze tak rodzą się Twoje pomysły literackie?

– Nie, ten był wyjątkowy.

– A jak pojawiają się inne?

Przymknąłem oczy. Brnąłem przez piaszczystość liter, lepkość zdań i kłamstwa obrazów. Ledwie się z nich wyplątałem.

– Pierwsze słowo wychodzi z ciemności – zacząłem niepewnie.
– Przyglądam mu się i pytam, czy mogę mu zaufać. Jeśli odważę się nadać mu sens, coś jakby przewodnictwo, to wtedy za nim wynurzą się kolejne. Ale muszę to robić w powadze i z pokorą, bo mała nieuwaga lub nieprzewidziany ruch rozerwie ten łańcuch, którego ogniwa zbudowane są z papierowej bibułki. – Przetarłem dłońmi twarz, ale pot dalej po niej płynął.

– Mówiłem już, że wybrałeś wyniszczające zajęcie.

– Ale czy mazaniem liter po ścianach albo krzykiem z ulicznych trybun można zapracować na to, żeby ktoś sięgnął po to, co się napisać? Co ulepi się z chwil przeżytych i z wyobraźni? – Uspokajałem się.
– Ty, Panie, wiesz o tym najlepiej. – Dziki gołąb biegał po parapacie wnęki i nerwowymi ruchami rzucał ku nam głową, jakby dawał znaki, żebyśmy sobie poszli. Ośmielony zadałem jeszcze jedno pytanie, które dręczyło mnie od chwili, gdy poznałem historię figury z krzyża.

– Jak potoczyły się losy ludzi, którzy zabrali stąd Twoją figurę?

– Przebaczyłem im, ale sami skazali się na walkę i niepokój, bo figura, prawie jak sztandar, raz po raz przechodzi z rąk do rąk. Ci, którzy ją akurat posiadli, uważają się za wygranych. Ale w tym samym czasie przegrani ostrzają już piły i topory, żeby ją odzyskać. I tak to trwa i trwa.

– W imię miłości do Ciebie? – zapytałem niepotrzebnie, bo odpowiedzi już nie usłyszałem.

Gdy byliśmy na zewnątrz, Ewa sięgnęła po aparat fotograficzny, ale zaraz go schowała. Usiedliśmy pod nagrzaną słońcem skałą. Podała mi jabłko, a ja sięgnąłem po butelkę z wodą. Milczeliśmy, a Jego głos i pył słoneczny wciąż były przy nas. Może nawet sięgały głębiej? Aż do tej naszej miazgi ludzkiej? Nie wiem, czy tak było, ale na pewno była to jedna z tych rzadkich chwil w życiu, której sens może nadać tylko milczenie.

Sięgnęliśmy po ekwipunek i powoli zaczęliśmy iść w dół. Za niedługo spojrzałem za siebie, ale kościółek skryła już gęstwina zieleni.

Za szybko – pomyślałem – przecież odeszliśmy ledwie dwieście, może trzysta kroków.

Wróciliśmy. Minęliśmy ścianę głazów, świerki, ale pewnie pomyliły się nam ścieżki, bo stąd też nie było go widać.

Obmyliśmy twarze w strumieniu.

– Chodźmy – Ewa powiedziała to prawie szeptem. – Z dołu na pewno zobaczymy go znowu.

IV-V 2017 r.

JANINA SZYMCZYK

INKA

Zaraz po ukończeniu studiów wróciła do rodzinnej wsi. Mówiono wówczas bez przerwy o konieczności osiedlania się w Obrzydłówkach. Ona akurat nie musiała słuchać „apostołów”, wiedziała, że kiedyś tu wróci. Była tego pewna już w chwili, kiedy opuszczała szkołę podstawową dziewięć lat temu. Z istic chłopską zawziętością powtarzała sobie wtedy, z trudem hamując łzy:

– A kiedy tu wrócę, pokażę wam wszystkim, że nauczyciela można kochać, można mu ufać. Moi wychowankowie nie będą omijali mnie szerokim łukiem i nie będą odwracali głów, kiedy zdarzy się im przechodzić obok...

* * *

Było jej przykro, bo wraz z koleżankami przygotowała spotkanie pożegnalne uczniów klasy siódmej z wszystkimi nauczycielami. Opracowały program artystyczny, postarały się o skromny poczęstunek, drobne upominki i kwiaty. Pewnie bez pomocy rodziców nie wszystko by się udało... Z początku nie bardzo im się to podobało, ale zgodzili się i włączyli we wszystkie poczynania. Nikt nie powiedział ani jednego słowa podziękowania, a pani S. w sposób ordynarny, jak to miała w zwyczaju, powiedziała do pani N.:

– Czego się tu spodziewać po prostakach? Mogły chociaż ciasto kupić, a nie polegać na wątpliwych umiejętnościach swoich matek. Po prostu szkoda było naszego czasu. A te piosenki to chyba z pustyni przywlokły...

To nie było przyjemne podsumowanie. Koleżanki w pierwszym odruchu zwróciły się przeciwko Ince, bo to był jej pomysł. Ale po chwili zgodnie orzekły:

– To ona dała świadectwo swojej kultury, bardzo niskiej kultury...

– Pewnie dlatego że naszą wychowawczynią była pani R.

– A zwróciłyście uwagę, że nawet nie spojrzała na książkę, tylko przesuwała ją po stole jak niepotrzebny talerz...

– Dajcie spokój, szkoła za nami, mamy z głowy te wszystkie sprawy. Nareszcie...

Siedmioletnia gehenna dobiegła końca, nie musiały już na nic zważać... Bez żalu opuszczały mury szkoły. Jednak z Inką było inaczej. Ona kończyła tę szkołę z mocnym postanowieniem, że kiedyś tu wróci nowa, mądra, z zapasem wiedzy potrzebnej do zmiany mentalności ludzi. Może jeszcze jako czternastoletnie dziecko niezbyt jasno widziała przyszłość i swoją w niej rolę, ale jednego była pewna – wróci tu jako nauczyciel i pokaże wszystkim, że nauczyciela można kochać i szanować...

Każdy dzień pobytu w szkole średniej wzbogacał jej osobowość i utwierdzał w tym przekonaniu. Jednak dopiero po latach pracy, kiedy stała na czele Kaliope, w apogeum kariery zawodowej, zdobyła się na to, aby wszystkim oznajmić, że podwaliny pod jej sukcesy zawodowe postawili wspaniali pedagodzy, jeszcze z tradycji przedwojennej, którzy umieli w dziecku dostrzeżyć najpierw człowieka, a dopiero potem ucznia, który ma kłopoty z nauką; doszukiwali się najpierw przyczyn takiego stanu rzeczy, a dopiero potem oceniali. Taka była wychowawczyni ze szkoły podstawowej, pełna ciepła i mądrości życiowej, repatriantka ze Złoczowa, wychowawczyni z liceum, także repatriantka,

którą uczniowie między sobą nazywali Marysieńką... Ot takie zdrobnienie imienia, bo tyle od niej emanowało ciepła i dobroci. Nie miała własnych dzieci, ale rozumiała i kochała uczniów.

Na studiach nieco odstawała od kolegów. Chodziła skromnie ubrana, najczęściej na czarno lub granatowo. Mieszkała w akademiku, co było jedynym świadectwem, jakie przyznała jej uczelnia, chociaż szkoła średnia zapewniała rodziców o wspaniałych udogodnieniach socjalnych, takich jak akademik (miejsce i odpłatność), stołówka (z odpłatnością pełną, częściową lub nieodpłatnie) i wreszcie, jeśli już niczego z powyższych nie przyznano, stypendium socjalne. Ponieważ zbyt sumiennie potraktowała wypełnianie wniosków, odliczając siebie i nieletnich braci w szkole wojskowej z listy osób na utrzymaniu rodziców, nie miała żadnych świadczeń... Rodzice dawali jej co miesiąc 900 zł i z tego płaciła 450 zł za stołówkę, 120 zł za akademik oraz bilety na dojazdy na uczelnię. Za pozostałe pieniądze miała się ubrać i kupić wszelkie potrzebne przedmioty, a więc środki czystości i higieny osobistej, a także mieć w zapasie pieniądze na przyjazdy do domu... Ograniczała więc te wizyty do jednej w miesiącu. Nie mogła liczyć na dodatkowe środki, gdyż rodzice nie mogli jej na dalszą naukę dać już nic więcej; w domu było jeszcze siedmioro młodszego rodzeństwa i dla nich też musieli coś mieć... Inka mogła jednak zabrać to, co wyprodukowano w domu, a więc jajka, mąkę, ser, masło, warzywa, czasami przetwory. Wracała do akademika obładowana jak juczny wielbłąd, ale nie miała innego wyjścia. Z czasem na tyle zżyła się z trzema współmieszkankami, że kiedy miały za darmo stołówkę, oddawały jej zupę z obiadu, jedno śniadanie lub zapraszały na wspólną kolację... Inka zaś dzieliła się z nimi wiktuałami z domu. Zresztą nigdy niczego nie trzymały pod kluczem, dzieliły się wszystkim, co miały. Na wyjazd do domu pożyczwały sobie ubrania, by inaczej wyglądać w swoim środowisku. Na wsi ludzie uważali, że „na co babie szkoły, jak i tak bydzie prac, gotować i sprzątać...”. Cała czwórka znajdowała się w podobnej sytuacji, bo wszystkie pochodziły ze wsi.

Na drugim roku było nieco lżej i to do tego stopnia, że koleżanki Inki zamieniły akademik na stancję, cała trójka w jednej. Nie musiały pilnować godzin odwiedzin, a każda miała chłopaka, ani czasu powrotu do mieszkania, bo miały swoje klucze. Inka zamieszkała w nowym akademiku i miała do dyspozycji małeńki pokoik tylko do swojej dyspozycji. Nawet w najśmielszych marzeniach nie myślała o takim luksusie!

W latach sześćdziesiątych nastąpiła swego rodzaju moda na zdobywanie wykształcenia przez osoby na wysokich stanowiskach... Byli to dyrektorzy wszelkiego autoramentu, kierownicy i całe hierarchie sztygarów. Nic dziwnego, taki tu był teren. W trosce o zachowanie stanowiska, którego się dochrapali w sobie tylko znany sposób, musieli uzupełnić wykształcenie. Wszelkiego rodzaju technika i ogólniaki miały wielkie wzięcie. Nie było to proste i oczywiste, bo należało pogodzić obowiązki zawodowe i rodzinne z nauką. Tacy ludzie szukali wszędzie pomocy, szczególnie wśród studentów kierunków humanistycznych, matematycznych, ekonomicznych i technicznych. Inka miała na stałe pięciu takich delikwentów, a jeszcze trafiali się czasami jacyś dodatkowi. Przychodzili na przeszpiegi, prosili o pomoc w napisaniu pracy czy odrobieniu ćwiczenia i, po sprawdzeniu korepetytora, zostawali i zawierali z nim umowę co do charakteru wsparcia. Tego rodzaju działalności nikt nie kontrolował, a słuchaczy zupełnie nie interesowało, czy studenci mieli prawo do udzielania korepetycji. Liczyła się tylko ocena z napisanej pracy... I z tego w zasadzie utrzymywała się Inka, nie musiała już brać od rodziców pieniędzy ciężko zapracowanych przez ojca w kopalni. Poza tym wyjeżdżała na kolonie letnie jako wychowawca, co jej przynosiło 900 zł zarobku za jeden turnus, a zwykle zaliczała dwa, nawet trzy.

Nie były to jedyne zmiany w jej życiu. Zawsze uważała, że w zawodzie nauczyciela powinny pracować osoby stanu wolnego. Do pewnego momentu kierowała się filozofią doktora Judyma: *Nie mogą mieć*

*ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podle zmary. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzyma!*¹ Zapatrzona w swoich literackich bohaterów i wzorce osobowe wzięte z życia widziała w takiej postawie najwspanialszą możliwość realizowania zawodowej misji. Ale kiedy na jej drodze życiowej pojawił się ON, zrozumiała, że jej wyobrażenia o zawodzie były błędne... Wprawdzie podziwiała swoje autorytety – przewodniczki i opiekunki, lekarki zboląlej psychiki, ale trafiały jej do przekonania wypowiedzane przez niego argumenty:

– Takie rozumowanie nie jest praktyczne... Jakże chcesz rozumieć inne dzieci, nie mając własnych? Przecież łatwiej z własnym synem czy córką przedyskutujesz dziecięce czy młodzieżowe dylematy... Ja też w przyszłości będę pracował z młodzieżą, będzie nam łatwiej...

Nie uciekła, nie znikła jak Stasia Bozowska, została jego żoną. On odbywał zasadniczą służbę wojskową, ona urodziła syna, napisała i obroniła pracę magisterską. Stała przed wyborem miejsca pracy. Proponowano jej asystenturę na uczelni, ale nie mogła jej przyjąć. Co prawda mama obiecała pomoc przy dziecku i dawała mieszkanie kątem do czasu znalezienia własnego, jednak Inka chciała urzeczywistnić swoje marzenia. Mama pomogła jej zupełnie przypadkiem. Kiedy rozmawiała z żoną kierownika szkoły zaopatrującą się u niej w nabiał, napomknęła, że córka właśnie skończyła studia i szuka pracy:

– Nasza polonistka niedawno wyszła za mąż i w przyszłym roku chce się stąd wyprowadzić.

– Inka musi gdzieś znaleźć pracę, męża ma w wojsku, a na utrzymaniu dziecko. Coś mówiła o pozostaniu na uczelni, ale wtedy albo będzie dojeżdżać taki kawał drogi, albo dziecko będzie u nas i zobaczy matkę raz na tydzień. Ojciec jeszcze do końca roku będzie w wojsku. Zobaczmy, może jakoś to będzie...

¹ S. Żeromski, *Ludzie bezdomni*.

Na drugi dzień po mleko przyszedł sam kierownik, zaciekawiony młodą kandydatką na polonistkę. Prosił o kontakt. Inka poszła następnego dnia do szkoły jedynie z zaświadczeniem o ukończeniu studiów magisterskich. Dowiedziała się, że z dniem podjęcia pracy otrzyma samodzielne mieszkanie w domu nauczyciela, dostęp do ogrodu, dostanie zasiłek na zagospodarowanie:

– Pani polonistka właśnie wyszła za męża i planowała za rok zmianę miejsca pracy, ale w tamtej miejscowości też potrzebują polonisty natychmiast. Więc może da się tak zrobić, żeby już teraz wyjechała do męża i tam podjęła pracę, a wtedy zwolni się miejsce dla ciebie tutaj.

– Do kiedy muszę zgromadzić dokumenty? Ile mam czasu? – Inka nie mogła uwierzyć, że los jest dla niej tak łaskawy.

– Najpóźniej 25 sierpnia trzeba wszystko załatwić w Powiatowej Radzie Narodowej – podpisać umowę i wszystkie inne dokumenty, odbyć szkolenie, ale to już tu na miejscu.

Inka jak na skrzydłach biegła do domu, by poinformować rodziców o wszystkim i napisać list do męża. Wszystko ułożyło się po jej myśli. Wróciła po ukończeniu studiów, żeby się rozejrzeć. Nie starała się o potrzebny nakaz pracy, bo nie chciała miejsca pracy z listy uniwersytetu. Teraz marzenia zaczynały przybierać realne kształty. Pojechała do uczelnianego koordynatora i poprosiła o skierowanie do placówki w rodzinnej wsi:

– Wiesz, co o tym myślę – grzmiał urzędnik. – Każdy kierownik obiecuje złote góry, gdy próbuje złapać pracownika.

– Co ci przeszkadza, że chcę tam pracować? – pytała Inka.

– Bo jak coś nie wychodzi, potem wszyscy przychodzą do mnie z pytaniem, co robić, bo kierownik nie dotrzymał słowa. A ja już nie mogę tego zmienić... Chcę ci tego oszczędzić – tłumaczył.

– Ze mną tak nie będzie! – Inka odpowiadała stanowczo, z pełnym przekonaniem o słuszności swych sądów – to są prości wiejscy ludzie, których łatwo zastraszyć. I trwają w tym przerażeniu, pozwalają

się poniżyć, żeby tylko nikt nie robił krzywdy ich dzieciom. Kiedyś przesłałam tę gehennę. Będę z tymi ludźmi i ich dziećmi.

– Zniszczą cię, zanim cokolwiek zrobisz... Wiesz dobrze, że mam rację – grzmiał. – Czy tylko ty istniejesz, idą całe zastępy nowych pokoleń, ktoś zapewne i do twojej wiochy trafi...

– Jak to mówił mistrz: *z umysłem rozwidnionym zorzą niewiele wprowadzicie, ale nadzwyczajnie pożytecznych myśli*² – szybko puściła w niepamięć ostrzeżenia koordynatora o nieszukaniu pracy w rodzinnej miejscowości.

Nie dała się przekonać. Zawsze miała swoją chłopską filozofię, której trudno odmówić racji w pewnych aspektach, ale próby jakiegokolwiek polemiki zawsze kończyły się fiaskiem, zwłaszcza jeśli adwersarzem był mieszcuch z krwi i kości. Bo niby co on mógł wiedzieć o życiu wsi, jej wsi? Podpisał skierowanie zupełnie bez przekonania i Inka mogła zacząć batalię o swoje miejsce w życiu.

Kolejne spotkanie z kierownikiem miało już inny charakter, świadkiem była jego żona. Nie wiadomo, jaki cel był tej obecności. Inka oczekiwała rozmowy o przyszłej pracy, zadaniach i sposobach ich realizacji.

– Chyba nie myślisz – zaczęła pani S., – że będziemy do ciebie mówić „pani”. Mam nadzieję, że masz świadomość, kto w tej szkole jest najważniejszy.

– Rozumiem – wystękała z trudem Inka, chociaż niczego nie rozumiała.

– Pani, która zajmowała mieszkanie na piętrze, wyprowadzi się pod koniec tygodnia, więc od poniedziałku możesz porządkować lokal – objaśnił kierownik – masz tam do dyspozycji kuchnię i pokój, korytarz jest zajęty przez kwiaty, które nie mieszczą się w naszym mieszkaniu...

² Tenże, *Silaczka*.

– Jeden pokój zajmujemy dla naszej córki – nauczycielki, ty nie potrzebujesz takiego dużego mieszkania, bo jest was tylko dwoje – wyjaśniła pani S.

– Ale ja mam męża, który wraca pod koniec roku z wojska – próbowała bronić swego stanu posiadania Inka.

– Ale na razie jesteś tylko z dzieckiem, poza tym musisz pamiętać, żeby dziecko nie wrzeszczało, bo Małgosia wraca zmęczona po pracy i chce odpocząć...

– Bramka jest zamykana o 21.00, podobnie drzwi do domu, powinnaś się do tego stosować...

– To nie dostanę własnego klucza? – spytała Inka.

– A po co ci? A jak zapomnisz zamknąć? A tak klucze są w jednych rękach i nigdzie się nie zawieruszają – pan kierownik odzyskał pewność siebie. – Masz też jedną szopkę na węgiel i drewno, studnia jest na podwórku, podobnie jak wychodki.

– Miałam dostać odmalowane mieszkanie i dostęp do ogródka, tak mi pan mówił – Inka zaczęła nieśmiało.

– Rodzice mają pole, niech ci dadzą kawałek – zaśmiała się pani S.

Inka zrozumiała, jaka będzie jej pozycja w rodzimej placówce, ale za nic w świecie nie przyznałaby racji przewidywaniom koordynatora. Wydawało się jej, że jej *umysł rozwidniała zorza... nadzwyczajnie pożytecznych pomysłów*, ale po tej rozmowie przycichła wewnątrz. Pierwsze spotkanie z radą pedagogiczną w przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego też jej nie podbudowało. Kierownik wprowadził ją do pokoju nauczycielskiego i przedstawił:

– To pani magister..., będzie u nas pracować.

– Aż pani magister! Co za wyróżnienie dla nas! – usłyszała Inka głos, który wydawał się jej niczym syk węża. Wiedziała, do kogo należała. Miała się przekonać, że pani N. będzie jej największym wrogiem.

Inka nie mogła zrozumieć, jak można dopiero na dzień przed rozpoczęciem roku ustalać podział czynności. Jej przydział omal nie

zwałił jej z nóg – język polski w klasie VI – sześć godzin, historia w klasach IV–VIII – dziesięć godzin, wychowanie obywatelskie w klasie VIII – dwie godziny, przyroda w klasie III – dwie godziny, muzyka w klasach IV–VIII – dziesięć godzin, godzina wychowawcza w klasie VII, w sumie trzydzieści jeden godzin.

– Niech sobie pani magister zarobi – zasyczała pani N.

– Panie kierowniku, ja ukończyłam filologię polską i tylko tego mogę uczyć – próbowała coś wskórać u przełożonego.

– Na wsi niestety uczymy tego, co nam przypadnie, a jak komuś nie pasuje, powinien zostać na uczelni, jak podobno komuś proponowano – pani S. w wyraźny sposób triumfowała.

– Ale ja nie mam pojęcia o tych przedmiotach ani o metodyce – próbowała jeszcze.

– To się trzeba uczyć – uciął kierownik – uczeni nie spadają z nieba...

Po radzie jeszcze rozmawiała z szefem. Dowiedziała się, że do każdej lekcji musi przygotować się na piśmie i konspekt przedstawić codziennie kierownikowi. Jeśli nie będzie to zrobione dobrze, kierownik może nie dopuścić nauczyciela do prowadzenia lekcji. U młodych pedagogów częste są hospitacje i częściej zdarzają się wizytacje z powiatu... Tego nie wiedziała i zupełnie nie rozumiała potrzeby takiego kontrolowania.

Wkrótce miała się przekonać, jak ulotne są wszelkie ideały, szczególnie w tym gronie pedagogicznym. Wróciła jednak do korzeni swojej decyzji o wyborze zawodu. Do tego nie byli jej potrzebni nauczyciele, ona zresztą też do niczego nie była im potrzebna.

Kierownik wyżywał się na niej za wszystkie własne niepowodzenia, pani N. za to, że to nie ona ukończyła studia, choć było ją na to stać, a taki śmieć jak Inka wrócił na wieś z tytułem... Kierownictwo, czyli pan kierownik i jego żona, starali się „umilać” jej życie zawodowe i rodzinne w sposób systematyczny i z góry obmyślany... I co naj-

dziwniejsze mieszkańcy wsi nie interesowali się zmianami, jakie w niej zaszły. Nawet kiedy przychodzili do szkoły, do wychowawcy swojego dziecka, mówili, że szukają Janki od Sobka, i żadne korekty nie mogły tego zmienić. Ba, niektórzy nawet zwracali się do niej po imieniu, bo przecież pamiętali ją jako dziecko, umorusane i zasmarkane, i jak wszystkie wiejskie dzieci biegającą na bosaka. Nikogo nie wzruszały jej prace, trudy i męki, które ją z wiejskiej dziewczuszki przekształciły w nauczycielkę.

Całkowicie poświęciła się dzieciom i chociaż nie miała zielonego pojęcia o systemie wychowawczym św. Jana Bosko, intuicyjnie go stosowała. Stworzyła sobie warunki, by to wcielić w życie. Założyła od podstaw harcerstwo w szkole, uczyła zasad współżycia społecznego, sięgała ze swymi podopiecznymi po największe i najwyższe laury uczniowskie. Potrzebowała dziesięciu lat, by przekonać środowisko do swych działań – udziału w konkursach przedmiotowych, współzawodnictwa w działalności pozalekcyjnej. To pod jej kierunkiem harcerze opracowali miniprzewodnik po swojej miejscowości i w konkursie ówczesnego „Świata Młodych” otrzymali grand prix. Trzykrotnie w kolejnych latach uzyskali tytuł Drużyny Sztandarowej ZHP. Dzieci wyjeżdżały na wycieczki i obozy harcerskie. Wszystko po to, żeby nauczyć je obycia, by nie musiały przeżywać Radkowej sytuacji: *Jak mię tatuś oddali na stancja, tom ci dopiero zobocęł, jak se to ślachta jadzą. Bierze takie świecące widelki, żgnie ono miso, dopiero je do gęby niesie, niesie nikiej chłop snopek w zapole...*³

Nie chcąc obciążać rodziców wydatkami na wyjazdy dzieci, nawiązała współpracę z miejscową spółdzielnią produkcyjną, uzyskując środki finansowe na wszelką działalność. Tak więc harcerze przygotowywali programy artystyczne na coroczne walne zebrania, a za to

³ Tenże, *Szyzyfowe prace*.

dostawali dofinansowanie obozów. Wiązali pęczki natki pietruszki i koperku, pomagali przy wykopkach i już mieli pieniądze na tygodniową wycieczkę do Warszawy. Ale to już były inne czasy, w rolnictwie coraz mniej było prac ręcznych, bo ludzi zastępowały maszyny, więc dzieci miały więcej wolnego czasu. Można było zagospodarować go pożytecznie. Przez wieś wędrowały grupki uczniów i uwieczniały na zdjęciach stare chałupy, stodoły, studnie, by ocalić je od zapomnienia. Szkoła stała się ośrodkiem szkolenia instruktorów harcerskich i miejscem, gdzie dyrektorzy innych szkół mogli uzyskać informacje na temat metodyki pracy harcerskiej.

W dziesiątym roku pracy Inka otrzymała nagrodę ministra oświaty i wychowania III stopnia. W jej środowisku takie wyróżnienie dostawali nauczyciele za całokształt pracy zawodowej, tuż przed odejściem na emeryturę. Ona była tą smarkatą. Potem przyszła pora na nagrodę kuratora i wiele innych za pracę społeczną przede wszystkim z dziećmi, a przecież o tym marzyła, żeby dzieci pokochały ją jako nauczycielkę. Szczególnie ceniła sobie odznakę „Przyjaciół dziecka”.

Na docinki koleżanek z pracy przestała zwracać uwagę, *na wszystko głupstwo świata, na jego plugawą złość*⁴ spoglądała z niedbalym uśmiechem⁵, zupełnie nie zauważając, że w ciągu całego dnia szkolnego nie miała ani jednej przerwy dla siebie, bo zawsze otoczona była gromadą uczniów. Utańczyło się nawet w szkole, że gdzie jest dużo dzieci, tam na pewno jest i ona... Miała *w duszy trwałą, jak wiecznie żywe stygmaty*⁶, obraz nauczycieli, jej duchowych przewodników, którzy otoczyli ją miłością i zrozumieniem, sprawili, że zrozumiała istotę nauczycielskiego powołania. Zaszczepili też zamiłowanie do czytania i przekonali, że prawdziwe jest powiedzenie: Nauka jest jak niezmier-

⁴ Tamże.

⁵ Parafraza z *Szyzyfowych prac: spoglądał z niedbalym uśmiechem*.

⁶ S. Żeromski, *Szyzyfowe prace*.

ne morze... Im więcej jej pijesz, tym bardziej jesteś spragniony. Kiedyś poznasz, jaka to jest rozkosz... Ucz się, co tylko sił w tobie, żeby jej zakosztować!⁷

Teraz ma siedemdziesiąt lat, ale nadal spotyka się z wychowan-
kami, a zwłaszcza z rocznikiem 1964, który systematycznie organizu-
je zjazdy, by pochwalić się swoim życiem. Wszyscy chcą wiedzieć, co
słyszą u kolegów, z którymi w dzieciństwie spędzili osiem lat; byli na
dobre i złe razem, pracowali fizycznie, uczyli się i bawili, penetrowali
wieś w poszukiwaniu śladów przeszłości. Dbali o siebie nawzajem...
Opowiadają o wszystkim, o powodzeniach i kłopotach, i pytają, py-
tają, pytają, pytają... Inka uśmiecha się radośnie, bo czuje, że wierność
marzeniom wydaje plony, obfite plony. Napisali kiedyś dedykację na
książce, którą wręczyli jej na pamiątkę kolejnego spotkania klasowego:

*Kiedyś wyruszyliśmy w świat,
w daleką drogę, która trwa do dziś...
czasem ciężko bywa nam, ale gdy myślimy „już nie mogę”,
wtedy w pamięci powracasz TY,
co uczyłaś nas, by walczyć,
by po słusznej drodze iść,
pokazywałaś, jak zmienić świat,
nauczyłaś, jak dobrym być...
Za to wszystko dziękujemy Ci,
Życząc stu lat*

Znamienna to była książka – Jan Twardowski, *Bóg prosi o miłość*.

⁷ Tamże, *Nauka jest jak niezmiernie morze – mówił pan. – Im więcej jej pijesz, tem bar-
dziej jesteś spragniony. Kiedyś poznasz, jaka to jest rozkosz... Ucz się, co tylko jest sił
w tobie, żeby jej zakosztować!*

ZBIGNIEW MENDEL

KTO POTENCJALNIE BĘDZIE CEZARYM
BARYKĄ? KIM MOŻE BYĆ SZYMON GAJOWIEC?
JAKI MOŻE BYĆ WSPÓŁCZESNY ZAKRES
POJĘCIOWY SZKLANÝCH DOMÓW? REFLEKSJE
O PONADCZASOWYM PRZESŁANIU
PRZEDWIOŚNIA STEFANA ŻEROMSKIEGO

Zbliżające się stulecie pierwszego wydania *Przedwiośnia*¹ jest dobrą okazją do ponownej, rzetelnej analizy przesłania jego autora. Kluczowa jest próba odpowiedzi na pytanie, czy ta należąca do kanonu polskiej literatury powieść jest dziś wyłącznie powieścią historyczną oddającą realia okresu restytucji polskiej państwowości w 1918 roku, czy też uprawniony jest pogląd o ponadczasowych walorach utworu, a – przez pryzmat charakterystyki głównych postaci i problemów – na ile zasadne jest twierdzenie, że mimo zmiany sytuacji kontekst społeczno-polityczny Polski drugiej dekady XXI wieku zawiera wiele podobieństw, kwestii wręcz tożsamyh, do położenia Polski lat dwudziestych XX wieku.

Przywołując konotację rewolucji w poglądach wyrażanych przez Cezarego Barykę², warto zapytać, na ile w dzisiejszej Europie i Pol-

¹ Powieść została wydana w 1924 roku, choć formalnie z datą 1925.

² *Rewolucja [...] to konieczność, wyższa ponad wszystko. Jest to prawo moralne [...]. Nasze pieniądze, nasze cenne sprzęty, nasze drogie naczynia i smaczne w nich potrawy, zaprawiane są i przesycone do cna krzywdą człowieczą* – C. Baryka o rewolucji w Baku.

sce sytuacja nosi znamiona rewolucyjnej. Czy, dla przykładu, mająca dziś miejsce czwarta rewolucja przemysłowa³: robotyzacja eliminująca masowo pracowników najemnych i redukująca liczebność dominującej dotąd klasy średniej, której negatywne efekty zwielokrotnia wszechobecna globalizacja, to nie jest przypadkiem bezkrywawa – jak na razie – rewolucja?

Powszechne u Europejczyków przekonanie o braku perspektyw, strach przed przyszłością, społeczna apatia i alienacja, nostalgia za rządami silnej ręki, za wyborem mniejszego zła jako credo zachowań politycznych, wyrażająca się w skłonności do aprecjacji rządów autorytarnych kosztem klasycznej demokracji, wreszcie wieloznaczność i wyzwania związane z masową imigracją, wydają się dopełnieniem diagnozy o sytuacji rewolucyjnej na Starym Kontynencie.

Istotnym czynnikiem wzmagającym i radykalizującym nastroje kryzysowe i rewindykacyjne jest przeświadczenie o poważnych nierównościach społecznych oraz nieadekwatności reprezentacji politycznej jako źródłach napięć społecznych w Polsce. Co prawda zauważalny jest społeczny consensus dowodzący fundamentalnych zmian świadomościowych i aksjologicznych, potwierdzający, że równość nie oznacza już egalitaryzmu. Z drugiej jednak strony dominuje społeczne przekonanie, że w Polsce istnieją zbyt duże różnice między bogatymi i biednymi, a dysproporcje te mają tendencję do stałego wzrostu⁴. Na-

³ Pierwsza była implementacja do procesów produkcyjnych maszyn napędzanych przez parę wodną, w drugiej parę wodną zastąpiła elektryczność, w trzeciej wyróżnikiem była informatyzacja.

⁴ Pogląd o zbyt dużych różnicach pomiędzy bogatymi a biednymi w Polsce podziela aż 91 procent ankietowanych, a z tezą o rosnących dysproporcjach dochodów identyfikuje się 59 procent ankietowanych. Dane za: CBOS. BS/136/, *Opinie społeczne o zróżnicowaniu dochodów i nierówności społecznych. Komunikat z badań*, Warszawa, październik 2010. Wersja internetowa dostępna na stronach www.cbos.pl/PL/publikacje/raporty.php. Trwałość tych tendencji i poglądów potwierdzają między innymi kolejne badania CBOS, z czerwca 2017 roku, w których 86 procent respondentów zauważa zbyt duże różnice między bogatymi a biednymi w Polsce, a 81 procent podziela pogląd o zbyt dużym zróżnicowaniu dochodów w Polsce. Szerzej:

stawieniu temu towarzyszy dezyderat działań korygujących ze strony rządzących.

Negatywna ocena reprezentacji politycznej wyraża się nade wszystko w nieufności Polaków wobec instytucji państwa i stałym dążeniu społeczeństwa do dystansowania się wobec nich. Dowodem skali kryzysu autorytetów w Polsce jest również wyraźny spadek zaufania nawet wobec Kościoła katolickiego. Wspomniany krytycyzm jest zwłaszcza udziałem ludzi młodych. Szczególnie jaskrawy i wymowny jest pejoratywny stosunek do partii politycznych, mający charakter ponadklasowy i ponadgeneracyjny. Brak jakichkolwiek partyjnych identyfikacji jest przy tym zwłaszcza udziałem mieszkańców wsi, osób z niskim wykształceniem i analogicznym dochodem rozporządzalnym⁵, co koreluje ściśle z bliźniaczą prawidłowością w Starej Europie, w której opisywane zachowania dotyczą znacznej części obywateli o statusie pracobiorców. Nieufność i rezerwa wobec formacji politycznych – na marginesie – charakterystyczna także dla współczesnych demokracji zachodnich – będące konsekwencją słabej zdolności partii do artykulacji i agregacji interesów bazy społecznej, niskiej efektywności działania i rozlicznych patologii, to poważny czynnik dysfunkcyjny, anarchizujący życie publiczne, stanowiący wyzwanie także dla polskiej demokracji.

Skoro definiowanie sytuacji rewolucyjnej – z zachowaniem, rzecz jasna, proporcji i świadomością kontekstu – we współczesnej Polsce i Europie nie nastręcza większych trudności, czy możliwe i uprawnio-

CBOS: 86% badanych widzi zbyt duże różnice między bogatymi a biednymi w Polsce, „Onet. Wiadomości”, wersja internetowa dostępna pod adresem: www.wiadomosci.onet.pl/kraj/cbos-duze-roznice-miedzy-bogatymi-a-biednymi-w-polsce/k9sht1i. Porównaj także: CBOS. NR 85/2017. *Stosunek Polaków do nierówności społecznych. Komunikat z badań*, Warszawa, lipiec 2017. Wersja internetowa dostępna na stronach: www.cbos.pl/PL/publikacje/raporty.php.

⁵ Szerzej: CBOS. Nr 68/2014, *Stosunek do instytucji państwa oraz partii politycznych po dwudziestu pięciu latach. Komunikat z badań*, Warszawa, maj 2014. Wersja internetowa dostępna na stronach www.cbos.pl/PL/publikacje/raporty.php.

ne jest stworzenie profilu współczesnego Cezarego Baryki? Dzisiejszy młody człowiek – nawiązujący do literackiego Baryki – z powodzeniem może być dzieckiem polskich emigrantów, zwłaszcza z okresu polskiej akcesji do Wspólnoty Europejskiej i wprowadzenia swobody przepływu ludzi oraz kapitału. Analogicznie do swojego protoplasty, będąc urodzonym i wychowanym na obczyźnie, może nie znać Polski i jej realiów. Powrót do Polski może być zarówno przymusem ekonomicznym, jak i może być motywowany mitem spokojnej, wiernej tradycji Ojczyzny, ale także powszechną w aktualnych uwarunkowaniach niechęcią do środowisk emigracyjnych ze strony społeczeństw krajów przyjmujących, czego klasycznym przykładem jest Wielka Brytania po zapowiadającym brexicie. Literacki Baryka wychowywał się w Baku, środowiskiem dorastania współczesnego w naturalny sposób może być dla przykładu Londyn. Zarówno w okresie odzyskania niepodległości w 1918 roku, jak i dziś powrót do Polski jest celem setek tysięcy naszych rodaków, celem świadomym, planowanym, choć niejednokrotnie wymuszonym i przyśpieszanym okolicznościami. Zderzenie z polską rzeczywistością, szok powrotu może być jednak równie bolesny jak sto lat temu, biorąc pod uwagę zwłaszcza zamożność państwa, poziom życia i jakość infrastruktury, analogiczną zabezpieczenia społecznego, dostępność służby zdrowia czy wreszcie skuteczność funkcjonowania instytucji i społeczeństwa obywatelskiego. We współczesnej Polsce istnieją uzasadnione społeczno-polityczne podstawy, a i analogiczne zapotrzebowanie, aby Baryka naszych czasów był wrogiem poprawności politycznej. W poszukiwaniu źródeł ideowych dla postulowanych działań korygujących mógłby zresztą z daleko posuniętą swobodą odwoływać się zarówno do tradycji narodowopatriotycznych, jak i utożsamiać się z liberalizmem. Bez przeszkód i trudności mógłby także się afirmować jako kosmopolita. Istnieje również możliwość – choć jak dotychczas mniej wiarygodna – aby aspirował do roli ideowego prekariusza – członka kategorii społecznej, stosownie do zakresu po-

jęciowego tego terminu zaproponowanego przez jego twórcę, Guya Standinga: osoby zatrudnionej na podstawie tak zwanych elastycznych form zatrudnienia, pozbawionej w konsekwencji gwarancji zatrudnienia i jasnych perspektyw zawodowych, a zatem życiowych⁶. Z pewnością współczesny nam Baryka miałby dylematy analogiczne do postaci źródłowej: ewolucja czy rewolucja? Podobieństwa mogłyby także wystąpić na bazie fermentu ideowego i poszukiwania inspiracji, czego wyrazem jest aktualność słów Cezarego z *Przedwiośnia*: [...] *Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei*, co jest zarówno formą oceny rzeczywistości, postulatem, jak i przejawem typowego dla naszego narodu, romantycznego marzycielstwa, nie zawsze osadzonego w realiach, budowanego w opozycji do kanonu pozytywizmu.

Bez większego trudu we współczesnej Polsce można wskazać także na postaci tożsame z Szymonem Gajowcem, przyjacielem i mentorem Cezarego Baryki, jednym z kluczowych bohaterów *Przedwiośnia*, zarówno w aspekcie aksjologii, motywacji, jak i drogi życiowej. Polska drugiej dekady XXI wieku, analogicznie jak II Rzeczpospolita, w realiach której jest osadzona powieść, obfituje w zwolenników mesjanizmu i predestynacji narodowej. Współczesny Gajowiec jednak do dwóch uznanych przez swego prekursora cudów: restytucji państwa w 1918 roku i wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, musiałby dodać jeszcze jeden: pokojowej rewolucji 1989 roku w Polsce oraz Europie, i to bez względu na stosunek do Okrągłego Stołu. Gajowiec sto lat temu i dziś to pragmatyczny etatysta o korzeniach romantycznych, pokładający wiarę i nadzieję w ewolucyjnych zmianach, dający ewolucji, a nie rewolucji, palmę pierwszeństwa w rozwoju społecznym. W powieści Żeromskiego Gajowiec był urzędnikiem Ministerstwa Skarbu II Rzeczypospolitej z awansu społecznego, dziś także mógłby być reprezentantem biurokracji rządowej lub samorządowej, ale równie

⁶ Szerzej na ten temat: G. Standing, *Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa*, Warszawa 2014.

dobrze reprezentantem aparatu przymusu, a nawet zredukowanym na skutek reformy nauczycielem gimnazjum, który – wbrew indywidualnej krzywdzie – zachowuje godność, umiar, trzeźwość umysłu, cechuje go propaństwowość, racjonalność polityczna i poczucie lojalności wobec państwa oraz demokratycznego ustroju.

Symboliczne szklane domy, utożsamiane w okresie powstania powieści i współcześnie z Polską dostatnią, bezpieczną, sprawiedliwą społecznie, nowoczesną, przychylną oraz życzliwą dla wszystkich obywateli, to ponadczasowa idea, która nie straciła aktualności i popularności. Mimo upływu czasu, wielu zmian generacyjnych nie jest też zasadne traktowanie tego terminu i jego zakresu pojęciowego jako synonimu nieodpowiedzialnego marzycielstwa, swoistego mitu, by nie powiedzieć mrzonki, zadania tyle wielkiego co nośnego propagandowo do zrealizowania. Zarówno w Polsce międzywojennej, jak i w III Rzeczypospolitej dyskusja o modelu ustrojowym państwa i drogach jego optymalizacji, oczekiwania wobec władzy politycznej w zakresie kreowania rzeczywistości społeczno-politycznej, uwzględniające elementarne wymogi sprawiedliwości społecznej, katalog koniecznych i akceptowanych działań korygujących to zarazem nieunikniona konieczność i zdeterminowane, codzienne wyzwanie. Ewolucji z pewnością podlegały akcenty, co jest wynikiem postępu naukowo-technicznego, fundamentalnych zmian w stratyfikacji społecznej – jego symbolem jest zanik klasycznej, wielkoprzemysłowej klasy robotniczej – wreszcie zmiany na politycznej mapie świata. Dziś oczekiwania, związane ze sprawiedliwością i wolnościami osobistymi, są bez porównania większe, bardziej wysublimowane niż w czasach S. Żeromskiego. W wyraźnym odwróceniu jest też aksjologia klasycznej, tradycyjnej lewicy, która w aspekcie doktrynalno-programowym nie przystaje do rzeczywistości XXI wieku. Równocześnie została podważona skuteczność omnipotencji zredukowanego w swoich funkcjach liberalnego państwa, które – zgodnie z lewicowym założeniem,

że praktyka stanowi jedyne kryterium prawdy – nie sprostało niestety wyzwaniom kryzysów ostatnich lat. Polskie, a szerzej europejskie społeczeństwa, pozostaną także w przyszłości, zdaje się tradycyjnie, głęboko podzielone ideologicznie. Nie wyklucza to bynajmniej prób poszukiwania możliwości urzeczywistnienia w praktyce idei szklanych domów. Z pewnością ucieleśnieniem drogi do nich nie są doświadczenia Rosji radzieckiej, oddziaływające na część polskiego społeczeństwa w czasach Cezarego Baryki, ale poszukiwanie modus vivendi między efektywnością społeczno-gospodarczą a sprawiedliwością społeczną, na wzór choćby rozwiązań niemieckich czy skandynawskich, pozostanie aktualne, czemu niewątpliwie będzie sprzyjać otwartość komunikacyjna społeczeństwa informatycznego. W konsekwencji idea szklanych domów – mimo niuansów zakresu pojęciowego – między czasem powstania *Przedwiośnia* a współczesnością pozostanie społecznym wyzwaniem i drogowskazem dla kolejnych pokoleń nie tylko Polaków.

Zarysowane w *Przedwiośniu* dylematy rozwojowe państwa i społeczeństwa, rekomendacje Stefana Żeromskiego w tym zakresie, mimo upływu czasu, także nie tracą waloru aktualności. Współczesny prymat zrównoważonego rozwoju jest niczym innym jak nawiązaniem do idei społeczeństwa sprawiedliwości i szeroko pojętej równowagi, rozwijającego się bez ekstremizmów. Przywiązanie do państwa narodowego i polskiego charakteru narodowego jako depozytariusza tradycji również pozostaje wartością uniwersalną, niezależnie od koniunkturalnych pokus i sezonowej mody oraz dyskusji, na ile wspomniane atrybuty pozostają wyzwaniem i szansą, a na ile ograniczeniem limitującym rozwój społeczny. Nade wszystko jednak należy podkreślić jasne, jednoznaczne i pryncypialne opowiedzenie się autora *Przedwiośnia* po stronie ewolucji, a nie rewolucji, pochwała pragmatyzmu i realizmu, a nie demagogii, konfrontacji i doktrynerstwa. To ponadczasowe przesłanie, adresowane przede wszystkim do młodych, nie nosi bynajmniej piętna kunktatorstwa, zdrady, kolaboracji, chwiejności ideowoemo-

cyjnej czy labilności aksjologicznej. Jest racjonalną kalkulacją odpowiedzialną społecznie, uwzględniającą najlepiej pojęty interes społeczny i narodowy, podejmowaną ze świadomością, że ostatnią udaną rewolucją – a i tak kontrowersyjną i niezmiernie kosztowną społecznie – była Wielka Rewolucja Francuska. Najbardziej trafnym podsumowaniem podejścia Stefana Żeromskiego w tym aspekcie, oddającym sedno zagadnienia, a zarazem stanowiącym odpowiedź dla potencjalnych krytyków, jest pogląd współczesnego nam Paolo Coelho: [...] *trzeba umieć walczyć o swoje marzenia, ale trzeba też wiedzieć, które drogi są nie do przebycia, i zachować siły na przejście innymi ścieżkami*⁷, będący w istocie hymnem na cześć pragmatyzmu i realizmu. Ów odpowiedzialny realizm i pragmatyzm, dojrzałość i daleko posunięta rezerwa wobec radykalizmów to bez wątpienia ważki, uniwersalny wkład Stefana Żeromskiego w budowę koncepcji ambitnego, ale racjonalnego i przewidywalnego społeczeństwa. Lepiej w każdym przypadku, aby symboliczne przedwiośnie wszelkich przełomów społeczno-politycznych było może trudną, mało spektakularną ewolucją niż radykalnym, nieliczącym się z rachunkiem potencjalnych kosztów zrywem.

⁷ P. Coelho, *Być jak płynąca rzeka*, Warszawa 2015.

ENORMI STATIONIS (BARTOSZ RADOMSKI)

„UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA”

*Na koń – Tu łozem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody, płynie laur różowy;
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mnie wichler gnat błyskawicowy,
Lecę – a koń się na powietrzu kładnie.*
Juliusz Słowacki, *Grób Agamemnona*

Jest noc. Jadę do Bukaresztu. Boję się, choć o wiele bardziej prze-
raża mnie rzeczywistość, od tego, co się dzieje w mojej głowie albo du-
szy. Wytrzymam jakoś. Najgorzej, że jestem tutaj zupełnie sam, wśród
czarnego od nocy tłumy, wśród wszechobecnych cieni. Parzy mnie ich
oddech. Parzą mnie ich spojrzenia. Są ze wszystkich stron. Kilka par
oczu skierowanych na mnie w przedziale, kilka na korytarzu. Skry-
ty płacz bądź milcząca cisza przemawiają z ich ust lub twarzy. Obok
niewielkie walizki. W oddali ktoś się modli, to chyba ksiądz odmawia
litanie po łacinie. Próbuje zasnąć, tak długo nie spałem. Rano mam być
w Bukareszcie.

Nie da się spać. Muszę zapalić. Na dworcu w Warszawie skręci-
łem sobie czterdzieści papierosów, zostało już tylko kilka. Palę i myślę,
a im jestem bliżej, tym lęk staje się większy. Myślę o rodzicach, któ-
rzy zostali w Krakowie, o Franku, przyjacielu ze studiów z Warszawy,
i zwariowanej oraz niczego niebojącej się Zuzi, niczego oprócz zabaw
podmiejskich oraz żab dawniej, a teraz przerażającej wojny.

Nigdy nie byłem w Rumunii, znam Francję i raz byłem w Anglii.
Nikogo tam nie mam, nie znam ani miasta, ani języka. Patrząc zaś na

współtowarzyszy podróży, raczej trudno będzie kogoś poznać czy też się z kimś zaprzyjaźnić. No cóż? Polacy, tacy oto jesteśmy.

Stało się! Pociąg się zatrzymał. Mój srebrny zegarek, który dostałem od dziadka, wskazuje dziewiątą. Tłum ruszył. Poczekam – myślę sobie – i tak nie mam do kogo biec. Pałę. Widzę, że jeden z niemych cieni siedzących naprzeciwko zostawił książkę. Co to? *Uciekła mi przepióreczka*. Chyba coś już o tym słyszałem – przeszła mi taka myśl przez głowę – biorę ją i wysiadam.

Rumunia, Bukareszt, Gara de Nord. Jestem. – Psia mać! Jak tu ciepło! Jest przecież październik! – Mówię do siebie, zastanawiając się dlaczego żaden z naszych dygnitarzy, którzy uciekli tu wcześniej, nie poinformował ludności cywilnej – jak to oni ładnie nas nazywają – przez radio o pogodzie! Przecież siedzą tu do cholery od 17 września!

Minęły dwa tygodnie, zanim dopełniłem wszelkich formalności. W Bukareszcie czas szybko mija. Śpieszy się o godzinę w porównaniu do Polski. W mieście także żyje się intensywnie. Znalazłem mały pokój w piwnicy jednej z bukareszteńskich willi. Na dole obok mnie mieszkała służba. Właściciel mówił dobrze po francusku, nie wiem, ale nie chciał mi zdradzić, czym się zajmuje. Nieważne zresztą. W Komisariacie Generalnym ds. Ewidencji Pomocy Uchodźcom z Polski otrzymałem kartę legalnego pobytu – było na niej napisane – *bilet de identitate* oraz 3000 lei. Otrzymałem również propozycję przeniesienia się z Bukaresztu do innego miasta. „Po co? – Przecież właśnie dopiero tutaj przyjechałem” – pomyślałem.

Codziennie rano chodziłem do kawiarni, pracował w niej bardzo sympatyczny i piękny chłopak o imieniu Ion. Znał mnie już nawet z widzenia. Każdego ranka przyrządzał mi kawę, po czym z uśmiechem na twarzy przynosił mi ją i mówił – *Cafeaua domnule!* Niestety nie mogliśmy porozmawiać, po rumuńsku nauczyłem się dotychczas kilku prostych zwrotów. Ciekawy z niego człowiek. Intrygował mnie. Podobał mi się. Widziałem ten głęboki błysk w oczach, którym wszystkich onieśmielał.

Następnie spacerowałem po parku. Obserwowałem bukareszteńczyków. Siadałem na ławce i czytałem znalezioną w pociągu *Przepióreczkę*. Z czasem znałem ją już na pamięć. To jedyna polska książka, jaką tutaj miałem. Dużo paliłem i myślałem. Zaczynała doskwierać mi samotność, coraz to bardziej. Oprócz Iona poznałem jeszcze dwie dziewczyny. Panienkę Flori i panienkę Marię, które podobnie podkochiwały się w Ionie. Spotkałem je w kawiarni. Jedna studiowała romanistykę, druga medycynę. Często się widywaliśmy.

Nie udało mi się jeszcze znaleźć pracy w żadnej polskiej instytucji. Myślałem o polskich szkołach, których tutaj dużo powstawało, mógłbym przecież uczyć francuskiego. Niestety wszystkie etaty były już obsadzone. Podejrzewam, że relacje i układy także przyjechały pociągiem do Rumunii.

Niekiedy wieczorami chodziłem do kościoła. W kościele włoskim odbywały się msze dla Polonii. Czasami w Domu Polskim rozgrywałem partyjkę szachów. Kultura polska była w powijakach, więc ewentualnych rozrywek szukałem w innych częściach miasta. Dużo się tu działo. Bukareszt przypominał mi trochę Kraków sprzed wojny. Koncerty, wernisaże i sporo zabaw. Czas wojny, samotność i nostalgia potrafiły jednak wynaturzyć człowieka. Refleksja stała się przyjemniejsza od nocnej pijatyki wśród polskich czy bukareszteńskich dziwek.

Codziennie cieszyłem się piękną pogodą, widokiem Iona w kawiarni, spacerem po parku, dyskusjami z moimi Rumunkami. Pisałem listy i pamiętnik, może ktoś je przeczyta po latach. Nie wiem, co działo się w Polsce. Martwiłem się tylko o rodzinę. Z poznanymi tutaj Polakami było mi trudno się porozumieć. Byłem smutny, ale jeszcze nie przygnębiało mnie to zbyt dotkliwie. Łudziłem się, że może znajdzie się jakiś „ktoś” – przyjechało nas przecież z Polski jedenaście tysięcy!

Bukareszt był piękny o tej porze roku, niby jesień, a jakby było lato. Dwa duże parki, restauracje, hotele, kasyno, pałace i już wcześniej wspomniane kawiarenki. Nie poznałem ich jeszcze wszystkich, zawsze

piłem kawę u Iona. Kiedy nie było ze mną dziewczyn spragnionych rozmów o Polsce i Polakach, wtedy czytałem albo wręcz recytowałem w myślach *Przepióreczkę*. Popołudniami przechadzałem się pięknymi ulicami wśród starych domów – perełek rumuńskiej architektury.

No właśnie! Dziwna była ta *Przepióreczka*... Znałem przecież twórczość Żeromskiego, ale ta książka różniła się od pozostałych. Tak jakby Żeromski nie był jej autorem. Wydawało mi się, że autora *Ludzi bezdomnych* i *Przedwiośnia*, które przecież czytałem, interesowało jedno zagadnienie – człowiek walczący o odzyskanie przez Polskę niepodległości. Człowiek w nowej sytuacji społecznej, jaką niewątpliwie były jej przemiany. Jakiś śmieszny podział na klasy: chłopstwo, robotników i inteligencję, które walczyły o nową, lepszą, demokratyczną i sprawiedliwą Polskę albo przynajmniej jej futurystyczny mit.

Nie jestem wprawdzie krytykiem literackim, ale gdyby na okładce nie było napisane, że jest to książka Żeromskiego, chyba nie odgadłbym jej autora, mimo że bliski mi był jego poetycko-liryczny styl. Samego Żeromskiego widziałem kilka razy, jeszcze jak dopisywało mu zdrowie, często przechadzał się przy teatrze. Ale wracam do *Przepióreczki*... Gdzie ta jego młodopolska mowa? Skąd taki dialogowy styl? I jakże nowatorski temat – obok pracy pojawiła się miłość?! Do tego jaka groźna... Wszystko także cudownie wtapiało się w zaprojektowaną przez niego estetykę, tworzyło jasną i logiczną całość. Wszystko było jakby nie jego...

Tymczasem postanowiłem w końcu zjednoczyć się z rodakami. Coraz częściej odwiedzałem wieczorami Dom Polski. Spodziewałem się chyba cudu, że poznam kogoś, kto pomoże mi znaleźć pracę. Pięniądze jeszcze miałem, ale na pewno nie tyle, żeby przeżyć tu okres całej wojny, która dopiero się zaczęła i nikt nie wiedział, jak długo potrwa. Poza tym byłem przecież za granicą, a to kosztuje podwójnie.

Według jednej z teorii nie należy się poddawać, ale czasami trzeba, szczególnie tym, którzy rządzą. Mogą nas przecież uszczęśliwić,

zdradzić tajemnicę szczęścia. Przełęcki w *Przepióreczce* też to robił – tak magnetyzował ludzkie dusze, że zmuszał je do działania na przekór jego słowom – to był jego ukryty zamiar. *Heureka!* Niech sobie krzyknie! Uśmiechałem się pod nosem, gdyż udał mu się ten ambitny przekręt. Zyskał pieniądze na odbudowę Polski z ruin, w które tak szybko na nowo popadła. Czyżby takie polskie *circuls vitiosus*, do tego *perpetuus*?!

Edward Przełęcki – figura! – „nasz dobry zwiastun”, „nasz profesor”, „nasz prorok” – nie wiem dlaczego, ale lubię naukowców, zwłaszcza o radykalnych umysłach, może dlatego że sam nim nie jestem – nie wiem. Przełęcki – fizyk i amator teorii względności, od razu zwrócił moją uwagę, podczas lektury w cieniu drzew w parku wyobrażałem sobie Einsteina, zastanawiałem się nad pojęciem czasu i przestrzeni. Rumuńska *physis* i polski fizyk. Wszyscy go podziwiali i patrzyli na niego z uwielbieniem, nawet ja! Być może ze strachu? – myślałem sobie. Był świetnym manipulatorem. Osobiście lubię manipulację, o ile mnie nie dotyka. Siebie widzę jako protagonistę. On był inny – był geniuszem, który zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości... No właśnie! W sytuacji, gdy polską rzeczywistość wyznaczał brak instytucji publicznych i środków finansowych, chciał uratować świat, a wraz z nim człowieka – jednostkę. A głupi polski naród myślał, że się uda. Tak! Udało się! Znow mieliśmy wojnę, a ja uciekłem do Rumunii, jak wszyscy nasi dygnitarze – patriotyzm po polsku! Psia mać!

„Pójdę teraz stąd i oko wasze już mnie nie zobaczy – najlepiej chyba to opisuje – ja odszedłem do Rumunii! A Wy, Polacy? Dokąd?” – pytałem się w myślach. Tacy oto jesteśmy...

Albo zdanie Smugonia, nauczyciela w wiejskiej szkole: „Zdarza się! Zdarza się, że trup tu gości, a dusza błądzi gdzieś daleko, daleko, o setki i setki mil. Zdarza się, że tu ciało śni jakiś okropny, przyziemny, doczesny sen, a dusza błądzi, żyje, płąsa, raduje się tam, o setki i setki mil, w jakichś niebiosach swoich”. Tak, doskonały i wymowny polski

sen o wolności, marzenie o ładzie i sprawiedliwości... Hmm... Złudzenie, które niestety się urzeczywistnia.

Podczas jednej z moich wizyt w Domu Polskim dowiedziałem się, że tworzona jest organizacja zrzeszająca polskich aktorów przebywających na uchodźstwie w Rumunii. Na spotkaniu pojawili się znani i cenieni w Polsce aktorzy warszawskich teatrów, jak: Tadeusz Olsza, Bronisław Lipski, Elżbieta Dzięwońska, Karol Weyman, Józef Bajan, a nawet Irena Eichlerówna. „Oni też wszyscy uciekli?” – myślę sobie. W ten sposób, zupełnie przypadkowo, powstał Zespół Artystów Teatrów Warszawskich w Bukareszcie... Niedługo potem okazało się, że będą wystawić na deskach bukareszteńskiego Teatru Komedia sztukę Stefana Żeromskiego *Uciekła mi przepióreczka* w reżyserii Zbigniewa Ziemińskiego. „Niesamowite!” – zawołałem w sobie.

Ciekawe, czy w imię wartości nadrzędnych uda się im w teatralny sposób odbudować ten na wpół symboliczny zamek – twierdzę idei, optymizm i entuzjazm? Czy w taki sam sposób spełnią się marzenia Przełęckiego, któremu Żeromski pozwolił na to w sztuce? Co się stanie z królem i królową? Czy wraz z miłością zatraci się wszystko? Miłość czy patriotyzm? Sam już nie wiem ani co to jest, ani co jest gorsze? Bardzo mnie to ciekawiło!?

Przygotowania do spektaklu trwały prawie miesiąc. Premiera odbyła się w piątek 17 listopada o godzinie 18.00 na scenie Teatru Komedia. Na widowni oprócz polskich uchodźców pojawili się przedstawiciele polskiego i rumuńskiego świata polityki. Oczywiście byłem także ja, mimo że nie lubię chodzić do teatru. Zazwyczaj nie chodzę, uważam, że sztukę trzeba tworzyć, a nie biernie się jej przypatrywać. Być może się myślę, ale mam przecież prawo do własnego zdania i opinii, nawet jeżeli są chybione. Prasa potem rozpisywała się o wielkim sukcesie trupy Zbigniewa Ziemińskiego. Pamiętam tylko jedno – moment, który na zawsze pozostanie w mojej pamięci – moment, kiedy Irena Eichlerówna mówi: *Gdy wejść tam wysoko, to może*

ujrzę Warszawę! Wówczas cała sala zamarła na chwilę, niektórzy uro-
nili nawet łzę. Ja również chciałem wtedy ujrzeć Warszawę, ale nie tę
nową, tę starą, którą znałem sprzed wojny. Kiedy jeszcze studiowałem,
kiedy mieszkałem, kiedy pracowałem i kiedy bawiłem się z Zuzią albo
Frankiem. W niedzielę wieczorem powtórzono przedstawienie.

Z końcem listopada w Bukareszcie w końcu zrobiło się zimno.
Nie było już powystawianych stolików przy kawiarniach. Zaczął padać
śnieg. Zbliżało się Boże Narodzenie. Świąta spędziłem z Rumunkami
i ich rodzicami. Był śnieg i mróz. Była choinka, rozmowy, miła, fami-
liarna atmosfera i pyszny *cozonac*. Poszedłem nawet do cerkwi.

Zimą sytuacja wobec Polaków ze względów politycznych zaczy-
nała się zmieniać. Nigdy wprawdzie nie interesowała mnie polityka,
tym bardziej nie interesowała mnie podczas wojny, ale życie tutaj sta-
wało się zwyczajnie coraz to trudniejsze i bardzo niebezpieczne. Lu-
dzie zaczęli powoli opuszczać Rumunię.

Dowiedziałem się, że na początku stycznia 1940 roku aktorzy
wyjechali z Bukaresztu do Francji, gdzie planowali założyć Teatr Pol-
ski w Paryżu. Ja, będąc w Bukareszcie, polubiłem ciepło, więc udałem
się dalej na południe, do Tel Awiwu, razem z moją polską książką *Ucie-
kła mi przepióreczka*.

MACIEJ JAGODZIŃSKI

MEMENTO

Mężczyźni chyłkiem przemknęli przez drzwi plebanii. Byli ubrani po cywilnemu, ale sposób, w jaki się poruszali, wskazywał na żołnierzy. Ksiądz usunął się na bok. Oni mijali go, skłaniając lekko głowy na powitanie. Przynieśli w sobie swąd spalonego miasta i fetor kanałów, a pistolety i karabiny ciążyły im nie mniej niż poczucie przegranej walki. Okna pokoju były szczelnie zasłonięte i jedynie płomień świecy oświetlał wnętrze. Rozłokowali się na kanapie, krzesłach i podłodze. Ksiądz nalał gorącej herbaty do ich blaszanych kubków.

– Pochowajcie się synkowie! NKWD i UB szaleją! – Odezwał się ksiądz.

– Gdzie, księże proboszczu? Nie znamy tu nikogo.

– Ja nie mogę was ukryć, bo mnie obserwują. Za dużo was. Póki ciemno, musicie odskoczyć.

– Gdzie? – Żołnierz z dystynkcjami kapitana rozłożył mapę na stole.

– Musicie cały czas się przemieszczać. W Wąwolnicy, Łopatkach, Łubkach znajdziecie życzliwych gospodarzy, ale nie możecie narażać ich zbyt długo. Uważajcie... Na razie dam wam trochę żywności, opatrunków, lekarstw i polecenie do kilku ludzi. W Nałęczowie lepiej się nie pokazujcie. Tu byłibyscie za bardzo na widoku.

Ksiądz ruszył przodem, a oni za nim. Zapakowali, co się dało, do plecaków i po kilku minutach zniknęli. Tymczasem ciemność zaczęła powoli ustępować. Budziły się kształty i barwy. Budził się dzień.

– Panie kapitanie! – Żołnierz idący za oficerem podbiegł kilka kroków. – Nie podoba mi się to. Niech pan popatrzy na niebo. Wrony krążą!

– Cóż z tego, żołnierzu? Jesteście przesądni? Wrony krążą, bo to ich siedlisko. – Kapitan uśmiechnął się szeroko i spojrział na młodego żołnierza. Chłopak nie był przekonany, ale pewność siebie oficera nappełniła go otuchą. Na szczęście droga biegła skrajem lasu, dając możliwość ukrycia. Kapitan szedł zamyślony. Wdychał pełną piersią powietrze, tak różne od dymów płonącej Warszawy, tak inne od wyziewów miejskich kanałów. Tu schronieniem był las lub stodoła, tam – piwnice i ruiny zburzonych domów. Te dwa miejsca miały teraz już tylko jeden wspólny mianownik – pytanie: Co dalej? Jak długo można czołgać się w gruzach, jak długo można przemykać leśnymi ścieżkami? Kapitan jeszcze raz wciągnął powietrze pełną piersią i popatrzył na wschodzące słońce. Świat uśmiechał się bladą zielenią łąk i nieśmiałym błękitem nieba. Było tu teraz tak cicho. A wrony? Obejrzał się jeszcze, by popatrzeć na przesądnego żołnierza.

W tym momencie rozpętało się piekło! Burza ołowiu uderzyła w nich, nie wiedzieć skąd. Błyskawice z niewidocznych luf przeszły powietrze. Atak był tak gwałtowny, tak niespodziewany, że padali jeden po drugim, bez słowa skargi, bez okrzyku przerażenia. Zwijali się w przedśmiertnych konwulsjach lub walili na ziemię jak stare dęby. Po chwili było po wszystkim. Na drodze pojawili się żołnierze w mundurach i czapkach z czerwonymi gwiazdami, a obok inni w rogatywkach. Chodzili od ciała do ciała i dobijali rannych strzałami w głowę. Zbierali ich broń i przeszukiwali kieszenie.

Z munduru jednego z zabitych wypadła niewielka książeczka. Dowodzący akcją major NKWD schylił się po nią. Przetarł ubrudzoną piachem okładkę i przeczytał na głos *Rozdziobią nas kruki i wrony*. Uśmiechnął się pod nosem i kiwnął na szeregowca w polskim mundurze. Szeregowiec natychmiast podbiegł. Major podał mu książkę.

– Przeczytaj to uważnie i zapamiętaj. Burżujskie, ale powinniście na przyszłość nauczyć się tego na pamięć – powiedział nienaganną polszczyzną.

– Ja nie umiem czytać, towarzyszu majorze – żołnierz z zakłopotaniem spojrział na oficera.

– Nauczycie się. Władza ludowa zadba o to. A jak już będziecie umieli, to książka jak znalazł. Odmaszerować!

Szeregowiec schował książkę za pazuchę, wykonał w tył zwrot i odszedł.

Trwało to wszystko bardzo krótko i wkrótce na drodze nie było śladu potyczki. Może trochę zdeptanej trawy na poboczu, odciski opon i kilka plam krwi. Tymczasem słońce wzniosło się wyżej ponad horyzont. Zieleń stała się soczysta, a błękit nieba pełny. Świat radował się letnim porankiem. Krąg wron na niebie zniknął.

Siedzący w świetlicy przy stoliku mężczyzna w garniturze spojrział na żołnierza.

– Sacharuk – przeczytał wyraźnie nazwisko. – Jesteście stąd?

– Tak jest! – Żołnierz wyprężył się na baczność.

Cywil gestem ręki zachęcił go do podejścia.

– Tu macie papier – wskazał leżące na stole pismo. – Na mocy decyzji władzy ludowej otrzymujecie przydział ziemi. Ta ziemia należała przed wojną do miejscowego obszarnika, który was wyzyskiwał. Teraz jest wasza.

– Jak to? – Żołnierz nie mógł uwierzyć i przestępował z nogi na nogę. – A jak PAN wróci? – W jego wzroku było niedowierzanie połączone z obawą. Gdy wymawiał słowo PAN, rozejrział się trwożliwie dookoła.

– Teraz wy jesteście panem! – Z głosu cywila wyczierała pewność. Żołnierz wziął papier, zrobił w tył zwrot i wyszedł.

Długa droga dobiegła końca. Został zdemobilizowany i mógł wrócić do domu. Był szczęśliwy. Jeszcze kilka kilometrów piaszczy-

stą drogą i będzie u siebie. Wdychał zachłannie powietrze wypełnione wszystkimi zapachami lasów i łąk. Teraz dopiero poczuł, że wojna się skończyła. Nikt nie krzyknie: Alarm! Nie świsną kule i nie szczęknę broń! Nie zapadnie nagle cisza, przerywana jękami rannych i konających. Nie będzie ładował więcej trupów na samochody i cieszył się, że tym razem to nie on. Nie zobaczy już wron wyczekujących na pobliskich drzewach i krążących nad pobojowiskami. Za pazuchą, starannie złożony między kartami książki, tkwił papier. Czas płynął szybko i nawet nie zauważył, gdy stanął w bramie swojego obejścia. W drzwiach domu ukazała się kobieta. Krótkie spojrzenie, okrzyk i rzuciła się do Sacharuka.

– Synu! Synku! – tuliła go do piersi. – Wróciłeś! – Powtarzała, odsuwając i przyciągając go do siebie, jakby nie mogła uwierzyć, że stoi przed nią żywy, jakby chciała pokazać, że teraz już go nie puści.

Sacharuk wyswobodził się z objęć matki.

– A gdzie ojciec? – zapytał bez entuzjazmu.

– Leży, jak zwykle, pijany – radość kobiety uleciała w okamgnieniu. Chłopak machnął ręką i uśmiechnął się.

– Mamo! – Wyciągnął zza pazuchy papier i rozłożył z nabożeństwem. – Teraz ta ziemia jest nasza.

– Która synku?

– Ano dziedzica.

– Dziedzica? Bój się Boga, toż to jego z dziada pradziada!

– Teraz to nasze. Teraz to my jesteśmy dziedzicami – chłopak mówił, jakby recytował wyuczoną lekcję.

Kobieta pokręciła z niedowierzaniem głową, ale wzięła dokument i obejrzała z obu stron.

– Co tu jest napisane, synku? – Popatrzyła na syna z nadzieją.

– Nie wiem, ale będę się uczył i niedługo sam to wszystko przeczytam. I to też – Sacharuk wyjął zza pazuchy książkę. – Znalezione przy zabitym bandycie – wyjaśnił.

Sacharukowa oglądała okładkę. Litery przed jej oczami nie ułożyły się w żaden zrozumiały komunikat, ale ilustracja na okładce budziła niepokój. Trup, a wokół niego kruki i wrony zdawały się zapowiadać historię smutną i tragiczną.

Zapukała delikatnie. Drzwi uchyliły się, najpierw odrobinę, a potem na oścież i po chwili stała przed proboszczem.

– Szczęść Boże – wyciągnęła wymownym gestem rękę. W drżącej dłoni trzymała papier.

– Szczęść Boże – proboszcz wziął dokument, rozłożył, czytał przez chwilę w skupieniu, po czym złożył i zwrócił kobiecie.

– Czego oczekujecie ode mnie?

– Oni mówią, że ziemia jest teraz nasza, że teraz my jesteśmy panami... – wyszeptała, patrząc w podłogę.

Ksiądz popatrzył na nią, ale nie podniosła wzroku.

– Panami, mówicie. Pan jest tylko jeden i prędzej czy później wszyscy staniemy przed jego obliczem. Czego ode mnie oczekujecie?

– Czy ja tę ziemię mogę wziąć?

– Czy możecie wziąć? – Ksiądz zamyślił się, założył ręce z tyłu i zaczął chodzić w koło, jakby potrzebował tego ruchu dla dobrania odpowiednich słów. – Przyszłście do mnie, więc macie wątpliwości... – popatrzył na kobietę, która kiwnęła potakująco głową. – Tu jest napisane, że ziemię dostał wasz syn. Ziemię nadała władza, która sprawuje teraz świeckie rządy. Czy ma prawo zabierać i dawać? Nie wiem, ale ma taką siłę! Widzicie, moja Sacharukowa, nie ma już partyzantów i nikt nie zrobi krzywdy wam lub waszemu synowi, jeśli przyjmiecie tę ziemię. Więcej zła może wam przynieść odmowa. Wszak wasz syn to żołnierz nowego, ludowego wojska. Jak to będzie wyglądało, jeśli teraz nagle odmówi. Te rządy przeminą, tak jak wszystko co doczesne, a ziemia nie może leżeć odłogiem.

Sacharukowa pokiwała głową, sięgnęła za pazuchę i wyciągnęła zza niej książkę. Podała księdzu i szepnęła cicho:

– Ja... my nie umiemy tego przeczytać. Syn dostał od ruskiego majora...

– *Rozdziobią nas kruki i wrony* – książdż przeczytał tytuł i popatrzył na kobietę. Sacharukowa dostrzegła w jego wzroku jakiś dziwny błysk. Domyśliła się, że ten tytuł stanowi zapowiedź czegoś złego, groźnego. Czegoś co już wyczuła, gdy tylko spojrzała na okładkę.

– Ta książka... ta książka... – książdż zamilkł na chwilę, jakby znów starał się znaleźć odpowiednie słowa – to memento. – Popatrzył na kobietę i widząc niezrozumienie w jej wzroku, dodał: – To znak. To zaklęty krąg.

– Niech książdż ją na razie zatrzyma. Syn idzie do szkoły, nauczy się czytać, wtedy... może... – mówiła szybko, z przestachem, jakby chciała oddalić od siebie niebezpieczeństwo. Takich rzeczy lepiej nie trzymać w domu.

– Dobrze. Będzie leżała u mnie. Możecie odebrać ją w każdej chwili.

– No, towarzyszu Sacharuk. Gratuluję. Piękna kariera, piękna! Wasz ojciec walczył o Polskę Ludową, a teraz wy kontynuujecie dzieło jego i naszej partii. Ja, widzicie... mnie partia wyznaczyła nowe zadania... w Warszawie, a wy przejmiecie po mnie ten niełatwy odcinek w Lublinie. Gratuluję nominacji i zapraszam do waszego nowego gabinetu. – Sekretarz Bakun z uśmiechem prowadził swego następcę. – I nie bójcie się. Poradzimy sobie z wrogami i wichrzycielami z „Solidarności”, tak jak nasi ojcowie poradzili sobie z leśnymi bandami. No! Towarzyszu! Głowa do góry! – Klepnął protekcyjonalnie Sacharuka po plecach. – A jak tam wasz syn?

– Studiuje w Warszawie – Sacharuk nie potrafił ukryć dumy.

– Widzicie! Odbije się od was i kto wie, jak daleko zajdzie. Byle tylko nie dał się omamić tym wichrzycielom. Sekretarz Bakun zakręcił się na pięcie i po chwili zniknął. Sacharuk opadł w miękką fotel. Ogar-

nął wzrokiem gabinet i spłynęło na niego uczucie sytości, życiowego spełnienia. Nie musiał szarpać się na roli jak jego ojciec. Zrobił krok dalej.

Pukanie do drzwi plebanii obudziło księdza. Proboszcz wstał i zapalił lampę na ganku, by jej światło oświetliło nocnego gościa. Spojrzał przez wizjer i zdziwił się. Znał tę twarz... Wprawdzie nie widywał jej w kościele, ale w tak małej miejscowości znali się wszyscy.

– Chwileczkę – rzucił przez drzwi. Ubrał się i otworzył. Przed nim, obsypany śniegiem od stóp do głów, szcękając zębami, stał młody Sacharuk. Zaprosił go gestem ręki, bez słowa zapalił gaz na kuchence i postawił czajnik z wodą na herbatę. Bez względu na wszystko ten młodzieniec potrzebował czegoś na rozgrzewkę.

– Mogę? – chłopak niepewnie popatrzył na księdza.

– Proszę. Wprawdzie nie widywałem cię w kościele, pora na odwiedziny nie najstosowniejsza i okoliczności także... – ksiądz zawiesił głos.

– Ja... – chłopak zaczął niepewnie – ...ksiądz zapewne się dziwi...
– zawiesił głos i spojrzał niepewnie na kapłana.

– Zaiste, dziwne to: ty, pora, okoliczności.

– Właśnie! – chłopak podchwycił łapczywie. – Szukają mnie!

– Ciebie!? Kto?

– No... SB...

– Ciebie? SB? A za cóż to?

– Za „Solidarność”...

– Ty i „Solidarność”?! Syn towarzysza Sacharuka, wnuk zasłużonego bojownika o wolność i demokrację...

– Ksiądz mi nie wierzy? – Chłopak podniósł wzrok i popatrzył w oczy kapłana.

– Prawdę mówiąc, nie. Dziwi mnie, że przyszedłeś tutaj. Dlaczego nie pojechałeś do babki albo do ojca do Lublina.

– Tam by mnie łatwo namierzyli... Może już czekają.

– Czego oczekujesz ode mnie?

Odpowiedź nie padła. Ksiądz popatrzył jeszcze raz na chłopaka.

– Jest noc i zimno na dworze, a do tego godzina milicyjna. O tej porze nie masz czego szukać gdziekolwiek. Zdejmij kurtkę i ogrzej się, przygotowuję ci coś do jedzenia.

– Dziękuję... – wyszeptał chłopak. – Spróbuję potem gdzieś na wsi.

– Znasz tu prawie wszystkich i oni ciebie.

– I mojego ojca... niestety.

– Właśnie.

Chłopak wstał, otulił się szczelnie i ruszył przed siebie. Ksiądz uczynił znak krzyża w powietrzu.

Ciało wisiało na gałęzi drzewa, przy drodze, tej samej, przy której miała miejsce ostatnia potyczka wojny. Lodowaty wiatr poruszał nim jak wahadłem. Od czasu do czasu sznur skręcał się i rozkręcał, obracając trupa to w jedną, to w drugą stronę. W górze szybowwały wrony, jakby jeszcze na coś czekały.

– Samobójstwo, towarzyszu Sacharuk. Wasz syn popełnił samobójstwo. Te ślady na ciele..., wybaczcie, ale jak go znaleźliśmy, dobierały się do niego wrony. – Komendant wojewódzki był wyraźnie zakłopotany.

Sacharuk nie odpowiedział ani słowem. Po jego policzku nie spłynęła ani jedna łza. Wiedział też, dlaczego chłopak zginął. Był dostatecznie wysoko w hierarchii partyjnej, by dyskretnie zbadać sprawę i szybko dotarło do niego, że głowy nie sięgnie, ale rękę, która to zrobiła, dopadnie.

Zwabienie esbeka na to miejsce nie było łatwe. Sacharuk musiał użyć podstępów. Morderca nie mógł wiedzieć, że ktokolwiek z kręgu jego ofiary ma z tą podróżą coś wspólnego. Wskazanie księdza poblis-

kiej parafii było wiarygodnym argumentem. Morderca znał już okolice i nie widział niczego dziwnego w tym, że polecono mu uciszyć kapłana. Ciało esbeka spoczęło w tym samym miejscu, w którym znaleziono ofiarę. Sacharuk nie widział już dla siebie miejsca na tej ziemi. Miał jeszcze jeden nabój. Popatrzył na krążące wrony i nacisnął spust.

– Pani nie jest z naszej parafii – ksiądz patrzył uważnie na młodą kobietę w ciąży.

– Nie..., ale jestem... – zawahała się – niedoszłą żoną tutejszego parafianina, Andrzeja Sacharuka.

– Tego...

– Tak, tego...

Ksiądz spojrział na kobietę uważnie.

– On też nie był naszym parafianinem, choć tu mieszkał. O ile mi wiadomo, nie należał do żadnej parafii.

– Wiem, Andrzej był niewierzący. Przyszłam do księdza, bo nie znam tu nikogo. Jego ojciec...

– Tak wiem...

– Matka nie żyje, a ja, no... może nie do końca ja... – popatrzyła wymownie na swój brzuch – jestem ich jedyną spadkobierczynią. Do stałam także zdeponowany u notariusza list od ojca Andrzeja, w którym poza testamentem jest zalecenie zgłoszenia się do tutejszej parafii. Ojciec Andrzeja zapisał nam wszystko – jeszcze raz popatrzyła wymownie na swój brzuch.

– Nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę, ale roszczenie do tej ziemi zgłosili spadkobiercy przedwojennego właściciela, a właściwie ktoś, kto je od nich odkupił. Objęcie nieruchomości może być trudne. W sądzie złożono stosowne wnioski i nie można wykluczyć, że w księgach wieczystych poczyniono w związku z tym zapisy. Prawnicy twierdzą, że spadkobiercy po Sacharuku nie zobaczą ani piędzi tej ziemi. Jeśli nie ma pani pieniędzy na prawników... A nawet jeśli pani ma, to obawiam się, że żaden znany prawnik nie weźmie tej sprawy.

Dom świecił pustkami. Brama do obejścia była wprawdzie zamknięta, ale wybite szyby, niezastłonięte nawet dyktą, nie pozostawiały wątpliwości. Nikt tu nie mieszkał. Opuszczenie musiało dotknąć dom całkiem niedawno, bo nic jeszcze nie zardzewiało i nie rozsypało się. Czarny mercedes podjechał wolno pod bramę. Szyba po stronie kierowcy opuściła się i Józef Bakun popatrzył na swoją nową posiadłość. „To już trzecia” – pomyślał. Miejsce było piękne i w sam raz nadawało się na pensjonat, SPA i parę innych rzeczy, z których można ciągnąć pieniądze. Sztuczka z roszczeniami do spadku wyszła dość łatwo. Uśmiechnął się pod nosem i odjechał, kierując się w stronę kościoła.

– Dzień dobry – rzucił od progu, rozświetlając pomieszczenie plebanii radosnym uśmiechem.

– Szczęść Boże – ksiądz zaprosił niespodziewanego gościa gestem ręki.

– Nazywam się Bakun – zaczął, starając się w to stwierdzenie wtłoczyć jak najwięcej optymizmu. Tak jak uczono go na szkoleniach. Miał być miłym facetem, którego ksiądz zaraz polubi. – Jestem nowym właścicielem tej działki po Sacharukach – wyjaśnił. – Chciałbym prosić księdza o pokropek. Będziemy tam wmurowywać kamień węgielny pod nowy hotel, SPA i takie tam...

– Pan jest spadkobiercą? – na księdzu wejście Bakuna nie zrobiło większego wrażenia.

– Niezupełnie. Kupiłem roszczenia od spadkobierców. Jestem teraz pełnoprawnym właścicielem – z Bakuna uszło powietrze. Ksiądz nie rozpromienił się, nie ożywił, nie powitał go radośnie. Z jego postawy, grymasu, jakim oblekł twarz, można było wyczytać chęć jak najszybszego zakończenia tego spotkania. Józef Bakun odgadł to natychmiast, ale nim zdążył się wycofać, ksiądz zdjął z półki cienką książkę i wręczył mu, wyjaśniając:

– Wie pan, ja mam tu drobny depozyt, który należał do Sacharuków. Leży u mnie od 1945 roku, ale bardziej jest związany z tym kawałkiem ziemi niż z ludźmi, którzy już nie żyją.

– *Rozdziobią nas kruki i wrony* – Bakun odczytał na głos tytuł. – Co mi tu książdz wyjeżdża... – podniósł głos, ale szybko się opanował. – Przepraszam – wydukał. – Oczywiście, dziękuję – odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł, bąkając przez ramię: – Do widzenia.

Wsiadł do samochodu i rzucił ze złością książkę na siedzenie obok kierowcy. Wcisnął pedał gazu i ruszył przed siebie. Nie wierzył w fatum, nie wierzył w Boga, a mimo to ten drobny epizod wyprowadził go z równowagi. Miał dotychczas poczucie spełnienia, sytości. Czuł, że w sztafecie pokoleń wyprzedził już swoich przodków. Jego dziadek, major NKWD, walczył tu z bandami, a teraz on wraca jako obywatel, inwestor, twórca miejsc pracy. Samochód jechał coraz szybciej, a pęd uspokajał Bakuna. Po chwili uśmiechnął się sam do siebie. Poznał las, o którym opowiadał dziadek. To tu miała miejsce ostatnia bitwa z bandami. Wspomnienie dziadka i pęd, w jaki wprawił samochód, uspokoiły go. Teraz rozpromienił się całkowicie, otworzył okno po stronie pasażera i wyrzucił książkę na pobocze. Obejrzał się jeszcze za nią i była to ostatnia rzecz, jaką zrobił w życiu. Nie mógł widzieć wyładowanej balami drewna przyczepy traktora wyjeżdżającej tyłem z lasu. Potężny huk, kurz, a po chwili płomienie. Jego mercedes zamienił się w miazgę.

Z okolicznych drzew poderwały się wrony i utworzyły w powietrzu krąg, czekając, aż wybrzmi huk, opadnie kurz i zgasną płomienie.

MARIANNA PAWŁOWSKA

ŚLADAMI OGRODU MŁODOŚCI

To dziwne uczucie poznać kogoś, kto jest unieśmiertelniony w książce, kogoś, kto tę książkę napisał. Do szkoły w Łysowie przyjechała Barbara Wachowicz ze swoim *Ogrodem młodości*. Bywała tu też wcześniej, gdy zbierała materiały, przeprowadzała wywiady, dokumentowała. Stałe pytanie:

– Czy jest tu ktoś z rodziny Leoniuków?

Dzieci mieli kilkoro, więc i tym razem znalazł się reprezentant zacnego rodu. Niepozorny blondynek z pierwszej klasy podniósł nieśmiało rękę.

– Jak masz na imię?

– Dawidek – odpowiedział cichutko malec.

– A pacierz to ty umiesz?

– Nie za bardzo.

Oj zmyła mu głowę pani Barbara, przypomniła jego przodka, który tak mocno bronił swojej wiary, uczył modlitw innych, a na spowiedź chodził aż pod Warszawę. *Do swego Boga* – to przecież o nim Żeromski napisał. Ale malec ani o Żeromskim, ani o unitach jeszcze nie słyszał.

Łysów, 21 IV 1890 r. Dzienniki

Jeden z synów unity, prawosławnego chłopca Leoniuka, umiejący pisać i czytać po polsku i rusku, zbiera dla mnie pieśni ludowe, bajki i opowia-

dania. Serce bije z radości. Chłopak ten ma ze dwadzieścia lat, uczył się w miejscowej szkole wiejskiej u pana Timoszy [...] – i oto on, nowe pokolenie, nie chodzi do cerkwi, nie spowiada się u popa, idzie z ojcem i braćmi do spowiedzi o osmnaście mil stąd za Warszawę. [...] Oto jest błogosławiona nagroda tego małego płomyka oświaty, jaki mu oświecił czoło! Oto jest nasza niezwykczona w walce ze zwiędnięciem moskiewskim broń. Gdy pani Aniela prosiła go o zbieranie pieśni, zgodził się chętnie, prosząc tylko, aby nikomu o tym nie wspominać. Gdybym mógł znaleźć takich Leoniuków więcej...

Od lat nurtowało mnie pytanie, skąd Żeromski, będąc w Warszawie, dowiedział się o tym, że Aniela Rzążewska z prowincjonalnego, niezbyt bogatego majątku ziemskiego Łysów poszukuje gubernera dla swojego syna Adasia. Miałam dwie hipotezy. Pierwsza dotyczyła konksji rodzinnych.

Mama Żeromskiego była z domu Katerla, właścicielem pobliskiego majątku Woźniki był brat dziadka ze strony matki Franciszek Katerla, oficer wojsk polskich Księstwa Warszawskiego. To żona, Józefa Kuczyńska, dziedziczka Korczewa, wniosła Franciszkowi Katerli w wianie folwark Woźniki, należący do dóbr Karczewskich. Franciszek Katerla zmarł w 1867 roku i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Niemojkach. Grób rodziny Dobrzyńskich – właścicieli Łysowa – znajduje się także na cmentarzu parafialnym w Niemojkach. Niestety jego stan i wygląd pozostawiają wiele do życzenia. Tablice w większości są już nieczytelne. Pochowano w nim Jakuba Dobrzyńskiego – ojca pań Anieli i Natalii. Zmarł on w Łysowie w 1897 roku w wieku siedemdziesięciu czterech lat. Obie rodziny uczęszczały na nabożeństwa do tego samego kościoła, groby są obok siebie, więc z pewnością się znali.

Miałam ogromne problemy ze znalezieniem miejsca wiecznego odpoczynku stryjecznego dziada Żeromskiego. Wszystkie znaczniejsze pomniki obywateli ziemskich znajdują się w centralnym miejscu cmen-

tarza, wzdłuż jednej alejki, o linii nieco zwichrowanej i nadgryzionej pazernością sąsiednich kwater. Dopiero wigilijne spotkanie z Barbarą Wachowicz rozwiało moje wątpliwości. Gdy wpisując mi dedykację do kolejnej swojej książki, *Wigilie polskie*, zobaczyła na karcie dedykacyjnej, gdzie mieszkam, sama rozpoczęła rozmowę o cmentarzu.

– Nigdzie tak pięknie nie pachną lipy jak na cmentarzu w Niemojkach. Mignęło mi przed oczyma identyczne zdanie z dzienników Żeromskiego.

Basia z Podlasia jest w cudownej formie, pięknie pisze, opowiada, a jakie ma zdolności aktorskie, głos dźwięczny i dużo młodszy od jej metryki. Jakże mile mnie zaskoczyła, pytając o Niemojki, o stan dworców pamiętających Żeromskiego, o cmentarz, na którym pochowany jest jego stryjeczny dziad. Ja z kolei miałam w końcu okazję zapytać, gdzie jest grób Katerli – nikt z miejscowych nie wiedział. Tak jak myślałam, obok katakumb Dobrzyńskich i Faytów, Anieli i Natalii. Inskrypcje wiele lat temu odpadły wraz z tynkiem, ale grobowiec jest wyjątkowo okazały, proporcjonalnie do wielkości majątku Woźniki.

– Proszę zapalić świeczkę na grobie Natalii – dodała, kończąc rozmowę.

Stefan Żeromski wspominał w *Dziennikach* o jednej ze swych podróży po powiecie. Jadąc 13 lipca 1890 roku z Łysowa do Falatycz, zwrócił uwagę na Woźniki, należące wcześniej do jego krewnego. Później stworzył opowiadanie *Róża*, które podpisał pseudonimem Józef Katerla. Na cześć swego rodzzonego dziadka, tak się nazywającego i pieczętującego herbem Poraj (*Róża*). Kiedy porównałam datę śmierci Franciszka Katerli i datę przyjazdu Żeromskiego, różnica wyniosła dwadzieścia dwa lata. Więc jest mało prawdopodobne, by sentymenty rodzinne spowodowały przyjazd.

Druga hipoteza dotyczyła wyjątkowo często pojawiającego się w *Dziennikach* nazwiska rodu Kopciów i spotkań w majątku Patków Prusy, licznych podróży do Warszawy i Kielc w towarzystwie Adolfa

Kopcia oraz jego krewnej Anieli Rzążewskiej. Jedna z siostr Adolfa, Maria, była żoną Floriana Korolca, naczelnika stacji kolejowej w Radomiu, druga siostra, Lucyna, mieszkała w Kielcach. Takie imię pojawia się też w dziennikach z datą 7 czerwca 1886 roku, ślub trzeciej siostry, Tekli, jest opisany pod datą 5 lipca 1888 roku. A więc żeńską część rodzeństwa Kopciów znał doskonale od kilku lat. Gdy znalazłam pierwszy list Żeromskiego do Anieli Rzążewskiej, wystarczyło dotrzeć do odpowiednich nazwisk.

Warszawa, 12 XI 1889 r.

Wielmożna Pani Dobrodziejko!

Zawiadomiony zostałem w tych dniach pośrednio przez Panią Żółkowską, że Wielmożna Pani poszukuje na rok bieżący nauczyciela dla syna, wskutek czego śmiem ofiarować Jej moje usługi w tym charakterze. Jeżeli miejsce dotychczas zajęte nie zostało i propozycja moja zgadzać się będzie z Jej wolą, raczy wielmożna Pani odpowiedzieć mi listownie, co – mam nadzieję – nie najdłużej miejsce mieć będzie. Nadmienić tu muszę, że z Warszawy wyjechać mogę nie wcześniej nad pierwszy grudnia. Oczekując na odpowiedź, adresowaną do „Stefana Żeromskiego w Warszawie, Żórawia N. 17 miesz. 6”, piszę się Wielmożnej Pani Dobrodziejki sługą. S. Żeromski.

Z biciem serca otworzyłam *Okruchy wspomnień majątku ziemskiego Patków Prusy* Witolda Majlerta – męża Haliny Kopeć, i stronę z drzewem genealogicznym.

Okazało się, że tajemnicza pani Żółkowska z listu to nikt inny jak Lucyna Żółkowska z domu Kopeć, młodsza siostra Adolfa, mieszkająca w Kielcach. Żeromski był częstym gościem w jej domu. Aniela Łysowska była jej bliską krewną i serdeczną przyjaciółką. To dzięki znajomościom salonowym w świecie damskim mało jeszcze wtedy znany pisarz, a wielki już kobieciarz, dotarł do Łysowa na Podlasiu, gdzie spędził intensywne trzy pory roku: zimę, wiosnę i lato.

Być może to zadanie – zagadka – było już rozwiązane, ale, jak wiadomo, zadanie można rozwiązywać na kilka sposobów. Ja zrobiłam je po swojemu.

Łysowskie wzgórze zobaczyłam w 1992 roku. Byłam po lekturze *Dzienników 1889/1890*, spotkaniu z Barbarą Wachowicz i jej *Ogrodem młodości*. Dojmujący bezradny żal w sercu na widok, po którym tak wiele sobie obiecywałam. Urodził mi się komentarz odzwierciedlający to, co mnie wtedy tak zasmuciło.

Perspektywa powietrzna

Na pierwszym planie

Wyrastają z łysowskiego wzgórza

Kamienne rozłożyste schody

W półmrokach i głębokich cieniach

Giną ostre kontury

Czas złagodził kanciaste krawędzie

Ostatni stopień

Prowadzi wprost na parkiet murawy

Potężne dostojne świerki

Znaczą węgły budynku

Mistrzowie iluzji

Ich wysmukłe sylwetki

Określają przestrzeń

Zajmowaną niegdyś przez dworek

Światło odbijając się od pni

Odtwarza zapomniany kształt bryły

Potomkowie małw w miejscach okien

A wokół bezmiar błękitu

Zdziczałe bzy, kikuty lip

Światłocienie liści na ścieżkach

*Już na zawsze w dziennikach Żeromskiego
Rośnie tutaj aleja grabowa
Zbiega po pochyłości wzgórze
I dźwiga się znowu pod górę, na której wyciągnęła się wieś
Chaty, chaty, chaty...
Dym nad nimi wiję się wysokimi słupami
Jak dym ofiarny Abła...*

*Nikt już nie otworzy
Drzwi zatrzęsniętych kluczem lat*

*Z pożogi wojen
Tygla zdarzeń
Czas ocalił tylko kamienne schody
Niedbata pamięć roztrwonila wszystko.*

Czytam kolejny raz *Dzienników tom odnaleziony*. Pochylam się nad fragmentami tekstu dotyczącym Łysowa, Patkowa i okolic. Usiłuję nadać imiona, przypisuję tożsamość strzępom wspomnień, obrazom, motywom. Wyciągam nici z gęsto tkanego splotu prawdy i domysłów. To zaledwie początek zagadki o historii miejsc tutejszych.

Łysów, 26 XII 1889 r.

W niedzielę rano pojechałem do Patkowa Pruskiego, stamtąd z panem Kopciem dalej. W Warszawie stanąłem na dziewiątą.

Bardzo chciałam zobaczyć Patków, ale z zapisków w *Dziennikach* wynika, że są wymienione aż trzy – Patków Ruski, Pruski i Francuski – od imienia jednego z właścicieli nazwany też Patków Józefów.

Przypadek, a raczej bielik sprawił, że najpierw znalazłam się w Patkowie Pruskim. Wieść o tym, że jakiś wielki drapolek szybuje co i raz po okolicznym niebie, dotarła do mnie na wiosnę. Znaleźli się

i tacy hobbyści ornitologdy, którzy chcieli drapola rozpoznać, oznaczyć, upolować obiektywem i posmakować odrobinki kontaktu z dziką, dziewiczą przyrodą. Wybrałam się i ja na wycieczkę rowerową na wschód, w stronę Toczny. Droga polna paskudna, piasek za piaskiem, nie sposób jechać, cały czas pod górkę, potem z górki w błoto z głębokimi koleinami. Mijam sosenkowe małe laski, ale cały ten trud nagradzany jest cudnymi widokami rozległych pól uprawnych przecinanych pasami ugorów, dzikimi gruszami, które właśnie przystroiliły się w białe suknie i przysiadły z rzadka na miedzach, kwitnącą tarniną i wielkimi połaciami mirabelek, pachnących uwodzicielsko. Odgłos bażanta, a za chwilę i on sam w całej okazałości. Tereny położone daleko od utwardzonych dróg, wiadomo, kolonie! Liche chałupki, którym blisko do upadku. Mijamy skromne gospodarstwo Raczków. Ojciec i jego bracia pracowali we dworze. Panienska Hala Kopciówna trzymała do chrztu Stasię.

Psy na długim łańcuchu szczekają zajadle. Gorliwie pilnują podwórka, które nie ma nawet kompletnego ogrodzenia, nie widać tu maszyn rolniczych, ogródka, ani śladu hodowli. Pani Stasia jest już wiekową kobietą, a syn nie ma serca do gospodarki.

Jak tu wygląda życie w zimie, gdy zawieje? A kontakt z lekarzem, kościół? Tędy przejechać mogą tylko potężne traktory albo mocne samochody terenowe z napędem na cztery koła.

W końcu pojawia się na wzgórzu szpaler starego bzu, rozrośnięty obficie na boki i długi na kilkadziesiąt metrów. Kawałki czerwonej cegły, resztki podmurówki. Tu były kuźnie. A dwór nieco dalej na lewo, ściślej – miejsce po dworze, po podjeździe, gazonach, alejach, ogrodzie i potężnym sadzie. Ponawiam pytanie:

– Czy to na pewno tu?

Niestety tak.

Jedyny materialny ślad to szpaler bzu i zapiski ze zdjęciami rodziny Kopciów, które wypożyczyłam od miejscowego sołtysa. I oczywiście wspomnienia mieszkańców.

W rodzinie mojej przyjaciółki Hani, urodzonej w Patkowie, opowiada się kilka ciekawych historyjek z życia okołodworskiego. Jej tata, oświadczając się kilka lat po wojnie wybrance serca, przyjechał z naręczem róż, zerwanych w dziczejącym patkowskim ogrodzie. A jakie wielkie jabłka przynosili rodzice, gdy rosły tam jeszcze te stare, pamiętające Żeromskiego jabłonie!

W 1920 roku zatrzymał się na stacji kolejowej w Patkowie Prusach pociąg jadący do Rosji, oblepiony wygłodzonymi, pokonanymi bolszewikami. Na wieść, że nieopodal jest dwór z zasobnymi piwniczkami, cała ta szarańcza ruszyła najeść się i napić. Pobiegli tam i mali miejscowi chłopcy. Też chcieli spróbować marmolady z rozbitych beczek. Jedni drugim podawali ją gołymi rękami. I taką słodką, umorusaną rękę często śnił i wspominał Hani ojciec na długim zesłaniu na Syberii.

Pytam Wojtka Raczuka, wspominającego zawsze z nostalgią swoją rodzinną wieś, o dwór. Jego dziadek był tam gajowym, pradziadek stangretem.

– A wie pani, że tam w lesie jeszcze z czasów Żeromskiego jest drewniana unicka kapliczka, przy której chrzczono, dawano śluby. Ksiądz Ołdakowski to był, z Łysowa.

– Niemożliwe – odpowiadam, i dodaję:

– W Łysowie była cerkiew prawosławna, kilka razy jest o tym mowa w *Dziennikach*. Ale za rzeką jest kościół w Górkach, to przecież bardzo blisko, może ksiądz Szpryngier, o którym pisał tak serdecznie Żeromski, *żyje w jednej sutannie, jawnie głosząc, że nie odepchnie unity, gdy ten doń przyjdzie na spowiedź. Co mi zrobią? Dusza – Boża. Z nią pójdę i na Sybir.*

– A tej unickiej kapliczki to już nie ma, panie Wojtku.

– Jak to nie ma? – pyta mocno zdziwiony.

– Ten warszawiak, co sobie domek postawił niedaleko, zabrał ją podobno do jakiegoś muzeum. Tak mówią miejscowi.

– To tak można?

Żal i rozgoryczenie słyhać w jego głosie. I ja mruczę pod nosem.

– Chyba wszystko można, nie ma żadnej świętości, żadnych zasad...

Z kapliczką związane są i inne wspomnienia, o Stefanie Raczu-ku, mężu Stasi. Był samozwańczym strażnikiem kapliczki, wrywał dookoła zielsko, gracował ziemię, czasem przynosił świeże kwiaty. Wymieniał zbutwiałe elementy, poprawiał daszek. Miał tylko jedno życzenie; gdy umrze, mają go odprowadzić aż tu, do kapliczki. Ksiądz Zaleszczyk, który przybył na wyprowadzenie ciała, nie chciał o tym słyszeć. Droga po deszczach była wyjątkowo błotnista, a kawałek spory do przebycia, jednak stare kobiety z Prusów i Dzieńcioł nie dały za wygraną. Stefan ma być odprowadzony do swojej kapliczki i już, taka była jego ostatnia wola. I ksiądz musiał na to dictum przystać.

Schodzimy po pochyłości wzgórza ku łąkom, chciałoby się powiedzieć i pastwiskom, ale wieś się zmieniła. Mało kto wypasa dzisiaj pojedyncze krowy. Więc przemieszczamy się wolno wśród ugorów ku łąkom, mokradłom, do rozlewisk Toczny. W niewielkiej kępie drzew na wysokości kilkunastu metrów ukazuje się ogromna sterta patyków. Wydaje się nieproporcjonalna do konaru, zbyt wielka, za ciężka, by drzewo mogło ją utrzymać.

I nagle od strony rzeki szybuje z wdziękiem, majestatycznie, wielkie ptaszysko. Zaniepokojone krąży nad nami. Z gniazda podrywa się drugie, i już krążą oboje rodzice, zaniepokojeni zmianą w otoczeniu. Stoimy nieruchomo i delektujemy się widokiem pary bielików. Jedno wraca do gniazda, ale drugie zatacza coraz niższe kręgi nad naszymi głowami. W końcu przekonało się chyba, że z naszej strony nic mu nie grozi, i odfrunęło na swoje żerowiska.

Na skarpie liczne murawy porośnięte macierzanką z chmurami motyli, przy samej ścieżce rozchodniki i kocanki piaskowe. Jak pięknie musi tu być, gdy wszystko kwitnie, jakie zapachy. Charakterystycznie

nawołuje derkacz, od czasu do czasu przepiórka, trzask łamanych gałązek, potyka się o nie spłoszona sarna, która właśnie wyszła na przedwieczorny posiłek. Dookoła korowody pól, sznury drożyn wiodących ku olszynowym bagnom w sine topieliska. Kielkują nasiona przyniesione przez rozrzutny wiatr, wgniecione racicami, kopytami w ziemię. Tak mogło tu być i wiek temu. Brakuje tylko na horyzoncie kilku starych drzew. Bobry ścięły je na tamę, a teraz przed obcymi skryły się do swoich żeremi. Nagłe potężne pluski jeden po drugim w tej ciszy jak wystrzały.

Żadnych odgłosów cywilizacji, huczących samochodów, wycia syren, wzywów spalin, nie ma tłoku, sama harmonijna natura i święty spokój. Późny dzień leniuchuje w wysokich trawach, smukłych tatarakach. Są jeszcze takie zakątki na Podlasiu. Enklawa niepoddana presji współczesnego świata. Nawet słupów wysokiego napięcia, które zakłócałyby widnokraj, nie ma w zasięgu wzroku. Pewnie dlatego osiedliły się tu bieliki. Symbol godła narodowego, a nomen omen, po prawej stronie widoczne są „okopy”, tak nazywane jest to miejsce przez okolicznych mieszkańców – tu była pierwotna osada słowiańska w Dzieciołach, trójczłonowe wczesnośredniowieczne grodzisko w postaci pozostałości po obwałowanych budowlach o charakterze obronnym. Gród powstał prawdopodobnie w XII wieku, być może jako najważniejszy w tych stronach. Położenie wśród dawnych bagien nad Toczną zapewniało doskonale warunki obronne.

Słabe tu pola na wzgórzach, sądząc po niewysokim zbożu, ilości porzuconej, nieuprawianej ziemi, ogromnych łąkach piasku. Z czego utrzymywał się dwór? Może zajmował się hodowlą bydła, koni? U stóp wzgórza pełno łąk. I to, jak się okazało, było trafnym spostrzeżeniem, opartym na uwarunkowaniach terenowych.

Stadninę arabską założył w Patkowie Prusach A. Kopeć w 1870 roku. Za fundament posłużyły mu kłaczki kupowane na licytacji w Janowie Podlaskim, pochodzące z rosyjskiej stadniny w Limarewie w guberni charkowskiej.

Miały wdzięczne nazwy: Baszkirka, Beduinka, Dżelfi, Szałnuja. Potem ze Sławuty przybyła Rusłanka, z Białej Cerkwi Hilda. Ogiery Iskander Pasza, Bakczisaraj, Dżelfi, kasztanowaty Hassizi – wszystkie z Dalekiego Wschodu. W czasach, gdy bywał tu Żeromski, stadnina była w rozkwicie.

W Patkowie Pruskim poznałem mnóstwo szlachty. Jest ona lepszą niż w naszym krakowskim lub sandomierskim województwie, choć nie przekracza zwykłego aż nadto szablonu. Trochę tu więcej rozumu, rozsądku i taktu.

17 VI (wtorek)

Panowie mówią o koniach z takimżywieniem, z takim zapatem, z takim entuzjazmem. Wyrazy na kształt poświstów wiatru przelatują koło mych uszu.

Obserwował Żeromski pilnego w odprawianiu modłów za cara proboszcza z Niemojek, reakcję chłopów i zagonowej szlachty ostentacyjnie opuszczających kościół.

3 VIII (niedziela) 1890

Byłem w kościele. Była tylko panna Stanisława. Bardziej niż ta panna zajmowało mię zjawisko, że gdy pilny w odprawianiu modłów za cesarza ksiądz K. zaczyna śpiewać swoje „Módlmy się za itd.”, prawie wszyscy chłopci, a zupełnie wszystka szlachta zagonowa opuszczają kościół ostentacyjnie.

Stefan Żeromski na zawsze w swojej duszy zapisał obraz tej cichej ziemi, jej mieszkańców, i niepokojące piękno tej nadbużańskiej krainy, która postawiła pieczęć na jego sercu. Dołączył do tych, którzy przyjeżdżali na chwilę, a zostawali na całe życie, i nawet jeśli wiatr historii zabierał ich daleko za horyzont, i jeszcze dalej, wracali. Z obrazem tej krainy w pamięci i z miłością w sercu.

Wyjeżdżając z Łysowa, zapisał:

Opuszczam cię, drogi ludu podlaski. Nie będę już się zatrzymywał po drogach, aby porozmawiać z każdym przechodzącym, a przekonywać się, że po polsku mówi, że będę wstuchiwał się w tę mowę śpiewną, badał ją cichaczem, po kryjomu.

Przedwiośnie jest najlepszym dowodem na to, jak ważne miejsce zajęło Podlasie w jego sercu. Zostało napisane i wydane ponad trzydzieści lat po pobycie pisarza w Łysowie.

Nawłoc to Łysów, a pierwowzorem Laury jest Aniela Rzążewska, a może jej siostra Natalia? Moim zdaniem jest to postać złożona z cech obu pań. W fazie zauroczenia ma cechy zwiewnej, niezdobytej Natalii, potem bezceremonialnej, zuchwałej Anieli. A scena w karecie to déja vu łysowskiej przygody z Anielą.

Pamiętasz, Czarus, między Łysowem a Patkowem, w lesie Rogaczu? Tu łączka, tam dwór, tu droga. Ja leżę w rowie i nie widzę ani łączki, ani lasu, ani dworu, bo mię ta ryfa moskiewska sztykiem w bandzior. A dopiero czuję; ktoś się podsadza pode mnie. Na barana mię i w dyrdy przez tę łączkę w dole, przez mostek, do Patkowa! Bracie! Pij ze mną bracie rodzony! Rodzony bracie Czarus Baryka!

Zawsze, gdy oglądam *Przedwiośnie*, czekam na ten dialog ze swojsko brzmiącymi nazwami miejsc tutejszych. I zawsze z takim samym rozczuleniem, z jakim odnalazłam pierwszy raz ten fragment w tekście. Wzruszające świadectwo minionych czasów pokazuje ponadczasowe wartości, których jesteśmy spadkobiercami.

Aleja grabowa sphywała ku wsi, mroczna. Zbocze tarasu porastała gęsta macierzanka. Nigdzie tak nie kwitnie, jak u nas na Podlasiu. Trwały stare świerki masztowe na narożach dworu, jak straż.

To Zatoka z *Urody życia*, gdzie w łagodnym świetle sierpniowego zachodu alejami ogrodu, *który sphywał po pochyłości stromego wzgórze*, chodzi Piotr Rozłucki.

To Ciapiec Lacki z noweli *Mogiła*, gdzie *na krańcu jakby rozległego płaskowzgórze stoi obszerny dwór między kępami lip, topól i kasztanów*. *Duży zapuszczony ogród zsuwa się po pochyłości w dół, a otaczające go parkany docierają aż do stawu i trzęsawisk w nizinie*.

W Patkowie Ruskim, w miejscu ogrodu Natalii, gdzie letnie sukienki przebierały w mężczyznach, kwitły róże, które panie przypinały do gorsów, i fasole oplątujące panów biegnących na romantyczne spotkania od strony lasu Rogacz, jest wytwórnia kostki brukowej. Wycięto wszystkie stare drzewa, po dworze nie ma nawet śladu. Bocian długo mieszkał na uschniętej akacji, nie lubi hałasu, i w końcu przeniósł się do Patkowa Pruskiego, gdzie na kominie, jedynej pozostałości po dworze, uwił sobie nowe gniazdo, w samotności lasów, stawów, leniwie płynącej rzeczki.

Na koniec jeszcze jedno wspomnienie i jeszcze jedno zdjęcie z Patkowa Pruskiego. Witold Majlert, mąż Haliny, wnuczki Tadeusza Kopcia, napisał:

Namówiliśmy w 1970 czy w 1971 roku Zbyszka Daszewskiego, aby pojechał z nami swoim samochodem do Patkowa, odwiedzić chrestną córkę Hali, Stasię Raczukową, z którą Hala utrzymuje korespondencję z okazji świąt. Przy okazji chcieliśmy również zobaczyć, czy dwór w Patkowie jeszcze istnieje i jak wygląda. Przyjęcie we wsi Patków było nadzwyczajnie serdeczne. Raczukowie ugościli swoją „panienkę”, czym tylko mogli, ale na wzmiankę, że chcemy również pojechać zobaczyć dwór, jakby zesmutnieli, mówiąc:

– A, lepiej tam nie jedźcie.

Myśmy jednak pojechali!

Już z trafieniem na miejsce było trochę kłopotu, bo mimo iż w okolicy znaleźliśmy przecież każde drzewo – to tych drzew już nie było, i nie wiadomo było, gdzie zaczyna się podjazd do domu. Nareszcie trafiliśmy.

Widok, jaki ukazał się naszym oczom, może spędzać sen z powiek. Z dawnego gazonu i podjazdu przed domem nie został ślad. Wielkie drzewa, które rosły koło domu i w ogrodzie, gdzieś zniknęły. Zniknęła również kolumnada ganku.

Dom niby stał, pokryty z lewej strony słomą, a z drugiej zbutwiałymi gontami. Drzwi wejściowych nie było, nie było drzwi w środku domu, nie było również futryn i podłóg.

Weszliśmy do przedpokoju, potem do dawnego salonu. Rozpoznałem na prawo miejsce, w którym kiedyś na ścianie wisiało lustro z marmurową konsolą, przed którą oświadczałem się o Halę. Ale przecież tam już nic nie było!

Zrobiło mi się jakoś niewyraźnie. Postąłem chwilę w tym miejscu, usiłując wskrzesić dawne czasy – ale nic z tego. Dom był opuszczony, zrujnowany, pozabawiony wszystkiego, co było kiedyś jego urokiem. Stojący trup, szczerzący oczodoły okien bez futryn.

Takie były nieublagane prawa i takie rozprawianie się nowych właścicieli z dawną posiadłością.

A sama Halina Kopeć tak wspomina:

Dawne kontakty towarzyskie prawie nie istnieją, część znajomych i sąsiadów już nie żyje. Brak sił i chęci do podtrzymywania dawnych znajomości i przemożna chęć, aby na wszystko, co było, a czego już nie ma, spuścić zastonę i nie pamiętać o wszystkich doznanych krzywdach.

Basia z Podlasia, czyli Barbara Wachowicz, autorka *Ogrodu młodości*, była wielokrotnie w Łysowie, Niemojkach, Patkowie, zbierając materiały do swojej książki. Opublikowała wzruszające w swej wymowie zdjęcie z okresu kilka lat późniejszego i podpis:

– A tyle – komin i bocianie gniazdo – zostało się po dworze w Patkowie Pruskim na Podlasiu, który także często gościł S. Żeromskiego.

Modrzewiowy dworek w Patkowie Francuskim-Józefowie został w latach siedemdziesiątych rozebrany przez nowych właścicieli na opał, a na jego miejscu rośnie ogromny przemysłowy sad. Została aleja wysadzana wiekowymi kasztanami, ocalało kilka drzew z przydworskiego parku i wielki spichlerz z czerwonej cegły przystosowany do zamieszkania.

Gdy kilka lat temu niemojskiej szkole nadawano imię Stefana Żeromskiego, udostępniono zwiedzającym liczne eksponaty z Izby Pamięci. Żeby było jeszcze bogaciej, poproszono dzieci o przyniesienie z domów – wypożyczenie – zabytkowych przedmiotów. Oj, zdziwiliby się miejscowi obywatele ziemscy, świeć panie nad ich duszami, gdyby ujrzeli rozproszone po okolicy, a teraz zgromadzone w jednym miejscu swoje zastawy stołowe, błyszczące bogactwem rodowe precjoza.

Jakże refleksyjny i gorzki w swej wymowie jest fragment wspomnień napisany przez Monikę Żeromską, córkę znakomitego pisarza, po odczycie w Siedlcach w 1969 roku:

Pojechałam też tego lata pierwszy raz do tych mamy ukochanych Siedlec. Zaprosili mnie tam na odczyt, przystali samochód [...]. Ponieważ całe przedpołudnie miałam wolne, a samochód do dyspozycji, więc poprosiłam jakąś zadaną działaczkę oświatową, żeby można było objechać trochę to Podlasie, tak związane z mamą i z ojcem. Chciałam zobaczyć dwory, w których on był na kondycji jako młody chłopak, tę sławną mamy Sekułę. Pamiętam nazwy miejsc – trzy folwarki – Patków Lacki, Ruski i Pruski, majątek Łysów, a gdzieś niedaleko niego las Rogacz – który potem odnalazł się w „Przedwiośniu”. [...] Miał tam być jakiś uroczy las czy gaj orzechów włoskich, jakaś rzeczka, a nad nią mostek pełen rodzinnych wspomnień, dwór ukochany i inne wdzięki, którymi nasze matki, matki naszego już

miastowego pokolenia, nabijały nam w dzieciństwie głowy. Odnalazłyśmy te miejsca [...]. Na wzgórzach, gdzieś na dole, świeci martwo zarosłe oko stawu, stoi dwór w Łysowie. Zjawia, fantom dworu. Resztki murów otaczają zapadłe do piwnic belki, między nimi połyskuje szkło, potłuczone kafle pieców, rosną pokrzywy, stoi woda deszczowa... Ta ruina, nadal jeszcze szeroko rozsiadła, obejmuje harmonijnie szczyt pagórka, wrasta w jego stoki czy wyrasta z nich. Dookoła widmo parku... Nie ma nawet kogo zapytać, gdzie, w której stronie jest las Rogacz, o ile w ogóle istnieje. Powrót z tej wycieczki w smutku i uczuciu krzywdy nie do naprawienia. Jakie przekłete dzieło zostało tu dokonane, kto to tak postanowił i dokładnie postanowienie wykonał, wypędził ludzi, wypędził ducha miejsc, zmienił tę ogromną krainę w smutną pustkę?... Po południu odczyt jak odczyt, ciągle z tym bezradnym żalem w sercu...

Cztery podlaskie dworki, w których gościł Żeromski, spotkał ten sam los. Śladami *Ogrodu młodości*, a może szlakiem marnotrawstwa, może taki powinien być tytuł?

PAWEŁ MICNAS

NOWE SZATY

Sama babcia została. W dni jej ostatnie sama jak palec. Położywszy się w łóżku, pod satynową kołdrą, obserwowała pstrokaty festiwal życia i rozkoszy.

Nic nowego pod słońcem, ale też nic pewnego. Na starość wyrzucili ją z mieszkania. Schorowaną babulinkę, której dobytek mieścił się w jednej walizce, a emerytury państwowej nie uzupełniały żadne oszczędności. A i tak miała szczęście, bo lekarz nie przepisywał jej drogich lekarstw, więc co sobotę mogła sobie pozwolić na zakup całej siatki cukierków. Tymi karmelkami, krówkami ciągutkami, kukułkami, kolorowymi landrynkami i słodkimi truflami zajadała się codziennie, starannie wybierając moment dnia na ich spożycie (dwa po śniadaniu, trzy na podwieczorek). To był rytuał, jedna z ostatnich rzeczy, które sprawiały jej radość. Szelest cynfolii i papierków sprawiał, że jej niedowidzące oczy stawały się duże jak oczy dziecka.

Właściwie to nie wyrzucili jej z mieszkania, ale skłonili do jego opuszczenia. Chytre lisy, szumowiny kapitalistycznego półświatka, świnię dzikiego rynku – jak mówił jej sąsiad, bardzo mądry chłopak, młody społecznik i wrażliwiec – to te pazerne gnidy imperialistycznego zepsucia nasłały na kamienicę czyścicieli. Babulinka jednak inaczej to sobie tłumaczyła. Wychowała się na wsi, by dopiero później zamieszkać w mieście. Wiedziała, że dał Pan i zabrał Pan i że życie zawsze potrafi zaskoczyć, a wyjść zwycięsko z wojny na tym świecie

oznacza okazać wzdargę dla rzeczy materialnych i ich kuszącego powabu.

Gdy więc nasyłano na jej mieszkanie kolejne plagi szczurów, urządzano na klatce schodowej głośne imprezy trwające cały tydzień, a w końcu ktoś powążył się wybić okno w jej lokum, ona spokojnie spakowała dobytek do walizki, włożyła do niej krucyfiks i święte obrazki, po czym wyprowadziła się, wiedząc, że każda wyprowadzka na tym świecie przygotowuje ludzi do wyprowadzki z tego świata.

Stanęła na ulicy i nie wiedziała, gdzie iść. Nie chciała niepokoić swoich dzieci ani tym bardziej wnuków, którzy dopiero rozpoczynali życie w nowo założonych rodzinach. Wsiadła w tramwaj, później w drugi, objechała tak całe miasto. Odwiedziła dzielnice dobrze znane, ale także zajechała w te rejony, które wybudowano niedawno, dwadzieścia, góra trzydzieści lat temu. Wiele było osiedli pod ochroną, w których chowały się nie wiadomo jak ważne osobistości, wiele widziała również parkingów, na których cumowała niezliczona ilość samochodów. Najwięcej jednak w jej ukochanym mieście było wielkich, kolosalnych, gargantuicznych nieraz budowli, mieniących się blaskiem kolorowych lamp i olbrzymich neonów. Nigdy nie zachodziła do centrów handlowych. Bo i po co. Miała swój rynecek, a na nim ulubionego sprzedawcę, który oferował najświeższe warzywa i owoce.

Teraz jednak, wiedziona ciekawością, a może trochę z przekory do własnych przyzwyczajęń, udała się do jednej z galerii. Od razu po wejściu do środka poczuła się, jakby weszła do jednej z kolorowych reklam, których tak dużo emitowali w telewizji w przerwach między serialami. Feerie nieskrępowanych żadną skromnością barw, krzykliwe zdjęcia rozebranych kobiet, szum ludzki i odgłos megafonu przypominającego o gratisach. Przeżegnała się i rozpoczęła przechadzkę wśród wystaw, oglądając mimowolnie zawieszane na manekinach kolekcje i odczytując ceny kolejnych produktów.

Gdy trochę się zmęczyła i chciała odsapnąć, weszła do sklepu z meblami. Tam usiadła na jednym krześle, które okazało się ciut za

twarde. Przesiadła się więc na fotel, ale ten był tak miękki, że zapadła się w przepastnym obiciu i miała problem, żeby wstać. W końcu znalazła niewielki, różowy fotel, który na oko pasował idealnie. Usiadła na nim i z ulgą przekonała się, że jest w sam raz.

Wyciągnęła z torebki paczkę cukierków i zaczęła zajadać. Wokół chodzili ludzie, oglądali meble, sprawdzali ceny. Niektórzy pytali o rady ekspedientów, a niektórzy kryli się przed nimi za szafami. Raz nawet jakaś młoda kobieta podeszła do babci, ostentacyjnie krążyła w tę i w tę, pochrząkiwała, siląc się, by chrząknięcia były znaczące. W końcu, zrezygnowana, sięgnęła do fotela i spojrzała na przymocowaną do oparcia metkę. Babcia nie spuszczała z niej wzroku, rozkoszując się musującym na języku zozolem.

Potem kontynuowała przechadzkę po galerii, szukając miejsca dla siebie. Odwiedziła supermarket, gdzie kupiła pieczywo na kolację, była w sklepach odzieżowych, gdzie nic nie przymierzała, a tylko wyobrażała sobie, jak by wyglądała w tych kwiecistych sukienkach czy kolorowych bluzach z kapturem. Sprawdziła także repertuar kina, ale przekonawszy się, że nie gra żaden z jej ulubionych aktorów, nie zdecydowała się na zakup biletu. A na koniec, choć trudno w to uwierzyć, zajrzała nawet do księgarni, w której nie było książek.

Dzień chylił się ku końcowi. Świadczyła o tym coraz mniejsza liczba ludzi przechadzających się po galerii. Babcia nie miała gdzie przenocować, zdecydowała więc, że zostanie tu, w jednym ze sklepów. Wystarczy, że dobrze się skryje, a nikt jej nie wygoni. Zaczęła więc szukać kryjówki, wszędzie jednak napotykała baczny wzrok kasjerów i ekspedientek. Raz nawet weszła pod duże biurko w sklepie z meblami i myślała, że jej się udało. Poczowała jednak na sobie wzrok. Odwróciła się i ujrzała wpatrującego się w nią ochroniarza. Popukała więc w blat, sprawdziła cenę i ogólnie udała zainteresowanie przedmiotem, by po chwili oddalić się jakby nigdy nic, a swoją miną i pewnością siebie pokazując wszem i wobec, że starsza pani chowająca się pod biurkiem to rzecz najzwyczajniejsza w świecie.

Zrezygnowana i pewna, że będzie zmuszona spędzić noc na dworze lub dworcu, skierowała się ku wyjściu z galerii. Pracownicy myli okna, spuszczaali rolety antywłamaniowe. W tę i we w tę krążyła sprzątaczką polerująca podłogę. Jeden z pracowników poprawiał poduszki i pościel na łóżku wystawionym w środku dużego holu. Na ten widok babcia się zatrzymała. Łóżko stało tu zupełnie puste, kuszące miękkim i głębokim snem. Reklamowało jeden ze sklepów z akcesoriami do wystroju wnętrz. Młody człowiek odsunął się na kilka kroków, spojrział na przygotowaną dekorację i odszedł w swoją stronę.

Babcia rozejrzała się na boki. Usłyszała, jak mocno bije jej serce. Tak sztubackiego pomysłu nie miała od lat! Podeszła do łóżka, zdjęła szybko buty. Płaszcz przewiesiła przez wezglowie. Wsunęła się pod pościel. Przykryła się po uszy i zastygła w bezruchu, by nikt nie zauważył jej wybryku. Schowane pod kołdrą usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu – a to dowcip! Psikus i krotochwilna finta! Nie robiła sobie nadziei na to, że uda się jej zostać na noc w galerii. Do łóżka wskoczyła trochę dla żartu, a trochę z bezradności. Tymczasem mijały minuty, a później kwadranse i nikt jej nie zauważał. Lub zauważyć nie chciał. Wszyscy pracownicy pragnęli wrócić jak najszybciej do domu, a wyklócanie się ze starszą panią sprawiłoby tylko, że zostaliby dłużej w pracy. Przynajmniej tak to sobie wyjaśniała.

Gasły światła i neony. Paliły się już tylko pojedyncze jarzeniówki, ale i one zgasły, gdy uciął krok ochroniarza robiącego ostatni obchód tego dnia. Zapadła ciemność i tylko przez przeszklony sufit przedostawało się do środka trochę tego nocnego, chmurnastego światła o czerwonym zabarwieniu, które chyba nad każdym miastem jest takie samo. Babcia zastanawiała się, czy jeśli się poruszy, to włączy się alarm. Nieśmiało pokręciła głową w jedną i drugą stronę. Później wyjęła powoli rękę spod kołdry, a na koniec odwróciła się na bok. Cisza. Nie wiedziała, czy oznacza to, że może wstać, ale wolała nie próbować. Zresztą zmęczenie i tak zaciążyło na jej powiekach, więc zamknęła

oczy i zasnęła z tym samym uśmiechem na twarzy, który musiał gościć na twarzy Juliusza Cezara po ważnej bitwie.

Obudziła się w środku nocy. Nie otworzyła oczu. Nie chciała tego robić. Gdyby otworzyła, wiedziałaby na pewno, że nie ma z nią teraz zmarłego przed pięciu laty Marka, jej męża. Zauważyłaby też, że żadne z dzieci ani żaden z wnuków nie siedzi na krawędzi łóżka. Wolała mieć oczy zamknięte. Po chwili zasnęła ponownie. Sen jako jedyny prowadził ją ku najlepszym chwilom życia, co do których nie miała pewności, czy kiedykolwiek rzeczywiście się wydarzyły.

Z samego rana, gdy w galerii pojawili się już pierwsi pracownicy, usiadła na łóżku i zjadła nieco chleba, który kupiła poprzedniego dnia. Później wstała, ale szybko okazało się, że sił ma tylko tyle, by dojść do toalety i z powrotem. Wszystkie przemierzone poprzedniego dnia kilometry dały o sobie znać. Bolały ją nogi i plecy. Ledwo potrafiła ustać, więc znowu położyła się w łóżku na wystawie.

Dłużej nie mogła pozostać niezauważona. Podszedł do niej jeden z pracowników galerii. Podumał, ale nie odezwał się. Znikł, by zaraz potem wrócić z kilkoma innymi. Mężczyźni i kobiety stali wokół łóżka, babcia przeskakiwała wzrokiem z twarzy na twarz. Radzili, debatowali. Nie wiedzieli, co zrobić. Od zaskoczenia (bo jak to tak – na wystawie? ze snem swoim tak publicznie się obnosić?), poprzez głos sumienia (ale nie każemy jej pójść, chodzić nie może, trzeba okazać miłosierdzie) przeszli w końcu w swoich rozmowach do ustalenia planu działania. Gdyby nie byli zwykłymi pracownikami galerii, ale jej administratorami, pewnie użyliby pojęcia „projekt modernizacyjny”.

Wzięli szminek z promocji i umalowali babulince usta. Ucharakteryzowali policzki, mocniej zaznaczyli brwi. Zatrudnili fryzjerkę, żeby zrobiła farbowanie włosów. Pozbyli się jej ulubionego, znoszonego płaszcza i ubrali w nowiutki sweterek. Nie protestowała. Nawet podobało jej się to wszystko. Kilka razy zmienili pościel, nie mogąc zdecydować się, który kolor będzie najlepszy. Obok łóżka postawili

nowiutką donicę z kwiatem, a także manekina ubranego w drogi, czarny garnitur, by babcia tak samotnie nie eksponowała niczego.

Przez galerię przewijało się coraz więcej ludzi. Niektórzy przechodzili obok, nie obrzuciwszy babci spojrzeniem, inni przeciwnie, zatrzymywali się, dziwili, a nawet robili zdjęcia. Ona zaś przypatrywała się im, a co poniektórym odpowiadała uśmiechem na uśmiech. Nie mogła zrozumieć, skąd mają tyle czasu, żeby kręcić się po sklepach w porze pracy. A może dzisiaj ludzie już nie pracują? Czy przegapiła moment, w którym pracowanie zostało zastąpione przez kupowanie? A może ci, których widziała, zostali zatrudnieni, żeby kupować?

Mijały kwadranse i godziny. Coraz więcej osób podchodziło. Niektórzy robili zdjęcia, a jeden chłopczyk o paskudnej, zaślinionej twarzy nakręcił babcię swoim aparatem komórkowym. Tyle ludzi, ale nikt nie wszczął z nią rozmowy, nikt o nic nie zapytał. A szkoda, bo ona nawet o pogodzie chętnie by porozmawiała. Babcię na wystawie i ludzi wokół oddzielała jakaś niewidoczna bariera. Właściwie nie była to nowość. O jej istnieniu wiedziała już wcześniej, teraz ta granica stała się tylko bardziej namacalna.

Już pogodziła się z myślą, że nie wstanie z tego łóżka. Gdy życie obdzierało ją po kolei ze wszystkich nadziei, modliła się już tylko o to, żeby móc we własnym mieszkaniu pożegnać się z tym światem. W najskrytszych marzeniach zaś – których się wstydziła, jako że nigdy nikomu nie chciała się narzucać ani dla nikogo być ciężarem – wyobrażała sobie, jak w jej ostatniej godzinie sypialnia zapełnia się dziećmi, wnukami, a nawet prawnukami. Ona, przyjąwszy już ostatnie sakramenty, patrzy na nich, ścisza krucyfiks w dłoniach i dzieli się słowami pełnymi nadziei. Nie wie, skąd się w niej biorą, ale wypowiadając je, czuje, jak całą rodzinę spleta więź mocniejsza niż ciemność.

A może oni tu są? Może ktoś z nich spaceruje w tej chwili po galerii i zaraz znajdzie ją tutaj, leżącą na wystawie? Podejdzie zdziwiony i, rozpoznawszy babcię, rozgoni całe zebrane wokół łóżka towa-

rzystwo. Pojadą razem do jego mieszkania, gdzie przygotuje jej łóżko z pachnącą po domowemu pościelą. A później będą długie rozmowy i ciągnące się po północ picie herbaty w koszyczkach. Choć oni już nie piją herbaty w koszyczkach. Mogłaby to być w takim razie jakakolwiek inna szklanka, byle herbata nie była za mocna i posłodzona tylko jedną, płaską łyżeczką cukru.

Gdy zamknęła oczy, widziała, że jej rodzina rzeczywiście tu przyszła. Stanęli wokół i nawet nie czuć było, że czatują tu z obowiązku, ale wydawało się oczywiste, że przyszli, by usłyszeć, jak babcia dzieli się z nimi mądrością. To spotkanie, na które czekała całe życie. Oczywiście prócz poważnych rozmów, musi się podzielić z wnuczkami swoimi przepisami. Jej kulinarny testament to sprawa nie mniej ważna niż wszystkie pozostałe! Nie mogła przecież zabrać do grobu tylu lat doświadczeń kuchennych, ktoś musiał przejąć po niej tę wiedzę. Spędziła całe dekady na walkach z drożdżami. Długie lata zajęło jej wypracowanie scholastycznego systemu, w którym różne rodzaje mąki, ziaren i aromatów znajdowały swoje miejsce w gastronomicznym uniwersum. Dobrze, że są córki i wnuczki, które wszystkie jej sekrety przekażą kolejnym pokoleniom.

O, to ty, Piotrusiu. Wnuk też się znalazł, a i jemu miała do podarowania niemało. Wszystkie książki, które zebrała przez całe życie, niech weźmie, niech mu służy, to nie jest jakiś bogaty księgozbiór, ale niedobrze przecież oddawać swoje woluminy w obce ręce. Niech zostaną w rodzinie. Miała jeszcze kilka innych rzeczy do wydania. Przecież jej przyjaciółka na pewno ucieszy się z telewizora. Dzieci nie, one mają nowoczesny sprzęt. Ale ona z pewnością weźmie. Niech jej służy. A meble? Kto będzie chciał wziąć jej meble? Może rozdać każdemu po jednym? W ten sposób rozparcelowałaby swoją zamkniętą w przedmiotach przeszłość. Ten stół, tak, on jest od naszej babci. Synku, uważaj, nie stawiaj kubeczka na komodzie, to po babci. Ostatnio odnowiliśmy regał od babci, cieszę się, że go dostaliśmy.

Byli tu wszyscy. Otoczyli ciasnym kręgiem łóżko. Ich uśmiechy promieniowały ciepłem. Wyciągnęła rękę spod kołdry i poczuła delikatną, gładką dłoń manekina. To jej wnuk stał obok. Wszystko będzie dobrze.

ANDRZEJ KOZICKI

ANIOŁY, ANIOŁY, ANIOŁY

Las ciasno opętłał się wokół Grądu, wdzierał w opłotki, ślepił po podwórkach i oknach chałup. Z Kruczej Grąby, skalnego ostańca nad Czarnym Mszarem, dałoby się dojrzeć coś więcej ponad patynową zieloność Lasu, płowe plamy polan, wypiaszczone przesieki. Tyle że nawet najodważniejsi, ze strachu przed Mamunami i Błądzoniami, bali się zapuszczać w tamte okolice. Poza tym Grądzcy bez reszty wrosli w Las, stali się jego nieodłącznym elementem i niespecjalnie byli ciekawi innych światów. Las ich karmił, dawał drewno na chałupy, schronienie w wojenny czas. Czegóż chcieć więcej?

Margła zmamił bielszy chlebuś, pognał go za Las. I na dobre mu to nie wyszło. Wrócił w złachanej kapocie, z przetrąconą ręką, wzrokiem sposepniałym. Musiano mu tam zadać złego czaru, pokrzywdzić nie tylko na ciele, ale i duszy, bo nic tylko bredził o jakichś miastach prawie tak wielkich jak Las.

– A kościoły tam, domy, sięgają nieba.

Grądzcy kręcili na to głowami, żegnali się trwoźnie.

– Już raz ludzie w grzesznej chełpliwości budowali babilońską wieżę. Jednak Bóg w porę pomieszał im języki.

– Człowiek już tak ma, że niepomny przestroąg, mamiony ufudami wznosi w coraz to nowe babilońskie wieże.

Jasiek, wsłuchany w Margłowe opowieści, dopytywał dziadka:

– To jest coś za Lasem?... Miasta większe od naszego Lasu?

– Margiel pleciuch bajdurzy, co ślina mu przyniesie – zaperzył się Łoboda. – Tam gdzie kończy się Las, wyrasta kolejny. I tak do samego nieba. Ono samo też jest Zielonością.

Jasiek nie ustępował.

– A widział kiedy dziadek zielone niebo?

– Mówię zielone to zielone... naucz się patrzeć – gderliwie fuknął stary, kłując paluchem w niebo.

Jasiek zadarł głowę.

Akurat wiatr miękko zachybotał koronami sosen i te migotliwie zafalowały, zaciągnęły niebo zielonością. Czochrane podmuchami sosnowe wiechy zlały się z niebem.

Nad głową Jaśka przyżegłował ptak o perłowozielono połyskujących skrzydłach.

– Ptak? Chmura? Anioł, Anioł! – szepnął zauroczony chłopak. – Anioły też są zielone!

I tak mu już zostało.

Czemu leciał tak nisko ten anioł, ten duch,

[...]

Wiatr rozgarniał mu skrzydeł śnieżący się puch¹.

– Odpłynął poza Las. Do nieba?

– Gdybym był ptakiem!

Janek zamiast, jak inne grądzkie wyrostki, łobuzować, uganiać się za dziewczuchami, nic tylko przesiadywał u Margla, słuchając jego opowieści, kartkując atlasy, książki o pożółkłych, postrzępionych stronach. Albo, co gorsza, wgapiiony w niebo klecił wierszyki o zielonych aniołach.

¹ Bolesław Leśmian, *Anioł*.

– Otumanił Margiel chłopaka – gorszyli się Grądcy.

Kto mi związał ręce

stawiam znaki na drodze

ten oznacza ptaka

ten niebo².

– Drugi raz już tam nie odlecę – mówił Margiel zduszonym głosem, wodząc ręką gdzieś nad Lasem. – Las mnie, cały Grąd, niczym pająk ubezwłasnowolnia jadem, wysącza pragnienie bycia wolnym.

Margiel zamyslił się.

– Mają rację ludzie, że zadano mi uroku. Tylko że to Las mi go zadał, przywłókł tu z powrotem. Nie, nie mnie. Moje bezduszne truchło.

Na moment oczy Margla rozjarzyły się.

– Chciałbym jeszcze raz jedyny wspiąć się na Kruczą, dojrzeć to, co jest za Lasem.

Twarz wykrzywiła mu się w bolesnym tiku. Mimowolnie potarł kciukiem oko.

– Niczego więcej od życia nie oczekuję.

W tydzień później znaleziono go martwego u podnóża Kruczej.

Jan spakował podarowany mu przez Margla sfatygowany marynarski worek i przed świtem wymknął się z domu. Zdający się nie mieć krańca przepastny zielony matecznik napawał go lękiem.

– Jeszcze mogę zawrócić.

Janem na wspomnienie dziadkowych bajań o Błądzoniach i Mamonach wstrząsnął dreszcz.

– I do końca życia żałować, że nie dowiedziałem się, co jest za Lasem?

² Tadeusz Różewicz, *Kto mi związał ręce*.

*Aniele! pójdę za tobą,
matkę i ojca zostawię³.*

Przedzieranie się przez skotłowany olsz, oczerety rojące się półcieniami, szmerami i pluskami do cna go znużyło. Zaczął się bać, że straciwszy poczucie czasu i kierunku, krąży wokół jakiejś rozrosłej olchowej kępy. Zrezygnowany bezwiednym ruchem rozgarnął krzaki.

Z wrażenia aż otworzył usta.

Przed nim aż po horyzont wiła się krecha drogi, a na jej końcu, niczym magnetyzujące węzowe ślepie, jarzyło się miasto.

– Margiel nie kłamał. Ono jest do samego nieba!

Jana otumaniała kakofonia przekrzykującego się, rwącego niepowstrzymaną, wezbraną rzeką tłumy. Powarkiwały, pluły spalinami samochody. Z metalicznym zgrzytem przetaczały się tramwaje.

– Nie płacz się, wsioku! – warknął mężczyzna i, upychając gazetę do kieszeni, wskoczył do autobusu, który w tym momencie podjechał na przystanek.

Wokół kłębił się przepoczwarzony w amorficzną masę tłum. Jan rozpaczliwie usiłował łowić z niego pojedyncze twarze.

Zbolała kobieta w czerni szła, ocierając łzy. Jan uśmiechnął się współczująco. Prawie się o niego otarłszy, kobieta przeszła, nie podnosząc wzroku w białego w chodnik.

Pomiędzy parę pięćdziesięciolatek wdarło się paru wyrostków. Wytrącili kobiecie torebkę, szyderczo powraskiwali. Mężczyzna trzasnął na odlew najbliższego chuligana i ten padł na chodnik. Pozostali momentalnie się rozpierzchli. Mężczyzna troskliwie objął partnerkę i oboje, tuląc się, poszli dalej.

– Bym ci, łobuzie, jeszcze dokopał. Tyle że potem musiałbym pucować buty – rzucił kostyczny staruszek w szarym paltocie. Ostentacyjnie splunął na leżącego i niespiesznie potruczał dalej.

³ Teofil Lenartowicz, *Za aniołem*.

Jan zakręcił się bezradnie... Uniósł wzrok...

Zdając się ledwie dotykać ziemi, kroczyła dziewczyna w zielonkawej sukience. Rude włosy, rozwiewane przez wiatr, grały w kolory ze słońcem. Im bardziej Jan się w nie wpatrywał, tym bardziej zdawały mu się one zieleńsze.

Falująca wiatrem, na podobieństwo skrzydeł, sukienka używała im kolorów.

Dziewczyna skręciła w boczną uliczkę.

Jan chciał za nią pobiec, ale wpadł na zasapanego, spoconego grubasa. Chwilę motał się ze zwisającą z ramienia grubasa torbą. Kiedy się z niej wreszcie wyplątał, ruda już znikła.

– Odfrunęła – pomyślał Jan.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak zawiedziony i beznadziejnie samotny.

W zasnuwających hałą wyziewach przepalonego oleju i tłustawego kurzu, wyciu maszyn, codziennej monotonii „przyłóż, wciśnij, dokręć” Janowi zatracaly się dni, tygodnie, miesiące. A wraz z nimi Grąd, Las. I zielone Anioły.

W niedzielę Jan z obskurnej noclegowni uciekał na przedmieście, godzinami krążył brukowanymi zaułkami, uliczkami z domkami przycupniętymi w gęstwinie bzów i jaśminów. Zachłannie sycił się ich kwietnością, zapachem wilgotnej ziemi.

Ludzie tu, mijając się, pozdrawiali ciepłym Dzień Doberek, Rączki Całuję.

Przed zapyziałym sklepikiem Jan natykał się na zawsze dobrze wczorajszą trójkę. Sami, nie całkiem jeszcze dopici, zachęcającym gestem wyciągali w stronę Jana Turonia napój owocowy mocno alkoholizowany. Kiedy Jan odmawiał, w przeprasającym geście rozkładali ręce:

– Przymusu nie ma. My szczerze i życzliwie chłopaki, zdrówko szanownego pana wypijem. Ot tak profilaktycznie.

Środkiem jezdni dystyngowanie maszerowały gęsi, z ostentacyjnym ociąganiem ustępując nadjeżdżającym autom. Czarny kot zeskaکیwał z pozieleniałego płotu, przebiegał przed Janem. Jan nie brał mu tego za złe, nie odpluwał przez ramię na odczarowanie.

Jan lubił przystawać przed drewnianą kapliczką. Z tego wpatrywania się w poczerniałą figurę Frasośliwego ułożył mu się piękny wiersz.

Tyle, zaraz potem słowa rozsypały się, pogubiły.

Jan nie potrafił już pisać wierszy.

Wlókł się stłamszony łomotliwym łoskotem ulicy. Potrąciwszy kogoś, niechętnie podniósł wzrok.

Rozeźlona dziewczyna rozcierała łokieć. Wiatr rozwiewał jej włosy, falował niczym koronami sosen.

– Odfrunie! Nie wolno jej odfrunąć!

*Dziewczynko, która fruwasz,
na ptaki rozmnożona.*

[...] *Kim jesteś?*

Obłok snu purpurowy.

[...]

ptaku białego pyłu⁴.

Jan zaczął niezbornie pleść coś o powietrzu pełnym aniołów, ich eterycznym trzepocie.

Dziewczyna zachichotała kpiąco:

– Zabawny jesteś. Gdzieś się taki uchował?

⁴ Krzysztof Kamil Baczyński, *Promienie*.

– W Grądzie, Lesie niezmiernym – odbłąknął zmieszany Jan.

– Leśny chłopaczek! Elfik!

Na dźwięk syreny Jan wyłączał maszynę, odkładał narzędzia już bez tej obojętniejszej beznadziei katorżnika, któremu mordęgę odpuszczono jedynie do najbliższego poranka.

Za bramą czekała Inka, wróżka, która odczarowała to, co здавало się bezpowrotnie przepadłe – Las, jego leniwą żywicość, ptasi rozhovor i polatujące nad nim Anioły o skrzydłach w kolorze włosów Inki.

Miasto zaczęło doskwierać Janowi, całkiem już nie do zdzierzenia. Któregoś dnia wydusił więc nieśmiało:

– Wszystko mnie tu męczy, nic nie cieszy. Wróciłbym... moglibyśmy razem... wrócić do Grądu.

Twarz Inki stężała w urągłym półśmieszku. Ale zaraz na powrót stała się nieszczerze landrynkowa. Jan był zbyt zaafekowany, aby dostrzec tę mimikrę. Ciężko westchnął i desperackim ruchem wyciągnął ze skrytki za szafką zwitek banknotów.

– Wierzyłem, że któregoś dnia pozwolą mi powędrować do krańca najdalszego lasu, zielonego nieba z zielonymi aniołami. Ale ja już spotkałem swojego Anioła.

Cisnął na stół zwitek.

W oczach Inki zaigrał pożądliwy błysk. Natychmiast go jednak opanowała. Obdarzyła Jana najbardziej z kusicielskich uśmiechów. Ten wtulił się w dziewczynę z ufnością zagubionego psiaka.

Jana zbudziło niespokojne łomotanie serca. Inki nie było. Na stole zamiast pieniędzy leżała kartka:

Świetnie się bawiłam, ale twoja czereśniacka miłość stała się męcząca. Mam nadzieję, że więcej nie wdasz się w podobne miłosne faramuszkę. Taka lekcja życia. Bolesna i musi kosztować.

– To cię kurew obsmyczyła. Zapij to, inaczej nic tylko zwariować.
– Odleciał mój Biały Anioł. *Obłok snu purpurowy...*⁵ – bełkotał mocno już pijany Jan.

Nagle twarz mu zmętniała, wzrok zaszedł nieobecny bielmem.
Zerwał się.

– Pofrunę za moim Aniołem Jasnym!

Jednym susem wskoczył na parapet, przechylił się na zewnątrz.
W ostatniej chwili najbliższej siedzący zdążył ułapić Jana za łydkę. Trzasnęła szyba. Jan odłamkiem szkła chlastał się po rękach.

*Białofartuche nimbusy
odczynniają codzienną mszę tabletek i zastrzyków
sączą w moją duszę: nie czuj, nie kochaj
Mam dwadzieścia cztery lata,
Nikt nie prowadzi mnie na rzeź
Ale też nikt nie chce uratować...*

Jan stał przed szpitalem. Posłuszny nakazowi nie pamiętał domu, zapomniał Lasu. To była jego wypiska.

A Anioły?

Zielony pozostał w Grądzie?

Inka?

*Jak anioł spadły, leżący w piękności...*⁶

Sprawiała, że wszystko stało się mu nienawistne. Musi szukać nowego Anioła.

⁵ *Ibidem.*

⁶ Zygmunt Krasieński, *Jak anioł spadły, leżący w piękności...*

*Mysli moja, płyn z aniołem*⁷.

Koczował w starej szopie na skraju wioski. Siadywał na progu i godzinami wpatrywał się w niebo. Aż któregoś popołudnia nadleciał perłowozielony ptak wielki jak obłok.

*Aniołowie przylecieli
w porankową cichą porę*⁸.

Rzucił się do szalonego biegu, aby go dogonić.

– Pobiegł w stronę Oparzeliska. Hadry będą miały uciechę. Przygłup, ale szkoda – we wsi trochę żałowano przybłądy.

Czas jakiś potem, parę wiosek dalej, widziano oberwańca biegnącego po polach z rozpostartymi ramionami, jakby chciał wzbić się w powietrze.

Po pierwszych chłodach przybłąda gdzieś przepadł.

– Pewnie odleciał z żurawiami – pokpiwano.

Więcej już wólczeży nie widziano. A wiosną nikt już o nim nie pamiętał.

⁷ Cyprian Kamil Norwid, *Italiam! Italiam!*

⁸ Teofil Lenartowicz, *Złoty kubek*.

RÓŻA

Banasiak mieszkał sam. Był już starszym mężczyzną. Rodzina się rozsypała gdzieś daleko po świecie. Żona zmarła ponad dziesięć lat temu. Jego niewielki parterowy dom znajdował się przy wyjeździe z miasteczka. Można było mijać ten stary zniszczony budynek, idąc w kierunku cmentarza. Niemiłe otoczenie – pewnie niejednen by tak uznał, choć przecież obok tak znanego uzdrowiska.

Staruszek bardzo dbał o swój ogródek. Od wiosny do później jesieni niemal od świtu do nocy pracował. Plewił, zbierał plony, palił chwasty. Przez całe lato kwitły w ogrodzie róże, później astry i chryzantemy.

Banasiaka można było spotkać w małym sklepiku, gdzie robił od czasu do czasu zakupy. Na niedzielne msze nie przychodził regularnie. Kiedy już się zjawiał, siadał na swoim ulubionym miejscu, obok jednego z bocznych ołtarzy. Podczas kazania miał przymknięte oczy, jakby spał i niczego nie słuchał. Wychodził szybko i wracał do domu sam, z nikim nie rozmawiał, z nikim się nie żegnał, nie witał. Ludzie mówili o nim, że trochę zdziwaczał, że odludek.

Oni chodzili do drugiej klasy zawodówki. Sporo wagarowali. Według nich szkoła była głupia. Cały ten świat był głupi. Co będzie kiedyś? Marzyli, że kiedyś nic nie będą robić, będą tylko zgarniać kasę, jeździć super sprzętem. Znali się od przedszkola, wszędzie razem. Rudy nie lubił, gdy ktokolwiek mu coś nakazywał, bo dostawał furii.

Już w trzeciej klasie podstawówki powiedział wychowawczyni, żeby go pocałowała... Była afera, wzywali matkę, rozmowy na dywaniku u dyrektora. Potem ten rytuał stale się powtarzał. W końcu matka powiedziała, że nie będzie przychodzić, bo nie ma siły.

Zaczęły się wezwania, policja, sądy dla nieletnich. U Krzyska podobnie, tylko że on miał ojca. Ojciec czasem mu włwał. Matka się darła, żeby przestali, że dosyć. Nikt jej nie słuchał. Zawsze mawiał do Rudego, że mu zazdrości tego, że nie ma starego. Taki tatuśko jak mój to lepiej w ogóle go nie mieć – zwykł mawiać.

Banasiak – cóż mógł ich obchodzić. Przychodzili na jego posesję, bo tu był spokój. Gdy było ciepło, siedzieli w krzakach, które obrastały cały dom. Przynosili piwo, a Krzysiek oglądał gazety z autami. Opowiadał, które kiedyś kupi. Czasem grali na telefonie, dopóki się nie rozładował. Nieraz zrobili jakąś grandę, z nudów, ot tak dla zabicia czasu. Straszili przechodniów idących tędy na cmentarz. Jesienią, kiedy zaczynały się słoty, chowali się do starej szopy Banasiaka. Ten tu wcale nie przychodził. Ktoś powiedział, że kiedyś puszcza mu z dymem tę szopę i chałupę. Właściciel zachowywał się tak, jakby nie zwracał na chłopaków uwagi. Przychodzą, a to niech przychodzą – myślał. Co mi mogą zrobić? Ukraść to tu nic nie ukradną, a zabić mnie przecież nie zabiją. Chodzą jak te bezpańskie psy, bez opieki...

Zawsze podkradali mu jabłka. Rudy wspinał się po drzewie jak wiewiórka. Teraz już nadchodziło lato, zbliżał się koniec roku szkolnego. Zazwyczaj leżeli w trawie, patrzyli na obłoki sunące leniwie. Było gorąco, asfalt lepił się pod nogami. Ludzie kupowali lody. Wieczorami dudniła dyskoteka. Pary przechadzały się w parku. Powietrze stało w miejscu.

Od paru dni Banasiak chodził do ogrodu i podlewał kwitnącą o tej porze różę. Jej pąki w ciągu tych ostatnich ciepłych dni rozwinęły się nad podziw szybko. Starszy pan stał i patrzył na kwiaty godzinami. Różany krzew chyba go zaczarował. Nalewał wodę, uprzednio badając

jej temperaturę. Sprawdzał, czy nie jest przypadkiem za zimna. Przecież nic nie mogło zaszkodzić tym kwiatom. Banasiak, kiedy nikt go nie widział, rozmawiał z różą, przemawiał jak do bliskiej osoby.

– Wyrosłaś nie wiadomo kiedy, znów zakwitłaś na różowo. Będę się tobą zajmował. Nie opadaj mi do ziemi, nie łam się tylko, proszę – mówił jak do niesfornego dziecka.

Jedną opadającą gałąź wzmocnił podpórką. Kwiaty były ciężkie, krzak ugiął się pod nimi.

Chłopcy podpatrywali ze swej kryjówki. Śmiech ich brał, kiedy gadał z kwiatkiem.

– Całkiem mu odbiło, ty popatrz! – Rudy poszturchiwał Krzyska.

Przyszli tego dnia z samego rana, nie wybierali się wcale do szkoły. Rudy skołował jakieś piwko. Posiedzą, potem może pójdą do budy, zrobią drakę – planowali.

– Nudno się jakoś zrobiło – ziewnął Krzysiek – nie mogłem się dziś podnieść z wyra. Stary mnie wkurzył, tak jak zwykle, że szkoda gadać. Nie chciało mi się z nim siedzieć i tej jego mordy oglądać. A i w budzie nic się nie dzieje, chyba nas i tak już skreślili. Matka łąziła do szkoły, coś mi kwasiała wczoraj.

– I mnie wyciągnęłaś z samego rana – Rudy krzywił się trochę, bo trawa była jeszcze pokryta rosą i nogawki spodni miał całkiem mokre. Banasiak jeszcze kręcił się w ogródku. Przyniósł wodę, postawił ją w cieniu.

– Później cię jeszcze podleję, na razie dość ci wody – zwracał się do swej pupilki.

– Nie, nie wytrzymam, ale szajbus. – Rudy był ubawiony, całkiem mu przeszła złość na Krzycha, że go ściągnął tak rano. Banasiak zniknął w drzwiach domu. Po chwili się znów pojawił. Trzymał w ręku pokąźną torbę. Zamknął drzwi. Stał chwilę na schodach, potem powoli zszedł, ruszając w kierunku sklepu.

– Polaż gdzieś – stwierdził Rudy i ruszył w kierunku domu Banasiaka, gdy ten całkiem zniknął za zakrętem.

– Mój kwiatusek śliczny, jaki piękny. – Rudy stał nad krzakiem naśladując zachwyty Banasiaka.

– Daj spokój – Krzysiek go przywoływał z zarośli. Rudy jakby nie słyszał, przyczepił się do tego przeklętego kwiatka, płatki z róży stopniowo zaczęły opadać.

– Weź to zostaw – Krzysiek był zły na Rudego – przecież tym się można podrapać.

Płatki róży opadały na trawę coraz szybciej. Rudy zrywał je całymimi garściami z kwiatów.

– Co? Nie widzisz, jaki odlot!

I nagle Krzysiek podbiegł do Rudego, odepchnął go i zaczął kopać różę, gałęzie gięły się pod silnymi razami, chłopak wdeptywał je w ziemię.

Teraz Rudy go zaczął prosić, by przestał.

– No zostaw, daj spokój. Chodź, spadamy! – sytuacja stawała się poważna.

Krzysiek jakby go słyszał, twarz mu stężała, oczy miały gniewne spojrzenie. Nawet Rudy bał się go w takich chwilach.

– Stary chyba idzie, uciekajmy! – Rudy syknął ostrzegawczo. Uciekli w zarośla. Krzysiek cały zlany potem, blady, jakby zmęczony po ciężkiej pracy. Banasiak powoli zbliżał się do domu. Zanim wszedł na schody, zwrócił się w kierunku ogrodu. Odstawił torbę z zakupami. Widzieli, jak powoli podchodzi do krzaka róży, z którego zostały strzępy. Widzieli, jak starzec upadł na kolana, wstrząsało nim łkanie.

– Kto ci to zrobił, kto to zrobił? – pytał. Za chwilę zabrakło mu siły, by cokolwiek mówić. Siedział już nieporuszony nad tą kępką liści, różowych płatków, ziemi, trawy. Już nic nie widział, nic nie słyszał, już nic nie docierało do niego. Tamci siedzieli bez ruchu w zaroślach.

– Ty, zmywajmy się – Rudy szturchnął Krzyśka. Zaraz było słychać, jak zbiegali w dół do drogi. Nie oglądali się w kierunku domu Banasiaka.

EUGENIUSZ RYCHLICKI

KONTRASTY

Brak pracy i niedostatek to chleb powszedni na ziemskim uroczysku. Ten „żywiol” wciąż wędruje z jednego miejsca na drugie, a są kraje, skąd się nie rusza ani na krok i człowiek wobec niego wydaje się bezsilny. Takie perspektywy odnawiają się co pewien czas, także w miejscach dostatku, gdzie świadomość zasypia. Po wojnach zwykle wzrasta nadzieja, że teraz będzie lepiej... Mniej ludzi to brak rąk do pracy, roboty zatem starczy dla każdego, a nawet jest jej nadmiar. Po II wojnie pojawiły się więc nakazy pracy. To była nowość. Młodzież znów kierowano na front – na najważniejsze odcinki odnowy czegośkolwiek, tam gdzie występowały najpilniejsze potrzeby. Sterowanie kadrami w zależności od zapotrzebowania było nadzieją na rozwiązanie braków. Bezrobocie i umożliwienie pozostania dłużej na tym padole rozkoszy to sprzeczność, która nieustannie upomina przyzwolonych, a martwi zachłannych.

W zasadzie minęły już lata nadmiernego wylewania się na zewnątrz i co z tego wynikało? Zabrakło ciała do obrony dusz. Zmiana ustroju to zarazem wyczystka. Jakby usuwano żużel i popiół... Zostawmy aluzje bez konkluzji.

Seweryn Baryka opowiadał synowi o szklanych domach w ojczyźnie. Cezary uwierzył i wrócił do Polski, a wielu z obecnych wciąż pozostaje na obczyźnie, gdzie często się rozczarowuje. Obecnie imigranci masowo wybierają Europę.

Ewald ma sobie zwyczajny dom z cegły marglowej i nie narzeka. Takie domy budowali na ogół ubodzy wieśniacy. Cezary nie spotkał domów ze szklanych tafli, przeglądających się w sobie i wysyłających refleksy świetlne. Współcześnie jest więcej możliwości stawiania tego rodzaju klocków, ale one nie zatrzymują w sobie ciepła, i to jest problem, który ludzkość oziębła. Dom, o którym myśli Ewald, ten niezbyt ceniony, dla ludzi cieszących się każdym lokalem dającym wolność, powstał po wojnie. Początek był dziwny... W lesie na niewielkim wzgórzu w Kurzegrzędach stał inny biały dom z cegły marglowej, w którym mieszkała Katarzyna Pruska z rodziną. Trzysta metrów dalej współlistniał czworak dla rodzin pracujących w majątku Kurzegrzędy. Gdy dzieci poszły w świat, mąż zmarł, Katarzyna została sama jak pies i lew. Co z tego, że widziała lwa, jak on był w klatce. Nic z tego nie wynika. Widziała też psa, bo miała, i on jej nie ścigał, żeby ugryźć, a Ewald został pogryziony przez całkiem sympatyczne zwierzę przy ulicy 3 Maja i musiał brać bolesne zastrzyki. Pies oberwał, ale Ewald go nie pogryzł i chociaż był wściekły, to on nie musiał być szczepiony przeciwko Ewaldowi.

Czy w ten sposób grzechy mogą zostać odpuszczone? Nikt o to nie pyta. Ten dom, gdy Katarzyna Pruska przestała chodzić po lasach i polach i przepowiadać nieszczęścia, a także nieświadomie pogodę (gdy mieszkańcy okolicznych domów widzieli Katarzynę na polach, jak zbiera zioła i krzyczy, że Pan Bóg zrobi porządek na tym świecie i nie zostanie kamień na kamieniu, to ludzie mówili, że będzie deszcz, a gdy nie słyszeli Kasi, czekali na dobrą aurę), długo stał samotnie, już zapomniany, aż pewnego dnia razem z ojcem i sąsiadem Ewald miał robotę murarską – przystąpili do jego rozbiórki – całe i połówki wyczyszczonych z zaprawy cegieł ustawiali w pryzmy, by później mogły posłużyć do wykonania następnego budynku, tym razem chlewa. To była już kolejna praca fizyczna Ewalda.

Początek lat pięćdziesiątych XX wieku. Ustrój rzekomej sprawiedliwości społecznej już na ogół dobrze się zasiedlił i tylko nieliczni

desperaci dokonywali pojedynczych, już bez sensu, napadów i mordów na nowo powołanych stróżach porządku publicznego, walcząc o utopijną prawdziwą wolność, a zdarzało się, że złe czyny popełniali i na ludziach niesprzeciwiających się milicji, ani nienoszących w sobie żadnej winy.

Często zdanie przeciwne posiadali ludzie zdrowego rozsądku, którzy szczerze nienawidzili służb bezpieczeństwa i tych zakamufloowanych wschodnich przyjaciół, wrogich religii, w wielu przypadkach angażujących się w usuwanie ludzi o podejrzanym zamiarach i posądzanych o wrogość do nowych porządków. Ci prawi obywatele nie popierali także śmierci za służbę w nowym ustroju. W tym stanie porządku już nic się nie dało zrobić dla trudno wyobrażalnej całkowitej wolności i należało zamknąć gębę, czekać na lepsze czasy, gdy pojawi się jakaś inna okazja do pokazania swojego sprzeciwu. Ludzie byli spragnieni pokoju i poprawy warunków życia. Obiecywano im wiele, lecz także trud, a oni tak łatwo nie dali się nabierać, wierzyli jednak, że wiele zależy od nich samych. Należało robić coś więcej, niż tylko po prostu żyć. Marzyli o zapewnieniu dzieciom stabilnej przyszłości, przede wszystkim zatem o zapewnieniu pracy, której przed wojną było za mało, za to obfitowała nędza, i marzyli o mieszkaniu z prostym komfortem, aby nie trzeba było iść do wychodka za stodołę.

We wsi Jaskółki, położonej nieco z boku między Trzemesznem a Żninem, prawie w stu procentach pod strzechą, tylko paru gospodarzy miało maszyny rolnicze ułatwiające obróbkę ziemi i uprawę roślin, natomiast pozostali mieszkańcy w zdecydowanej większości orali pługami z napędem konnym, siali ręcznie zboże, kosili kosami, młócili cepami, pielili haczkami, wybierali ziemniaki motykami palczastymi, pędzili krowy do lasu na wypas, doili ręcznie krowy i kozy, odstawiali mleko do zlewni, karmili świnię, wieczorem zapalali lampy naftowe i jedli kolację, potem szli spać, a w niedzielę pieszo lub rowerem przemierzali się cztery kilometry do kościoła, obowiązkowo w czarnym

lub granatowym ubraniu, w białej koszuli pod krawatem i w czapce na głowie. Po zdjęciu nakryć głowy w kościele w niektóre niedziele nawet nie trzeba było zapalać świec, a mimo to było jasno, bo świeciły nieopalone łysiny. Kobiety też ubierały się w ciemne suknie i chusty na głowach.

Nieufnym wydawało się, że mimo dążeń i zamiarów tak już będzie zawsze. Na ogół jednak chłopci są uparci i nie zapomnieli o lepszej przyszłości. Każdy z nich miał swoje plany, i takie, że ich dzieci nie będą biednymi, zapomnianymi chłopami. Dużo mówiono o nowej gospodarce rolnej i uprzemysłowieniu kraju. Powstały pegeery i zaczęto tworzyć spółdzielnie produkcyjne. Państwowe gospodarstwa chłopów nie obchodziły, natomiast przekazywanie ziemi do wspólnego użytkowania wywoływało już sprzeciw. Nie chcieli, by każdy rządził każdym. Na tym tle powstawały więc spory i zaczęli bywać we wsi nie tylko agitatorzy, lecz także milicja. Druga przyczyna niechęci do władzy to obowiązkowe dostawy, z których trudno było się wywiązać. Kilku chłopów, posiadających większe gospodarstwa, poznało smak aresztu.

Gdy wojna się skończyła, Hieronim Górka przestał być parobkiem u niemieckiego bauera, miał już szesnaście lat. Do szkoły powszechnej, zaraz potem podstawowej, już nie poszedł, bo był za stary. Trzy skończone przedwojenne klasy powszechniaka uznał za wystarczające. Najpierw pracował w domu na małym skrawku ziemi, ale wkrótce poszukał innego zajęcia. Jesienią podjął pracę w cukrowni w Janikowie. Tam poznał kilku chłopaków w podobnym wieku. Oni mieli w głowie różne pomysły, także ten, by postarać się o broń i coś z nią zrobić...

Ewald Rusek, któremu urzędnik po wojnie zmienił nazwisko na Rusecki, bo tamto nie pasowało do powojennej sytuacji, był od Hieronima o cztery lata młodszy. Znali się, bo przecież pochodzili z jednej wsi. Ewaldowi momentami Hieronim imponował. Opowiadał mu o partyzantach, o tym, że ma pistolet, głęboko ukryty, że kiedyś

postrzelają sobie albo upolują sarnę, że jego ciotka Pelagia ze Żni-
na powiedziała mu, że ich rodzina pochodzi ze starego rodu Górków
z Wielenia nad Notecią. Ewald nawet mu uwierzył, bo Hirek opowia-
dał też, że Górkowie popierali w XVI wieku reformację i przyczyniali
się do tworzenia różnych odłamów reformacji i sekt religijnych. To
mogło być prawdopodobne, bo skąd by wiedział o Górkach z Wiele-
nia. Może więc pochodził z tych Górków...

Ewald z opóźnieniem, ale skończył szkołę podstawową i uczył
się w technikum rolniczym w Bielicach koło Mogilna. Chciał być
mechanizatorem rolnictwa i wreszcie poprawić warunki pracy na wsi.
Mechanizować rolnictwo, by chłopom pracowało się łatwiej. Już powsta-
wały ośrodki maszynowe i tam czekały miejsca pracy, fachowcy byli
poszukiwani. W tamtych latach, jak mówiliśmy, obowiązywały nakazy
pracy i Ewald został skierowany do ośrodka maszynowego w Kruko-
wie. Kończąc szkołę, myślał, że jest kimś. Technik to brzmiało dumnie.
Po wakacjach zgłosił się z dokumentami w biurze ośrodka. Starsza
pani przyjęła go nawet uprzejmie, ale gdy spotkał się z brygadzystą,
to powoli zaczął trzeźwieć. Maciej Słoma oprowadził go po terenie
ośrodka. Najpierw pokazał mu ciągnik na gąsienicach, który przetrwał
wojnę, a którym jego ojciec jeszcze w czasie okupacji ciągnął skibo-
wicz na polach majątku i orał, a potem to już szło... Jeden traktor na
stalowych kołach, dwie grabiarki do zgarniania siana i luzu zboża po
koszeniu, jedna kosiarka do trawy, dwie kosiarki do zboża, pięć kreme-
rów, czyli kultywatorów, dziesięć pługów, dwadzieścia kos, dwadzieścia
wideł dwu- i trójpalcowych, dwie młockarnie napędzane silnikami
diesla, dwa młynki, czyli wialnie, maneż, stajnia i cztery konie, stos
ręcznych grabi...

W jego wyobrażonym ośrodku były nowe traktory, żniwiarki
i nowoczesne młockarnie, maszyny do usuwania i rozrzucania obornika,
w ogóle nie było grabi i wideł. Był tak rozczarowany, że stracił ape-
tyt. A na drugi dzień Maciej zlecił mu naprawę pługa, na trzeci dzień

posłał go z kosą do nakoszenia trawy koniom... Tym razem powiedział mu: – Na wsi wszyscy robią wszystko. To ci się przyda.

W tym czasie, gdy Ewald chodził do szkoły, a po nauce rozpoczął pracę zawodową, Hieronim był już kimś innym.

Pewnego dnia wiosną 1951 roku, już po jesiennej wymianie pieniędzy w 1950, gdy za sto złotych otrzymywało się trzy złote, kiedy Ewald szykował papiery do technikum, we wsi przekazywano sobie wiadomość, że w Sokołowie jacyś bandyci na motorach okradli kasę w czasie skupu trzody chlewnej. Było ich trzech, zamaskowanych i z bronią w ręku. Nikomu nic się nie stało. Nie było przy tym milicji, a żaden z chłopów nie zatrzymał bandziorów i oni po prostu odjechali. – Trudno batem walczyć z pistoletem – podsumował sołtys Sokołowa.

Przez pół roku było cicho. Nikt nie wiedział, kto to był, kto napadł na skup. Nagle sensacja: wśród złodziei rozpoznano Hieronima. Złapali też drugiego sprawcę, ale nie udało się schwycić „Meteora”. Przepadł jak kamień w wodę. Hirek powędrował na dziesięć lat do Wroniek. Świat biegł naprzód po swojemu, a on odsiadywał karę i miał ustabilizowane życie.

W tym czasie Ewald skończył studia rolnicze w Poznaniu, pomógł sporo swojej wsi, ale został wyklęty z dopiero co przydzielonego stołka w 1956 roku, to było w czasie ruchów tektonicznych w Poznaniu, jednak po pewnym czasie przyjęto go na mniejszego szefa, aż uległ namowom żony, którą poznał w czasie studiów, bo ona również studiowała w Poznaniu, i przeprowadzili się do rodzinnego miasta Tereni, do Chorzowa. Ukończył studia podyplomowe, pracował kilka lat w szkole rolniczej poza terenem Chorzowa, a później postarał się o pracę w urzędzie wojewódzkim w Katowicach, gdzie nadzorował szkoły rolnicze w regionie.

Tak to życie ucieka, że pora na emeryturę. Każdy to wie. Nie wyszło za dużo, ale ani Terenia, ani Ewald nie narzekali. Oboje z żoną są zadowoleni, bo najważniejsze jest... Każdy dostaje swoje.

W połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku, pewnego niedzielnego popołudnia, ktoś energicznie nacisnął trzy razy na dzwonek w korytarzu i odezwał się taki brzęk, że oboje z żoną popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. Kto to może być? Nie spodziewali się nikogo z rodziny, bo zawsze sobie mówią, kiedy się odwiedzają. Drzwi otwarła Teresa. Zobaczyła trzy osoby: już siwego mężczyznę, drugiego mężczyznę około trzydziestki i nastoletnią dziewczynę. Ewald usłyszał, że ktoś pyta o niego. Teresa zwróciła się w stronę pokoju i powiedziała głośno: – Ewald, ktoś do ciebie.

Wyszedł do przedpokoju. Popatrzył na twarze i nikogo nie rozpoznał. Starszy mężczyzna się uśmiechnął i pierwszy odezwał: – Nie poznałeś mnie. Ja ciebie od razu.

Podał Ewaldowi rękę: – Hieronim... Górka z Jaskółek. Pamiętasz? Pamiętasz. Co byś nie pamiętał.

Teraz Ewald rozpoznał starszego kolegę ze swojej wsi. Najpierw, ostrzeżony przez stres, pomyślał, że chyba to nie napadający... Odwzajemnił się głupim, zakłopotanym uśmiechem i rzekł niepewnie: – Bardzo proszę, wejdźcie do pokoju. Ale niespodzianka, to wprost nieprawdopodobne, że mnie znalazłeś. Niesamowite... Bardzo się cieszę.

Tak mu się powiedziało, ale nadal był zakłopotany. Zaczął wyjaśniać żonie: – To mój kolega z Jaskółek.

Teraz się zastanawiał, co mógłby jeszcze powiedzieć. Do szkoły razem nie uczęszczali. Hieronim rozglądał się już za dziewczynami, a Ewald pał jeszcze kozy, i to takie kozy, które wchodziły na pochyłe brzozy i wierzby. Wprawdzie nie były to kozy jak w Maroku, które lubiły gromadnie skrabac się (wchodzić na wyżki) na drzewa arganowe, ale wiele razy dały mu w kość. Przypomniawszy sobie, że obaj strzelali z procy o napędzie gumowym... A może o tym, jak ich goniły gajory (gąsiory) albo o takiej jednej miągwie – dziewczynie, co wciąż płakała i postękiwała ze wszystkiego niezadowolona, a Hieronim myślał, że to będzie jego panna...

– Napijcie się panowie kawy? Dla panienki zrobię herbatę... Mam też kołocz, to znaczny placek drożdżowy, jaki Ewald lubi, bo jego mama taki piekła. Pan pewnie zna z Jaskótek?

Nikt nie zaprzeczył, że się napije i poczęstuje. Radecki zauważył, jak są ubrani. Świętecznie. Hieronim w szarym ubraniu, niebieska koszula, krawat dopasowany kolorystycznie... Jego syn Krzysztof w swetrze, bez krawata, jego córka w obcisłej spódniczce i zielonej bluzce w kwiaty. No dobrze. To mnie nie obchodzi – pomyślał Liwiusz. Terenia wniosła na tacy kawę i herbatę, potem wyszła, przyniosła ciasto, podała cukier. Hieronim podziękował. – O, jaki piękny placek. Pewnie też smaczny... – Placek – powtórzyła Teresa. – Bardzo proszę...

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał Ewald. – Nie widzieliśmy się z czterdzieści lat.

– Byłem niedawno w Jaskólkach i rozmawiałem z twoją siostrą Krysią. Gdy powiedziałem, że mieszkam na Śląsku, poinformowała mnie, że tam też mieszka jej brat Ewald. Byłem zdziwiony, ale pomyślałem, że jak Krystyna tak mówi, to na pewno tak jest.

– Ach to ty mieszkasz Śląsku – zdziwił się Ewald. – A można wiedzieć, gdzie?

– W Rudzie Śląskiej, nawet niedaleko od Chorzowa. Wystarczy wsiąść w jedenastkę, przejechać przez Chebzie i Lipiny i jest Chorzów.

– A tak, coś podobnego. Tyle lat i dopiero teraz się spotkaliśmy.

– No widzisz, takie są koleje ludzkiego losu. Nigdy nie wiadomo, gdzie się spotkamy. A ty, jak się tu znalazłeś? – zapytał, ale nie czekając na odpowiedź, zaczął mówić o sobie. – Wiesz, że siedziałem? Wiesz, wszyscy wiedzieli, tylko nie wiedzieli dokładnie za co. Myśleli, że za ten napad w Sokołowie. I bardzo dobrze, bo inaczej, to nie wiem...

– Ludzie mówili, że chciałeś kupić nowy motor, a nie miałeś forsy.

– Tak mówili... Właściwie to tak, ale... spotkałem takiego gościa, który powiedział, że nienawidzi komuny i ma z nią na pieńku. Ukrywa się na strychu gdzieś w powiecie żnińskim i szuka ochotników. No i ja

się zgodziłem... Znałem jeszcze dwóch takich, poznałem w Janikowie... Ten jeden się wykruszył, bo został sam i chciał się żenić. Byliśmy w trójkę. Ten, co się ukrywał, miał ksywę Meteor i powiedział, że jeżeli chcemy działać, to musimy mieć pieniądze.

W tym czasie Ewald myślał: „To łgarz, wszyscy mówili, że chciał kupić sobie motor, a na robotę patrzył z boku”.

– „Meteor” wziął kasę i przepadł. Jakby go buldożer zepchnął w przepaść. Obiecał, że da nam znać, ale jak milicja zaczęła badać sprawę, rozmawiać z ludźmi, to wkrótce nas dwóch złapano. Akurat chcieliśmy się ukryć, na razie gdzieś w lesie, ale oni wpadli do domu w Parszywku, gdzie nocowałem u brata, no i koniec. Z tym kumplem obaj dostaliśmy po dziesiątce. Zawieźli nas do Wronek, ale ja z nim nie miałem kontaktu. Wyobrażasz sobie, najpiękniejsze lata w marmrze... Po pięciu latach powiedziano mi, że mogę otrzymać warunkowe zwolnienie za dobre sprawowanie, ale muszę podjąć robotę tam, gdzie mi wskażą. No to się zgodziłem. Myślałem sobie, że wszędzie będzie lepiej niż w kiciu. Otrzymałem papiery i zgłosiłem się w koksowni kopalni „Walenty-Wawel” w Rudzie Śląskiej. Dali mi lokum w hotelu robotniczym i rozpocząłem robotę w gazowym smrodzie i wysokiej temperaturze. Jak pierwszy raz zobaczyłem ścianę rozpalonego koks, gdy maszyna ją wyciągała na zewnątrz, i się wysypywał z objęć nagrzaną do białości konstrukcji, pomyślałem, że już trafiłem do piekła. Na pewno byłeś w koksowni, to wiesz. Straszna robota. Ale nie miałem innego wyjścia... Warunki mieszkalne prymitywne. Ci mieszkańcy hotelu przez tutejszych nazywani byli wulcami. Do dzisiaj nie wiem dokładnie, dlaczego. Pierwszy rok był katorżniczy. Nawet tęskniłem do tego, co niedawno przeszedłem. Tak. Ale co wam będę głowę zawracał...

– Niech pan mówi. Warto poznać... usłyszeć... – odezwała się Teresa, nie bardzo wiedząc, co jeszcze dodać. Pomyślała, że każdy ma swoje troski.

– A wiesz, w więzieniu polubiłem książki. Przeczytałem pewnie z dziesięć... Jedną na dwa miesiące. To mnie trochę odmieniło. Chyba pierwsza była *Historia WKP(b)*... Wyobrażasz sobie? Udawałem, że czytam, a klawisz nawet próbował mnie przepytować, ale pewnie sam jej nie czytał, a jak mu mówiłem byle co, to mnie chwalił. Tak naprawdę to nie wiem, kto kogo przechytrzył. Dopiero gdy zacząłem czytać *W pustyni i puszcy*, potem był *Potop*, poczułem się kimś ważniejszym. Później jeszcze o Cezarym Baryce, nie pamiętam tytułu, to jakbym był na nowo uczniem. Dowiedziałem się, co to jest pozytywizm, nawet jakieś szklane domy mi się śniły. I polubiłem robotę. Mówię prawdę. Do dzisiaj czytam.

Teresa weszła w temat:

– My też czytamy. Zna pan *Wiatr od morza* Żeromskiego?

– Nie znam, nie wiem nawet, że taka książka istnieje. Ale czytałem *Popioły*. To jest powieść strasznie rozłożysta, wielowątkowa, taka szeroka jak Wisła, powiedziałbym.

– O, jakie to poetyckie – zauważyła Teresa.

– Przepraszam, ja tylko tak...

– Wie pan, a ja właśnie wczoraj kupiłam ten *Wiatr*... To nasza nadmorska legendarna historia.

– Jak zauważyłem, teraz mało ludzi czyta. Nie mają czasu. U mnie w domu tylko wnuczka... No, ja czasem też. Już powstaje coś nowego. Może ludzie przestaną również mówić, to w dzisiejszych czasach jest możliwe. Owady nie mówią i sobie radzą. Mózgu można użyć do rzeczy wyższych... – zapędził się w rozwijaniu kłębka.

– A można wiedzieć, z kim się ożeniłeś? – zapytał Ewald.

– Można, to żadna tajemnica. Kasia pochodziła z Sokołowa, z tej samej wsi, gdzie zrobiliśmy ten skok. Nigdy nie musieliśmy przeprowadzać remontu w naszym małżeństwie. Niestety, trzy lata temu zmarła i wciąż nie potrafię się pozbierać...

– O... Przykro nam – powiedziała Teresa.

– Poznałem ją już wcześniej, przed tym wydarzeniem z kasą, ale ona nie miała z tym nic wspólnego. Po prostu byliśmy sobie wierni. Nie szukaliśmy przyszłości u wróżki, nie planowaliśmy jutra, ciekawo, co los nam przyniesie. W tych trudnych latach ważne było dzisiaj. Chciałem przeżyć te dziesięć lat w dziesięć dni. Najpierw zamieszkaliśmy w starym budownictwie, a potem otrzymałem przydział na nowe na budowanym osiedlu, tu niedaleko skrzyżowania na Zabrze. Może kiedyś mnie odwiedzicie...

Brzmiało to prawdopodobnie. Powoli Hieronim wrósł w nich jak mniszek lekarski, który tak łatwo się rozmnaża. Hieronim rozmnożony... No i rozmrożony. Wyglądało, że szczery.

– A teraz jestem na emeryturze. Lata w kiblu doliczono mi do emerytury, mam dodatek kombatancki i jest fajnie. Poszukałem świadków, którzy podpisali się pod moim zeznaniem, dołączyłem parę dokumentów, a nawet ujawnił się „Meteor”, ale już nie żyje... Napisałem do odpowiedniej instytucji w Poznaniu i po pół roku otrzymałem pozytywną odpowiedź. Ty to pewnie masz kominową emeryturę – dorzucił.

– Tak ci się zdaje? Nauczycielską, a właściwie urzędniczą, bo ostatnio pracowałem w nadzorze pedagogicznym. – A zaraz potem złośliwie dodał: – Znasz Zosię Woźniak i Wacka Chlebowskiego? Bardzo oddani sprawie, chociaż na początku powątpiewali... Zosia należy do Solidarności. Wacek zdaje się też...

Hieronim nie odpowiedział, czy zna tych dwoje, domyślił się, że Ewald nie mówił tego poważnie. Może chciał się usprawiedliwić?

– To musiałeś należeć do partii... – odciął się. – Ale ja to rozumiem, tak było. Nawet mnie chcieli, jak się dobrze w robocie sprawowałem.

Ewald postanowił to skończyć. Nie lubił takich rozmów. Zwrócił się do syna Hieronima.

– A pan też pracuje... na kopalni?

– Tak, jestem sztygarem, już dziesięć lat. Jeszcze trochę i się wyniesiemy gdzieś na wieś na Pojezierze Gnieźnieńskie, żeby poodychać świeżym powietrzem.

– Pewnie tak, bo sztygarzy bardzo dobrze zarabiają – wtrąciła Teresa.

– A córka do jakiej szkoły chodzi?

– Do liceum...

– A nasz syn pracuje w biurze projektów. Skończył politechnikę w Gliwicach – pochwaliła się Teresa.

Tego nikt z ich trojga nie zauważył. Jakby w tym czasie panowało milczenie.

Co zatem, co w sumie otrzymaliśmy z tej rozmowy? Ciska podpowiadała, że trzeba pewnie się podnieść i pójść na jedenastkę. Ale tak pomyślał Ewald, a nie Hieronim.

Przypomniało mu się, że w domu mama robiła kładzione kluski ziemniaczane. No to wspomniał te kluski, a Hieronim rzekł, że oni lubią kluski śląskie, takie okrągłe, pyzowate i że polubi też wodzionkę. To przez żonę Krzysztofa, która urodziła się w Halembie. Ewald zapytał Hieronima, czy on w dzieciństwie obgryzał kurze nóżki? Hieronim się uśmiechnął, a Krzysztof parsknął śmiechem. Przecież musisz pamiętać. Zaraz po wojnie była taka bieda, że zjadało się wszystko oprócz pierza, a kości się rozdrabniało i karmiło nimi kury. Wyprawiało się żołądek i kurze jelita, oparzało nogi, zrywało pazury, potem dopinało się do nóżek pół żołądka, owijało jelitem, soliło i gotowało. Teraz Hieronim się przyznał. No tak, pamiętał, każda gospodyni tak robiła. Teraz on dodał, że lubił polewkę. Od Galewskich z Łomna przynosił maślanekę, dodawało się mąkę, matka zagotowała, wciepla łyżkę masła, jeśli było, do tego gotowane ziemniaki. Po pół godzinie człowiek był głodny. A teraz to ludzie biegają za parówkami i kiełbasą śląską, smażą słoninę na skwarki i tyją, chociaż górnicy nie, nie, oni by się nie zmieścili pod niskim pokładem.

Gdy już kończyli rozmowę, Hieronim powiedział Ewaldowi, że coś go ciągnęło do niego, chciał się z nim spotkać i odwrócić zamierzoną już niemal legendę o tym napadzie na kasę skupu trzody chlewnej. Chciał mu powiedzieć, że to nie było tak, mieli inny cel, wtedy myśleli, że popełniają bohaterski czyn, tymczasem rozgłoszono zupełnie co innego. Jak było naprawdę...? Hieronim nie był pewien, czy Ewald mu uwierzył. Pomyślał, że może to doceni i zmieni o nim zdanie. Trudno powiedzieć, czy tak się stało. Ludzie powinni się kochać i pokojowo rozwiązywać właśnie i zaistniałe problemy, a tymczasem...

– Idziemy, bo ucieknie nam jedenastka. Już kiedyś jechałem do Chebzia karawanem, wystarczy.

Zasadniczy brak współrzędnych to żaden paralelizm.

– No to co... Wpadnij do mnie, pogadamy.

– Pogadamy... – Hieronim nie podał Ewaldowi swojego adresu.

Być może Górka chciał poprawić sobie samopoczucie. Gdyby stwierdził, że Ewaldowi wiedzie się gorzej niż jemu, to może by podał mu swój adres, ale w czasie tego spotkania nie doszedł do takiego przekonania. Dlatego nie pytał nawet, czy Rusecki ma auto. On widocznie nie miał, bo wleki się tramwajem... To wiele mówi. A jeśli przyszedł z odwiedzinami ze zwykłej ciekawości, jak żyje się jego młodszemu koledze?

Jeden przeszedł Saharę, a drugi szwendał się po Dachy Świata.

SPIS TREŚCI

Laureaci VIII Ogólnopolskiego Konkursu Małych Form Literackich im. Stefana Żeromskiego – 2012	3
JANUSZ MIELCZAREK, <i>Organki „Piccolo”</i>	5
MAŁGORZATA GRAJEWSKA, <i>Pokonać odległość</i>	23
ANNA CZUJKOWSKA-WŁODARSKA, <i>Skrzypek pod parasolem</i>	26
JERZY KĘDZIERSKI, <i>Nareszcie wyglądam jak człowiek (opowieść Guzika)</i>	42
ANNA PILISZEWSKA, <i>Natęczowska psalmodia</i>	55
Laureaci IX Ogólnopolskiego Konkursu Małych Form Literackich im. Stefana Żeromskiego – 2014	63
DINA STRASZAK, <i>Ptasznik</i>	65
ELA GALOCH, <i>Poranna kawa z Brunonem</i>	73
KOSMA WOŹNIARSKI, <i>Ojczyzna</i>	90
LECHOSŁAW CIERNIAK, <i>Dostanę dobre konie</i>	101
LECHOSŁAW CIERNIAK, <i>Stabilizacja</i>	103
LECHOSŁAW CIERNIAK, <i>Ekwilibrysta</i>	107
LECHOSŁAW CIERNIAK, <i>Przebudzenie</i>	110
LECHOSŁAW CIERNIAK, <i>Peireskia grandifolia</i>	114
EDWARD BOLEC, <i>Nikt</i>	117
ANNA CZUJKOWSKA-WŁODARSKA, <i>Dwie strony ulicy</i>	127

KAROL KORYCZAN, <i>Osobliwie szczęśliwa trzynastka</i>	149
MARIOLA KRUSZEWSKA, <i>Małwy</i>	153
MARIA WOSIK, <i>Migawki z teki wspomnień – część druga</i> . . .	158
BOGDAN NOWICKI, <i>Nałęczów. Wieczna historia</i>	162
GENOWEFA ŚWIATŁOŃ, <i>Siłaczka – emerytka</i>	167
Laureaci X Ogólnopolskiego Konkursu Małych Form Literackich im. Stefana Żeromskiego – 2017	183
KRZYSZTOF MARTWICKI, <i>W drodze na Dalnię. 1945</i>	185
ANNA PILISZEWSKA, <i>Niemen</i>	191
JANUSZ MIELCZAREK, <i>Tam gdzie NIE rosty poziomki</i>	196
JANINA SZYMCZYK, <i>Inka</i>	207
ZBIGNIEW MENDEL, <i>Kto potencjalnie będzie Cezarym Baryką? Kim może być Szymon Gajowiec? Jaki może być współczesny zakres pojęciowy szklanych domów? Refleksje o ponadczasowym przestaniu „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego</i>	219
ENORMI STATIONIS (BARTOSZ RADOMSKI), <i>„Uciekła mi przepióreczka”</i>	227
MACIEJ JAGODZIŃSKI, <i>Memento</i>	234
MARIANNA PAWŁOWSKA, <i>Śladami ogrodu młodości</i>	245
PAWEŁ MICNAS, <i>Norwe szaty</i>	261
ANDRZEJ KOZICKI, <i>Anioły, Anioły, Anioły</i>	269
KATARZYNA WOŚ, <i>Róża</i>	278
EUGENIUSZ RYCHLICKI, <i>Kontrasty</i>	282